

**Deborah Moggach**

**WIĘZY RODZINNE**

*Przełożyła Katarzyna Petecka-Jurek*

*Dla Kate Harwood*

# **CZĘŚĆ PIERWSZA**

## Rozdział pierwszy

Miałeś kłopoty? Wystarczyło zwrócić się do Gordona Hammonda. Pracował dorywczo w budownictwie i miał furgonetkę. Był zręczny, wesoły i godny zaufania. Sam sobie był szefem, nie zależał od nikogo; nie nadawał się do wykonywania czyichś poleceń. W tamtych czasach Gordon nie bał się żadnej roboty. Było to czterdzieści lat temu, gdy dopiero rozkręcał swój interes i walczył, by jakoś powiązać koniec z końcem. Musiał utrzymać żonę, Dorothy. A potem jedna po drugiej zaczęły przychodzić na świat jego córki i chociaż dawało się jakoś wyżyć za dziesięć funtów tygodniowo – zwłaszcza mając taką żonę jak Dorothy, która potrafiła wyczarować obiad z niczego – trzeba było opłacać czynsz, nadeszła też pora na wybudowanie własnego domu.

Gordon nazwał swoją firmę Kendal Contractors, miał w sobie bowiem coś z romantyka, a właśnie podczas wakacji w Lakę District oświadczył się Dorothy. Przez lata był jak człowiek orkiestra i pracował od świtu do nocy. Podczas gdy on murował i gipsował, Rosjanie wysłali w kosmos pierwszy sputnik, trzy tysiące przeciwników wojny demonstrowało w Aldermaston i zmarł Christian Dior, człowiek, o którego istnieniu Gordon nie miał najmniejszego pojęcia. Ponieważ Gordon pracował.

Pod koniec lat pięćdziesiątych urodziły się Gordonowi dwie córki i choć ludzie byli przekonani, że starali się z żoną o syna – zdrowego, silnego chłopca, który wspomógłby ojca w firmie – Gordon niezmiennie twierdził, że jest dumny z córek i braku następcy nie odczuwa. Jego ton zniechęcał do dalszych pytań, nawet własną żonę. W 1959 roku zjawiała się kolejna córka. Przyszła na świat 3 lutego, w dniu, w którym zginął Buddy Holly. Gdyby urodził się chłopiec, Gordon nazwałby go Buddy, ponieważ jednak była to dziewczynka, rodzice nadali jej imię Madeleine. W tym samym roku wyprodukowany został minimorris, dając początek swingującym latom sześćdziesiątym, uszły one jednak uwagi Gordona, zupełnie jakby żył w innym kraju. Nie miał czasu na takie bzdury, pochłaniało go zupełnie co innego.

W 1960 roku dorobili się z Dorothy pierwszego własnego kąta – dwupoziomowego mieszkania w Chislehurst. Wpłacili nawet zaliczkę na przyczepę kempingową, zawsze jednak brakowało im czasu na wakacje, Gordon bowiem, by sprostać rosnącemu zapotrzebowaniu na swoje usługi, musiał zwijać się jak w ukropie i zatrudniać wciąż nowych ludzi. Tę rosnącą popularność zawdzięczał poczcie pantoflowej. Szczycił się tym, że nigdy nie potrzebował reklamy, bo nie rezygnował z żadnego zlecenia, a wiadomo, małe prace pociągają za sobą większe, a zadowoleni klienci polecali go innym. Zawsze było zapotrzebowanie na solidnego budowlańca, który przygotowywał rozsądne kosztorysy, zjawiał się w umówionym terminie, pracował bez zarzutu i na dodatek sprzątał po sobie. Nikt nie chciał korzystać z usług tanich partaczy – mijał ledwie miesiąc, a już wykonany przez nich sufit z hukiem spadał.

Świat w tamtych latach był miejscem pełnym nadziei. Rosjanie wypuścili w przestrzeń kosmiczną Gagarina, Kennedy został prezydentem, a w 1963 roku Martin Luther King miał swój sen. Kwitł również rynek budowlany. W połowie lat sześćdziesiątych firma Kendal

Contractors zatrudniała na stałe dziesięciu stolarzy, tynkarzy i hydraulików, a oprócz tego zmieniającą się liczbę pracowników na zlecenie, przyjmowanych przez Gordona w miarę potrzeby. Przeróbki mieszkań, prace zlecone przez zarząd miasta, budowa prywatnych lokali pod wynajem – wówczas budownictwo było tanie jak barszcz i Gordon do spółki z firmą miejscowych architektów zainwestował swoje zyski w budowę domów w Putney, podzielił je na mieszkania i to, co na tym zarobił, włożył w kolejną budowę. I tak to szło.

Posłał dziewczynki do prywatnej szkoły St Agnes w Croydon. Chociaż wysokość czesnego wzbudzała w nim grozę, serce pęczyło mu z dumy, gdy wypisywał czeki. Kupił większy dom.

wolno stojący, przy tej samej ulicy co ich pierwsze mieszkanie. Wojna w Wietnamie dobiegła końca i zaczęły się przesłuchania związane z aferą Watergate. W 1974 roku Gordon przeprowadził rodzinę do nowego domu, w którym mieli mieszkać już na stałe. Była to rezydencja w Putney, od tyłu granicząca z lasem, w stylu Tudorów, z pięcioma sypialniami, garażem na dwa samochody i nareszcie wymarzoną kuchnią dla żony, niechaj Bóg ją błogosławi. Gdy Nixon odchodził, Gordon dobudował z boku domu pomieszczenie na biuro, wygospodarował nawet miejsce na niewielkie podwórze, gdzie odtąd składowane były materiały.

Dziewczynki uczęszczały do szkoły, korzystając z dobrodziejstw edukacji, która ani jemu, ani jego żonie nigdy nie była dana. Gdy one się kształciły, jego żona Dorothy spędzała czas w biurze i odbierała telefony. Z upływem lat nauczyła się księgowości, ze zdumieniem odkrywając w sobie talent do liczb, i chociaż bywało raz lepiej, raz gorzej – zwłaszcza gdy pod koniec lat siedemdziesiątych rynek budowlany mocno podupadł – dla dobrej firmy budowlanej praca znalazła się zawsze, kiedy bowiem ludzi nie było stać na przeprowadzki, musieli przynajmniej przerabiać mieszkania i domy, w których już mieszkali, a w owym czasie Kendal Contractors cieszyli się w okolicy zasłużoną i ugruntowaną renomą.

Dziewczynki dorastały. Najstarsza była Louise. Śliczna, delikatna blondynka, od najmłodszych lat wzbudzająca zachwyt wszystkich dookoła. Drogę do szkoły pokonywała pogrążona w marzeniach i wolała bawić się lalkami, przygotowując się do roli przyszłej matki. Louise kochali wszyscy, co ona przyjmowała ze spokojem typowym dla osoby pięknej. Nawet sporadyczne ataki zazdrości ze strony sióstr mijały nie zauważone przez Louise, ponieważ jak większość szczerze przez naturę obdarowanych osób cechowała ją niewinność, zamykająca ją w jej własnym, pełnym słońca świecie. Wyrosła na wiotką nastolatkę z długimi, jedwabistymi włosami. Dom Hammondów wiecznie był oblegany przez usychających z miłości młodzieńców; w dniu wypłaty murarze zwlekali z odejściem, mając nadzieję ujrzenia jej choć w przelocie. Siostrom wydawało się, że bez przerwy gdzieś znika, uwożona w dal w ryczących sportowych samochodach, pozostawiając po sobie pustkę i zapach spalin. Poszła do college'u dla sekretarek, ale nigdy go nie ukończyła; była na to zbyt roztrzępaną osobką. Przestało to mieć jednak dla niej jakiegokolwiek znaczenie, zakochała się bowiem w młodym, rzutkim przedsiębiorcy i w krótkim czasie zaszła się w mieszkaniu w Chelsea, oczekując pierwszego dziecka.

Prudence, średnia siostra, była intelektualistką.

– Wiecznie z nosem w książce – chełpił się Gordon.

O Louise mawiał, że jest jak „słoik z miodem, do którego zlatują się pszczoły”. Jako człowiek mało refleksyjny raczej nie zastanawiał się nad swoimi córkami, a pytany, powtarzał to samo, co mówił o nich, odkąd wyrosły z wieku dojrzewania. Raz na zawsze wyrobił sobie pogląd na każdą ze swoich córek i nigdy nie potrafił spojrzeć na nie inaczej. Prudence była ta cicha, typ intelektualistki. Prudence, o niskim poczuciu własnej wartości, uważała się za brzydką. Kiedy jednak Louise zniknęła z horyzontu, jej twarz nabierała wyrazu. Można było patrzeć na nią z prawdziwą przyjemnością, jak na obraz starego holenderskiego mistrza.

Prudence jako jedyna z sióstr poszła na uniwersytet. Żyła we własnym świecie i gdy w dniu ukończenia studiów ujrzała na widowni rodziców, doznała wstrząsu, gdyż tak obco wyglądali w udającej średniowieczną auli. Wszystkie trzy siostry – każda na swój sposób – oddaliły się od rodziców, ale jedynie Prudence zdobyła wykształcenie wynoszące ją ponad sferę, z której pochodziła. Wiedziała, że ojciec i matka są z niej bardzo dumni, lecz sposób, w jaki to okazywali, świadczył, że nie rozumieją tego, co ona przyjmowała za rzeczy oczywiste. Tyle wysiłku włożyli, by mogła to osiągnąć, i przez to ją utracili.

A jednak nigdy nie przestała być oddaną córką, łagodzącą spory pomiędzy ojcem a najmłodszą, krnąbrną siostrą. Na niej też skupiła się uwaga rodziców, gdy Louise przeniosła się do nowego domu w modnej części Buckinghamshire. Na Prudence zawsze można było polegać, jak na wiecznej niani, która nigdy nie schodziła z posterunku, podczas gdy inni używali życia. Nawet kiedy czasem zdarzało jej się buntować przeciwko takiemu stanowi rzeczy, robiła to niezwykle kulturalnie, więc i tak nikt tego nie zauważał. Rodzice byli zbyt zajęci codziennymi zmaganiem w pracy i dwójką wnuków. A Maddy, jej młodsza siostra, choć lojalny sprzymierzeniec – bez wahania oddałaby za Prudence życie – nigdy nie mogła dojść z ojcem do porozumienia i odeszła, najpierw wyprowadzając się z domu, a wreszcie wyjeżdżając z kraju na dobre. Tymczasem Prudence zaczęła pracować w wydawnictwie, kupiła sobie mieszkanie w Clapham, gdzie zamieszkała z kotem i kolekcją afrykańskich fiołków, kwiatami starych panien, na okiennym parapecie.

Od najwcześniejszych lat rodzeństwo ma przypisane sobie role i z biegiem czasu coraz lepiej je odgrywa, spełniając pokładane w nich oczekiwania. Louise była piękną młodą matką, Pru mądrą, Maddy narwańcem. Gdy matka wspominała ich dzieciństwo, zawsze stawał jej przed oczami ten sam obrazek. Louise bawi się lalkami na trawniku w ogrodzie, Pru leży na brzuchu z nosem w książce, a między nimi szaleje Maddy, brum, brum, jeżdżąc swoim buldożerem zabawką po książce Pru, brum, brum, tratując lalki Louise. Te wrzaski! Maddy była gwałtowną, silną dziewczynką. Czasami jej siostry zastanawiały się, czy przypadkiem nie miała zastąpić ich rodzicom syna, którego nigdy nie mieli, choć być może w skrytości ducha pragnęli. Zadzierzista dziewczynka, wiecznie skłócona z całym światem, „kwadratowy sęk w okrągłej dziurze” – jak mawiał jej ojciec. Nie pasowało do niej nawet imię, które jej nadali. Nikt nigdy nie nazywał jej Madeleine, od początku była Maddy i tak już zostało. Na zdjęciach widać, jak z okrągłą buzią i z fryzurą na grzybka wpatruje się w obiektyw, zawsze starając się mu umknąć.

Mimo wojowniczej miny i w zasadzie ponurego usposobienia, Maddy od początku była

głęboko oddana swoim siostróm i nie podarowała nikomu, kto odważyłby się coś złego o nich powiedzieć. Była silną, wysportowaną dziewczyną, stale zdobywającą trofea w zawodach pływackich, które ojciec dumnie prezentował gościom. Gdy to robił, jej twarz pokrywał rumieniec i stawała się burkliwa, co ojciec odbierał jako niegrzeczne zachowanie, ale jej siostry wiedziały, że po prostu czuje się skrępowana. Skończywszy szesnaście lat, rzuciła szkołę. Ojciec wpadł we wściekłość – czyż przez te wszystkie lata nie urabiał sobie rąk po łokcie, żeby mogła chodzić do najlepszej szkoły w Surrey? Ona jednak nie przejęła się tym zbytnio i zamieszkała w Stockwell z ludźmi prowadzącymi wesołe miasteczko. W zasadzie znikła na całe lata. Od czasu do czasu spotykała się z Prudence, ale Louise odwiedzała rzadko, ponieważ nie znosiła jej męża. Był przystojnym, chamskim mężczyzną o imieniu Robert, którego i Prudence darzyła mieszanymi uczuciami, wrodzony takt jednak nie pozwalał jej tego okazywać.

Pod koniec lat osiemdziesiątych Maddy głównie podróżowała z plecakiem i przez jakiś czas mieszkała w Kanadzie, gdzie pracowała z upośledzonymi dziećmi. Chociaż nigdy nie była studentką, wiodła życie typowo studenckie – z nikim i z niczym się nie wiązała, nigdzie nie osiadała na stałe, zbuntowana nie tylko przeciwko własnym korzeniom, ale i przeciwko rządóm torysów, wyniszczaniu lasów zwrotnikowych i konsumpcyjnemu stylowi życia wielu ludzi, nie wyłączając drapieżnego kapitalisty, męża Louise. Jej twarz pozostawała zadziwiająco młoda, jak u zakonniczki, nieznaczona piętnem upływającego czasu. Kiedy wyjeżdżała do pracy w Afryce, mając trzydzieści trzy lata, z powodzeniem mogła uchodzić za dwudziestolatkę.

– Chyba trzymasz na strychu swój portret – powiedziała jej kiedyś Prudence, aż nadto świadoma swojego wieku. Maggy jednak nie zrozumiała, o co jej chodzi; nigdy w życiu nie słyszała o Dorianie Grayu.

Gordon także miał świadomość mijających lat. Tego wrześnieowego dnia, w szesnaste urodziny wnuczki, jechał wraz z Dorothy do Buckinghamshire na urodzinowy lunch.

– Szesnaście lat – powiedział. – A wydaje się, że zaledwie wczoraj była niemowlęciem.

– Wydaje się, że zaledwie wczoraj dziewczynki były dziećmi – zauważyła Dorothy.

Miała rację. Dochował się trzech wspaniałych córek, które teraz osiągnęły nieomal wiek średni. A wydawało mu się, że dopiero co bawiły się razem w ogrodzie. Zupełnie jakby dorosły w czasie, gdy jego uwaga chwilowo była skupiona na czym innym. Jak gdyby wyskoczył tylko po wieczorną gazetę, a po powrocie zastał w domu dorosłe kobiety. Miały do spłacania hipotekę, miały własne wyrobione poglądy. Maddy była w Nigerii i mówiła w języku ibo czy jakimś tam. Koniec świata!

W dniu czyichś urodzin zawsze nachodziły go refleksyjne myśli. Jego wnuczka Imogen kończyła szesnaście lat – w zasadzie mogłaby mieć już własne dzieci. Zbliźali się do Beaconsfield. Obok niego siedziała Dorothy, troskliwie trzymając na kolanach paczkę z prezentem. Kupiła go sama; zawsze zajmowała się takimi sprawami.

– Co to jest? – spytał.

– Poczekaj, to zobaczysz. Dodatek do głównego prezentu, od rodziców.

– Dlaczego nikt mi o niczym nie powiedział? – jęknął. Skręcił, żeby wyprzedzić

ciążarówkę.

– Gordon! – Dorothy chwyciła się kurczowo za klamkę u drzwi. – To tajemnica.

Tajemnica – wieczna towarzyszka jego życia. Dochodzące zza zamkniętych drzwi dziewczęce chichoty. Dom pełen kobiet, matek i córek, trzymających się razem. Humory, szepty. „Nie mów tacie, on tego nie zrozumie. Przecież to tylko mężczyzna”.

– Gordon! Tu jest ograniczenie do pięćdziesięciu!

Gordon był niecierpliwym, impulsywnym mężczyzną. Prowadził za szybko, palił za dużo. Gdyby przyszło mu kiedyś do głowy zważyć się, nikogo by nie zdziwiło, że ma z dziesięć kilo nadwagi. Jego żona wiecznie zamartwiała się o jego zdrowie; skończył przecież sześćdziesiąt pięć lat i powinien zachowywać się rozsądnie. Ale właśnie ta impulsywność, ślepa energia była motorem jego życia i tylko jej zawdzięczał wszystko, do czego doszedł. Stanowiła nieodłączną część jego natury.

W zasadzie Gordon przypominał paczkę. Był niewysokim, silnym mężczyzną – Maddy jako jedyna z córek odziedziczyła po nim budowę. Nie dało się ukryć, że zaczynał łysieć, ale mimo zbędnych kilogramów nie był sflaczały. Wręcz przeciwnie, nic dziwnego jednak, jako że całe dnie spędzał w ruchu i był silny jak tur. Całe jego mocne ciało zdawało się przeć do przodu, a zarys szczęki zdradzał wojowniczy charakter. Lecz jednocześnie usposobienie miał wesołe i uwielbiał pogwizdywać. Żaden z jego młodych pracowników nie gwizdał, nie były im znane wpadające w ucho melodyjki, Gordon jednak miał cały repertuar standardów, którym doprowadzał swoje córki do szału. Był krępkim mężczyzną, lubił sobie wypić i pożartować. Wolał działać, niż myśleć, i chociaż nieustannie utyskiwał na pracę, najszczęśliwszy był, gnając z jednej budowy na drugą, wykrzykując polecenia i przekomarzając się z chłopakami. Stuprocentowy samiec.

Kobiety stanowiły dla niego niezgłębioną zagadkę. Przez te wszystkie lata powinien był do nich przywyknąć – miał w końcu wieloletnie doświadczenie, mimo to jednak jego córki nigdy nie przestały go zdumiewać. Ich zainteresowania dotyczyły innego, obcego mu wymiaru, za nic w świecie nie potrafił ich pojąć. Dlaczego na przykład Maddy i Prudence nie potrafiły znaleźć sobie mężczyzny, wyjść za mąż i dać mu więcej wnuków, zanim będzie za późno?

Jego żona to zupełnie co innego. Mógł na niej polegać. Trajkotała i o byle co robiła zamieszanie, jak wszystkie kobiety, nie znała się na samochodach, ale jej kobiecość była staromodna i dlatego zrozumiała. Pobrali się czterdzieści cztery lata temu i nie mieli przed sobą żadnych sekretów. Jego młodzieńcza miłość stała się teraz stateczną, sześćdziesięcioletnią matroną; gdy czasem przyglądał się jej dokładniej, co zdarzało się nad wyraz rzadko, doznawał lekkiego szoku. Zażyłość łącząca go z żoną nie nadażała za jej wiekiem. Dorothy, choć teraz już farbowała włosy, nadal układała je w takie same miękkie fale jak przed laty. Znali się doskonale, przeżyli razem wiele burz i dobrze się rozumieli. Gdyby ktoś spytał Gordona o jego małżeństwo – co nigdy się nie zdarzało, było bowiem niemal jak instytucja, a poza tym jego znajomi na takie tematy nie rozmawiali – odparłby, że jakoś im się wiedzie, bo i cóż innego mógłby powiedzieć? Rozmowy na temat związków zawsze go kępowały.



I tak Gordon Hammond wraz z żoną jechali przez Beaconsfield swoim mercedesem combi, którego tył załadowany był po sufit workami z cementem. Minęli domy królowej Anny należące do tuzów przemysłu i telewizyjnych sław. Na głównej ulicy sklepy otoczone trawniczkami prezentowały na wystawach markowe ubrania i zdjęcia pięknych posiadłości do nabycia. Dobrobyt tego miejsca – szerokie ulice, wypiełgnowane trawniki – aż bił w oczy! Oto serce Home Counties\* [Home Counties – hrabstwa wokół Londynu. Ludzie, którzy tu mieszkają, powszechnie uważani są za zamożnych, zwłaszcza przez mieszkańców innych części kraju. (Przypisy pochodzą od tłumaczki).] bezpiecznie odizolowane od brutalności zewnętrznego świata. Zawsze było przekonanie, że tu nic strasznego wydarzyć się nie może. Strzeżcie się intruzi! Z odnowionych fasad emanowało bogactwo. Wkrótce Gordon zasiądzie przy stole Louise. Na myśl, że słodka twarzyczka córki otworzyła jej drogę do tego uprzywilejowanego świata, jego serce pęczniało z dumy. Zawsze była jego złotą dziewczynką, dotkniętą różdżką dobrej wróżki. W nagrodę za swój wdzięk i urodę otrzymała dwoje zdrowych dzieci, przystojnego męża i życie, którego pozostałe dwie siostry bez wątpienia jej zazdrościły.

Zahamował gwałtownie przed przejściem dla pieszych. Dorothy poleciała do przodu, a jadące z tyłu samochodu puszki z farbami zagrzechały.

– Gordon! Któregoś dnia przyprawisz mnie o atak serca. – Poprawiła trzymaną na kolanach paczkę. – Jeżeli ciebie pierwszego nie powali.

Dziesięć kilometrów od Beaconsfield, pomiędzy wzgórzami, leży wioska Wingham Wallace. Otaczające ją rozległe pastwiska i lasy bukowe to okolica nadzwyczajnego naturalnego piękna. Sama wioska zapisana była w Domesday Book\* [The Domesday Book – spis posiadłości i wartości ziemi w Anglii sporządzony w 1086 roku dla Williama Zdobywcy.] i wciąż jeszcze – obok budowli z czasów wiktoriańskich – zobaczyć w niej można było normański pub, kościół i kilka domków. Piękno wioski rosło wraz z wiekiem i bogactwem; to drugie potrzebne, by pierwsze mogło przetrwać. Dogodna odległość od Londynu sprawiała, że miejsce przyciągało wszystkich tych rekinów świata biznesu, którzy pod koniec wyczerpującego dnia pragnęli zaznać wiejskiej ciszy i spokoju. Niedaleko też stąd było do lotniska Heathrow, zaledwie pół godziny jazdy. W rezultacie mieszkańcy tych kilku większych domów tak rzadko byli widywani, że w końcu zaczęły o nich krążyć różne plotki. Mniejsze domy również od dawna przeszły na własność ludzi zamożnych, budynki gospodarcze zamienione zostały na garaże, zbyt krótkie jednak, by pomieścić najnowsze modele BMW, których bagażniki wystawały na ulicę, zmuszając przejeżdżających do ich omijania.

W zasadzie jednak wioskę zamieszkiwała prawdziwa społeczność składająca się z prawdziwych ludzi, czego dowodem były wykładane kamieniami budynki rady miejskiej i gromadzące się wieczorami na przystanku autobusowym grupki młodzieży, podekscytowane i niespokojne, rozżarzające ciemność ognikami papierosów. Wciąż jeszcze jest tu szkoła podstawowa i połączony z pocztą sklep prowadzony przez niejakiego Tima, pracującego w nim samotnie, i jego pogrążoną w depresji żonę Margot. Jak wszyscy ci bogacze mogliby się obyć bez lokalnych mieszkańców, którzy zajmowali się ich domami, sprząтали, pielęgowali ogrody i pilnowali posiadłości, gdy oni sami bawili na Karaibach?

W niedziele kościół wypełniają wierni, głównie kobiety o donośnych głosach i

zdolnościach organizacyjnych, zajęte robieniem przetworów i mogące poszczycić się skutecznie przeprowadzoną kampanią skierowaną przeciwko projektowi budowy domów komunalnych, które zeszpeciłyby krajobraz i obniżyły wartość posiadłości. Pastor od dawna już mieszkał w sąsiedniej wiosce; podlegało mu obecnie pięć parafii, a probostwo zostało sprzedane jeszcze w latach sześćdziesiątych. W wiosce, gdzie każda posiadłość godna jest pożądania, należało ono do najbardziej urokliwych – dom w stylu georgiańskim, porośnięty wistarią, okazały, lecz nie przytłaczający, o skąpanych w słońcu pokojach, których okna wychodziły na otoczony murem ogród, a z sypialni małżeńskiej rozciągał się widok na Chiltern Hills. Kolejni właściciele wprowadzali udogodnienia: przylegające do sypialni łazienki, nowoczesną kuchnię i rzecz niezbędną w latach siedemdziesiątych – ciepłarnię. Gdy przed sześciu laty Robert i Louise wprowadzili się wraz z dziećmi, nie musieli niczego zmieniać, co bardzo odpowiadało Robertowi, który pałał niechęcią do wszelkich prac w rodzaju zróbtośam. Twierdził, że w niedzielę ma o wiele ciekawsze rzeczy do roboty niż wystawianie na drabinie w tumanie kurzu.

W tę niedzielę przypadały urodziny ich córki Imogen. Był to jeden z tych dni wczesnej jesieni, który już zdążył przesiąknąć szczególną nostalgią. Wilgotny ogród, niczym płatki zwinięte w pęk, niośł ze sobą przyszłe wspomnienia cudownego dnia – to, co czyniło Anglię w ogóle, a Wingham Wallace w szczególności wspaniałym miejscem do życia. Liczni goście Roberta i Louise zgodnie twierdzili, że w Starym Probostwie słońce zdaje się zawsze świecić, zupełnie jakby Louise wśród niezliczonych talentów posiadała również i ten, dzięki któremu na czas odwiedzin zapewniała wspaniałą pogodę.

Dzisiejszy lunch miał być uroczystością rodzinną – zaproszeni zostali rodzice Louise i jej siostra Prudence. Louise sama, bez pomocy swoich dorosłych już prawie dzieci, zajęta była przygotowaniem posiłku. Wiernie towarzyszył jej pies, spasyony labrador Monty, wędrujący za nią krok w krok i z cieknącą z pyska śliną ze skomleniem żebrzący, gdy odwijala z opakowania salami.

Louise miała już czterdzieści dwa lata i wciąż była piękna. Prawdę powiedziawszy, wiek był jej sprzymierzeńcem, pod miękkimi rysami twarzy uwidaczniając zarys kości. Dwadzieścia lat małżeństwa umocniło też jej charakter, przydając mu hartu nieobecnego w czasach młodości. Robert był wymagającym mężem, szybko popadającym w znudzenie. Oczekiwał, by go zabawiała, a jego gości podejmowała jako doświadczona pani domu. Zawsze pragnęła go zadowolić – według jej sióstr, nawet za bardzo. Podejrzywały, że w głębi ducha uważa, iż pochodzenie i intelekt stawiają ją niżej od niego, wobec czego nie wolno jej się zaniedbać fizycznie ani psychicznie, by móc dotrzymać mu kroku. Gardziły tym jej brakiem wiary w siebie, kobiecą uległością. Czy ten Robert nie zdaje sobie sprawy, jakie szczęście go spotkało, że ma taką żonę?

Louise przyniosła z ogrodu ubłoconą sałatę, gdy pojawił się jej syn. Widać było, że niedawno się obudził. Oparty o zlewozmywak zajadał z miski płatki Nutty Cinnamon Shapes.

– Jamie, jest dwunasta godzina.

Uniósł jedną brew. Nowa maniera, przejęta od ojca.

– Spokojnie, mamuśka – Zjawia się lada chwila – Przecież to tylko babcia i dziadek.

Mówił w przeciągły sposób, w czym również przypominał ojca. Żywiła nadzieję, że nie wyrośnie na snoba. Jamie miał osiemnaście lat i w przyszłym roku wybierał się na uniwersytet. Był wysoki i szczupły, miał gęste, jasne włosy. Sądząc po liczbie telefonów, coraz bardziej podobał się dziewczętom, co wcale nie wpływało dobrze na jego charakter. Ich zainteresowanie go psuło. Można by przypuszczać, że w tych postfeministycznych czasach coś takiego już się nie będzie zdarzało, ale w końcu ona sama też go psuła. Siostry stale jej zarzucały, że ma do mężczyzn stosunek niewolniczy.

– Rusz się – powiedziała, wrzucając do zlewu sałatę. Nadeszła ziewająca Imogen.

– Gdzie się podział mój czarny top?

– Czy nikt w tym domu mi nie pomoże? – spytała Louise.

– Przecież to moje urodziny!

Nie przerywając jedzenia, Jamie powoli zniknął w salonie. Po chwili dobiegł stamtąd dźwięk włączonego telewizora.

– Dlaczego on zawsze wychodzi, kiedy ja wchodzę? – zapytała Louise.

– Bo uważa, że przynudzasz.

– Różnica pokoleń. Możesz je obrać? – dodała, pokazując na ziemniaki.

– To seksizm. Dlaczego Jamie nie może tego zrobić?

– Bo go tu nie ma. Gdzie jest twój ojciec?

– Pojechał kupić cytryny.

– Już wieki temu.

Kłopot z mieszkaniem na wsi polegał na tym, że prawie cały czas człowiek wyczerpywał zapasy, by później resztę dnia spędzać w samochodzie.

Córka wrzuciła do ust plasterki salami i wypłynęła z kuchni. Przystanąła, by czule poklepać psa.

– Jak się dzisiaj ma mój kochany? – zagadnęła pieszczotliwie.

Nie po raz pierwszy przemknęło Louise przez myśl, że jej dzieci lepiej traktują swoje zwierzaki niż ją, mimo że ani pies, ani króliki nigdy w niczym im nie pomagały, nie umierały z nudów, grając z nimi w karty, nie zarywały też z ich powodu nocy. Imogen słodkim głosem przemawiała wyłącznie do Monty'ego. Gdy pewnego razu Louise zwróciła jej na to uwagę, nie była nawet zdziwiona.

– Ale on jest taki słodziutki – powiedziała.

– Czy to znaczy, że gdybym położyła się na ziemi z łapami do góry, byłabyś dla mnie miłsza? – spytała Louise.

Imogen była niewysoką, mocno zbudowaną dziewczyną. Miała ciemne włosy, jak jej ojciec, poza tym jednak nie odziedziczyła po nim urody. Najbardziej podobna była do cioci Maddy, o czym jej brat przy byle okazji jej przypominał, co zawsze ją złościło. Podobnie jak ciocia Maddy nie miała w sobie nic z intelektualistki. Była bezpośrednią, lojalną dziewczyną, której powolność irytowała ojca, na co matka zawsze stawiała w jej obronie. Robert pragnął dzieci wspaniałych. Gdy Louise zauważała, że sukces można mierzyć także nieco inną, zwracającą uwagę na wewnątrz miarą – czy uprzejmość się nie liczy? – odpowiadał, że uprzejmość to najbardziej mdłe słowo w języku angielskim i powinno się zakazać jego

używania. Poza tym Imogen dla niego uprzejma nie była nigdy.

Louise poszła na górę i wyszczotkowała włosy. Przed wizytami rodziców zawsze się denerwowała. Nigdy nie miała pewności, czy mężczyźni zachowują się jak należy; wzbudzali w sobie nawzajem najgorsze instynkty. Ojciec tak jawnie okazywał dumę z jej urody i życia, które prowadziła, że robił z siebie głupca, co Robert, okrutnie złośliwy, wykorzystywał i jeszcze go podpuszczał, ku wielkiemu zakłopotaniu Louise i jej matki. Gordon był prostodusznym człowiekiem. Zięć z łatwością nim manipulował i teść stawał się karykaturą samego siebie – siadał z szeroko rozstawionymi nogami i zacierał ręce niczym prowincjonalny wojskowy ze sztuki J. B. Priestleya. Louise pogardzała nim wtedy, co z kolei wzbudzało w niej pogardę dla samej siebie. Nienawidziła Roberta, że bawi się kosztem jej ojca, siebie zaś jeszcze bardziej za to, że i ją to rozśmiesza. Ale też mąż zawsze potrafił ją rozbawić.

Była za piętnaście pierwsza. Louise zeszła na dół. Gdzież ten Robert się podziewał? To takie typowe dla niego zniknąć w chwili, gdy był najbardziej potrzebny. Wpadnie jak burza, spóźniony – gdy przyjeżdżali jego goście, nie spóźniał się nigdy. Ten przywilej zachowany był wyłącznie dla jej rodziców. Czasami podejrzewała, że był zazdrosny o jej rodzinę. Nie miał rodzeństwa, został wychowany z klasą, jako samotny chłopiec, na którego wydawano krocie, ale uczuciowo zaniedbywano wprost haniebnie. Jego matka była zbyt zajęta poślubianiem kolejnych mężów, by zwracać uwagę na syna, którego w wieku czterech lat posłała do szkoły z internatem. Ilekroć Louise kłóciła się z Robertem, przypominał jej o tym, racząc ją łzawym opisem, jak to szlochał samotny w internatowej sypialni, za jedynego przyjaciela mając starego, wyliniałego misia. Zawsze odnosiło to skutek i Louise zalewała się łzami. Drań.

Było dwóch kompozytorów, którzy doprowadzali Prudence do łez: Brahms i Schubert. Innym także się to udawało, ale tylko niektóre fragmenty tak na nią działały – na przykład Bachowi, gdy w wolnej części jego duetu skrzypcowego dźwięki skrzypiec wznosiły się i łączyły w tak czułym i przejmującym wyznaniu miłości, iż wydawało się, że lada chwila pękną. Lecz naprawdę głęboko do jej serca przemawiali tylko Brahms i Schubert. Nie ich symfonie – Prudence uważała je za napuszone i zadufane w sobie, zupełnie jakby mówiły: patrzcie i podziwiajcie nas. Nie, ona wolała muzykę kameralną. Właśnie oszczędność i precyzja kwartetów smyczkowych odpowiadały jej najbardziej. Prudence kochała porządek. Był kwintesencją jej życia, na nim opierała się jej cała egzystencja.

Gdy wyjeżdżała z Londynu, droga rozmazywała się jej przed oczami. Słuchała z kasety *Drugiego kwartetu fortepianowego* Brahmsa. Podczas pierwszej randki zabrała Stephena na południowy koncert do St John's przy Smith Square. Kwartet Lindsaya wykonywał wtedy Brahmsa. Później przez wiele miesięcy ilekroć natknęła się gdzieś na imię Lindsay, całe jej ciało przebiegał elektryzujący dreszcz. W czasie koncertu ani razu się ze Stephenem nie dotknęli. Prudence trzymała ręce na kolanach, ściskając torebkę niczym wdowa, czuła jednak bijące od Stephena ciepło. Jego ramię i udo przyciągały jej skórę jak magnes. Czuła się przedziwnie, zupełnie jakby jego ciało wsysało w siebie jej duszę.

Później, gdy wszystko między nimi zaczęło się na dobre, przyznał, że czuł podobnie.

Leżeli w łóżku i z rozkoszą typową dla wszystkich świeżo upieczonych kochanków przypominali sobie ze szczegółami minione tygodnie, podczas których ich bliskość narastała.

– Naprawdę czułeś to samo?

– A pamiętasz, jak wpadliśmy na siebie przy fotokopiarce? Opisywali sobie nawzajem swoje ubrania:

– Miałaś wtedy białą bluzkę.

Leżeli pod kołdrą i odtwarzali wszystkie przepracowane wspólnie w biurze miesiące – ich własną, przepelnioną czułością taśmę wideo. Te wspomnienia nadawały nawet najbardziej przyziemnej wymianie zdań ogromne znaczenie. Właśnie podczas koncertu Brahmsa, powiedział Stephen, poczuł, jak jego dusza odrywa się od żony i znajduje właściwe sobie miejsce w Prudence.

Wnętrze jej samochodu przedstawiało opłakany widok. Spod ścierki do naczyń wystawało pudełko z kleenexami, obok wałało się puste opakowanie po pastylkach do ssania i paczka Silk Cutów (także pusta). Wyciągnęła jedną chusteczkę i wytarła nos. Samochody często zaskakują. Ludzie, którzy prowadzą uporządkowane życie, niejednokrotnie mają zapuszczone auta i odwrotnie. Ci, których życie pogrążone jest w chaosie, poruszają się w nieskazitelnie czystych pojazdach, pachnących odświeżaczem powietrza, a na tylnej półce wożą jedynie atlas samochodowy. Samochody, podobno odbicia osobowości właścicieli, tak naprawdę zdradzają coś znacznie bardziej interesującego – sprzeczności, które w każdym z nas drzemią. Prudence utrzymywała swoje mieszkanie w idealnym porządku, w samochodzie jednak stawała się kimś zupełnie innym – kobietą wyzwoloną i potężną, całkowicie panującą nad tym, dokąd zmierzała, co w normalnym życiu raczej jej się nie udawało. Szybko też jeździła – szybko i pewnie. Mimo to wyglądała na osobę, która po Londynie porusza się na rowerze z koszykiem pełnym kitekatów. Co również jej się zdarzało.

Stephen był dyrektorem wydawniczym. Miał żonę, Holenderkę o imieniu Kaatya. Miał też dwóch synów. Jego romans z Prudence, w głównej mierze pozbawiony kontaktów fizycznych i uprawiany w porze przerwy na lunch, ciągnął się już od roku. Prudence nie należała do kobiet, które zakochują się w żonatych mężczyznach. Odkrycie, że zdolna jest do czegoś podobnego, okazało się jednym z najbardziej bolesnych przeżyć ostatnich dwunastu miesięcy. Jechała szybkim pasem autostrady M-40 i nastawiła kasetę z Brahmem głośniej. Dostała ją od Stephena dwa dni temu.

– Nasza pierwsza rocznica – powiedział, ujmując ją pod brodę i unosząc jej twarz ku sobie.

Wygrzebała papierosa i zapaliła go. Jako jedyna z siostr Hammond paliła, ale skrzętnie to ukrywała, powodowana resztkami dziecięcego strachu przed rodzicami. Z wyglądu nie przypominała palaczki; do pracy nosiła granatowe swetry, białe bluzki i buty na płaskim obcasie. Zdumiewała niektórych swoich autorów, gdy podczas lunchów, na które ich zapraszała, zapalała papierosa. Paliła, popełniała cudzołóstwo. Przyszło jej do głowy, że nikt z nas nie jest tym, na kogo wygląda. Wystarczy tylko dokładniej się przyjrzeć i rozpadamy się jak druk w gazecie, który – gdy spojrzeć na niego z bliska – okazuje się zbiorem maleńkich czarnych punkcików. Jak można zaufać słowu, skoro jest tylko zbiorem kropeczek? A mimo

to jej życie polegało na pracy ze słowami, musiała więc im wierzyć.

Bywały chwile, gdy nabierała przekonania, że istniała tylko w oczekiwaniach, jakie inni mieli wobec niej. Na przykład kiedy była jeszcze dzieckiem, jej rodzice z kropeczek stworzyli Prudence, miłą, opanowaną siostrę, średnie dziecko, kujona. Kropeczki zbiły się w całość i tak powstała osobowość Prudence. Ona jednak wiedziała swoje. Wiedziała, że przemieszczała zbiór atomów, starając się wprowadzić w ich chaos jakiś porządek. Stephen niczego nie podejrzewał, podobnie jak jej siostry. Prawdę znał tylko jej kot; zdradzały to jego oczy.

Front Starego Probostwa oplatały pędy wistarii. Posadzono ją wiele lat temu, zanim jeszcze zawitali tu Robert i Louise. Jej grube gałęzie pięły się po ścianach jak splecione w miłosnym uścisku kończyny; ich małżeństwo trwało tak długo, że nikomu nie udało się ich rozdzielić, nawet gdyby spróbował. Na prawo od probostwa wznosił się kościół St Bartholomew. Na przylegam do niego cmentarzu w ciszy cisowych drzew wznosiły się kamienie nagrobne. Nachylały się to w jedną, to w drugą stronę, jakby poruszane oddechem Boga. W zależności od nastroju obserwatora, stary ceglany dom i wiekowe miejsce pochówku mówiły, że miłość trwa niezmiennie bądź też, że wręcz przeciwnie, przemija.

Słyszac nadjeżdżające samochody, Louise wyszła przed drzwi. Później, po upływie wielu miesięcy, nieraz wspominała tę chwilę. Tuż przed nią liść wistarii spiralnym lotem osiadł na pokrytym żwirem podjeździe. Spojrzała w górę, na splątane gałęzie. Czyżby zapowiedź jakiegoś nieszczęścia? Liście już obumierały, a normalnie nie opadały wcześniej niż w październiku.

Była za pięć pierwsza. Nadjechały samochody – najpierw combi rodziców, a tuż za nim BMW Roberta. Zatrzymały się na podjeździe. W tej samej chwili w uliczce pojawiło się auto Prudence i minęło bramę wjazdową. Louise wybiegła im na spotkanie.

– Witaj! – zawołała matka. – Przyjechaliśmy wszyscy naraz.

– Fajnie, że niektórym się to udaje. – Robert posłał żonie uśmiech. – Żartowałem.

Uściskał dłoń Gordonowi i ucałował teściową.

– Powiniennem rzucić okiem na tę rynnę. – Gordon wskazał na dom.

– Gordon – powiedziała ostrzegawczo Dorothy.

– Chcesz się tym zająć w czasie, kiedy my będziemy jedli lunch? – zażartował Robert z uśmiechem.

– Nie mów tak, kochany – przestraszyła się Dorothy. – Jeszcze potraktuje to poważnie.

– Jeden z moich chłopaków mieszka tu niedaleko. Każę mu zajrzeć...

– Daj spokój – przerwał mu Robert.

Niósł dwie torby z Tesco. Niedawno otwarto nowy supermarket kilka kilometrów stąd. Chociaż Robert miał kupić tylko parę cytryn, nie udało mu się tego załatwić w miejscowym sklepiku, który w niedziele otwarty był krótko. Pojechał więc do Tesco, ucieszony, że nie tylko robi, co do niego należy, ale jeszcze przy okazji unika pomagania w przygotowaniach lunchu. Znalazłszy się w supermarkecie, nie mógł się oprzeć pokusie kupowania – należał do mężczyzn rzadko odmawiających sobie tego, na co właśnie mieli ochotę. Skusił się na egzotyczne, kosmate owoce z Penang i tak doskonałą oliwę z oliwek, że prawie musiał ponownie obciążyć hipotekę domu, by sobie na nią pozwolić. Potem udał się do działu win,

gdzie wpadły mu w oko różne tajemnicze wina z Nowej Zelandii. Jak to możliwe, żeby taki nudny kraj produkował tak interesujące wina? Być może, kiedy skończyli już polerować swoje vauxhalle i rozwiązywać krzyżówki, nic lepszego nie pozostawało im do roboty. Na chwilę zatrzymał się przy stoisku z prasą, gdzie przejrzał niedzielne brukowce, napawając się widokiem kobiecych piersi i katastrofalnym życiem szczęściarzy, do których los się uśmiechnął, gdy obstawiali totka.

Robert wraz z teściami wszedł do domu. Louise została z tyłu z Prudence. Przyjrzała się jej zaczerwienionym oczom.

– Dobrze się czujesz?

– To wszystko przez Brahmsa – odparła Prudence.

– Tylko?

Louise nie znosiła, gdy Prudence płakała; tak rzadko jej się to zdarzało. Na Prudence można było polegać, była na każde zawołanie. Problem w tym, że nie tylko ona tak uważała.

– Jak ci się układa z... no wiesz z kim? – spytała Louise.

– Bez zmian.

– Pewnie dlatego tak wyglądasz. – Razem zbliżyły się do drzwi. – Słuchaj, nie chcę gadać jak starsza siostra, ale czy nie powinnaś...

– Nie.

Louise spojrzała w głąb holu. Wyłożona kafelkami podłoga lśniła w słońcu, które padało także na zad Monty'ego, machaniem ogona witającego gości. Strzelił korek z szampana, rozległ się śmiech Imogen.

Louise stała, spoglądając na to wszystko oczami siostry. Zalała ją fala nienawiści do Stephena, mężczyzny, którego nie widziała na oczy, Prudence bowiem nigdy go jej nie przedstawiła, a rodzice „nie mieli nawet pojęcia o jego istnieniu. Naturalnie trudno winić za to wyłącznie Stephena, ale łatwiej obarczać odpowiedzialnością kogoś, kogo się nie zna, zwłaszcza jeżeli przez niego własna siostra wyrażnie cierpi.

Jadalnia była kwadratowa, o raczej męskim wystroju. Francuskie okna wychodziły na ciepłą, w której zalane słonecznym blaskiem pyszniło się krwistoczerwone geranium. Kominek był marmurowy, na ścianie wisiał zegar po dziadku, a centralne miejsce zajmował ogromny mahoniowy stół, spadek po jednym z wujów Roberta. Lunch rozpoczął się od salami i karczochów, ulubionej przystawki Imogen. Robert dolał wszystkim szampana. Był nadzwyczaj gościnnym gospodarzem; widać było, że dobrze się czuje w tym pokoju, częstując winem i gawędząc swobodnie, mężczyzna zadowolony z siebie i swojej własności. Dzisiaj miał na sobie jedwabną koszulę w paski od Tumbulla i Assera oraz śliwkowy krawat. Wyglądał dokładnie na tego, kim był: cudowne dziecko City, rozkoszujące się swobodną atmosferą weekendu.

– Jak ci leci, Pru? – zapytał. – Co tam na arenie literackiej? Odkryłaś jakiegoś geniusza?

– Właśnie pracuję nad książką *Moje ulubione przepisy na kuchenkę mikrofalową*. Jej autorem jest dziennikarz, jak mu tam.

– Aha, a tak naprawdę tyją napisałaś. Dlaczego w końcu im nie powiesz? Ja bym tak zrobił.

Prudence wzruszyła ramionami. Pochlebstwa Roberta nie robiły na niej wrażenia, podobnie jak on sam. Miał przystojną, wilczą twarz i gęste, czarne włosy. Wzrostu był raczej niskiego – zawsze ją zdumiewało, że Louise jest od niego wyższa. Jako dziecko przechodził gruźlicę i miesiącami leżał w łóżku. Być może dlatego nie urósł. Jak wielu niskich mężczyzn miał w sobie niespożytą wolę walki. Grał w tenisa w londyńskim klubie, roznosząc na korcie kupców – koniowalów, jak się o nich wyrażał, czym później chełpił się przed Louise. Był bardzo mocno owłosiony – całe ręce pokrywały mu gęste, ciemne włosy – co Prudence napawało obrzydzeniem, ale i fascynowało jednocześnie. Wyobrażała go sobie w łóżku z Louise, oblapiającego ją jak małpa. Gdy mówił ktoś inny, jemu cały czas pracowały mięśnie szczęk. Był w nim jakiś nieustanny niepokój, niecierpliwość, która ją bawiła. Prudence w swojej kwiecistej sukience czuła się przy nim jak dyrektorka szkoły.

Jamie odziedziczył ten niepokój po ojcu. Rozmawiając z babcią, nie przestawał huścić nogą pod stołem.

- Jak zamierzasz spędzić ten rok, zanim pójdziesz na uniwersytet? – spytała Dorothy.
- Poszukam jakiejś pracy.
- Z twoimi ocenami nie powinieneś mieć z tym kłopotu.
- Ale nie tutaj.

Jamie nudził się na wsi; przestała mu wystarczać. Czasy zbierania żab miał już dawno za sobą i chociaż niekiedy jeszcze spotykał się z miejscową młodzieżą na przystanku autobusowym, uważał ich za prostaków. Jak większość dorastających chłopców, niechętnie uczestniczył w rodzinnych spotkaniach, podczas których całą swoją postawą dawał do zrozumienia, że raczej wolałby robić tysiąc innych rzeczy. Pytanie tylko: jakich?

Weszła Louise, niosąc półmisek z nadziewanym ziołami łososiem.

- Patrzcie tylko! – wykrzyknął jej ojciec. – Czy jest coś, czego ta dziewczyna nie potrafi zrobić?
- Kobieta, tato – poprawiła go Louise. – Mam czterdzieści dwa lata.
- Poproszę o chwilę ciszy. – Gordon zastukał widelcem. – Przyjrzyjmy się temu arcydziełu.

W takich sytuacjach Gordon zazwyczaj się rumienił i stawał się jowialny. Córkę wprawiało to w zakłopotanie, a dzieci rozśmieszało, choć na ogół w niewielu sprawach się zgadzały. Louise ukroiła kawałek łososia. Gordon uniósł kieliszek w stronę Imogen.

– Za naszą jubilatkę. Wszystkiego najlepszego, szesnastolatko! Prędzej dzięki tobie będę miał prawnuki, niż twoje ciotki dadzą mi kolejne wnuki, chyba że wreszcie wezmą się do roboty.

Zapadła cisza. Louise rzuciła spłoszone spojrzenie na Prudence, po czym roześmiała się trochę sztucznie.

– Myślałam, że zaczęła mi się już menopauza, ale okazało się, że przez cały okres nie wyjęłam po prostu wkładki.

Prudence parsknęła śmiechem. Dorothy nerwowo pokazała na młodzież.

- Louise!
- Trochę ziemniaków? – Robert zwrócił się do teścia. – Jak tam się kręci interes?



– Harujemy jak woły – odparł Gordon.

– Wolałabym, żeby trochę sobie odpuścił. Skacze po całym Londynie, jakby miał dwadzieścia lat. Nie dociera do niego, że nie jest już pierwszej młodości – Dorothy zwróciła się do Louise. – Ty mu powiedz. Mnie nie posłucha.

– Nigdy cię nie słuchał – zauważyła Louise.

– A co to niby ma znaczyć? – zdenerwował się jej ojciec.

– Nigdy nie słuchałeś mamy – włączyła się do wymiany zdań Prudence.

– Ohoho, znowu wszystkie przeciwko mnie – powiedział Gordon do Roberta. – Jak zwykle.

U drzwi rozległ się dzwonek.

– Psiakrew – zezłościła się Louise. – Nieważne kto to, odeślij go do wszystkich diabłów.

Robert wyszedł z jadalni. Z holu dobiegł ich szmer rozmowy, a głos Roberta zdradzał zdumienie. Rozległ się stukot i szuranie przesuwanego po podłodze bagażu.

Weszła kobieta. Chociaż skończyła już trzydzieści siedem lat, wyglądała na znacznie młodszą. Miała rozsądną, opaloną twarz, bez śladu makijażu. Ubrana była w dżinsy i podkoszulek. Gdy przekroczyła próg jadalni, stanęła osłupiała, jak ktoś, kto z ciemności wszedł w oślepiający blask fleszy.

– Ciocia Maddy! – wrzasnęła Imogen.

Widelce ze szczękiem opadły na talerze. Siostry podbiegły, by uściskać nowo przybyłą.

– Kiedy przyjechałaś?

– Jadę prosto z lotniska.

– Dlaczego nie dałaś nam znać? – spytała Louise.

– Nic ci nie jest, kochanie? – dopytywała się troskliwie Dorothy. – Strasznie schudłaś.

– Superopalenizna. – Jamie wyszczerzył do ciotki zęby w uśmiechu.

– Wyjechalibyśmy po ciebie na lotnisko – protestowała Louise.

– Zawsze robiła, co chciała – odezwał się jej ojciec. Maddy popatrzyła na dzieci.

– Ale jesteście wielcy! – Upłynęły cztery lata, odkąd widziała ich po raz ostatni.

Robert przysunął do stołu dodatkowe krzesło. Maddy, która nigdy nie lubiła pocałunków i wzdragała się przed wszelkimi objawami czułości, zwróciła się burkliwie do Imogen:

– Wszystkiego najlepszego. Widzisz? Zdążyłam w samą porę. – Rozejrzała się dookoła. – Nie wiedziałam, że spotkam tu wszystkich.

– Czy mamy w takim razie iść do domu? – zapytał jej ojciec.

– Gordon. – Dorothy posłała mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Mogłaby przynajmniej coś napisać – powiedział. – Chociaż raz.

Louise podała siostrze talerz z jedzeniem i szklankę pomarańczowego soku – Maddy nie piła alkoholu. Zasypali ją pytaniami: Dlaczego postanowiła wrócić do Anglii? Jak długo zamierza zostać?

– Nie wiem – odparła Maddy. – Po prostu chciałam przyjechać do domu.

Maddy pracowała dla organizacji charytatywnej w Nigerii. W jakiejś zabitej dechami wsi pomagała wiercić studnie i uczyła tamtejsze kobiety czytać. Listy od niej przychodziły nader rzadko i rodzina miała niejasne pojęcie o jej życiu. Jak wszyscy dopiero co powracający z

dłuższego pobytu za granicą, nie bardzo wiedziała, od czego zacząć. Innym tego rodzaju odczucia były znane, a jednocześnie zbyt niepojęte, by ją zrozumieć. Poza tym nie należała do osób specjalnie rozmownych i nie najlepiej czuła się w obecności rodziców. Przez długie lata mieszkała w miejscach dla rodziny niewyobrażalnych, była więc wdzięczna siostrze, że nie są za bardzo dociekliwe. Za jakiś czas na pewno wyjaśni im więcej. Musiała zatrzymać coś dla siebie, bo inaczej rodzina pochłonęłaby ją całkowicie. Głównie z tego powodu zdecydowała się na wyjazd.

Wszyscy na nią patrzyli. Dorothy miała rację – Maddy bardzo schudła. Rysy twarzy wyostrzyły się; ramiona miała muskularne.

Choć trudno było nazwać ją piękną, młodzież spoglądała na nią z zachwytem – przecież wczoraj piekła się w afrykańskim słońcu.

Maddy nie miała apetytu. Wciąż jeszcze żyła w innej strefie czasowej, a poza tym najadła się w samolocie. Wstała i wyjęła z torby drewniany przedmiot. Wręczyła go Imogen.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

– Rany – westchnęła Imogen. – Co to takiego?

– Laska płodności Ibo. Imogen zaniemówiła.

– Wow.

Robert wybuchnął śmiechem.

– Jeśli cię nie zerzną, możesz ich przynajmniej spałować na śmierć.

– Pomyślałam, że możesz sobie zrobić z tego lampę albo coś w tym stylu – powiedziała Maddy.

– Dziękuję, ciociu.

– Nie mów do mnie ciociu – zaprotestowała Maddy. – To brzmi tak...

– Ciotkowato – zgodziła się Prudence.

– Jedz. – Louise wskazała na łososa. Gordon spojrzał na talerz Maddy.

– Założę się, że nie dojadłaś u tych czarnuchów.

– Tato! – Prudence i Louise wykrzyknęły jednocześnie.

– Przecież tylko żartuję. – Gordon wznosił ręce w obronnym geście. – Sam jednego zatrudniam. Chłopak pierwsza klasa...

– Na miłość boską – jęknęła Maddy.

– ... bardzo pogodnego usposobienia.

– Jak widzę, nic się nie zmieniło – powiedziała Maddy.

– ... i ma doskonałe wyczucie rytmu – dokończył Gordon.

– Mamo, czy możesz kazać mu przestać? – spytała Maddy i zwróciła się do ojca. – Wszyscy jesteśmy istotami ludzkimi, Gordonie...

– Aha, więc teraz jestem Gordon, tak? Tato już ci się nie podoba?

– Wiesz, na czym polega twój problem? – ciągnęła Maddy. – Jesteś ignorantem i boisz się...

– Przecież on cię tylko podpuszcza. – Louise próbowała załagodzić sytuację.

– Zapomniałem, że policja ideologiczna wróciła – powiedział Gordon. – Muszę uważać, co mówię...

– Każdy, kto jest choć trochę inny od ciebie...

– Jezu, Maddy! – Robert podniósł głos. – Są urodziny Imoi gen. Możemy odłożyć na później wykład o stosunkach rasowych?

Zapadła cisza. Mieli wrażenie, że siedzą wśród opadających szczątków i pyłu po gwałtownym wybuchu bomby. Zegar pradziadka wybił trzecią.

– Przepraszam – zwróciła się Maddy do Imogen. – Naprawdę bardzo cię przepraszam.

– Nic się nie stało – odparła Imogen. – Zachowaliście się jak tata i mama.

– Słucham? – spytał Robert.

– Zawsze się kłóć. – Teraz Imogen patrzyła na ojca. – Jesteś okropnym rasistą.

– Nieprawda!

– I seksistą – dodał Jamie. – Kiedy w telewizji była Janet Jackson...

– To nie był rasizm – obruszył się Robert. – Tylko żądza.

– Zamknijcie się, wszyscy! – krzyknęła Louise.

Znowu zapadło milczenie. W ciszy usłyszeli nadjeżdżającą ciężarówkę.

Konie mają w sobie coś, co człowieka uspokaja. Ten był szarą kłaczą, niewypowiedzianie piękną. Strzygła uszami i spoglądała na nich wilgotnymi, brązowymi ślepiami. Czy naprawdę jest tak inteligentna, na jaką wygląda? Wysoka była na półtora metra – wzrost idealny; nieco wyższa od kucyka, jednym słowem – koń w sam raz, ani za duży, ani za mały. Miała sześć lat i była nakrapiana jak konik na biegunach, choć z wiekiem na pewno zrobi się jaśniejsza.

Ciężarówka odjechała. Koń stał na żwirze i gdy wdychał woń nowego domu, jego nozdrza otwierały się jak morskie anemony. Louise trzymała ją za uzdę. Wyciągnęła rękę i pogładziła kłaczą po delikatnym jak aksamit pysku.

– Gdzie ją zaprowadzimy? – spytała. . – Do kuchni – podsunęła Maddy.

– Co? Robert dostanie zawału. . – Mówisz jak siusiumajtka.

Louise parsknęła śmiechem. Nagle zapomnieli o minionych latach i na dźwięk tego słowa zaczęły chichotać jak podlotki. Reszta czekała w jadalni.

– Co się stało? – dobiegł z niej okrzyk Roberta.

– Czekajcie! Jeszcze nie wchodźcie! – odkrzyknęła Louise przez kuchenne drzwi.

– Nie jesteśmy gotowe! – zawtórowała jej Prudence.

– Rzeczywiście nic się nie zmieniło – uśmiechnęła się ich matka.

– Nagły regres – stwierdził Robert. – Najlepszy dowód, jak dojrzałość potrafi być złudna.

Kiedy są razem, zawsze się tak zachowują. – Zastukał w drzwi. – Co wy tam, do diabła, wyrabiacie?!

Nagle usłyszeli przytłumione rzenie konia. Wszyscy aż podskoczyli. Louise otworzyła drzwi.

Kuchnia była ogromna. Na jej środku stał koń, z czerwonymi wstążkami wplecionymi w grzywę i ogon.

– Wszystkiego najlepszego, kochanie – powiedziała Louise. – Ona nazywa się Skylark.

Imogen jak w transie podeszła do konia. Matka wręczyła jej uzdę. Przez chwilę dziewczyna nie mogła dobyć głosu.

– Ona jest najpiękniejszą... najbardziej... Och, mamoo... tato... – Nie była w stanie oderwać

od klaczy wzroku. Jej oczy wypełniły się łzami szczęścia. I w tej właśnie chwili dały się słyszeć miękkie pacnięcia.

– Jezu, fuj – jęknął Jamie.

– Jej pierwsza kupa – powiedziała zachwycona Imogen.

– Może ją zabalsamujesz? – zapytał Robert. – Louise, naprawdę uważam...

– Zaraz wszystko posprzątamy – weszła mu w słowo Prudence.

Imogen objęła konia za szyję. Wtuliła twarz w sierść, rozkoszując się jego zapachem.

– Miłość od pierwszego wejrzenia – powiedział Gordon.

– Spokojnie. Jeszcze chwila, a będziemy musieli dzwonić na Koński Telefon Zaufania – stwierdził Robert i wyszedł po aparat fotograficzny.

Imogen uniosła twarz. Była wprost rozpromieniona.

– To najcudowniejszy dzień w moim życiu.

Strzeliła migawka. Uwieczniona została chwila najczystszej szczęścia – jak niczym nie skażony kryształ radości. Jeszcze długo potem Louise, czując zapach końskich odchodów, miała ją przed oczami. W końcu oprawiła zdjęcie i ustawiła w swojej sypialni. Gdy życie ich wszystkich zmieniło się nie do poznania, spoglądała na nie, a ból niczym sztylet przesywał jej serce.

Stojąca nieco z boku Maddy czuła się dziwnie skołowana. Dopiero co się kłócili, a teraz śmiali się radośnie. Zapomniała już, jak zwariowane i skomplikowane potrafi być życie rodzinne. Miała wrażenie, że jest patyczkiemmiotanym na wszystkie strony przez nurt strumienia. Odwykła od tego i nie pamiętała, jak radzić sobie w takich chwilach. Jakże spokojnie żyło jej się za granicą, mimo że przebywała w rejonie dotkniętym wojną. Całe lata spędziła wśród ludzi, z którymi nie była spokrewniona, gdzie musiała przestrzegać pewnych zasad. Większość z napotykanym osób nawet nie znała jej języka. Poza Nigeryjczykami jej najbliższymi kolegami byli francuski doktor i szwedzki kierownik. Przyglądała się sprzątającej odchody Louise. Rodzinna bliskość zaatakowała ją tak gwałtownie, że zapagnęła wczłgać się do jakiegoś ciemnego kąta i skryć się w nim z kołdrą naciągniętą na głowę.

Serce Gordona pęczniało z dumy. Imogen wyprowadziła konia na dwór. Przez okno przyglądał się, jak ze swobodą siodła Skylark. Jego wnuczka potrafiła założyć uprzęż, ze znanstwem mówiła o pęcinach i ujeżdżalniach. Słońce zalewało łagodnym blaskiem żółte kuchenne meble. A on, w jesieni swego życia, stał tu, otoczony owocami swych lędźwi. Przez ponad czterdzieści lat harował od świtu do nocy, by dożyć takiej chwili. Warto było na nią czekać.

Serce zabiło mu gwałtownie. Ramię szarpnął rwący ból. Usiadł ciężko na krześle.

Dorothy spojrzała na niego zaniepokojona.

– Co się stało, kochany?

– Nic.

Gordon odetchnął głęboko – z trudem kilka razy wciągnął powietrze. Wtedy pomyślał po prostu, że to duma rozsadza mu serce.

Trzy siostry siedziały na trawniku, zajadając urodzinowy tort. Słońce zachodziło, a nad kościelną wieżą zbierały się chmury. Na końcu ogrodu były warzywne grządki otoczone

palikami, po których pięły się pędy fasoli. Za nimi rozciągał się padok. Kraźyla po nim Imogen na swoim koniu. Nad kamiennym murem, obok którego przejeżdżała, wznosił się i opadał jej toczek. Miała na sobie frak do konnej jazdy, prezent od dziadków.

O dom stała oparta drabina, a na niej Gordon zajęty naprawianiem czegoś. Nigdy nie potrafił usiedzieć bezczynnie. Przy drabinie z kolei stała Dorothy, od czasu do czasu podając mu jakieś narzędzie.

Maddy leżała na plecach, zapatrzona w płynące po niebie chmury.

– Przepraszam was. Już zapomniałam, jak to jest.

– Wszystko przez to, że całe dni przebywasz wśród tych dzikusów – powiedziała Louise. Prudence przysłuchiwała się gwizdaniu ojca.

– On się już nigdy w życiu nie zmieni.

– Ona też nie. Prudence oblizwała palce.

– Ciekawe, co by się stało, gdyby nagle wydarzyło się coś, co by nimi naprawdę wstrząsnęło?

– Ale się nie wydarzy. – Leżąc na plecach Louise zwróciła się w stronę Maddy. – Gdzie będziesz mieszkać?

– Wynajmuję od kogoś.

Siostry nie znały prawie żadnych jej przyjaciół. Maddy nie należała do szczególnie towarzyskich osób; ani Pru, ani Louise nie pamiętały, żeby kiedykolwiek urządziła jakieś przyjęcie. Nawet jeśli, one nie zostały zaproszone. Z tego, co wiedziały, znajomi Maddy zawsze udzielali się w jakiejś słusznej sprawie, a to wywoływało w nich poczucie winy.

– Co tam w pracy? – zapytała Maddy.

– Na wiosnę nas przejmują – odparła Pru. – Może nawet ci o tym pisałam. Wielka niemiecka firma medialna. – Nie wymieniła nazwy, żadnej z siostr i tak nic by ona nie powiedziała. – Mają nas przenieść do jakiegoś koszmarnego budynku przy rzece. W tej chwili liczą się tylko księgowi, mówi się wyłącznie o ostatecznym wyniku finansowym. Wszyscy trochę się denerwujemy. – Położyła się i przymknęła oczy. – Mmm, ależ tu jest spokojnie.

– Wszyscy to mówią – powiedziała Louise. – Przyjeżdżają tu z Londynu i parkują jak w garażu. Robert też. A następnego dnia rano ucieka stąd jak oparzony.

– Przecież zawsze chciał mieszkać na wsi, prawda? – zauważyła Maddy.

– Dlatego, że prawie nigdy go tu nie ma.

Trzy kobiety leżały na trawie. Słońce skryło się za wielką chmurą.

– Jak wam się układa? – spytała Prudence.

– Dobrze – odpowiedziała Louise. – Tylko że...

– Co?

– Nic. Wszystko jest w porządku.

Jej siostry milczały. Stare małżeństwo, jak dobrze broniona twierdza, jest dla innych niedostępne, nawet dla sióstr. Izoluje małżonków od zewnętrznego świata. Dopiero gdy zaczynają się kłopoty, kurtyna na moment się odsłania, przez chwilę ukazując innym zdumiewający dramat, który latami rozgrywał się na jego scenie. Wówczas mogą wkroczyć, służąc radą i ukojeniem: „Szczerze mówiąc, nigdy go nie lubiłam” lub „Zawsze uważałam, że

jest samolubna”. A wtedy mogą być dwa scenariusze: albo małżeństwo rozpadnie się na dobre, wyciągając na światło dzienne wszystkie swoje sekrety, albo też para jakoś się dogada. Kurtyna opada i wszyscy, którzy udzielali dobrych rad, czują się jak głupcy, zwłaszcza gdy mówili szczerze. Słowa krępująco wiszą w powietrzu, choć wszyscy udają, że nigdy nie zostały wypowiedziane.

Prudence była kobietą dyskretną i nie lubiła wtrącać się w cudze sprawy. Poza tym nigdy dotąd nie mieszkała z mężczyzną i uważała, że brak doświadczenia w tych sprawach nie dawał jej prawa do udzielania rad. Maddy z kolei niewiele to obchodziło. Obróciła się na bok i przycisnęła ucho do ziemi. Słyszała nikłe, rytmiczne uderzenia końskich kopyt dochodzące z padoku. To przypomniało jej wioskę, w której mieszkała. Starzy ludzie pamiętali jeszcze, jak ich ojcowie przesyłali wiadomości przez tysiące mil buszu, uderzając kijami o ziemię. Jakże prostym i skutecznym sposobem porozumiewania się była ta metoda. O ileż lepsza od słów, zdradliwych i wieloznacznych. Maddy uważała, że gdyby ludzie porozumiewali się za pomocą stuków, świat byłby o wiele lepszy.

– Imogen mówi, że nigdy nie wyjdzie za mąż – odezwała się Louise.

– Nie martw się, na pewno wyjdzie – uspokoiła ją automatycznie Prudence. Zaraz jednak pomyślała: a niby dlaczego? Chcemy, żeby wszyscy się pobierali, bo wierzymy, że to im pomoże. Zostaliśmy wychowani w przekonaniu, że każda opowieść kończy się małżeństwem. W zasadzie wszystkie romanse, które publikowało jej wydawnictwo, opierały się na tym kłamstwie. I tylko ono dawało gwarancję sukcesu książki.

Pomyślała: pragnę poślubić Stephena bardziej niż czegokolwiek w życiu. Pragnę tego tak bardzo, że aż mi niedobrze.

Zrobiło się chłodno. Maddy weszła do domu po kurtkę. Wyrzała przez szybkę w drzwiach wejściowych. Na podjeździe Robert mył samochód. Obok niego stał pies i przyglądał mu się. Nagle Robert z łobuzerskim uśmiechem obrócił się i skierował strumień wody z węża prosto na zwierzę. Monty zaszczekał i uciekł. Maddy patrzyła, jak otrzepywał się w chmurze połyskujących kropelek. Gdy się odwracała, Robert ją zauważył. Uśmiechnął się.

Maddy spojrzała na niego ze złością. Jak on śmie? Gwałtownie wycofała się z jego pola widzenia. Z góry dobiegło ją dudnienie muzyki. Weszła po schodach i zapukała do drzwi Jamiego. Zawsze bardzo lubiła siostrzeńca i siostrzenicę. Prawdę powiedziawszy, wołała młodych od dorosłych.

Jamie przegrywał kasetę dla któregoś z kolegów.

– Mogę pożyczyć sweter? – spytała Maddy. – Umieram z zimna.

Otworzył komodę. W jego pokoju panował typowy młodzieżowy bałagan, ale Maddy nawet nie zwróciła na to uwagi; otoczenie jej nie interesowało, a życie w bałaganie wcale jej nie przeszkadzało. Nawet jeśli mieszkała na walizkach, nie stanowiło to żadnego problemu.

Jamie podał jej sweter.

– Afryka, to brzmi wspaniale. Chciałbym tam pojechać.

– Spodobałoby ci się. Chyba tobie jednemu z całej rodziny.

– Dlaczego wróciłaś?

Maddy wciągnęła sweter przez głowę i włożyła ręce w rękawy.

- Bo musiałam w końcu zacząć układać sobie życie.
- To czemu siedziałaś tam tak długo?
- Po prostu... nie pasowałam tutaj – powiedziała. – Anglia mi nie odpowiadała.
- Wiem, o co ci chodzi.
- To dlatego, że masz dopiero osiemnaście lat. W moim przypadku chodziło o coś więcej.
- Dlaczego?
- Ponieważ...

Przerwała. W oknie ukazała się głowa jej ojca. Pomachał do nich przez szybę i zaczął walić młotkiem w rynnę.

Gdy kocha się żonatego mężczyznę, widok cudzego życia rodzinnego jest trudny do zniesienia. O jego życiu prywatnym nie wolno nawet myśleć, lecz rodzinna sielanka innych budzi zbyt bolesne skojarzenia. Och, ta niewymuszona bliskość, uważana za coś zupełnie naturalnego przez tych, którzy jej doświadczają! Prudence starała się nie poddawać atmosferze domu siostry, na każdym kroku jednak na coś się natykała – karteluszek z notatkami na drzwiach lodówki, listy zakupów z rzeczami, których domagają się dzieci innych... Jak poszperać głębiej, znajdowało się świadectwa przeszłości, rzeczy należące niegdyś do małej Imogen i Jamiego, bez wątpienia takie same jak te, które zaśmiecały pokoje chłopców w domu Stephena – zapomniane rolki, zmasakrowane pudełka Cluedo. Prudence nie zazdrościła Louise jej małżeństwa – sama nigdy nie chciałaby być żoną Roberta – ale widząc ich sypialnię, współczuła sama sobie.

Poszła na górę w poszukiwaniu jakiegoś czasopisma. Louise nałogowo je czytała i miała nawet numer „Elle”, w którym zamieszczono wywiad z jednym z autorów Prudence. Sypialnia siostry i jej męża była dużym narożnikowym pokojem o ścianach w kolorze brzoskwiowym. Na krzesłach piętrzyły się stosy ubrań Louise i Roberta. Ten intymny chaos sprawił, że Prudence poczuła się jak intruz. Małżeńska sypialnia. Już sama nazwa brzmiała jak zakaz wstępu dla obcych. Sypialnia małżeńska z łazienką. Te słowa z kolei przywodziły na myśl namiętność rozgrywającą się za zamkniętymi drzwiami, częste zbliżenia i kąpiele. Prudence zajrzała przez drzwi do łazienki. Na uchwytach na ręczniki suszyły się jedwabne majtki i czarne pończochy. Robert lubił kupować Louise na urodziny powabną bieliznę. Nocny stolik siostry zarzucony był czasopismami, a Roberta ugiął się pod stosem książek w twardych oprawkach. Była wśród nich najnowsza powieść modnego amerykańskiego pisarza, opasłe tomisko zatytułowane *Grabież i obfitość. Nowy porządek świata*, W szufladach komody leżało pełno zdjęć z ich ślubu, zdjęć ich dzieci i fotografii robionych w czasie przyjęć dla przyjaciół, których Prudence nigdy nie poznała.

Gdy tak tam stała, na dworze zahuczał grzmot. Zaczęło padać. Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Na podjeździe zobaczyła obok BMW porzucony wąż. Robert siedział w samochodzie. Z miejsca, w którym stała, widziała jego nogi. Później przypomniała sobie, że przelotnie zdziwiło ją, iż chowa się przed deszczem w samochodzie. Gdyby bardziej się nad tym zastanowiła, dotarłoby do niej, że z łatwością mógł uciec do domu – przecież nikt, znajdując się parę metrów od drzwi do własnego domu, nie szuka schronienia w aucie.

Prawda była taka, że Robert dzwonił z samochodu. Pochylił głowę, jakby szukał czegoś

w schowku. Tego jednak Prudence nie widziała, a poza tym zbyt była zajęta analizowaniem własnego bolesnego i dalekiego od ideału życia uczuciowego, by zastanawiać się nad poczynaniami innych.

Jakiś czas później podwiozła Maddy do Londynu. Deszcz wciąż jeszcze padał. Światła nadjeżdżających z naprzeciwka samochodów rozplýwały się i zamazywały w rytmicznym ruchu wycieraczek. Siostry nie rozmawiały ze sobą. Dziwne, ale po tych trzech latach rozłąki nie miały sobie zbyt dużo do powiedzenia. Maddy podała Prudence adres mieszkania przy Tufnell Park, w którym zamierzała się zatrzymać. Gdy dotarły na miejsce, Prudence pomogła siostrze wyładować bagaże i zanieść pod drzwi.

Sama wróciła do siebie, do Clapham. Była ósma. W niedzielne wieczory odczuwała samotność spowodowaną nie tylko brakiem Stephena. W domach za zaciągniętymi zasłonami płóły światła. W pokojach na poddaszach widać było błękitną migającą poświatę telewizorów. Wszyscy na tym świecie są całkowicie samotni, także i ci, którzy wierzą, że mają towarzyszy. Wszyscy żyją samotnie, tak jak samotnie umrą. Mimo to Prudence czuła, że tylko ona jedna jest samotna naprawdę, a uczucie to ze szczególną siłą dopadało ją w niedzielne wieczory.

Dotarła na Titchmere Road, ulicę, przy której mieszkała, i zaparkowała samochód. Stały przy niej wiktoriańskie kamienice z czerwonej cegły o wywołujących wrażenie klaustrofobii fasadach, ale za to zaskakująco przestronnych wnętrzach, tak charakterystycznych dla Clapham. Ulica wykorzystywana było jako skrót z południowych przedmieść do City. Mimo różnych urządzeń hamujących ruch – zwężeń i zmuszających do wolniejszej jazdy garbów w poprzek jezdni – nie był on wcale mniejszy w godzinie szczytu. Prawdę mówiąc, stawał się przez to tylko bardziej niecierpliwy. Za dwanaście godzin Prudence także się do niego przyłączy; tylko tyle czasu dzieliło ją od ponownego spotkania z innymi przedstawicielami rasy ludzkiej.

Wspięła się na pierwsze piętro, gdzie mieściło się jej mieszkanie. Sąsiad z góry jak zwykle przeprowadzał swoje conocne generalne porządki, polegające chyba głównie na przesuwaniu po podłodze najcięższych mebli. Prudence nieraz wyobrażała sobie, że pan Witherall, nieśmiały stary kawaler, tak naprawdę był seryjnym mordercą i każdej nocy sprzątał krwawe dowody swoich zbrodni, chowając za szafą poćwiartowane szczątki.

Poszła do kuchni. Jej kot Cedric mrucząc, otarł się o jej nogi.

Dawno temu знаła mężczyznę, który pocierał jej policzek wierzchem zaciśniętej dłoni. Ożenił się i wyjechał do Vancouver. Na suszarce nad zlewem, w miejscu, w którym je tam rano zostawiła, stały umyta filiżanka i talerz po śniadaniu. Afrykańskie fiołki jak zwykle tkwiły w swoich doniczkach. W domu Prudence panowała atmosfera typowa dla mieszkań zajmowanych przez osoby samotne. Był czas, gdy sprawiało jej to przyjemność.

Przeszła do salonu i włączyła światło. Na stole czekał na nią stos manuskryptów. Zobaczyła tytuł leżącego na samym wierzchu: *Dojazd do pracy czy komputer. Życie zawodowe w drugim tysiącleciu*. Piętro wyżej coś z hukiem spadło. Pan Witherall ćwiartował swoją najnowszą ofiarę.

Na automatycznej sekretarce migotało światełko. Była jedna wiadomość i Prudence



włączyła przycisk, by ją odsłuchać.

Rozległ się głos Stephena: „Słuchaj, poszła z chłopcami na basen”. Mówił natarczywym tonem. „Zadzwoń do mnie, gdybyś wróciła przed piątą. Zaraz przyjadę. Będziemy mieli godzinkę. Och, kochanie... „

Prudence była kobietą metodyczną. Zanim zaczęła cokolwiek robić, przeszła przez pokój i zaciągnęła zasłony. Usiadła na oparciu fotela. Złapała się za brzuch. Z jej wnętrzości dobyło się głośnie burczenie. Dziwny to był dźwięk dochodzący z tak opanowanej osoby – jęk zranionego zwierzęcia.

## Rozdział drugi

Beveridge i Bunyan mieli swoją siedzibę w Bloomsbury od 1933 roku. Była to stara rodzinna firma, mimo że wszyscy Beveridge'owie dawno już powymierali i swoją obecność zaznaczali jedynie z zaświatów. Sama siedziba również wyglądała trochę jak nie z tego świata – składały się na nią dwa zniszczone budynki w stylu georgiańskim nieopodal British Museum, nawiedzane ponoć przez ducha osiemnastowiecznego poety o nie rozpoznanym geniuszu, który – podobnie jak Chatterton – zabił się na poddaszu tonącym w powodzi jego odrzuconych utworów. Dawniej ta część Londynu była centrum przemysłu wydawniczego. W każdym budynku mieściła się jakaś firma – Deutsch, Nelson, Hamish Hamilton. Za mahoniowymi biurkami zasiadali wydawcy starej szkoły, dżentelmeni słowa pisanego, okraszający swoje notatki łacińskimi cytatami, zapraszający autorów na epickie lunche do Bertorellego, których o czwartej trzydzieści można było zobaczyć, jak przez Bedford Square zmierzają do swoich klubów. Dzisiaj z tamtych czasów pozostał tylko duch. Oni sami wyginęli, a ich następcy poczynili fuzje, zostali wykupieni, zrjonalizowani i przeniesieni do postmodernistycznych budynków wyrastających na ziemi niczyjej, otoczonej siecią dróg dojazdowych i strzeżonych bram, usytuowanej w mało atrakcyjnej części Londynu, całe kilometry od Garnek.

Beveridge i Bunyan wytrwali dłużej niż inni. Przez lata opierali się zmianom i z uporem tkwili w Bloomsbury. Siedziba miała pewien przestarzały urok. Urzędował w niej biurowy kot. Redaktor naczelny działu religijnego nie chciał zrezygnować z maszyny do pisania. W holu, pod wyblakłym zdjęciem panów Beveridge'a i Bunyana, rezydowała recepcjonistka Muriel, matrona z bokobrodami pracująca tu od zawsze, ozdabiająca ściany swojego posterunku pocztówkami nadsyłanymi przez pracowników z wakacji. Obsługiwała centralkę telefoniczną i znała wszystkie plotki – na co kto cierpiał i jakie miał kłopoty z dziećmi. Właśnie Muriel pierwsza – dzięki bardzo tajemniczym telefonom z Frankfurtu do prezesa Arthura Bunyana – dowiedziała się o planach przejścia ich przez Unimedia.

Unimedia było zajmującym się środkami masowego przekazu imperium z siedzibą w Niemczech. Należały do niego gazety, stacje telewizyjne, wytwórnie papieru i firmy komputerowe zarówno w Europie, jak i w Stanach Zjednoczonych. Imperium to posiadało już też większość udziałów w innej grupie wydawniczej, co nastąpiło w wyniku korzystnej oferty przejścia złożonej na początku lat dziewięćdziesiątych. Od jakiegoś czasu jego przedstawiciele węszyli wokół Beveridge i Bunyan, gdyż mimo dystynkcji i pięknych manier, B&B wyrabiali całkiem niezłe zyski, głównie dzięki publikowaniu różnych pozycji prawniczych i książek do nauki języka angielskiego wykorzystywanych w szkołach krajów rozwijających się. Tak więc w kwietniu firma została kupiona i ostatni z panów Bunyan, zapalony amator wędkowania z muszką, przeszedł na zasłużoną emeryturę i zaszył się w swoim domu obok River Test.

Gdy to nastąpiło, firma obudziła się z długotrwałego letargu. W wyniku pierwszych redukcji i wcześniejszych emerytur odeszło paru najstarszych pracowników. Prudence

powitała to z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony odczuwała smutek, że odchodzą jej koledzy, a ich stanowiska bądź zostały połączone, bądź przejęte przez elegancików z korporacji, dla których książki były tylko jeszcze jednym towarem, z drugiej natomiast dodawało jej to animuszu i zapału do pracy. Dziedzictwo pochodzenia kazało jej się oburzać na system pracy reprezentowany przez wydawców starej daty. Przemysł wydawniczy aż się od nich roił; byli uprzywilejowani, protekcyjnalni, wyłącznie rodzaju męskiego, najlepsze stanowiska zatrzymywali dla siebie, kobietom zostawiając niższe, lub – jeśli dziewczyna była ładna – lokowali ją w dziale public relations, gdzie mogła się wykazać, czarując dziennikarzy podczas zakrapianych lunchów. Czy nie docierało do nich, że świat się zmieniał? Jeden z nich, poprzedni szef Prudence, chwalił się kiedyś, że „w kuchni swojej żony był tylko dwa razy, z czego raz, żeby ugasić pożar”. Jej nowy szef okazał się szorstkim Australijczykiem. Nazywał się Alan Watkins, zarzynał kawały, a na zebraniach kopał jak komin, uruchamiając alarm pożarowy. Podobnie jak jej ojciec, sam na wszystko zapracował, i chociaż nie pochwałała jego bezwzględności, uważała, że wprowadza ożywczą atmosferę.

Był poniedziałkowy ranek. Przeciwnie niż większość pracujących Brytyjczyków, Prudence nie mogła się doczekać nadejścia poniedziałku. Przez dwa dni – ciągnący się w nieskończoność weekend – nie widziała Stephena. Nie mogła do niego zadzwonić, on nie mógł zadzwonić do niej. Wczorajsza boleśnie frustrująca wiadomość nagrana na sekretarce była czymś wyjątkowym, zdarzającym się niezmiernie rzadko. Co tydzień kurtyna opadała. Stephen zamknięty był ze swoją rodziną w Dulwich, w domu, którego nigdy nie widziała i którego nawet nie usiłowała sobie wyobrazić.

Wiedziała, jak spędzał te dni. W sobotnie popołudnia grał w piłkę ze swoimi synami; jeździł do Sainsbury. Był mężem. To słowo narastało w niej jak guz. Mąż... okrągłe, gładkie słowo, opisujące mężczyznę, który do kogoś należał. Tłumaczyła sobie, że przecież to tylko zbiór liter, nagromadzenie punkcików, ale jakoś nie najlepiej jej to wychodziło. Jak wszyscy ludzie żyjący w związkach małżeńskich, z taką swobodą mówił o „nas”. „Musieliśmy iść na to nudne spotkanie mieszkańców. Marzyłem, żeby być z tobą”. Silił się na takt, starał się sprawiać wrażenie, że jego małżeństwo jest nieszczęśliwe. „Strasznie się pokłóciliśmy w niedzielę rano”. Chociaż tak bardzo chciał, by mu uwierzyła, to jego „my” boleśnie dźgało ją w serce. Niedzielne poranki... na śniadanie rogaliki do łóżka... prześcieradła skotłowane po nocnych miłosnych uniesieniach, chociaż niezmiennie twierdził, że już od dawna nie uprawia z żoną seksu.

O swojej żonie mówił ona; Prudence podobnie. Nigdy nie nazywali jej po imieniu. Te słowne uprzejmości żonatego mężczyzny w odniesieniu do kochanki przychodziły mu tak naturalnie, że nieraz się zastanawiała, czy przypadkiem nie ma już w tej dziedzinie jakiegoś doświadczenia. Zaprzeczał temu gorąco. Mówił, że do czasu, gdy spotkał Prudence, był wierny swojej żonie, ale nawet to ją raniło. „Wierny” było takim pięknym słowem. Sprawdziła jego znaczenie w słowniku. „Wiemy: dochowujący komuś, czemuś wiary, nie zdradzający kogoś; będący wyrazem, objawem oddania”. Jej zbolełe serce nie znajdowało pocieszenia nawet w stwierdzeniu: „skrupulatny w wypełnianiu obowiązków”.

Prudence zbliżała się do biura. Mimo szaleńczego ruchu na Museum Street powietrze

było świeże i przejrzyste. Nocny deszcz splukał z chodników oraz jezdni brud i pył. Za kilka minut zobaczy Stephena. Jej humor zdecydowanie się poprawił; ulica zdawała się tętnić optymizmem jak w filmie Franka Capry. Luigi, właściciel baru naprzeciwko, pchał wózek z kartonami soków owocowych. W sklepie z okultystycznymi książkami mieszczącym się na rogu kobieta polerowała mosiężną tablicę. Na chodniku przed Beveridge i Bunyan stała zaparkowana furgonetka firmy ogrodniczej. Na jej boku widniał napis Fox Gardening, a jakaś kobieta wyładowywała z niej rośliny.

Firma Beveridge i Bunyan zajmowała dwa sąsiadujące ze sobą budynki, wewnątrz połączone przejściem. Gabinet Prudence z oknem wychodzącym na ulicę znajdował się na parterze. Jej sekretarka Trish parzyła właśnie kawę. Trish była zadufaną w sobie dziewczyną o niezbyt skomplikowanej osobowości. Mieszkała ze ślamazarnym chłopakiem Donem, którego utrzymywała. Prudence podejrzewała, że Don jest gejem.

– I co, namówiłaś go na skoki na bungie? Trish pokręciła głową.

– Straszny z niego mięczak. A ty miałaś udany weekend?

– Byłam u siostry. Tej, która mieszka na wsi. – Prudence podejrzewała, zresztą słusznie, że według Trish żyje jak stara panna. – Przyjechała moja młodsza siostra z Nigerii.

– Chcesz ciasteczko? – Trish podsunęła jej herbatnika. Sama włożyła drugiego do ust i otworzyła terminarz. – Zebranie o dziesiątej, o dwunastej lunch z Elspeth Wilmslow. – Była to autorka pisząca książkę o technikach malarskich. Według Prudence napisano ich już aż nadto. – Mam zamówić stół w Piero's?

– Nie, w Groucho. Ona przyjeżdża aż z Huddersfield. Na pewno się ucieszy, jak wpadniemy na kogoś znanego.

Prudence popatrzyła na zalegający jej biurko stos manuskryptów. Była w połowie redagowania – de facto pisania od nowa – książki o przepisach na dania z makaronu. Pracowała też nad książką w stylu *Ginąca Anglia*, napisaną przez felietonistę z „Guardiana”, która mogłaby się nieźle sprzedać, gdyby jej wydanie zbiegło się ze zwycięstwem laburzystów w najbliższych wyborach. Choć z drugiej strony, wcale nie musiałyby się tak stać. Czasami miała wrażenie, że każda książka na świecie została już napisana z milion razy, a kolejne wydanie było tylko zwykłym wznowieniem, tyle że pod innym tytułem. Zbyt to jednak nie interesowało, przynajmniej nie w ten poniedziałkowy poranek, kiedy oczekiwała stuknięcia do drzwi.

Rozległo się stuknięcie. Obróciła się i ujrzała Stephena. Miał na sobie swoją zieloną sztruksową marynarkę. Prudence poczuła ucisk w dołku.

– Dzień dobry, dziewczyno. Czy Bill pokazał ci już projekty kart autorskich?

– Jeszcze nie. – Patrzyła na ubranie Stephena. Tak bardzo chciała kupić mu coś nowego, a nie mogła sprawić mu nawet pary skarpetek. – Chce się z nami widzieć o czwartej. – Zwróciła się do sekretarki. – Trish, kochanie, czy mogłabyś mi to skserować? – Dlaczego powiedziała do niej „kochanie”? Ponieważ Trish była w tej chwili częścią jej szczęścia.

Trish wyszła, nie podejrzewając niczego, ale też nie należała do osób szczególnie ciekawskich.

– Przepraszam – powiedział Stephen.

– To ja przepraszam.

Zamknął drzwi. Zbliżyli się do siebie i zderzyli, jednocześnie zahaczając o brzeg biurka. Po dwóch dniach niewidzenia zawsze czuli się w swojej obecności niezręcznie, zwłaszcza w zalanym dziennym światłem biurze. Weekendowa przerwa na powrót sprowadziła ich do poziomu zwykłej znajomości, oddaliła ją od niego. Zazwyczaj dopiero we wtorek wracała ich zażyłość. Prudence nieśmiało otarła swój policzek o jego. Pachniał wodą po goleniu, którą musiał dostać od żony. Miała wrażenie, że w poniedziałkowe ranki pachniał nią mocniej niż zwykle.

– Nie odważyłem się wyjść z domu na wypadek, gdybyś zadzwoniła – wyszeptał. – Siedziałem kołkiem przez całą godzinę. A potem oni wrócili, cali śmierdzący chlorem. – Odsunął się i dotknął jej włosów. – Ukochana moja, tak bardzo cię pragnąłem.

– Naprawdę? – Jeszcze nie zapaliła, chciała, by poczuł jej świeży oddech.

– Czy mam ci powiedzieć, czego najbardziej?

Zamarła. W oknie pojawiła się jakaś postać. To była ta ogrodniczka z furgonetki. Prudence odskoczyła gwałtownie i udała, że jest bardzo zajęta przeglądaniem poczty. Ale kobieta chyba nawet ich nie zauważyła. Przesadzała rośliny w skrzynce na oknie. Wyciągnęła z niej letnie kwiaty – białe geranium – i gdzieś je odrzuciła.

– Nie wytrzymam tego – powiedziała Prudence.

– Marzę, żeby przesunąć palcem po wewnętrznej stronie twojego uda – powiedział cicho Stephen, nie ruszając się zza biurka.

– A ja pragnę ssać twoje palce, po kolei...

– Chcę wziąć w usta twoją pierś... Pragnę wejść w ciebie, teraz...

Prudence drżącą ręką podniosła jakiś list.

– Chcę leżeć z tobą w łóżku i trzymać cię w ramionach przez całą noc... – przerwała, bo weszła Trish. – W takim razie do zobaczenia o czwartej, w biurze Alana.

– Czy mogłabyś przynieść mi budżet na książkę o bulimii? – spytał Stephen.

Wyszedł. Prudence ciężko osunęła się na obrotowe krzesło.

Stephen Miller był czarującym, czterdziestosześcioletnim, słabym mężczyzną. Kobiety zawsze go pociągały. Lubił z nimi rozmawiać, interesowało go to, o czym mówiły, szukał więc ich towarzystwa. W tym względzie nie był podobny do Anglików z jego sfery – wykształconych przedstawicieli wyższej klasy średniej. Kobiety odwzajemniały tę sympatię, chociaż trudno było go nazwać przystojnym mężczyzną. Rysy miał miękkie, wręcz pucołowate, włosy jasnoblond, a ręce pokryte piegami. Wyrażał się z lekko kpiącą nonszalancją, jakby tak naprawdę nic się nie liczyło, a życie było sprawą w zasadzie nużącą. Nosił muszki i sztruksowe marynarki, skończył Oksford. Oczytany, roztaczał wokół siebie aurę nieco roztrzepanego nauczyciela, co kobiety urzekało, czuły się bowiem w jego towarzystwie bezpiecznie. Był też romantyczny. Jeśli zapomniał o czyichś urodzinach, co zdarzało mu się notorycznie, ponieważ był zapominalski, następnego dnia rekompensował to ekstrawaganckim prezentem, ponieważ był ekstrawagancki. W karierze zawodowej nie raz ratowały go z opresji jego oddane asystentki – źle opłacane, świetnie wykształcone kobiety, które go kryły, biorąc całą winę na siebie. Nie miały do niego pretensji, ponieważ gorąco im

za to dziękował i w dowód wdzięczności zapraszał na lunch.

Stephen lubił lunch. W ich trakcie niezmiennie wypijał za dużo, rachunkiem obciążając naturalnie firmę, a potem przez resztę popołudnia sekretarka musiała go tłumaczyć przed interesantami, mówiąc, że jest na spotkaniu. Często spotyka się mężczyzn podobnych do Stephena, których wspierają niewidzialne kobiety. Dzieje się tak dlatego, że nawet pod koniec lat dziewięćdziesiątych nie brakuje kobiet skłonnych do takich poświęceń.

Prudence była inteligentna. Miłość nie uczyniła jej ślełą na słabości Stephena. Pracowała dla niego od trzech lat i zdarzało się, że ona także ratowała go z opresji. Był dyrektorem wydawniczym, odpowiedzialnym za dobór tytułów wydawnictwa w dziedzinie powieści, literatury dziecięcej i – tym zajmowała się Prudence – literatury popularnonaukowej. Dostał tę posadę dzięki smykałce i urokowi osobistemu; szczególnie dobrze szło mu podbieranie autorów innym wydawnictwom. Przyjaźnił się też blisko z rodziną Bunyanów; studiował z jednym z synów na uniwersytecie, gdzie razem występowali w kółku dramatycznym.

Kiedy jednak nastąpiły bezwzględne rządy nowych właścicieli, Prudence zaczęła się o niego obawiać. Ich nowy szef, Alan, miał zupełnie inne podejście niż poprzednicy. Chciał wiedzieć, czym się kto konkretnie zajmuje. Interesował się każdym najmniejszym szczegółem, nawet zużyciem paliwa w samochodach służbowych. Wzywał podwładnych na zebrania – właśnie na jednym z nich Stephen i Prudence mieli się stawić dzisiejszego popołudnia – i przyglądał im się bacznie zza zasłony papierosowego dymu, prosząc, by na bieżąco zdawali sprawozdania ze swoich poczynań. Właśnie o tym myślała Prudence, wychodząc z biura na lunch. Przypominała sobie też ostatni raz, gdy kochała się ze Stephenem – przez jedną krótką godzinę w jej mieszkaniu przed dziesięciu dniami. W zasadzie nie mógł wyrwać się z domu wieczorami bez wzbudzania podejrzeń. Ich miłosne schadzki ograniczały się najczęściej do pośpiesznych pieszczot w drzwiach bądź w jego samochodzie z zaparowanymi szybami, zupełnie jakby byli nastolatkami. Z tą różnicą, że młodzi mogą się tak zabawiać właściwie bez ograniczeń.

– Popelniamy pozbawione seksu cudzołóstwo – skarżyła mu się jakiś tydzień temu. – To jak pić piwo bezalkoholowe.

Wychodząc na ulicę, przypominała sobie dotyk jego języka na swoich włosach łonowych. Furgonetka firmy ogrodniczej wciąż jeszcze stała przed budynkiem. Spojrzała na nią czule, bo łączyła się z jej erotycznymi wspomnieniami. Opierała się o nią ogrodniczka i jadła samosę. Prudence uśmiechnęła się do niej. Widziała ją tu po raz pierwszy. Już miała przejść na drugą stronę ulicy, gdy kobieta zawołała:

– Hej, czy pani jest redaktorem? Prudence przystanęła.

– Skąd pani wie?

– Bo tak pani wygląda.

Prudence milczała. Nie bardzo wiedziała, co ma o tym myśleć.

– Proszę chwilę zaczekać. – Kobieta była wysoka i przykuwająca uwagę: w jej nosie połyskiwał kolczyk. Włosy miała schowane pod turbanem w stylu etnicznym. Przełknęła ostatni kęs samosy, wytarła ręce i sięgnęła po coś do furgonetki. Wyjęła upačkaną ziemią teczkę i wcisnęła ją Prudence do ręki.

– Może pani to przeczytać? – Zabrzmiało to raczej jak rozkaz niż pytanie.

– Co to jest?

– Moja powieść.

– Wielki Boże. – Teczka była ciężka. Przynajmniej czterysta stron. – Nie zajmuję się powieściami.

Kobieta zaśmiała się krótko.

– Jak się nad tym zastanowić, nic w naszym życiu nie jest powieścią, nie sądzi pani? Jak się chwilę nad tym zastanowić.

– Chciałam powiedzieć...

– Mój adres jest w środku.

Kobieta odeszła. Wsiadła do furgonetki, zatrzasnęła drzwiczki i włączyła silnik.

Dom w Purley nazywał się Pod Brzozami. Koniec ogrodu porośnięty był brzozowym laskiem. Srebrzystymi brzozami, których widok – smukłych, pełnych wdzięku, poddających się woli wiatru – zawsze przywodził Dorothy na myśl jej najstarszą córkę, Louise. Lasek niestety nie był zbyt gęsty, po prostu pasmo kilku drzewek. Oddzielał ogród od miejscowej szkoły podstawowej, zbiorowiska brzydkich, nowoczesnych budynków, które każdej jesieni, gdy liście opadały, stawały się aż nadto wyraźnie widoczne. W porze lunchu dobiegały stamtąd dzikie wrzaski. Uczniowie przedostawali się do lasku, wspinali na drzewa, znacząc swoją obecność śmieciami, a bywało, że i czymś znacznie gorszym. W zależności od pory roku drzewa stanowiły barierę bezpiecznie dzielącą dom od świata bądź sito, przez które wlewał się on do ogrodu. Czasem to Dorothy przeszkadzało. Kiedy indziej znów, gdy była w dobrym nastroju – wręcz przeciwnie. Zdarzały się dni, gdy z przyjemnością witała krzyki i śmiechy; wydawały się jej jedynymi oznakami życia w tej cichej, szacownej dzielnicy. Sprawiały radość, gdy wdzierały się nawet przez zamknięte okna do pustego, cichego domu.

Dom naturalnie nie opustoszał nagle, w jednej chwili. Jej córki wyprowadzały się z niego stopniowo. Całymi latami ich rzeczy pozostawały w pokojach; długo trwało, zanim znikły całkowicie. Aż nadeszła taka chwila, gdy nie zostało już nic. Dwadzieścia lat upłynęło od tamtego czasu, a dom bez nich wydał się nagle ogromny. Ich pokoje stały się po prostu sypialniami, gdzie czasami nocowali krewni. Bywało, że spały w nich wnuki. Ale dom przestał już być domem rodzinnym, a zamienił się w zwykły wielki dom, w którym oboje z Gordonem się obijali: Czasami jato denerwowało. Mówiła wtedy Gordonowi, że powinni się przenieść do czegoś mniejszego, bardziej dla nich dwojga odpowiedniego. On jednak nie chciał się nigdzie ruszać.

Poza tym byli zbyt zajęci, żeby myśleć o przeprowadzce. Na przykład teraz Gordon miał siedem zleceń, z czego jedno wymagało przebudowy centrum handlowego o powierzchni trzech tysięcy metrów kwadratowych, gdzieś w okolicach Elephant and Castle. Oprócz tego bez przerwy wzywali go stali klienci do konserwacji albo nagłych napraw. Na nogach był już o szóstej, z domu wychodził o siódmej. Jak to zwykle bywa z budowlańcami, w jego własnym domu wiele rzeczy czekało na wykończenie. Gdy dziewczynki były małe, cztery lata zajęło mu urządzenie kuchni. Bez przerwy Dorothy suszyła mu o to głowę, aż w końcu zagroziła, że odejdzie. Nie potraktował tego poważnie, ale też nigdy nie traktował poważnie

własnej żony. A ona, nie da się ukryć, nie odeszła. Wciąż tkwiła na posterunku.

Był poniedziałek, pora lunchu, i Dorothy siedziała w biurze, którego jedno okno wychodziło na podwórze, a drugie na ogród. Dorothy pisała na maszynie kosztorys nowego zlecenia. Na podwórzu dwóch pracowników ładowało na ciężarówkę gipsowe płyty. Jak burza wpadł do biura Gordon.

- Złotko, masz fakturę z Selwood Avenue?
- Odpisałam VAT – powiedziała, podając mu ją.
- Dzięki, kotku. – Schował papier do kieszeni. Dorothy włączyła czajnik.
- Wydawała się wczoraj taka cichutka.
- Kto?
- Prudence.
- Zawsze była cichą dziewczynką.
- Nie powinieneś mówić o nich dziewczynki.
- Dla mnie wciąż są dziewczynkami. Dorothy wzięła dwie torebki herbaty.
- A co sądzisz o Maddy? Zadzwoił telefon i Gordon go odebrał.
- Kendal Contractors...

Jego żona wyjrzała przez okno. W końcu ogrodu, na resztkę betonowej podmurówki, która była pozostałością garażu, od wielu już lat stała przyczepa kempingowa i cichutko sobie rdzewiała.

– ... w drewnie, powiada pan? – mówił Gordon do słuchawki. – Może wdał się grzyb, proszę powąchać...

Zza drzew słychać było wrzaski dzieci. Ich głosy przypomniały jej minione lata. Gdy przymknęła oczy, widziała swoje córki bawiące się w przyczepie w dom.

– ... czuć grzybem... niech pan wsunie nóż i zobaczy, czy gładko wchodzi... Jutro kogoś do pana przyślę...

Dorothy przypomniały się wakacje, gdy stali na piaszczystych wydmach niedaleko Hythe. Słyszała krzyk Maddy. Dlaczego ta Maddy wiecznie się złościła? Dorothy w żaden sposób nie potrafiła jej udobruchać.

Gordon odłożył słuchawkę.

- Wychodzę.
- Gordon! Masz tu kanapkę.

Ale jego już nie było. Został po nim tylko dopalający się w popielniczce papieros. Nigdy nie gasił ich porządnie.

Usłyszała szkolny dzwonek. Głosy stopniowo ucichły. Robotnicy z podwórza odjechali. Dorothy siedziała teraz w zupełnej ciszy. Wczoraj, po raz pierwszy od lat, widziała wszystkie swoje córki razem. Dziwne to było przeżycie. Och, cieszyła się naturalnie, że Maddy wróciła i że przynajmniej na krótko cała rodzina zebrała się w komplecie. Ale też sprawiło jej to ból. Okazało się, że w zasadzie wszystko jest jak dawniej. Maddy sprzeciwiająca się ojcu, dający się sprowokować Gordon. Spłoszona, jak zwykle w domu siostry Prudence, usiłująca załagodzić spór. A mimo to Dorothy miała wrażenie, że córki są jej obce. Gdy ujrzała je wszystkie razem, pojęła, jak niewiele wie o ich życiu – nawet o życiu Louise, z którą czuła się



najbardziej związana, bo łączyły je wnuki i podobne, domowe problemy. Rola Dorothy jako matki dawno już się skończyła. Niedługo też skończy się jej rola babki; Jamie i Imogen już jej nie potrzebowali.

Dorothy siedziała nad stertą faktur. Czy do tego to wszystko się sprowadza? Wychowuje się dzieci, prowadzi dom, pilnuje interesu, by na koniec zostać tylko z mężem, który i tak bez przerwy znika nie wiadomo gdzie.

Dorothy nie należała do kobiet, które się buntują. Wychowali ją surowi rodzice. Jej ojciec miał firmę holowniczą, matka zajmowała się domem. Dorothy poszła dokładnie w jej ślady, z tą różnicą, że jej udało się zarobić więcej pieniędzy. Nagle pozazdrościła córkom ich wolności. Nawet ich brak szczęścia wydał jej się przygodą, wyprawą na nieznane wody. Jej wnuki dorastały w świecie dla niej zupełnie niezrozumiałym. Przeżyła swoje życie na tej podmiejskiej ulicy, ze światem kontaktując się głównie za pośrednictwem chłopców z firmy, których traktowała jak własne dzieci, gdy w dzień wypłaty tłumnie schodzili się do biura, przynosząc opowieści o niewiernych dziewczynach i toczonych w sądzie bojach.

Spojrzała na przyczepę, firaneczki w oknach i odrapaną beżową karoserię. Nagle opanowała ją przemożna chęć, by wskoczyć za kierownicę i pojechać, gdzie oczy poniosą, byle dalej od tego miejsca. Do Chester. Albo Aberystwyth. Żeby coś jeszcze zobaczyć, zanim będzie za późno. Zacząć nowe życie i sprawdzić, czy ktoś to w ogóle zauważy.

Nie zrobiła tego, rzecz jasna, tylko marszcząc z obrzydzenia nos, zgasiła kopiącego się wciąż papierosa Gordona. Nagle przyszło jej do głowy, że przez wszystkie lata małżeństwa mąż ani razu nie zapytał, czy nie przeszkadza jej dym z papierosów.

– Jak się jest z żonatym mężczyzną – powiedziała Prudence – trzeba wykorzystywać każdą okazję i zawsze jest to nieodpowiednia pora. Na przykład druga po południu, w lodowatym samochodzie. Albo szybka obłapka przy kserokopiarce o pół do dziewiątej rano. Jego żonie dostaje się najlepsze – wieczory, noce, och, noce... słoneczne niedziele w parku. Zupełnie jakby i tak nie miała go dosyć. Uważam, że to z jej strony zwykła chciwość.

– Więc go rzuć – poradziła Maddy. – Uważam, że to głupek.

Prudence westchnęła. Szkoda, że to nie takie proste. Była środa wieczór, siedziały w mieszkaniu przy Tumell Park, które wynajmowała Maddy, i jadły pizzę na wynos.

– Olej go i znajdź sobie kogoś innego – powiedziała Maddy.

– Nic nie rozumiesz.

– Zgadza się. Nie rozumiem.

– Gdybyś była na moim miejscu...

– Nigdy bym sobie na to nie pozwoliła.

– Jasne. Dla ciebie wszystko jest czarne albo białe, prawda<sup>1</sup> – Prudence rozejrzała się po mieszkaniu. – Nie rozpakujesz się'' Tu jest okropnie. Pomogę ci.

– A po co?

– No, żeby ci się miło mieszkało.

– Ale mi nie zależy.

– Są też i inne powody – powiedziała Prudence.

– Na przykład jakie?

- Nigdy nie możesz niczego znaleźć.
- I tak nie szukam czegoś, co nie jest mi potrzebne.

Pru się poddała. Wyjrzała przez okno. Z tej podziemnej lokalizacji można było dojrzeć tylko część ulicy – chodnik, koła zaparkowanych samochodów. Gdzieś z oddali dobiegały krzyki dzieci.

- Zawsze się tak czuję, gdy jestem u Lou i Roberta – powiedziała. – A ty?
- To znaczy jak?
- No tak. – Nagle krzyknęła głośno. – Mężczyźni! Maddy zamknęła pudełko po pizzy.
- W wiosce, w której mieszkałam, wszystkim kobietom robiono obrzezanie łechtaczki.

Prudence wybałuszyła na siostrę oczy. Wstała i zaczęła chodzić po pokoju.

– Zadzwoń do niego. Teraz. Na pewno kładzie chłopców spać, spędza z nimi czas. A jego straszna żona przygotowuje kolację, lampy się palą, drinki czekają. Zadzwoń do niego i popsuj im tę sielankę.

- Nie chrzań. Dobrze wiesz, że tego nie zrobisz.
- Skąd wiesz?
- W końcu jestem twoją siostrą.

Prudence uśmiechnęła się. Jak szybko wróciły do starych układów. Podziwiała Maddy – była taka bezpośrednia i prostolinijna, była w niej jakaś moralna siła. Lecz jednocześnie ją irytowała. Mimo wszystkich zagranicznych przygód, fizycznej odwagi, w pewnym sensie była jakaś taka niewyrobiona.

Prudence przeszła obok zwalonych na kupę plastikowych toreb należących do właścicielki mieszkania, resztek czyjegoś życia, które zdawały się jej siostrze w niczym nie przeszkadzać, i skierowała się do kuchni. Na ścianie widniała wilgotna plama, której perkalowa zasłonka nie zdołała w całości zakryć. Wyjrzała przez okno. Nawet w ciemnościach ogródek przedstawiał opłakany widok. Pomyślała z irytacją, że ona zrobiłaby z tego miejsca przyjemne gniazdko. Zawsze marzyła o ogródku.

– Powinnaś trochę zadbać o to wszystko – zawołała, szukając kawy. Znalazła tylko słoik Nescafe. Prudence, która zawsze lubiła prawdziwą kawę, nagle poczuła się bardzo samotna. Ogarnęła ją taka tęsknota za Stephenem, że ugięły się pod nią kolana. Uwielbiała siostrę, ale w sprawach sercowych Maddy była do niczego.

Prudence pojechała do domu. Zastanawiała się, co robi teraz Stephen. Z tego, co opowiadał o swojej żonie, nie wynikało, by Kaatya należała do kobiet, które swoim mężom przygotowują gin z tonikiem. Powiedziała o tym Maddy, gdyż w towarzystwie siostry zwykle wygłaszała komunały, przy niej trudno było się zdobyć na subtelności. Ze strzępków informacji, jakie w ciągu tych ostatnich miesięcy udało jej się zebrać, Kaatya była neurotyczną, skoncentrowaną na sobie osobą, nie poświęcającą Stephenowi najmniejszej uwagi. Wiecznie biegała na jakieś kursy, na Stephena zrzucając obowiązek zajmowania się synami i gotowania. Impulsywna, nie potrafiła usiedzieć w miejscu.

– Teraz sobie wymyśliła, że chciałaby mieszkać w Normandii – westchnął któregoś dnia, a Prudence ścisnęło się serce.

Kaatya była humorzasta, potrafiła niespodziewanie wpaść w ponury nastrój, a wtedy cała

rodzina chyłkiem przemykała po domu, bojąc się odezwać głośniejszym głosem. Następnego dnia nagle przekopywała cały ogród, bo postanowiła zrobić w nim patio.

– Nigdy nie wiem, co mnie spotka po powrocie do domu – skarżył się Stephen, przeczesując palcami włosy. Wyglądało na to, że Kaatya utrzymywała swoich trzech mężczyzn w stanie ciągłego niepokoju i niepewności. Siła jej osobowości zdawała się ich wręcz ogłuszać. Prudence uważała, że to okropne.

Wróciwszy do siebie, zaparzyła dzbanek prawdziwej, świeżo zmielonej kawy i zapaliła gazowy kominek. Jakże przyjemnie wyglądał jej pokój. Ona na pewno przygotowałaby mu gin z tonikiem. Popatrzyła na przyniesione z pracy manuskrypty. Powinna przeczytać traktat o nie szkodzącym środowisku przemyśle, ale nagle zupełnie straciła na to ochotę.

Wzięła do ręki leżącą na wierzchu teczkę. Oczyszczając ją palcem z błota, przeczytała: Erin Fox, *Igrajac z ogniem*. W zasadzie należało oddać to Liz, która zajmowała się powieściami, ale coś ją w tej ogrodnicy zaintrygowało. „Jak się nad tym zastanowić, nic w naszym życiu nie jest powieścią”. Och, gdybyż było inaczej, pomyślała Prudence. Mogłaby wtedy napisać Stephena od nowa i sprawić, by opuścił swoją żonę. Stworzyłaby mężczyznę, który zakochałby się w Kaaty, chłopcy by go polubili, nie przestając kochać ojca, i wszyscy żyliby długo i szczęśliwie.

Prudence postawiła swoją filiżankę ze złożonym brzeżkiem dokładnie na środku stołu. Kot wskoczył jej na kolana. Wyciągnęła manuskrypt z teczki i otworzyła na pierwszej stronie.

## Rozdział trzeci

Sklep wielobranżowy w Wingham Wallace mieścił się w starym domu z kamienia, z mieszkaniem na piętrze. Jego front zwrócony był na otaczające wieś łąki. Przed laty tuż obok znajdował się rzeźnik, a nieco bliżej kościoła – sklep żelazny. Starsi mieszkańcy pamiętają nawet, że w domu, który dawno temu został zburzony, a na jego miejscu powstał parking przy pubie, był sklep z modą damską o nazwie Meryl Modes. Dzisiaj wszystkie te sklepy należały do odległej przeszłości. Przerobiono je na domy mieszkalne i jedyną po nich pozostałością były powiększone okna na parterze – jedno nawet z godnymi pożałowania szybami z zielonego butelkowego szkła. W dawnym sklepie żelaznym spędzał teraz weekendy prawnik z City. Uzbroił dom w system alarmowy, którego migające wściekle światła przyprawiały o atak serca obściskujące się czule parki. Stali mieszkańcy wioski przyglądający się, jak znikają ich miejscowe sklepiki, a łączność ze światem kurczy się do dwóch autobusów dziennie, znajdowali w nich dodatkowy powód do irytacji.

Teraz został im już tylko sklep wielobranżowy. Latem dzięki sprzedaży lodów poprawiał nieco swoje obroty, jednak przez pozostałą część roku z trudem walczył o przetrwanie, zawdzięczając je głównie miejscowym emerytom odbierającym w nim swoje comiesięczne pobory i tym mieszkańcom, którzy wpadali, by uzupełnić to, co zapomnieli kupić w Tesco. Właściciele sklepu, Tim i Margot, wprowadzili się pięć lat temu. Nagle w ich życiu zagościł pech, czego kolejnym dowodem było właśnie wybudowanie wielkiego hipermarketu odległego zaledwie o dziesięć minut jazdy, między wioską a Beaconsfield. Wraz z jego otwarciem lokalny sklep stracił nawet najbardziej lojalnych klientów, zwabionych kilometrami półek zawałonych wszystkim, czego tylko mogli zapragnąć. Jak mogły z tym konkurować podsuszone banany Tima? Koło się zamykało – im gorzej szedł handel, tym mniej gotówki miał na nowy towar, półki więc pustoszały i sklep coraz bardziej zaczynał przypominać przybytek z Trzeciego Świata. Tej wiosny nadszedł kolejny cios. Do Tesco zaczął kursować darmowy autobus, zwabiając tym samym niedobitki klientów, którzy do tej pory z powodu biedy bądź starości nie mogli sobie pozwolić na dojazd samochodem. Jakby tego wszystkiego nie było jeszcze dość, Tim musiał jakoś radzić sobie z Margot.

Tim był niewysokim, drobnym mężczyzną. Margot była ogromna. Od czasu tragedii, która spotkała ich sześć lat temu i o której nigdy nie rozmawiali, Margot straszliwie przytyła. O tym także nie rozmawiali – bo i cóż można było powiedzieć? Tim winą za wszystko obarczał rozliczne pigułki, które swego czasu przepisali jej lekarze – środki antydepresyjne, prozac. Z każdym dniem stawała się od nich coraz bardziej uzależniona. Wiedział, że jadła za dużo – kojące słodkości jak czekolada i ciastka – nie potrafił jednak ocenić, jakie ilości jedzenia pochłaniała, coraz więcej bowiem czasu spędzała w mieszkaniu na piętrze, jemu pozostawiając prowadzenie sklepu. Przez ostatni rok zupełnie odizolowała się od świata. Dla jego klientów była już tylko skrzypiącymi na górze krokami i przytłumionym pomrukiem telewizora. Dawno już przestał rozmawiać z nią o sklepie, zbytnio ją to denerwowało.

– Co my teraz zrobimy? – zawodziła, a spływające po policzkach łzy grzęzły w fałdach

tłuszczu na szyi.

Tim był dżentelmenem. Uważał, że kobiety należy ubóstwiać, tak jak niegdyś ubóstwiał swoją matkę. Należało je chronić. Jako chłopiec robił sobie z kawałków drewna miecze i udawał, że jest błędnym rycerzem ratującym damy z opresji. Jako dorosły mężczyzna najbardziej lubił brać udział w odtwarzaniu scen z wojny domowej, walcząc po stronie rojalistów. Dawniej ubóstwiał swoją żonę. Była wtedy dużą kobietą o obfitych kształtach i perlistym śmiechu. Kiedy się kochali, zachwycał się jej pulchnym ciałem i szlochał ze szczęścia, wtulając twarz w jej falujące piersi. Niestety, te czasy dawno już minęły. Teraz tylko pilnował, aby była bezpieczna, chronił ją przez złośliwymi chichotami dzieci i finansowymi problemami sklepu, który niegdyś był ich wspólnym marzeniem. Upustu dla swojej przemożnej potrzeby kultu uwielbienia w świątyni kobiecości szukał gdzie indziej.

W piątek układał na stojaku egzemplarze miejscowej gazety. Później zawsze pamiętał, że tym się właśnie zajmował, gdy weszła ona. Otworzyły się drzwi i oślepił go słoneczny blask. Przywitała się z nim i wzięła koszyk.

Włosy miała upięte na czubku głowy, co dawało złudzenie, że otacza ją złota aureola. Uniosła brwi i przystanęła, jakby starając się sobie przypomnieć, co ją tu sprowadziło. Zawsze robiła tak samo. Wsunęła palec do dziurki w nosie, ale nie dłużyła w niej – o, nie, nigdy by czegoś podobnego nie zrobiła. Po prostu w zamyśleniu badała jej wnętrze. Miała na sobie dzinsy i T-shirt z napisem „The London Marathon”. Jej mąż brał w nim co roku udział; był jednym z tych wiecznie stających do współzawodnictwa dupków. Nie zasługiwał nawet na jej mały palec u nogi.

– Wczoraj przejeżdżała tędy pani córka – powiedział Tim.

– Och, jest w siódmym niebie – odparła Louise. – W szkole myśli tylko o tym, kiedy będzie mogła wrócić do swojego konia. Co nie znaczy, że wcześniej przykładała się do nauki. Ma pan anchois?

Sprawdził w rzędzie puszek.

– Niestety, ale mogę dla pani zamówić. – „Łosoś”... „Kawałki tuńczyka w oleju”... nazwy tańczyły mu przed oczami.

– Pamięta pan, jak dawniej człowiek był zakochany? Szaleńczo zakochany?

Podszedł do lady i zapisał „anchois”.

– Śnił o nich? Na ich widok serce waliło jak oszalałe? – Wrzuciła do koszyka puszkę pomidorów. – Na samą myśl o nich dostawał gęziej skórki? – Sięgnęła po coś na górnej półce. Gdy uniosła rękę, jej piersi poruszyły się pod koszulką. Szybko spuścił wzrok i położył długopis obok kasy.

– Cóż, ona tak właśnie traktuje swojego konia. – Wskazała na ziemniaki. – Dwa kilo poproszę. Na moich pojawia się jakaś obrzydliwa rdza. – Zaśmiała się. – Samo życie.

Schylił się po ziemniaki, a kiedy je podnosił, palce miał jak z waty. Widział jej buty – zniszczone tenisówki, które nosiła zazwyczaj. Nic dziwnego, w końcu wyskoczyła tylko do sklepu. Nie będzie się przecież dla niego stroić. Czasami, gdy odwiedzali ją znajomi z Londynu, wkładała cudowne pantofle na wysokim obcasie. Najbardziej lubił te z popielatego zamszu z paskiem wokół kostki.

– W sumie to chyba lepiej.

– Co takiego? – spytał.

– Chodzi mi o to, że koń przynajmniej nie zapomina spuścić klapy sedesu ani nie krytykuje cię przed innymi ludźmi. Koń nie mówi, że człowiek robi się coraz grubszy.

– Pani to nie dotyczy! – powiedział trochę zbyt głośno. Obróciła się do niego z urzekającym uśmiechem.

– Tim. Bardzo pan miły.

Odsunęła się. Jej koszulka zadarła się z jednej strony, ukazując kształt krągłych, bardzo kobiecych pośladków.

– Gdzie jest masło orzechowe? – spytała, rozglądając się po półkach.

– Bardzo mi przykro, ale...

– Rozumiem.

– Zamówię dla pani. – Wziął do ręki długopis.

– Kiedyś aż się tu roiło od klientów – zauważyła. – Można było posłuchać wszystkich plotek.

– Nie wiem, jak długo jeszcze uda nam się utrzymać.

– Proszę tak nie mówić! – Gdy marszczyła czoło, między oczami robiła się jej niewielka bruzdka.

– Poczta grozi nam zamknięciem. – Przerwał. – Ale nie powinienem pani tym zanudzać.

– Wcale mnie pan nie zanudza...

– Chcą przenieść swój oddział do Tesco. – Przyjął od niej pieniądze. Jej piękne ręce umazane były ziemią. Pewnie pracowała w ogrodzie. – A teraz jeszcze słyszałem, że przy A40 mają wybudować Safeway.

– Cóż, ja na pewno nie będę robić tam zakupów.

– Margot źle się czuje. Chce, żebyśmy zamknęli sklep.

– Nie możecie tego zrobić! – zaprotestowała Louise. – Wizyta w waszym sklepie to najbardziej ekscytująca rzecz, na jaką mogę liczyć w ciągu dnia. Zapanowała chwila ciszy.

– Naprawdę? – spytał w końcu.

Zadzwieczał dzwonek przy drzwiach. Tim aż podskoczył. Wszedł Jamie, jej syn. Jego rower, z wciąż jeszcze kręcącymi się kołami, leżał porzucony przed sklepem.

– Mamo, dostałem! – zawołał. – Dostałem pracę!

– To wspaniale! – Louise mocno go uścisnęła.

– Mogę zacząć od poniedziałku. Bułka z masłem. Będę tylko sobie spacerował i upychał towar na półkach.

– Gdzie? – zapytał Tim.

– W Tesco – padła odpowiedź.

Zapadło niezręczne milczenie. Louise podniosła swoją torbę na zakupy.

– Idziemy – powiedziała do syna i wyszła.

O szóstej Tim wywiesił w drzwiach tabliczkę z napisem „Zamknięte”. Z góry dobiegały go ciężkie kroki Margot. Przez chwilę przysłuchiwał się im, a potem podszedł do półki obok mrożonek. Przykląkł i odsunął worek z brykietami. Sięgnął głębiej, wpychając rękę za

opakowane w folię tacki do pieczenia, o które nikt już latami nie pytał, i wyciągnął album ze zdjęciami.

Ze zdjęciami należy postępować rozważnie. Nie można być żarłocznym. W mieszkaniu na piętrze Margot rozwinęła opakowanie Toblerone i pakowała do ust jeden kawałek czekolady po drugim. Lecz na dole, w sklepie, Tim panował nad sobą. Z doświadczenia wiedział, że jeśli ogląda się jakieś zdjęcie zbyt często, jego znaczenie coraz bardziej słabnie. Podobnie jest z lodowym lizakiem – jeśli wysysie się z niego cały sok, zostaje tylko zmrożona woda. Dlatego też z rzadka zaglądał do albumu, by w ten sposób jak najdłużej odczuwać dreszczyk radości. Tego wieczoru jednak, zachęcony pierwszą dłuższą rozmową jaką po raz pierwszy od wielu tygodni przeprowadził z Louise, uległ pokusie.

Tim zawsze był zapalonym fotografem. Rok wcześniej na miejscowym festynie zdobył drugą nagrodę za zdjęcie zięby karmiącej swoje młode, artystyczną kompozycję splecionych dziobów. Dlatego też nikt nie dziwił się, widząc go, jak przechadza się po okolicy z zawieszonym na szyi Olympusem. Lecz skrytym za tackami do pieczenia, bliskim sercu skarbem nie chwalił się nikomu. Wyjmował zdjęcia powoli, by jak najdłużej delektować się uczuciem rozkoszy. Na jednym widać było Louise wypuszczającą z samochodu psa. Miała na sobie pikowaną kurtkę – zdjęcie zrobił zimą – i przytrzymała otwarte drzwi swojego space cruisera. Postać psa była zamazana, widoczna zaledwie w połowie. Inne ujęcie ukazywało Louise w piękny słoneczny dzień na jakiejś paradzie, niestety – ku wściekłości Tima – częściowo przysłoniętą przez Arnolda Allocka, właściciela pubu. Na jeszcze innym, zrobionym zza ogrodowego muru, Louise klęczy w oddali przy zepsutej kosiarce. Tim aż rwał się wtedy, żeby pośpieszyć z pomocą, lecz wówczas wydałoby się, że ją śledzi.

– Co robisz? – dobiegł z góry kłótniwy głos Margot. Podniósł się z klęczek.

– Liczę kasę – odrzyknął w odpowiedzi.

Prudence uchodziła za osobę zrównoważoną i taktowną. Jej osobowość ukształtowała się w znacznym stopniu pod wpływem charakterów jej jakże odmiennych sióstr. Louise była tą nie pozbieraną: dziewczyną, która zapominała zeszytów z zadaniem domowym, nie potrafiła czytać mapy i zawsze, ilekroć pojechała do Londynu, zbierała mandaty za parkowanie. Maddy natomiast była tą impulsywną, mówiącą zawsze bez ogródek, która nagle, w jednej chwili spakowała się i wyjechała do Nigerii. Ktoś musiał jakoś nad tym całym rozgardiaszem zapanować i ta właśnie rola przypadła Prudence, rozsądnej średniej siostrze. Gdy w domu wybuchały kłótnie, Prudence nauczyła się je łagodzić. Swoje uczucia ukrywała, byle tylko panowała harmonia. Od tak dawna trzymała na wodzy emocje, że zdążyła już prawie zapomnieć, że przecież wcale nie była od nich wolna.

Przez cały rok walczyła z pokusą ujrzenia miejsca, gdzie mieszkał Stephen. Starła się wymazać ze świadomości tę część jego życia – część, która rozpoczynała się z chwilą, gdy każdego popołudnia opuszczał biuro. Lecz wyobraźnia to potężny i żywotny organizm. Rośnie i pęcznieje jak wrzód, który trzeba w końcu przeciąć. Czasami Prudence miała wrażenie, że traci zmysły. Dulwich, Agincourt Road nr 36. Odnalazła ulicę na planie Londynu. Tyle razy go studiowała, że aż druk zaczął się rozmazywać.

W piątek była zaproszona na kolację do Camberwell. Nie miała ochoty iść, wiedziała

bowiem, że gospodarze zaprosili także samotnego mężczyznę, co miało równie oczywistą wymowę dla niej, jak i dla niego. Posadzą ich obok siebie i poddadzą nieustannej bacznej obserwacji. Ostatnio w podobnej sytuacji facet, którego imienia szczęśliwie już nie pamiętała, cały wieczór z zapalem opowiadał jej o wszystkich niesamowitych sztuczkiach, jakie potrafi wyczyniać na swoim komputerze. Rozlał jej także wino na sukienkę. „Piekło to inni ludzie”, powiedział Jean Paul Sartre. Tym razem odnalazła je w mężczyźnie, który nie był Stephenem. Po powrocie do domu opanowało ją tak silne poczucie osamotnienia, że miała wrażenie, iż ją zabije.

Czasami ktoś chciał się z nią umówić; bywało, że się zgadzała. Wieczór spędzała wtedy w jednej z tych włoskich restauracji w okolicach Leicester Square, o których piszą w gazetach jako o najmodniejszych miejscach i do których nie chodzi żaden z jej znajomych. Zwykle wciąż jeszcze podają w nich cielęcinę w sosie grzybowym. Facet zamawiał podrzędne wino i żalił się, jak to prawie wcale nie widuje swoich dzieci, bo jego była przeprowadziła się do Hull. A w niej narastała panika, strach o całą rasę ludzką.

Mając to wszystko na względzie, najchętniej nie ruszałaby się z domu. Poza tym coraz bardziej wciągała ją powieść ogrodniczką, którą zaczęła czytać poprzedniego dnia. Mimo to jednak pojechała na przyjęcie w Camberwell, choćby po to, by spróbować przekonać samą siebie, że prowadzi jakieś życie towarzyskie. Podczas kolacji dręczyła ją myśl, że Stephen na pewno do niej zadzwonił. Słyszała jego głos rozlegający się w pustym mieszkaniu: „Wyszła gdzieś dzisiaj... chłopcy nocują u kolegów... mógłbym zaraz przyjechać... Jesteś tam, Pru?... O, moja kochana... „

Wokół niej inni goście prowadzili ożywioną dyskusję. Rozmawiali o tym, jak to bez przerwy włamują im się do samochodów – ulubiony temat rozmów w Camberwell.

– ... wyciągnęliśmy radio, ale i tak wybili szybę...

– ... ostatnim razem ukradli wszystkie kasy z wyjątkiem *Queen. The Classic Collection*. Zostawili ją na dachu.

– Ale wstyd! Teraz wszyscy wasi sąsiedzi wiedzą, że lubicie Queen.

– Nie ja. To była taśma naszej au pair.

Nagle Prudence ujrzała Stephena tak wyraźnie, że aż zaparło jej dech. Jego telefon pozostał bez odpowiedzi. Przypomniał sobie, że miała wyjść na kolację, więc pojechał do jej mieszkania i w tej właśnie chwili wchodził do środka, otwierając sobie drzwi kluczem... kładł się do łóżka i czekał, żeby zrobić jej niespodziankę...

Najszybciej jak to możliwe, by nie urazić gospodarzy, po pierwszej kawie, Prudence pożegnała się i wyszła. Szybko pojechała do domu. Tak ostro weszła w zakręt, że o mały włos potraciłaby rowerzystę. Pędem pokonała Clapham Common i swoją ulicę, hamując gwałtownie przed każdym garbem.

W jej mieszkaniu było ciemno. W kuchni unosił się lekki smrodek, zapomniała wyrzucić śmieci.

Nagle nie mogła już tego dłużej znieść. Wsiadła z powrotem do samochodu i pojechała do Dulwich. Gdy dojeżdżała do jego ulicy, było pół do drugiej.

Wyłączyła silnik i siedziała w samochodzie. Więc to tu mieszkał. Jej durnowate serce



waliło jak oszalałe. Wzdłuż ulicy stały duże domy z czerwonej cegły, z podjazdami dla samochodów, przysłonięte drzewami. Blask latarni rozświetlał gałęzie, padał na chodnik, po którym Stephen chodził przez ostatnie siedem lat. Co za niesamowite uczucie siedzieć i patrzeć na ulicę jemu tak dobrze znaną, a i jej nieobcą, choć wcześniej nigdy nie widzianą.

Zawróciła samochód i przejechała sąsiednie ulice, zaznajamiając się z nimi. Minęła rząd sklepów – Threshera, gdzie kupował whisky, oraz Animal Crackers, w którym z całą pewnością jego synowie kupowali pokarm dla swoich myszokoczków. Czula się jak złodziej, z żółwią prędkością pokonując kolejne ulice. Miała wrażenie, że szpiegując w ten sposób, dopuszcza się wobec niego zdrady; przecież odtąd będzie miała przed nim tajemnicę. Nagle dotarło do niej, że to nie fair – przecież o n nie musiał jej szpiegować i czuć się jak przestępca.

W końcu zebrała się na odwagę, by wrócić na Agincourt Road Minęła dom numer 36 i zatrzymała się. W holu świeciła się lampa i jej blask padał na numer nad drzwiami. Jego dom niczym nie różnił się od innych – wygodny rodzinny dom w stylu edwardiańskim. Okna na parterze były ciemne, na górze jednak, mimo zaciągniętych zasłon, widać było światło. To na pewno ich sypialnia – małżeńska sypialnia. Sąsiednie okno oklejone było czymś co wyglądało jak piłkarskie nalepki, więc pewnie tam był pokój Dirka albo Pietera. Na podjeździe stały dwa samochody – jego służbowy i zniszczony 2CV, który bez wątpienia należał do żony.

To dziwne, ale Prudence nie czuła nic. Kiedy w końcu się tu znalazła, przed domem, który cierpiąc, tyle razy sobie wyobrażała, odczuwała jedynie pustkę. Zupełnie jakby wielomiesięczne rozmyślenia oczyściły to miejsce z jakiegokolwiek znaczenia. Wiedziała tylko, że źle zrobiła, przyjeżdżając tutaj, bo nie miała z tym nic wspólnego. W żaden sposób nie było to związane ze Stephenem, którego ona знаła. Wstrząsnął nią tylko widok jego granady zaparkowanej przed domem.

Wróciła do siebie. Dopiero kiedy włączyła Brahmsa, pojawiły się łzy.

– Nie mogą zamknąć sklepu! – gorączkowała się Louise. – Wieś umrze. To coś więcej niż tylko sklep. Tam się wszyscy spotykają. Starsze panie, które nie mają siły iść gdzie indziej.

– Prawo rynku, moja droga – powiedział Robert.

– Co mi tu gadasz o prawach rynku! Tobie i tak wszystko jedno, nigdy cię tu nie ma. A jego nie stać na kupowanie towaru, bo wszyscy jeżdżą do Tesco. Niedługo nie będzie miał nic poza paczką herbaty i sznurówkami. Jak we wschodniej Europie.

– Byłaś ostatnio we wschodniej Europie?

– Nic cię to nie obchodzi. Boże, czemu musiałam wyjść za mąż za torysa?!

– Z twojego ojca jest większy torys niż ze mnie. Czyta „Daily Telegraph”.

– Tak czy owak, ja będę dalej tam chodzić.

– Stać cię na to. A wiesz czemu? Bo wysłaś za rzutkiego kapitalistę.

– Boże, jaki ty jesteś przyziemny.

– Za to wart dużo pieniędzy. Dlatego właśnie...

– Och, przymknij się.

Robert uśmiechnął się i wyszedł. Był umówiony na tenisa.

Louise czyściła klatkę królika. Energicznie wygrzebywała zaschłe w kącie odchody.

Królik Boyd siedział skulony w swoim wilgotnym kąciku do spania i nie spuszczał z niej wzroku. Boyda nikt nie lubił. Był ostatnim z ich dynastii królików, starym wyliniałym samcem, który spłodził setki maleńkich króliczków, słodkich mięciutkich maleństw, uwielbianych przez dzieci, lecz szybko zapominanych. Jamie i Imogen wyrosli już ze swoich domowych ulubieńców i chociaż ściany w sypialni Imogen oklejone były plakatami „Ratujcie wieloryby”, na Boyda nie zwracała uwagi; jeśli o nią chodziło, równie dobrze mógłby zdechnąć.

Boyd jednak nie zdychał. Jak wielu podobnych mu wojowniczych starszków, trzymał się życia pazurami, nie mając najmniejszego zamiaru odejść w ciszy i zamieniając w piekło życie tych wszystkich, którzy mieli dość odwagi, by się do niego zbliżyć. Czego zresztą nikt nie robił, z wyjątkiem Louise. Rozsypała piasek na podłodze klatki. Spróbowała przesunąć zwierzaka do wyczyszczonej części, ale nie dawała rady go podnieść; był zadziwiająco silny i rozdrapywał jej skórę do żywego mięsa. Popchnęła go więc, a on odwrócił się i ugryzł ją. Wrzasnęła. Królik stulił uszy i wcisnął się w kąt jeszcze głębiej, warcząc groźnie. Boyd był jedynym znanym jej królikiem, który warczał. Robert twierdził, że jest pitbulterierem w przebraniu.

Do klęczącej przy klatce Louise dobiegł dźwięk nadjeżdżającego samochodu. Zapewne kowal. Była sobota i Imogen przez cały ranek czyściła Skylark, przygotowując klacz na jego przyjazd, zupełnie jakby była panną młodą oczekującą swego oblubieńca. Ubiegły tydzień zmienił Imogen całkowicie. Gdy chodziło o jej konia, sprzątała po nim bez protestu. Ledwie się załatwił, a ona z rozpromienioną twarzą rzucała się z łopata, żeby zrobić porządek. Była młodą dziewczyną, przeżywającą swoją pierwszą wielką miłość.

– Chcesz cukru... ?

– Karl. – Kowal skinął potakująco głową.

Imogen postawiła kubki na belce. Kowal pochylił się nad tylną nogą Skylark i podniósł ją, opierając sobie na udzie. Za pomocą kleszczy zdjął starą podkowę i odrzucił ją.

– Lubi cię – powiedziała Imogen. – Zwykle nie stoi tak spokojnie. Jeżdżę na niej całymi dniami. Czuję się wtedy taka wolna! Kiedy jest się na koniu, ptaki nie uciekają. Zupełnie jakbym była częścią zwierzęcia.

– Wszyscy jesteśmy tylko zwierzętami – powiedział Karl. – Zwykłymi zwierzętami, tyle że w ubraniach.

– Chyba tak.

– Kłopoty się zaczynają, kiedy o tym zapominamy.

Przyglądała się mu, kiedy pracował. Miał czarne kręcone włosy, wilgotne od potu. Nosił tylko kamizelkę, mogła więc obserwować, jak przy każdym ruchu mięśnie przęsały mu się pod skórą. Widziała gęste czarne włosy pod pachami. Uda ochraniał mu zawiązany w pasie skórzany fartuch. Stał oparty o koński zad i czyścił kopyto z taką łatwością, jakby obierał jabłko.

– Wczoraj widziałam czaplę – odezwała się Imogen. – I lisa.

– Wiesz, gdzie jest Blackthorn Wood? Borsuki mają tam norę. – Karl mówił z silnym miejscowym akcentem. – Kumpel mi pokazał. Fotografuje przyrodę.

– Borsuki! Rany!

Oparł się o konia i uśmiechnął.

– No właśnie. Rany.

Odwrócił się i zaczął przybijać podkowę.

– Trzeba tam być o zmierzchu. Wtedy wychodzą, żeby się pobawić. Borsuki nie są takie niezdarne jak ludzie. Ruszają się lekko i z wdziękiem.

– Ale fajowo. Spojrzał na nią.

– Ile masz lat?

– Szesnaście.

. – Ach. Myślałem, że jesteś starsza. Imogen aż zarumieniła się z zadowolenia.

– Serio? Na ile wyglądam?

– A potem powiedziałaś to głupie słowo: fajowo. Imogen szybko zamruła.

– To po prostu znaczy wspaniale. Wziął swój kubek i pociągnął łyk herbaty.

– Powinnaś zwiększać swój zasób słów. W końcu za to mama z tatą płacą. – Odstawił kubek i sięgnął do skrzynki z narzędziami. – Założę się, że chodzisz do prywatnej szkoły, tak?

– Przecież to nie moja wina! Wcale nie chciałam. Zresztą i tak nie cierpię szkoły. Jestem dobra tylko w siatkówce.

Uśmiechnął się.

– Nie wściekaj się na mnie. Zachowaj to dla swoich rodziców. Odwzajemniła uśmiech, ale nie zauważył tego, bo właśnie podniósł kopyto Skylark i zaczął wypełniać podkowę.

– Gdzie dokładnie jest ta nora borsuków? – spytała.

– Może kiedyś ci pokażę.

– Czy najpierw muszę dorosnąć?

Spojrzał na nią spod przesiąkniętej potem grzywki i uśmiechnął się.

Louise patrzyła na odjeżdżającą furgonetkę. Stojąc obok Imogen, myślała kubki.

– Mmm, jak z książek Lawrence’a – powiedziała Louise lubieżnie. – Sama dałabym mu się podkuć.

– Mamo! To odrażające. Louise roześmiała się.

– Ale wcale nie przechodzi z wiekiem.

Stephen próbował skupić się nad manuskrytem. Kaatya przesuwała jakieś meble. Była zmienną w nastrojach, czarnowłosą kobietą. Dzisiaj miała na sobie legginsy, dziecięcą spódniczkę i skurczony w praniu sweter. Jej szklane kolczyki podzwaniały gwałtownie przy każdym ruchu. Popatrzyła na wiszący na ścianie collage własnego autorstwa. Zdjęła go. Potem gwałtownie przesunęła fotel na drugi koniec pokoju.

– Kaatya, usiądź wreszcie – powiedział Stephen.

– Nie podoba mi się tutaj!

– Dawniej ci się podobało. Przesunęła stolik do kawy.

– Nieprawda, to tobie się podobało.

– Kaatya!

Przysunęła stolik do krzesła.

– Nie zwracaj na mnie uwagi. Czytaj tę swoją intelektualną książkę.

– Prawdę mówiąc, to źle skonstruowany, mało oryginalny i zupełnie nieprzekonujący nędzny thriller napisany przez tego faceta, który tak ci się podobał w „Europę Tonight”. Tylko dlatego, że potrafi czytać tekst, który mu pokazują myśli, że może pisać jak Garcia Marquez.

Kaatya przesunęła stolik na poprzednie miejsce.

– O czym ty gadasz?

– Nieważne.

Kaatya poszła na górę. Usłyszał, jak krzyczy:

– Dirk, wylaż z tej wanny!

Stephen próbował się skupić, ale czytał w kółko jedno i to samo zdanie. Zjawił się jego starszy syn Pieter, który w pokoju obok pracował na komputerze Stephena.

– Znowu jej odbiło.

Stephen zmierzwił synowi włosy na głowie.

– Kobiety.

Kaatya była jak wulkan Etna; żyjąc z nią, człowiek nigdy nie wiedział, w którym momencie wybuchnie. Nawet kiedy popadała w stan uśpienia, nie przestawała dymić. To tylko pogłębiało więź łączącą Stephena z synami.

Objuczony książkami Pieter poszedł na górę. Chociaż miał dopiero trzynaście lat, wyglądał już jak mały mężczyzna. Synowie Stephena byli dziwnymi, sztywnymi w obyciu chłopcami. Była w nich jakaś dziwna ostrożność. Ich matka czasami na nich krzyczała, kiedy indziej znów ścisła ich czule i obsypywała pocałunkami. Skąd mieli wiedzieć, czego się po niej spodziewać?

Problem w tym, że i do niego odnosili się podobnie. Choć bywało, że pod wpływem zmiennych nastrojów pani domu oni, faceci, trzymali się razem, czasem jednak odsuwali się też i od niego. Gdy Kaatya kłóciła się ze Stephenem, bez skrupułów przeciągała synów na swoją stronę.

– Jak on może mnie w ten sposób traktować? – zawodziła, przygarniając chłopców do siebie. – Jak wasz rodzony ojciec może być taki okrutny?

I tuliła ich głowy do siebie. Stali tak we trójkę, ciemnowłosi, obcy ludzie o obco brzmiących imionach, a on czuł się we własnym domu jak niechciany gość.

Stephen spróbował w końcu zrozumieć czytane w kółko zdanie, ale nie potrafił skupić wzroku. Czy ona coś podejrzewała? W ciągu ostatnich miesięcy to pytanie prześladowało go niejednokrotnie. Zawsze bardzo się pilnował – nigdy nie dzwonił do Prudence z domu, opróżniał kieszenie ze wszystkich mogących go zdradzić dowodów. Minionego lata spędził z Prudence tylko sześć nocy, za każdym razem przygotowując sobie żelazne alibi.

Po prostu czuł, że ona skądś wiedziała. Wzorem wszystkich zakochanych był przekonany, że dla każdego dookoła jego uczucie jest równie oczywiste jak dla niego samego. Na tym polegała potęga miłości, o czym rozpisywali się poeci. Nosił Prudence w sercu, krążyła w jego żyłach. Nawet *Igrając z ogniem*, manuskrypt, który od niej dostał, tkwił w jego torbie jak bomba. Kaatya była silną, zajęętą wyłącznie sobą kobietą, ale na pewno nie była głupia. Poza

tym miała wielkie doświadczenie w sprawach seksu – o wiele większe niż on. Zanim się poznali, jeszcze w Amsterdamie zaliczyła dziesiątki kochanków. Jako dwudziestolatka miała romans z żonatym mężczyzną. To absolutnie nie do pomyślenia, by nie zorientowała się, że coś się dzieje. Gdyby jednak tak było, on pierwszy by się o tym dowiedział. Kaatya nie należała do osób, które coś ukrywają. Od razu waliła prosto z mostu i bez ogródek, nie bacząc, kto akurat jest świadkiem ich gwałtownej kłótni – ich synowie czy inni kupujący przy sklepowej kasie. Pod tym względem nie liczyła się z nikim i z niczym. Przez czternaście lat wspólnego życia zdążył już przywyknąć do jej publicznych popisów. Co nie znaczy, że za każdym razem nie czuł się skrępowany.

Stephen poszedł na górę powiedzieć synom dobranoc. Pieter leżał w łóżku i trzymał książkę tak, by padało na nią światło. Pod pachami miał gęste kępki czarnych włosów, których widok wstrząsał Stephenem. Jego syn dojrzewał! Wiedział o tym oczywiście – z dnia na dzień głos Pietera zaczął się załamywać – ale to męskie owłosienie kompletnie go zaskoczyło. Jakże szybko płynęły lata! Ani się obejrzy, a zostanie dziadkiem i swoje życie będzie mógł uważać za zakończone.

Zszedł na dół i otworzył tylne drzwi. Głęboko odetchnął. Zauważył, że liście opadają z drzew, a w powietrzu unosi się zapach jesieni. Zegar na kościelnej wieży wybił dziesiątą. Był wrzesień, czwartkowy wieczór, jeden z wielu na zadrzewionym londyńskim przedmieściu. Gdy tak stał, poczuł się lekki jak piórko, nieuchronnie zmierzający ku śmierci. Nadejdzie dzień, w którym i Prudence umrze. Oddzieleni paroma kilometrami krętych, wijących się ulic, wędrowali przez życie samotnie, choć powinni być razem. Doprawdy zadziwiające, że tak spokojnie to znosili.

Marzył, by wskoczyć do samochodu i pojechać na Titchmere Road. Wpuściłaby go do swojego mieszkania – jakąż oazą porządku i wygody wydawało się w porównaniu z jego własnym domem, w którym zmywarka była popsuta, a wszędzie walały się różne papierzyska. Prudence otworzyłaby przed nim ramiona, a on wtuliłby się w nią i nareszcie poczuł bezpiecznie. Jak dziecko ukryłby się przed nocnymi koszmarami. Czasem oczami wyobraźni widział to tak wyraźnie, że dziwił się, kiedy ocknąwszy się z marzeń, stwierdzał, iż nadal jest u siebie w Dulwich. Niemożliwe, żeby jego twarz niczego nie zdradzała.

Stephen nalał sobie whisky – już trzecią tego wieczoru, ale co tam. Problem polegał na tym, że nie potrafił nikogo skrzywdzić. Kochał swoich synów. A na myśl o opuszczeniu żony jego pierś przeszywał ból. Nie może przecież zniszczyć swojej rodziny. Tak naprawdę nigdy wcześniej nie dopuścił się zdrady – kilka razy na wyjazdowych konferencjach zdarzyły mu się wyskoki, ale był wtedy pod wpływem alkoholu i zawsze potwornie tego żałował.

Jego związek z Prudence był zupełnie inny. On ją naprawdę kochał. Kochał ją za inteligencję i przyzwoitość. Kochał jej szare oczy, duże stopy i zapach goździków, który rozsiewała wokół siebie. Kochał sposób, w jaki podawała mu herbatę w delikatnych filiżankach z chińskiej porcelany. Kochał ją za to, że była tak różna od Kaaty. Była Angielką i rozumiała go. Potrafili rozmawiać ze sobą godzinami – o pracy, o książkach, o wszystkim. Prudence uwalniała słowa drzemające w jego głowie. Kaatya była artystką, jak zwierzę kierowała się impulsami. Prudence była myślicielką. Nie intelektualistką, ale właśnie

myślicielką. Kochał jej umysł równie mocno jak ciało.

Kaatya zeszła na dół. Stephen drgnął, szarpnięty poczuciem winy, i odwrócił kartkę manuskryptu. Kaatya wzięła prysznic i przyszła owinięta w jego szlafrok. Kucnęła obok niego, wsunęła rękę pod stertę papierów, którą trzymał na kolanach, i zaczęła masować mu jądra.

– Idziesz do łóżka? – zapytała. Zawsze była zazdrosna o jego pracę. Te wszystkie bezsensowne, nic nie znaczące słowa odbierały go jej. – Czy zostajesz tutaj, złotko?

Stephen odłożył manuskrypt na podłogę. Wtulił twarz w jej szyję. Pachniała drewnem sandałowym. Lubiała nacierać się egzotycznymi olejkami.

– Nie, pójdę z tobą – powiedział.

Wstał, zataczając się lekko. Wypił o jedną szkocką za dużo. Wzięła jego rękę i wsunęła sobie pod szlafrok. Zaczął muskać palcem jej brodawkę. Kaatya była kobietą o nienasyconym apetycie seksualnym, który wraz z upływem czasu zamiast maleć, zdawał się stale narastać.

Zdradziecka ręka Stephena zacisnęła się na jej piersi. Szybko ją stamtąd zabrał.

– Pójdę zamknąć drzwi – powiedział.

Nad Brytanią wiał wiatr. Okna, za którymi spali zamknięci w miłosnych uściskach ludzie, chłostały strumienie deszczu. Nadchodziła jesień, w powietrzu czuło się zapach zamierającego życia. Kobiety i mężczyźni tulili się do siebie, ciało przywierało do ciała w poszukiwaniu ukojenia w drugiej żyjącej istocie. Ich sny wirowały jak unoszące się nad dachami liście, lecz ciała trwały w uścisku.

Louise leżała obok śpiącego męża. Wciąż jeszcze miała na sobie pasek i pończochy. Klamerka wbijała jej się w udo. Na zewnątrz deszcz walił o szyby okienne, jakby ktoś ciskał w nie żwirem. Uwolniła się spod ramienia Roberta i usiadła. Odpięła klamerki, zsunęła pończochy i rozpięła haftki przytrzymujące pasek. Robert lubił, kiedy ubierała się w ten sposób do łóżka, wciskała się w gorset, który jej kupił. Godzinami to wszystko na siebie wkładała, skacząc po całej łazience na jednej nodze i wykręcając się na boki, gdy usiłowała zapiąć maleńkie, wymykające się palcom haftki przy gorsecie. Najgorzej było, gdy podczas tych karkołomnych wygibasów uchwyciła swoje odbicie w lustrze. Od pracy w ogrodzie bolały ją kości, za paznokciami miała brud, a mimo to bez protestów poddawała się tym idiotycznym przygotowaniom, gdyż wiedziała, że sprawia tym Robertowi przyjemność. Był zmysłowym mężczyzną, seksualnym epikurejczykiem. Przy zapalonym świetle siedział na łóżku, czekając na nią. Gdy wyłaniała się z łazienki, za jedyny strój mając na sobie gorset, pończochy i pantofle na wysokich obcasach, patrzył na jej ciało, jakby w żaden sposób nie było powiązane z nią. Czasami ją to podniecało. Czasami jednak czuła się wtedy jak idiotka, matka w średnim wieku, wstydliwie starająca się ukryć jakoś rozstępy.

Mimo tych wszystkich erotycznych akcesoriów ich miłosne pożycie cechowała pewna rutyna. No, ale w końcu byli małżeństwem od dwudziestu lat. Mieli swoje różne, odpowiadające obojgu pozycje, pieszczoty, które ich podniecały. I dlatego właśnie Louise była zaniepokojona. Nałożywszy nocną koszulę, wślizgnęła się pod kołdrę i leżała, spoglądając w ciemność. Ostatnio Robert wprowadził pewne innowacje do ich utartego repertuaru. Żadne tam gimnastyczne wygibasy, które mógłby podpatrzeć w pismach dla

mężczyzn – nie, to było znacznie subtelniejsze, w zasadzie potęgujące rozkosz. Obracał ją na brzuch, kładł się na niej i pieszcząc ją ręką między nogami, chuchał jej w ucho. Szeptał, lizał, dmuchał, a jej ciało przeszywały dreszcze rozkoszy. Zupełnie jakby przez tajemne zwoje w uchu docierał wprost do jej krwiobiegu.

Gdzie on się tego nauczył? Nigdy dotąd czegoś takiego nie robił. Louise leżała obok niego i wpatrywała się w ciemność.

Imogen leżała w łóżku, zasłuchana w szum deszczu. Wciąż na nowo słyszała te słowa, wypowiedziane z charakterystycznym akcentem z Buckinghamshire: „... Wszyscy jesteśmy tylko zwierzętami, zwykłymi zwierzętami, tyle że w ubraniach... „ Karl wyprostował się i uśmiechnął do niej – białe zęby, opalona twarz, czarne kręcone włosy. W ciągu minionych dwóch tygodni przypominała sobie tę scenę setki razy, odtwarzała ją jak ukochaną taśmę wideo. Stał tam, silny i gibki. Przesuwał ręką po końskim zadzie, głaskał i uspokajał klacz... Miał takie silne dłonie, pełne odcisków i zadrapań... Imogen zamknęła oczy. Ręce sunęły teraz po jej ciele, uspokajając drzenie wywołane jego dotykiem... pociągnął ją w dół, na siano...

Czy naprawdę zamierzał zabrać ją do borsuczej nory, czy też tylko tak mówił? Uważał ją za dziecko, zepsuta, bogatą smarkulę. Leżała, gładząc się po ciele, tak jak na pewno on by to robił. Uśmiechał się do niej, jakby poza nimi nie było nikogo innego na świecie. Gdy tak leżała, zasłuchana w deszcz, przypominała sobie żart, z którego zaśmiewała się z koleżankami w podstawówce: „Na imię miała Virginia. W skrócie Virgin, ale nie na długo... „\* [*Virgin* (ang.) – dziewica.] Ależ były wtedy dziecinne. Karl wkrótce się przekona, że teraz jest już dorosła. Dorośnie dla niego.

W odległym o pięćdziesiąt kilometrów Purley światła w domach były pogaszone. Bezpieczni za zamkniętymi drzwiami ich mieszkańcy spali. W Ravenswood Close ludzie wcześniej udawali się na spoczynek. Na ulicy czuwały jedynie samochody, pulsując czerwonymi lampkami na deskach rozdzielczych, była to bowiem okolica, w której panował silny strach przed intruzami. Nie budząc się, Dorothy przewróciła się na bok i położyła rękę na piersi męża. Pod piżamą jego serce biło... pukpuk, pukpuk, puk... nieregularnym rytmem. Dorothy jednak spała dalej, nieświadoma, że w piersi jej męża drzemie bomba z opóźnionym zapłonem.

Na zewnątrz roślinność zaczynała wydawać woń rozkładu. Tik-tak, tiktak... zegar na dole tykał pracowicie, niezgodnie jednak z rytmem serca Gordona. Alarm w domu był włączony, drzwi zaryglowane. Lecz żadna straż sąsiedzka nie była w stanie powstrzymać czyhającego intruza z dala od ich domu. Bicie serca odmierzało czas. Złodziej czekał, jego pora jeszcze nie nadeszła, ale zbliżał się moment, gdy wtargnie, by na zawsze odmienić ich życie.

## Rozdział czwarty

Prudence siedziała samotnie w swoim biurze nad korektą manuskryptu. Nocna burza pozrywała z drzew gałęzie i zasłała nimi chodniki, a markizę nad księgarnią okultystyczną nadwreżyła, tak że teraz wisiała krzywo. Prudence była w wojowniczym nastroju. Przekreśliła czytany akapit czerwoną kreską, a na marginesie zanotowała „pretensjonalne”.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Stephen. Uśmiechnął się do Prudence i rzucił jej na biurko teczkę. Zawierała manuskrypt *Igrając z ogniem*.

– Skończyłem dzisiaj rano. Miałaś rację.

– Niezwykłe, prawda?

– Czy to właśnie kobiety robią razem?

– Osobiście wolę mężczyzn – powiedziała Prudence. – Jeżeli tylko trafi mi się okazja.

Usiadł.

– Wybacz mi. Ale Dirk dostał zapalenia migdałków.

– Czasem mi się wydaje, że twój syn wiecznie dostaje zapalenia migdałków. To twoja wina, bo pozwoliłeś, żeby przyszedł na świat pod wodą.

– To był pomysł Kaaty.

– Wszystko zawsze jest pomysłem Kaaty. – Prudence nie kryła irytacji. – A ty co? Sam nic nie potrafisz wymyślić?

– Przecież to ona go rodziła.

– Pewnie dlatego, że jest Holenderką. Te wszystkie kanały. Weszła Trish.

– Skoro już mowa o tamach... – powiedział Stephen pospiesznie. – Uważasz, że powinniśmy to wydać? Czy Liz to czytała?

Prudence pokiwała głową.

– Według niej to doskonale. Trish spytała, o czym rozmawiają.

– O powieści, którą dała mi do przeczytania ta ogrodniczka – wyjaśniła Prudence. – Erin Fox.

Trish wzięła teczkę z manuskrytem do ręki.

– Co to takiego?

– Swego rodzaju postfeministyczna lesbijska pornografia – odparł Stephen.

– Międzyrasowa opera mydlana w stylu Safó – dodała Prudence. – Dość niezwykła.

Pięćset pięćdziesiąt stron przeczytała w trzy wieczory, rzecz zdecydowanie wciągała. Trochę szorstka, czego należało się spodziewać, ale jak na debiut napisana z wyjątkowym przekonaniem. Historia miała epicki rozmach, akcja przenosiła się z Londynu przez Paryż do Bombaju, by na koniec wrócić do punktu wyjścia.

– I... hm... napisana językiem niezwykle erotycznym – powiedziała po chwili.

Stephen parsknął śmiechem.

– Rzeczywiście, żargon sprowadzony do poziomu minety. Doskonały podręcznik do łóżka.

– Brzmi interesująco – stwierdziła Trish, biorąc płaszcz. – Mogę przejrzeć w czasie



lunchu? – Zabrała manuskrypt i wyszła. Zapadła cisza.

– Przepraszam – odezwała się pierwsza Prudence.

– To ja przepraszam.

– Tak mi głupio.

– Mnie jest głupio...

Przerwał w pół zdania. Wróciła Trish. Chwyciła torebkę i wybiegła znowu. Prudence przeczesła ręką włosy.

– Steve, posłuchaj – zaczęła. – Przez całe życie starałam się być miłą osobą... Nie zazdrościłam Louise. Pracowałam ciężko i robiłam wszystko, żeby nie zawieść rodziców. Starałam się, żeby wilk był syty i owca cała. Zawsze pamiętałam o urodzinach różnych osób...

– przerwała. – A chcesz wiedzieć, jak się teraz czuję? Jak morderczyni. Siedzę w domu i marzę, żeby rozpadła się szczęśliwa rodzina z dwójką dzieci, które nigdy nic złego mi nie zrobiły i które bardzo kochają swojego ojca...

– Nie jesteśmy szczęśliwą rodziną. Kaatya i ja...

– Zamknij się! Ma ciebie, prawda? Mieszka z tobą. Ty i ja mamy tylko połowiczne życie, w zasadzie żadne życie, dwie godzinki tu, dwie godzinki tam, kradzione chwile, wiecznie się skradamy i czaimy! – Mówiła coraz głośniejsze. – Nikt nie może cię ze mną zobaczyć, znam cię od przeszło roku, a ty wciąż nie wiesz o mnie niczego. Przecież ty nawet nie poznałeś moich sióstr!

– Raz spotkałem...

– Ach, tak, Louise widziała cię z samochodu.

– Chcę je poznać.

Prudence umilkła, dysząc ciężko. Powinna dawać mu szczęście, a nie obwiniać i sprawiać, by czuł się winny. Jeśli dalej będzie postępować w ten sposób, ich miłość obumrze i zostaną z niczym.

– W porządku. – Podniosła głowę i popatrzyła na niego. – Teraz, kiedy Maddy wróciła, zaproszę ją na kolację. Zaproszę też tę Fox, żeby uczcić jej powieść. Sama wszystko przygotuję i przynajmniej raz spędzimy porządnie wieczór jak normalni ludzie. Dasz radę się wyrwać?

Stephen przytaknął skinieniem głowy. Siedział skulony jak uczeń besztany przez panią dyrektor. Po chwili jednak uniósł brwi i spod jasnej grzywki posłał jej łobuzerski uśmiech. Dzisiaj jednak jego urok na nią nie działał. Nie lubiła go równie mocno, jak sobą pogardzała.

Zadzwoił telefon na jej biurku. Stephen ujął jej rękę, pocałował ją i wyszedł z pokoju.

– We wtorek – powiedziała Prudence. – Możesz przyjść?

– Tak – odparła Maddy.

– Będzie tylko on... – Odczuwała skrepowanie, mówiąc o n. – On i ta kobieta, której powieść będziemy wydawać. – Zapatrzyła się w płonący na kominku ogień, nie bardzo wiedząc, jak ująć to, co chciała powiedzieć. – Widzisz, tylko chodzi o to, że on będzie mógł zostać najwyżej cztery godziny.

– I co z tego?

– A to... że chciałam cię prosić, żebyś nie siedziała do końca. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Dlaczego? – Maddy patrzyła na nią zdziwiona. Zaraz jednak pojęła, w czym rzecz. – Och. Dobra, nie ma sprawy.

– I zachowuj się dyskretnie. Błagam. Przed tą Fox.

Prudence odłożyła słuchawkę. Dalej siedziała zapatrzona w płomień swojego gazowego kominka. Niegasnące nigdy płomień, wieczne jak wieczna miłość. Czy jednak można im ufać? Wrzucamy do nich przeróżne śmieci – chusteczki, niedopałki – a one tkwią tam nietknięte, odporne na działanie ognia. Czy tak samo było z miłością, czy ona z równą siłą opierała się wszystkim brudom, które na nią spadały? A może po prostu były to tylko pozory – ogień, który wyglądał jak ogień, lecz tak naprawdę wcale nim nie był? Płomień miały w sobie coś niesamowitego, cechowało je jakieś wynaturzenie. Podobnie jak Stephen i ona budziły się do życia na kilka godzin tu, potem na chwilę gdzie indziej. Nie było w nich żadnej tłęcej się, wyzbytej z porządku normalności.

Maddy nie była podatna na męski urok. Prudence nie bez powodu denerwowała się, przedstawiając siostrze Stephena. Maddy była bardzo bezpośrednia, nieczuła na wszelkiego rodzaju komplementy i umizgi – tak naprawdę chyba nawet ich nie zauważała. Tym samym zasłużyła sobie na opinię osoby pozbawionej uroku. Nie była to prawda; ona po prostu nie wdawała się w tego rodzaju gierki. Nie interesowały jej podchody z przedstawicielami płci przeciwnej, uważała je za stratę czasu.

Dawniej było to źródłem kłopotów. Ilekroć Prudence przedstawiała jej swoich kolejnych chłopaków, nie wiedziała, wobec kogo powinna zachować lojalność. Postępowanie siostry drażniło ją – nigdy się nie malowała, a przecież mogłaby choć trochę się postarać. Irytowała się, gdy Maddy siedziała wyraźnie znudzona, by nagle uraczyć zgromadzonych wykładem na temat ludobójstwa w Ruandzie. Mimo to podziwiała ją za tę troskę o losy świata i bezkompromisowość. Przy Maddy jej mężczyźni nagle wydawali się beznadziejnie napuszeni i pewni siebie. Czy nie mogli, ze względu na nią, trochę bardziej się wysilić? Prudence aż skręcała się ze skrępowania, jednocześnie zawstydzona swoją trywialnością, modląc się w duchu, żeby Maddy nie siedziała rozkraczona jak stary kowboj. Potem pojawiała się myśl – skoro Maddy tak się o wszystkich troszczy, czy nie mogłaby części tej troski przelać także na nią? Gdybym była głodującym dzieckiem z Bangladeszu, bez wahania rzuciłaby mi się na pomoc. Jestem przecież jej siostrą i kocham ją bardziej niż wszyscy nieszczęśnicy z Bangladeszu razem wzięci. Dlaczego nie może choć trochę wysiłku włożyć w to, żeby sprawić mi przyjemność?

Przypomniała sobie jeden szczególnie niemiły wieczór z mężczyzną, który jej się podobał. W czasie kolacji Maddy nagle zaczęła się rozwodzić nad skandaliczną dziecięcą prostytutką w Bangkoku.

– Trzymają ją w zamknięciu – mówiła – i ledwie skończą jedenaście lat, bez przerwy gwałcą.

Tym sposobem udało jej się skutecznie położyć kres wszelkim nadziejom Prudence na zakończenie wieczoru w łóżku z wybrankiem. Prawdę powiedziawszy, wystąpienie Maddy położyło kres również i znajomości, po jej wyjściu bowiem Prudence pokłóciła się z nim wściekle o kontrolę napływu imigrantów i więcej się już nie zobaczyli. Następnego dnia

zadzwońiła do siostry z wymówkami, ona jednak nie uważała, żeby w jej zachowaniu coś było nie tak.

– Czy ty nigdy nie odczuwasz zmęczenia tym współczuciem? – spytała Prudence. – Jak zmęczenie materiału?

– To niemożliwe – odpowiedziała spokojnie Maddy – skoro żyjemy w takim świecie.

Kłopot w tym, że Maddy była naprawdę wspaniałą dziewczyną. Szczodłą, prawdomówną i lojalną. Przejmowała się głęboko sprawami, które inni ludzie zwykli ignorować. Prudence bardzo ją kochała. Ale kochała też Stepheną. Myśląc o środowym wieczorze, odczuwała zmęczenie, jeszcze zanim on się w ogóle rozpoczął.

Tymczasem Maddy starała się znaleźć jakąś pracę, tyle że nie bardzo wiedziała, co robić. Miała mieszkanie za darmo, w którym mogła się zatrzymać przez kilka miesięcy. Jego właścicielka, lekarz pediatra, wyjechała do Rumunii, gdzie pracowała w sierocińcu. Po jej powrocie Maddy będzie musiała rozejrzeć się za innym lokum, a wcześniej znaleźć pracę.

Siedziała w kuchni nad stroną z ogłoszeniami w „Guardianie”. Nie potrafiła się jednak skupić, tylko błędziła wzrokiem po otoczeniu. Wyjrzała przez okno do ogrodu. „Powinnaś coś z nim zrobić” – powiedziała Prudence. Ogródek był mały, ocieniony jakimś drzewem. Ostatnia burza złamała gałąź, która leżała teraz na ziemi jak amputowana kończyna, a jej świeżo odsłonięty środek wydawał się porażająco biały w świetle dnia. Były też jakieś zdziczałe krzewy, kawałek trawnika, zeszpecony dwoma gnijącymi piłkami i zaśmiecone betonowe patio. Tuż przy drzwiach do ogrodu stała stara kuchenka gazowa.

Po raz pierwszy w życiu Maddy zrozumiała postępowanie ludzi, pojęła, dlaczego odwracają się od świata i skupiają na własnych przyziemnych sprawach. Przeżycia z Nigerii pokonały ją, czuła się wypalona. Na co to wszystko? Była przerażona, bo nigdy wcześniej nie czuła się podobnie. Przez pierwsze dni po powrocie do Anglii wmawiała sobie, że należą się jej wakacje; odpocznie trochę, zapomni i zacznie wszystko od początku.

Problem jednak sięgał znacznie głębiej. Nikomu, nawet siostrą, nie opowiedziała o zdarzeniach z ostatnich kilku miesięcy. Nigdy zresztą nie przychodziło jej łatwo otworzyć się przed innymi ludźmi. Wstydziała się tego, co się stało; tak jakby ostatnie dwadzieścia jeden lat jej życia okazały się nic niewarte, bo nagle wszystko, w co wierzyła, zatrzęsło się w posadach. Patrzyła na zniszczoną kratkę pokrywającą ogrodowy mur. Nie, nie zatrzęsło się. Runęło i rozwiało się jak dym z papierosa.

W czasie przerwy na lunch we wtorek Prudence wybrała się do Soho. Był piękny dzień. Chociaż była już prawie połowa października, kawiarniane ogródki przy Old Compton Street pełne były ludzi, którzy wygodnie rozparci na krzesłach zza ciemnych okularów obserwowali przechodniów. Prudence ogarnął tak obcy jej figlarny nastrój. Uśmiechnęła się do zamiataacza ulic i pomachała ręką taksówkarzowi, który zatrzymał się, by przepuścić ją przez ulicę. Minęła Algerian Coffee Stores, z rozkoszą wdychając unoszący się aromat kawy. Usłyszała, jak wiatr porusza dźwięcznie dzwonkami zawieszonymi przed wejściem do tajskiej restauracji, ich melodia współgrała z radosnym rytmem jej serca. Robiła zakupy dla Stepheną. Ugotuje dla niego kolację i razem z nim, w towarzystwie gości, zasiądzie do stołu. Rzecz najzwyczajniejsza pod słońcem dla normalnych ludzi, dla niej tak nadzwyczajna! W blasku

południowego słońca nawet jej niepokój o zachowanie Maddy wydawał się słabszy.

Żona Stephen'a była wegetarianką. Prudence poszła do Bifulco i kupiła piękny kawałek wołowiny. Od lat już nie przygotowywała wołowiny, ale dzisiaj będzie kobietą szykującą posiłek dla swojego mężczyzny. Na targu przy Berwick Street grzecznie ustawiła się w kolejce. Jakże piękne i różnorodne były owoce i jarzyny ułożone w kolorowe sterty! Jej goście wyjdą wcześniej, a ona przytuli się do Stephen'a. Kupki ziemniaków leżały w otoczeniu kapuścianych liści, które obejmowały je w czułym uścisku, jak dłoń kobiety pieszcząca jądra ukochanego. Prudence posłała straganiarzowi czarujący uśmiech, a on nazwał ją „kochanie”.

Prudence kupiła ser, karczochy i gorący włoski chleb w Lina Stores. Wróciła do biura. Wszyscy bardzo cenili sobie przerwę na lunch, ale przez ostatni rok dla Prudence była ona świętością, porą dnia należącą do niej i Stephen'a. Prawie nigdy, z wyjątkiem rzadkich okazji, nie mogli być sami, więc ta godzina dziennie z nim tak nabrzmiała emocjami, że Prudence dochodziła do siebie przez resztę popołudnia. Wyobrażała sobie, że tak zapewne musi się czuć więźń spędzający na świeżym powietrzu zaledwie jedną godzinę w ciągu dnia.

Mieli ze Stephenem swoje ulubione miejsca – ławkę na Russell Square, różne puby znajdujące się w zapewniającej dyskrecję odległości od biura. Szczęście, jakie odczuwali, mogąc przebywać razem, przemieniało ich w turystów we własnym mieście. Kochankowie nie mają się gdzie podziąć i dlatego wszystko wydaje im się nowe i ciekawe. Zwiedzali galerie sztuki i obcałowywali się po kątach. Myszkowali po antykwariatach odwiedzanych przez amerykańskich profesorów; przerzucając kartki, pieścili się potajemnie, wsuwając sobie nawzajem ręce pod płaszcze. Pokazywali sobie budynki, podziwiając frontony i blanki, zadzierając głowy do góry, jak robią ludzie we wszystkich miastach, z wyjątkiem własnych. Dawali nawet pieniądze ulicznym grajkom. Nie mieli odwagi trzymać się za ręce, ale szli tak blisko siebie, że ich biodra stykały się i ocierały – byli tego samego wzrostu – aż pewnie szły iskry jak z samochodzików w wesołym miasteczku. To była ich godzina.

Dzisiaj jednak będzie go miała dla siebie dłużej, przez cały wieczór. Po raz pierwszy od przeszło miesiąca. Weszła do holu, gdzie Muriel powitała ją konspiracyjnym uśmiechem. Czyżby w końcu zaczęła coś podejrzewać? Kiedy Prudence znalazła się w swoim pokoju, z ulgą upuściła torby z zakupami.

Nagle zalała ją fala radości. Dzisiaj wieczorem wydarzy się coś niezwykłego, czuła to. Nie przeczuła jednak, że nie będzie to dotyczyło jej, lecz kogoś innego.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Stał za nimi Stephen z butelką szampana. Prudence zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Kochanie! Tak się bałam, że nie dasz rady przyjść.

To prawda, w przeszłości zawiódł ją niejeden raz. Postawił butelkę na podłodze, rozpiął Prudence bluzkę i wsunął jej ręce pod stanik.

Znowu zadzwieczał dzwonek. Prudence odskoczyła i szybko doprowadziła się do porządku.

Przyszła Maddy i Erin Fox.

– Spotkałyśmy się w progu – powiedziała Maddy. Zarumieniona Prudence przedstawiła ich wszystkim sobie.

– To moja siostra, Madeleine – Maddy. Erin, pozwól, to Stephen Miller, nasz dyrektor wydawniczy.

Ostatni raz Prudence widziała Erin w dniu, w którym ta wcisnęła jej do ręki swój manuskrypt. Cóż za wspaniała była z niej kobieta – wysoka, silna, o ostro zarysowanym nosie i splecionych w cienkie warkoczyki włosach. Miała na sobie aksamitną sukienkę i wysokie botki. Przy każdym ruchu pobrzękiwała jej biżuteria. Maddy natomiast jak zwykle włożyła dżinsy.

– Wszyscy jesteśmy bardzo podekscytowani manuskrytem *Igrajac z ogniem* – powiedział Stephen, napelniając kieliszek Erin. – Czy Liz przedstawiła ci już harmonogram?

– W przyszłym tygodniu jemy razem lunch – Erin mówiła głębokim, silnym głosem. Nie wyglądała na debiutującą pisarkę; zachowywała się tak, jakby publikacja jej powieści była dla niej czymś zupełnie naturalnym.

– Będziemy zachwyceni, jeśli przyjdiesz na naszą konferencję dotyczącą sprzedaży – powiedział Stephen. – No wiesz, poznasz ludzi z reklamy, pogadasz z przedstawicielami. Nudne, ale konieczne.

– Nie uważam, żeby to było nudne – zauważyła Erin. – Chcę, żeby książka się sprzedawała.

– Muzyka dla moich uszu. – Podał kieliszek Maddy, która jednak pokręciła odmownie głową. Nie piła alkoholu. – Zdziwiłabyś się, ilu pisarzy uważa swój czas za zbyt cenny na podobne rzeczy, a potem rozpacza, że ich książka nie ląduje na liście bestsellerów. Odkąd przejęły nas Unimedia, znacznie bardziej musimy się wysilać, żeby mieć dobre wyniki. Przenosimy się do kapitalnego nowego budynku przy rzece...

Prudence zwróciła się do Maddy.

– Przyniosę ci sok pomarańczowy – powiedziała i wyszła do kuchni.

Maddy podążyła za nią. Prudence otworzyła lodówkę.

– I co o nim myślisz? – spytała szeptem.

– Jak dla mnie, trochę nadęty – odparła Maddy.

– Denerwuje się. Och, błagam, bądź dla niego miła! Usiedli do stołu. Wcześniej Prudence rozsunęła go i zapaliła świece. Mimo to obecność Erin sprawiała, że pokój wydawał się mały i zagracony. Była niezwykle imponującą osobą, z każdego jej ruchu – nawet gdy odrzucała do tyłu swoje warkoczyki – emanowała pewnością siebie. Stojące na kominku za jej plecami bibeloty wydawały się niepozorne i drobnomieszczańskie. Przy pierwszym daniu mówiła prawie wyłącznie ona, a oni słuchali nabożnie, jakby rzuciła na nich urok. Prudence przyjęła to z wdzięcznością, gdyż w ten sposób stosunek jej siostry do Stephena zszedł zdecydowanie na dalszy plan.

– Jesteś równie wyzwolona i niezależna jak Maddy – zauważył Stephen, odrywając liść karczocha.

– Przez jakiś czas mieszkałam w Himalajach, gdzie fotografowałam tamtejsze plemię Kalaszów – powiedziała Erin. – Ich kobiety są wspaniałe: silne, wysokie, gwałtowne jak tygrysy. – Dotknęła ręką naszyjnika. – One mi to dały. Tylko one pracują, a mężczyźni siedzą i grają na fletach. Mężczyźni nie mają kompletnie nic do powiedzenia.

– Mówisz, jakbyś pracowała w naszym dziale wydawniczym – uśmiechnął się Stephen.

– Potem wróciłam i zaczęłam robić film w Hackney, w kooperacji z muzułmańskimi kobietami. Kręciłam dokument o mężczyźnie, który miał dwie żony.

Prudence zeszywniała. Czy Maddy nie palnie teraz jakiejś gafy?

– A ogrodnictwo? – spytał Stephen pośpiesznie.

– Wzięłam się do tego wspólnie z moją kochanką, ale w zeszłym roku się rozstałyśmy, ona wyjechała do Walii. Po prostu tym się teraz zajmuję. Kto wie, co będzie w przyszłym roku?

– Właśnie, kto wie? – powtórzył za nią Stephen. – To mi się podoba.

Niesamowite, z jaką swobodą wspomniała o tym, że miała kochankę! Nagle jego życie w Dulwich wydało mu się takie prowincjonalne.

– Tragedia polega na tym, że określamy się w zależności od płci, od tego, co robimy – powiedziała Erin. – Większość ludzi w trzech czwartych jest uśpiona – nie akceptuje siebie w całości.

Prudence wyniosła brudne naczynia do kuchni. Stephen poszedł za nią, niosąc butelkę z octem.

– Staram się wykorzystać tę nie zaakceptowaną część – powiedział, wskazując na swoje ręce. Odstawił butelkę i przybliżył się do Prudence. – Prawdę powiedziawszy, mam jeszcze jedną część, której użyłbym teraz najchętniej...

Prudence odepchnęła go.

– Robi wrażenie, prawda?

– Jest bardzo ewangelicka. I kompletnie pozbawiona poczucia humoru. Już ją sobie wyobrażam w Albert Hall.

Prudence odetchnęła z ulgą. Przez chwilę obawiała się, że Erin podoba się Stephenowi. Wielu mężczyznom podobają się silne kobiety o lesbijskich upodobaniach; prawdopodobnie budzi się w nich powołanie, by je nawrócić. Zniosła do jadalni warzywa.

Zanim Stephen zdążył pójść za nią, do kuchni weszła Maddy. Z hukiem odstawiła miskę z liśćmi karczochów.

– Bardzo się cieszę, że cię w końcu poznałem – powiedział na jej widok. – Dużo o tobie słyszałem.

– Co dalej zamierzasz z Pru?

– E... nie bardzo rozumiem?

– Jest taka nieszczęśliwa – powiedziała Maddy. – I tak wychudzona! Ledwo ją poznałam...

– Posłuchaj...

– I jest też cholernie samotna. Siedzi tu całymi dniami, czekając, aż zadzwonisz...

Stephen spojrzał w stronę drzwi.

– Słuchaj, sądzę, że nie powinniśmy...

– Odejdiesz od żony? Stephen umilkł.

– To trochę bardziej skomplikowane – odezwał się po chwili.

– Dla Pru wręcz przeciwnie. A tylko ona mnie obchodzi.

- To wszystko jest bardzo...
- Jest za miła. Zawsze była za miła...
- Ja jestem zbyt miły. W tym cały problem. Maddy wytrzeszczyła na niego oczy.
- Miły?

Weszła Prudence. Zatrzymała się, spoglądając na nich.

- Maddy... – zaczęła.
- On mówi, że jest za miły.
- Maddy, proszę cię! Nie zepsuj wszystkiego.

Maddy wzięła półmisek z ziemniakami i wróciła do pokoju. Prudence obróciła się do Stephena.

- Tak mi przykro – powiedziała.
- Niech to szlag.
- Jest bardzo lojalna. Raz w szkole złamali jej przeze mnie nos. – Ujęła go pod ramię. – Chodź, pomożesz mi nałożyć mięso. Upiekłam dla ciebie wołowinę.

Okazało się, że Erin nie jada mięsa. Prudence przeprosiła ją bardzo i pokroiła ser. Erin nie miała nic przeciwko temu. Gdy Prudence później przypominała sobie tamten wieczór – co, powodowana pełną fascynacji ciekawością, robiła nader często – zrozumiała, że obecność jednej egocentrycznej osoby w przedziwny sposób wyzwała wszystkich pozostałych. Nikt nie czuje się skrepowany, ponieważ nikt tego nie zauważa. Dla kogoś tak na wskroś angielskiego jak Prudence była to prawdziwa ulga. Czuła się rozgrzeszona ze swojej nadmiernej wrażliwości.

Erin opowiadała im o swoim życiu. Okazało się, że ma dziewięcioletnią córkę o imieniu Allegra.

- Chciałam mieć dziecko, więc je sobie urodziłam – oznajmiła, przeżuając ziemniaka.
- Tak po prostu? – spytał Stephen.
- No, najpierw musiałam kogoś zerznąć.
- No, tak – odparł. – A czy ten ktoś wiedział, jaki masz cel?

Erin pokręciła głową.

- Kto to był? – zainteresowała się Prudence.
- Architekt. Oczywiście bezrobotny. Jak oni wszyscy. Stephen roześmiał się.
- Cóż, przynajmniej jedno udało mu się wznieść. Prudence wybuchnęła śmiechem.

Maddy patrzyła na Stephena.

- Cóż za odrażający żart – powiedziała. Prudence zamarła. Erin dziobnęła fasolkę.
- Cóż, skoro już o tym mowa, to miał pewne problemy. Ale wtedy puściłam taśmę, której zwykle używam.
- Używasz? – upewnił się Stephen.
- Z muzyką – wyjaśniła Erin.

Cała trójka gapiała się na nią, oniemiała i wstrząśnięta. Mieszkanie nagle stało się maleńkie i staropanieńskie. Jaką muzyką? Czy to coś, o czym tylko lesbijki wiedzą? Nikt jednak nie miał odwagi zadać pytania. Prudence pokroiła jeszcze kilka plasterów wołowiny, przypominając sobie swoje jedyne doświadczenie z kobietą. Koleżanka ze szkoły o imieniu

Jemima zostawszy pewnego razu u niej na noc, wsunęła w nią tampon Tampax i oświadczyła: „A teraz będziesz miała orgazm”.

Stephen, choć zafascynowany Erin, wołałby, żeby już sobie poszła. Chciał iść z Prudence do łóżka. Za parę godzin będzie musiał wracać do domu. Erin nie śmiała się z jego dowcipu – nie najgorszego, zważywszy na okoliczności – a on nie lubił kobiet pozbawionych poczucia humoru. Była to główna wada jego żony, ale w jej przypadku mógł ją tłumaczyć fakt, że była cudzoziemką. Kaatya i Erin miały ze sobą nieco wspólnego – obie były wegetariankami, lubowały się w dziwacznych strojach i emanowało z nich podobne napięcie. Stephen umoczył kawałek chleba w sosie. Nie chciał teraz myśleć o swojej żonie.

– Czy to twoja pierwsza powieść? – spytała Prudence. Erin przytaknęła.

– Zawsze chciałam ją napisać, ale nigdy nie miałam czasu. – Powiedziała to tak, jakby załatwiła sprawę między śniadaniem a obiadem.

– Cóż, mam nadzieję, że nie będzie ostatnia – odezwał się Stephen. – Lubimy, kiedy nasi pisarze są produktywni.

– Przecież to nie krowy – powiedziała Maddy. Stephen skwitował jej uwagę śmiechem.

– Och, paru można by w ten sposób określić.

Prudence znowu zeszywniała. Czy teraz w końcu Maddy nie wytrzyma? Podobnie było, gdy spotykała się z ojcem. Lecz Maddy zdawała się nie słyszeć, pogrążona w rozmowie z Erin. Prudence zebrała ze stołu talerze.

Przygotowała ulubiony deser Stephena. Gdy jedli, czuła, że atmosfera robi się coraz bardziej gęsta. Maddy i Erin rozmawiały o fatalnych skutkach pożyczki, jakiej Bank Światowy udzielił krajom rozwijającym się. Prudence to nie interesowało; wczuwała się w narastające pomiędzy wszystkimi napięcie. Czy było to wrogie nastawienie Maddy do Stephena? Siostra siedziała z zarumienioną twarzą i błyszczącymi oczami. Być może tak bardzo podnieciła ją dyskusja na tematy polityczne. A może napięcie promieniowało od Stephena, marzącego, by móc wreszcie zerwać z niej ubranie. Dwukrotnie już zerknął na zegarek – nerwowy tik cudzołożnika. Nienawidziła go za to, zniechęciła również jego zegarek. Przez chwilę nienawidziła nawet swojej siostry za jej gwałtowną i niewczesną lojalność. Spojrzała na Maddy i przemknęło jej przez myśl, że siostra ma wyjątkowy talent do psucia zabawy. W tym momencie zniechęciła siebie za tę myśl.

Problem w tym, że była to prawda.

– Przepraszam – powiedział Stephen. Zsunął się z Prudence i leżał zapatrzony w sufit.

– Nic nie szkodzi – skłamała.

– Twoja siostra naprawdę potrafi...

– Wiem.

Leżeli oddaleni od siebie o tysiące kilometrów.

– To dziwne, ale ta scenka w kuchni przypomniła mi moją ciotkę Madge, która przy okazji podobnych spotkań zawsze wypomina mi moje kiepskie maniery.

– Nigdy nie poznałam twojej ciotki Madge – powiedziała Prudence.

Wstał z łóżka i wziął swoje bokserki.

– Właśnie dlatego.



– Wcale nie dlatego.

Znieruchomiał z bokserkami wciągniętymi dopiero na jedną nogę.

– Któregoś dnia poznasz, obiecuję. Prudence leżała, obserwując, jak się ubiera. Ukradkiem spojrzął na stojący przy łóżku zegarek.

– Wybacz mi – powiedział.

– Nie gniewaj się, że chciałam tak szybko wyjść – powiedziała Maddy. – Chodzi o to, że on posuwa moją siostrę i chciał jeszcze dzisiaj zdążyć, zanim będzie musiał wracać do żony.

– Więc lepiej niech się pośpieszy – zauważyła Erin. – Już prawie zasypiał.

– Chyba nie powinnam była ci tego mówić. Tym bardziej, że jesteś teraz jednym z ich autorów.

– A kogo to obchodzi? – Erin zaparkowała przed domem Maddy i zgasła silnik. – Cieszę się, że się poznałyśmy.

Zapadła cisza. Ulica była pusta, jakby ktoś rzucił na nią czar.

Nic się nie poruszyło – żaden listek, ani jeden papierek na chodniku.

– Naprawdę? – spytała Maddy ze ściśniętym gardłem. Erin skinęła głową. Maddy wbiła wzrok w stojący przed nimi samochód. Nagle poczuła, że Erin ujmuje jej twarz. Obróciła się. Erin pocałowała ją w usta. Rozchyliła jej wargi, ich języki się spotkały. To był głęboki, długi, gorący pocałunek. Maddy siedziała jak sparalizowana.

Erin odsunęła się i spojrzała na nią z uśmiechem.

– Rozluźnij się – powiedziała.

Odgarnęła włosy Maddy i znowu ją pocałowała. Tak dziwnie Maddy nie czuła się nigdy. Miała wrażenie, jakby jej ciało otwierało się, budziło z długiego, trwającego całe życie snu, niczym księżniczka, z której wreszcie zdjęto zaklęcie.

Erin dotknęła jej ust.

– Przez cały wieczór marzyłam, aby to zrobić – powiedziała niskim, wibrującym namiętnością głosem.

Maddy otworzyła drzwi i wysiadła z furgonetki.

– Dobranoc – wykrztusiła rozdygotana.

– Masz mój telefon. Zadzwoń.

Maddy pobiegła do prowadzących do mieszkania schodów. Za jej plecami furgonetka zawróciła i odjechała.

## Rozdział piąty

– Naprawdę to zrobiła? – Louise przysłoniła usta dłonią. – Biedny Stephen!

– To wcale nie jest zabawne. – Prudence z trudem hamowała śmiech.

– Kochana stara Maddy – powiedziała Louise. – Pamiętasz Hansa, tego chłopaka z Niemiec? Zapytała go, czy jego ojciec jest nazistą.

Dojechały do Russell Square. Prudence szybko chwyciła siostrę za rękę.

– Tam idzie!

W pewnej odległości od nich, częściowo przysłonięty drzewami Stephen zmierzał do baru.

– Tam chodzicie na lunch? – spytała Louise.

– Czasami.

– Nie jest wam zimno? Prudence pokiwała głową.

– Dosłownie zamarzamy. Cudzołożne życie nie służy krążeniu.

Był piątek i umówiły się ze Stephenem na lunch. Pomysł wyszedł od Prudence, która miała nadzieję, że spotkanie z Louise chociaż częściowo złagodzi niesmak po tragicznym wtorkowym wieczorze z Maddy. Louise powinna oczarować Stephena, jak zresztą wszystkich. Między innymi dlatego właśnie w przeszłości Prudence niechętnie przedstawiała swoich chłopaków siostrze. Nie dlatego, że Louise by ich jej odbiła. Nie, do tego nigdy w życiu by się nie posunęła. Czasem po prostu wołała nie ryzykować.

Z drugiej strony lubiła chwalić się siostrą. Dzisiaj Louise wybrała się na zakupy. Miała na sobie nowy niebieski żakiet ze sklepu Nicole Farhi przy New Bond Street. Gdy szła, jej włosy unosiły się i opadały. Mężczyźni odprowadzali ją wzrokiem, rzadko jednak zdarzało się, by któryś na jej widok zagwizdał – była na to zbyt piękna. Ale gdy przeszła, ze zdumieniem stwierdzali, że nuca radośnie pod nosem. Promieniował z niej jakiś szczególny blask kobiety, która wydaje pieniądze swojego męża i która nie musi płacić swoich mandatów za złe parkowanie.

Prudence i Louise podeszły do Stephena. Siedział na plastikowym krzeselku, tyłem do nich. Prudence nie widziała się z nim jeszcze tego dnia; całe przedpołudnie spędził na zebraniu. Gdy się zbliżyły, zauważyła rzecz niezwykłą – znad jego głowy unosił się dym z papierosa.

– Stephen?

Obrócił się, ale nie wstał z krzesła.

– To moja siostra, Louise... – przerwała w pół słowa. – Co się stało?

Zaciągnął się głęboko papierosem.

– Zwolnili mnie.

Louise mierzyła swojego męża rozognionym wzrokiem.

– Jak możesz nazywać to prawami rynku? Do przyszłego tygodnia ma opuścić swoje biuro!

Imogen grzebała w torbie z zakupami.

– Masz dla mnie rajstopy?

Louise wyciągnęła worek z Sock Shop i wręczyła córce. Dopiero co wróciła z Londynu. Robert przygotowywał gin z tomkiem, a dzieci pałętały się wokół, przeszukując torby, które przywiozła.

– Byłaś w Red or Dead? – spytała Imogen.

– Tak, byłam w Red or Dead. – Louise znowu zwróciła się do Roberta: – Wyrzucili dziesięciu pracowników, nawet staruszka, który pakował paczki.

– Kupiłaś mi bluzkę? – marudziła córka. Louise rzuciła w nią paczką.

– Tym razem czarną, dobrze? Tak dla odmiany. – Wzięła od męża szklanę z drinkiem. – Ci obrzydliwi wyzyskiwacze wszystko przejęli.

Teraz w torbach zaczął myszkować Jamie.

– Kupiłaś mi płytę?

– Sępy! – Podała synowi płytę kompaktową. – I puszczaj ją tak, żeby nie słyszała. – Usiadła przy stole. – Wchłaniają, racjonalizują czy jak tam jeszcze nieludzko to nazywacie...

– Przecież ja tego nie zrobiłem – zaprotestował Robert.

– Taka miła, staroświecka firma rodzinna, której naprawdę zależało na książkach...

– Kochanie, przecież ty i tak czytasz wyłącznie „Hello!”...

– A ludzie tacy jak Stephen, naprawdę mili, którzy całe swoje życie poświęcili literaturze, są traktowani jak zużyte chusteczki do nosa, tak po prostu wyrzucani...

– Czemu tak się tym przejmujesz? – nie wytrzymał Robert. – Czy dlatego, że on rżnie twoją siostrę...

Spojrzała nerwowo na dzieci.

– Robert!

– I tak nie słuchają. Są na to zbyt egocentryczni.

– Chodzi o to, że ujmujesz to w taki wulgarny sposób.

– Wybacz mi, o córo budowlańca – powiedział. – Azaliż ty nigdy nie słyszałaś wulgarnego języka?

– Owszem, ale ty chodziłeś do Charterhouse\* [Charterhouse – prywatna szkoła w Londynie, zbudowana w 1611 roku.]

– Wiem o Stephenie – wtrąciła Imogen. – Ma dwóch synów. Jeden z nich złamał sobie rękę, kiedy grał w piłkę. Mieszkają w Dulwich.

Louise spojrzała na córkę zaskoczona.

– Skąd wiesz?

– W Wielkanoc słyszałam, jak ciocia Pru rozmawiała z nim przez telefon.

– OK – roześmiał się Robert. – W takim razie możemy mówić otwarcie. Jamie, Imogen, macie prawo głosu. Czy chcecie podzielić się swymi przemyśleniami na temat współczesnych metod zarządzania i ich wpływu na cudzołóżne stosunki?

Młodzi wzruszyli ramionami. Louise podniosła się.

– Idę przygotować kolację. Wykopaliście pory? – zwróciła się z pytaniem do dzieci, jednak odpowiedzi się nie doczekała. – Przecież dzwoniłam!

– Owszem – powiedział Jamie. – W samym środku *Sąsiadów*.

Louise westchnęła. Skierowała się do tylnych drzwi, zdjęła z wieszaka stary płaszcz, którego używała do prac w ogrodzie, i wymaszerowała w ciemność.

Życie uczuciowe Maddy nigdy nie należało do satysfakcjonujących. Jej pierwszy kochanek miał na imię Jake. Był przyzwoitym, brodatym mężczyzną, który prowadził plac zabaw w Stockwell, gdzie Maddy pracowała. Pozbawił ją dziewictwa w sposób tak łagodny, że prawie tego nie zauważyła. Przez dwa lata razem pracowali, budując różne ścieżki z przeszkodami, pomieszczenie klubowe i salę do gry w pingponga. Razem stawiali czoło przeciwnościom – młodocianym gangom z pobliskiego osiedla notorycznie niszczącym ich plac i miejscowym władzom, które groziły, że go zlikwidują, a na jego miejscu wybudują bloki. Jake był świętym człowiekiem. Ze stoickim spokojem wstawiał szyby w miejsce powybijanych i usuwał zniszczenia. Jak wszyscy dobrzy ludzie nie potrafił wzbudzić w sobie nienawiści do człowieka, jego złość skupiała się wyłącznie na czynach, których ów człowiek się dopuszczał. Z początku Maddy go za to podziwiała, z czasem jednak zaczęło ją to przygnębiać. Dlaczego nie było go stać na zdecydowany sprzeciw, czemu nie walczył? Ich związek, od początku wyzbyty wszelkiej pasji, umarł śmiercią naturalną. Przestała uważać go za kochanka łagodnego, zaczął ją po prostu nudzić. Może zawsze tak uważała, a używała tylko niewłaściwego słowa, co zresztą było jej słabą stroną. Z czasem nie łączyło ich już nic poza przyjaźnią i z ulgą przyjęli, że obyło się bez zbędnych emocji. Później Jake odkrył Boga i narodził się na nowo jako chrześcijanin, co bardzo do niego pasowało. Ze swoją brodą, talentem do stolarki i nieograniczonymi zasobami współczucia zawsze przypominał Jezusa.

Wszystkie jej kolejne związki niewiele różniły się od tego pierwszego. Spotykała mężczyznę. Zaprzyjaźniali się, by w końcu wylądować w łóżku. Lubiła seks, ale traktowała go wyłącznie towarzysko. Dwa ciała, ocierające się o siebie w komicznych podrygach; krótka chwila rozkoszy, po której obie strony zdrowo i spokojnie przesywały noc. Nie mogła pojąć, dlaczego ludzie robią wokół tego tyle zamieszania. Och, było to oczywiście przyjemne, ale spokojnie mogła się bez tego obejść. Co też z powodzeniem przez lata czyniła.

Przez cztery dni zbierała się, żeby zadzwonić. W końcu to zrobiła. Erin powiedziała, że po południu wpadnie. Była bardzo konkretna, ale też w końcu miało to być spotkanie w interesach.

Maddy siedziała na krawędzi wanny i przyglądała się swemu odbiciu w lustrze. Łazienkę oświetlała mleczna jarzeniówka zawieszona u sufitu, pełna zdechłych much. Przez szkło widziała ich martwe ciała. Nagle aż nadto wyraźnie ujrzała wszystko, co ją otaczało. Co ona robiła przez całe życie?

Po raz pierwszy od wielu lat przyjrzała się swojej twarzy naprawdę dokładnie. Opalenizna już prawie całkiem zbladła i w ostrym świetle jej skóra wyglądała szaro. Grzywkę miała obciętą równo nad brwiami. Od lat tak się czesała, bo było najprościej. Ale przy takiej fryzurze jej twarz wydawała się ciężka, grubo ciosana. Kwadratowa szczeka, uparta dolna warga. Zawsze miała wrażenie, że nie pasuje, zupełnie, jakby jej rodzice znaleźli ją na progu i z dobroci serca przygarnęli. I pewnie dlatego właśnie nie potrafili się nawzajem zadowolić.

Później przypominała sobie tę chwilę, gdy siedziała w obskurnej łazience, oparta o obłącającą z farby ścianę. Wydawało jej się, że stoi na krawędzi swego starego życia, chwytając

się i chybotając. Przed nią rozciągała się otchłań. Czy ośmieli się skoczyć w nieznane? Piętro wyżej jakaś kobieta wrzasnęła: „Damon!” Usłyszała szcęk garnków. Na górze ludzkie życie toczyło się jak gdyby nigdy nic. Czy to nie dziwne?

Zadzwoił dzwonek. W drzwiach stała Erin. Maddy kiwnęła głową na powitanie i wpuściła ją do środka. Otworzyła drzwi do ogrodu i wyszła na patio. Tuż obok nieomal namacalnie wyczuwała obecność Erin. Kopnęła walającą się na patio butelkę.

– Widzisz – powiedziała, zataczając ręką krąg. – Chciałabym to jakoś doprowadzić do ładu, żeby odwdzińczyć się kobiecie, od której wynajmuję mieszkanie. Może wysiać od nowa trawnik? Ten cały poprzeraśtał mchem, nie wydaje ci się? – Czuła, że papple jak idiotka. – Tylko nie wiem, ile by to kosztowało...

Zachodzące słońce zabarwiło na złoto opuszczony ogród. Gdzieś bardzo blisko rozspiewał się kos. Erin obróciła się w jej stronę.

– Nie zaprosiłaś mnie tutaj, żebym oglądała twój ogród.

Erin rozpięła koszulę Maddy i wolniutko przesunęła palcem po jej szyi. Opuszkami dotknęła wgłębienia u jej nasady, przez skórę wyczuwając delikatny puls. Pocałowała to miejsce, całując jednocześnie własny palec i tym samym stając się częścią pulsującej w ciele Maddy krwi. Sięgnęła do swojej torby i wyjęła z niej flaszeczkę z olejkiem. Kilka jego kropli upuściła na swój palec, dotknęła szyi Maddy, namaściła jej skronie. Od zapachu olejku Maddy zawiroowało w głowie. Erin muskała teraz palcami jej piersi. Robiła to tak delikatnie i czule, jakby ciało Maddy pokryte było alfabetem Braille’a, a ona próbowała je odczytać.

– Masz cudowną skórę – wymamrotała Erin.

– Naprawdę?

– Czy nikt ci nigdy nie mówił, że jesteś piękna? Maddy potrząsnęła głową.

– Dotykali cię... ale nikt nigdy nie dotykał cię tak naprawdę, mam rację... ? – Przesuwała rękami po całym ciele Maddy. – Tutaj... i tutaj... ani tutaj... i w taki sposób...

Maddy pokręciła głową. Siedziała na łóżku z obnażonymi ramionami i piersiami, a koszulę, którą Erin z niej zdjęła, miała zwiniętą w pasie. Czuła się jak obierany ze skórki owoc.

– Czy czujesz, jaka jesteś piękna? – mruzczała cicho Erin. Pochyliła się i polizła brodawkę Maddy. Dreszcz przeszył jej ciało.

– Ja nigdy... – zdołała tylko powiedzieć.

– Wiem.

– Pocałuj mnie.

Erin pocałowała ją – był to długi, namiętny pocałunek. Serce Maddy się otworzyło. Nieśmiało pogładziła Erin po twarzy. Wsunęła rękę pod haftowany zakiet Erin, pod satynową bluzkę i dotknęła jej ramienia. Jakaż gładką miała skórę! Co za niesamowite uczucie dotykać skóry równie gładkiej jak własna! Z wahaniem zaczęła ją pieścić.

– Masz świecę? – spytała Erin.

Maddy zeszywniała. Co ona chciała jej zrobić? Cofnęła rękę.

– Po prostu ten pokój jest taki smutny.

Niczym magik, Erin wyjęła z torby szal i zarzuciła go na lampę. W jednej chwili

obskurny pokój stał się innym miejscem, skąpanym w różowawej poświacie.

– Kochanie, musisz się nauczyć kochać samą siebie. Uwolniła Maddy z płaczącej się wokół jej talii koszuli, po czym sama zdjęła żakiet i bluzkę. Nie nosiła żadnej bielizny. Miała duże, ciężkie piersi z ciemnymi brodawkami. Maddy obróciła się ku niej i wtuliła w nią twarz, wdychając zapach jej włosów i olejku, którym natarła sobie szyję. Przesunęła twarz w dół i poczuła ostry, zwierzęcy zapach dochodzący spod pachy Erin. Zadrżała.

Erin położyła ją na łóżku. Ułożyła się obok i odsunęła włosy z twarzy Maddy.

– Jesteś tu w końcu – powiedziała cicho. – Czy to nie cudowne, że dotąd nie miałaś nawet pojęcia, na co tak naprawdę czekasz?

Maddy dygotała, słuchając jej głosu. Erin całowała jej ciało, delikatnie, ledwie muskając jej skórę ustami. Dotknęła pieszczotliwie jej ust.

– Całe twoje piękno... czekało na mnie...

Maddy leżała, dygocząc cała, gdy Erin rozpiniała zamek w jej dzinsach. Zsunęła je wraz z majtkami i rzuciła na podłogę. Teraz rozebrała się sama. Dwie kobiety leżały obok siebie, przylegając do siebie nagimi ciałami. Erin pieściła brzuch Maddy, pieściła jej uda. Pieszczotami budziła ją do życia. Ręce Erin znały jej ciało, jakby to jej własne ręce po nim Hredrowły, rozpalając w nim nie znany jej dotąd ogień.

Gdy było po wszystkim, Maddy rozszlochała się. Erin spoglądała na nią z czułością i koniuszkiem koldry ocierała jej z oczu łzy.

– Przepraszam – wyszeptwała Maddy.

– Za co?

– Ostatni raz płakałam jako dziecko. – Splotła palce z palcami Erin. – Czuję...

– Co czujesz, ukochana moja?

– Czuję, jakbym wróciła do domu.

Erin objęła ją ramionami. Ich ciała były śliskie od poru. Utuliła Maddy, która skryła twarz na jej ramieniu.

– Nigdy nie przypuszczałem, że mnie to spotka. – Stephen duszkiem wypił swój gin z tonikiem. – Czytywałem o tym artykuły w „Independent”, ale tak, jakbym czytał o trzęsieniu ziemi w Korei.

– Zwracałeś się już do kogoś? – zapytała Prudence. Siedzieli w pubie przy Goodge Street. Była pora lunchu. Odkąd go zwolnili, minął tydzień. – Zrobiłeś listę?

Skinął głową. Marzył o kolejnym drinku, ale czuł na sobie badawcze spojrzenie Prudence.

– Random House, Reed...

Miał znajomych w większości wydawnictw. Wielu z nich uważał za przyjaciół, ale nagle wyrosła pomiędzy nimi bariera nie do przebycia. Och, wszyscy naturalnie mu współczuli, czytali notatkę o jego zwolnieniu, którą zamieścił „Bookseller”, ale nie mogli mu pomóc i właśnie dzwonił u nich drugi telefon.

– Wszyscy, z którymi chcę porozmawiać, nagle są na zebraniach. To doprawdy niesamowite. Zupełnie jakbym zapadł na jakąś zakaźną chorobę. Zresztą czuję się chory.

Nagle poprosił Prudence, żeby szybciej dokończyła swoje wino, bo nie mógł się już

doczekać, żeby zamówić kolejne drinki.

– Och, Steve... – Poglądziła delikatnie jego palce. Patrzyła na niego, a twarz miała szczerą i mądrą. Prudence była jego pograżonym w smutku, nie kryjącym współczucia przyjacielem – znacznie bliższym niż żona – ale nawet ona go nie rozumiała. Ona była bezpieczna. Brązowe włosy miała spięte aksamitną kokardą – zawsze tak się czesała do biura; nosiła niebieską bluzkę i żakiet, surowe w stylu, pozbawione jakichkolwiek ozdób. Była osobą pracującą. A on znalazł się nagle w dziczy, zimnym, targanym wichurami miejscu, w obcym mu, zewnętrznym świecie. Nie był w nim sam, wypełniali je inni ludzie, jak on bezrobotni – dotąd martwe liczby statystyk. Wiedział, ile osób straciło pracę, ale jakoś mu to nie przynosiło ulgi. Nadal czuł się całkowicie i beznadziejnie sam. I umierał ze strachu.

– Gdzie to jedzenie? – Spojrzał w stronę lady. – Przecież tylko muszą je wsadzić do mikrofalówki. – Podniósł szklankę. – Zamówię nam jeszcze po jednym.

Prudence patrzyła, jak podchodzi do baru. Odniosła wrażenie, że się skurczył, miał skulone ramiona. Być może wyglądał tak, bo zamiast marynarki nałożył dzisiaj sweter, ale naprawdę wyglądało to, jakby ktoś spuścił z niego powietrze. Biedny Stephen. Co on teraz, na Boga, pocznie? Dostanie jakąś odprawę, ale nie będzie tego zbyt dużo, w Beveridge i Bunyan pracował zaledwie trzy lata.

Pytanie brzmiało: czy znajdzie jakąś pracę? Tylko w ubiegłym tygodniu Viking Penguin ogłosił, iż zwalnia kolejnych trzydziestu pracowników. Spojrzała na Stephena. Stał przy barze i drapał się w kark. Nagle popatrzyła na niego tak, jak widzieli go inni – oto mężczyzna, którego głównym atutem był wdzięk, co w dzisiejszych czasach stanowiło kapitał zdecydowanie niewystarczający. Mężczyzna o niezbyt imponującym przebiegu kariery, nigdzie dłużej nie zagrzewający miejsca, który z trudnych sytuacji wyplątywał się głównie dzięki pomocy zdolnych i lojalnych asystentek i który mógł się pochwalić kilkoma niewiele wartymi koneksjami. Dobre towarzystwo na lunch.

Stephen zamówił drinki. Przyjrzał się innym stojącym przy barze mężczyznom. Czy któryś z nich był w sytuacji podobnej do jego? Czy patrząc na niego, domyślali się, że właśnie stracił pracę? Był pewny, że to się rzucało w oczy. Lada moment Prudence będzie musiała wracać do biura, ale on będzie mógł przesiedzieć tu całe popołudnie. Jego dzień stał się bezkształtny, zupełnie jakby elastyczna taśma przytrzymująca jego życie nagle pękła. Chwilę trwało, zanim zdołał sobie przypomnieć, jaki był dziś dzień.

Spróbował wziąć się jakoś w garść. Przecież bez pracy był zaledwie od tygodnia, nawet nie zaczął jeszcze tak naprawdę rozglądać się za czymś. Ale już czuł się zdemoralizowany. Jak ludzie znosili to miesiąc po miesiącu, rok po roku, wypełniając kwestionariusze, w których musieli podać liczbę ukończonych fakultetów – na miłość boską! – by w odpowiedzi otrzymywać grzeczne odmowy. „Niestety, inni kandydaci lepiej spełniają nasze oczekiwania... życzymy jednak Panu powodzenia w przyszłych staraniach... „ Dobrze wiedział, jak wyglądają podobne listy, ponieważ sam niejednokrotnie je pisał.

Zapłacił za drinki. Przeliczył resztę i schował do kieszeni. Jego podejście do pieniędzy już uległo zmianie. Zamiast napływać regularnie, jak morskie przyływy wypełniające zatokę, teraz stały się czymś ograniczonym, topniejącym z każdą przeprowadzoną transakcją.

Nie panikuj, pomyślał. Nie martw się o czesne chłopców. Nie myśl.

Wrócił z drinkami do Prudence, która zaczęła mu opowiadać o jakichś kłopotach w pracy – członek rządu awanturował się o okładkę swojej nowej książki. Myśli Stephena pozęgłowały w innym kierunku. Dziwne, że jeszcze tak niedawno to wszystko go interesowało – biografie, powieści, nawet książki kucharskie pisane przez sławnych ludzi. A teraz, gdy już kto inny był za to odpowiedzialny, nagle przestało się liczyć, stało się zupełnie bez znaczenia. Wszystkie te wydawane tydzień po tygodniu książki, bez których tak naprawdę świat mógł się całkiem dobrze obejść. Nie od dziś ta myśl go prześladowała, ale dopiero teraz nabrał co do tego pewności. Prawdę powiedziawszy, już o nich wszystkich zapomniał.

– Czy komuś już zaproponowali moje stanowisko? – zapytał. Potrząsnęła głową.

– Myślę, że to będzie ktoś z zewnątrz. – Poglądziła go po policzku. Teraz, kiedy przestali pracować razem, nie musieli się już tak kryć. A może po prostu litowała się nad nim.

– Co w domu? – spytała.

– Stara się być miła, ale czuję, że jej przeszkadzam. Przeszkadzam. – Zamieszał cytrynę w swoim drinku. – Przyzwyczała się, że w ciągu dnia jest w domu sama. Robi te swoje okropne collage'e i potrzebuje dużo miejsca. Myślę, że najchętniej by mnie posprzątała. Najbardziej lubię, gdy mogę jechać po chłopców do szkoły. – Popatrzył na nią. – Bardzo za tobą tęsknię.

– Budzę się rano i myślę o tych wszystkich rzeczach, które chcę ci powiedzieć. Jeszcze tylko godzina, myślę sobie, i będę w biurze. A potem do mnie dociera.

Wziął papierosa z jej paczki i zapalił. Po dwudziestu latach znowu zaczął palić.

– Słuchaj, w piątek zawozimy chłopców do mojej matki na weekend. Coś wymyślę i dołączę do nich dopiero w sobotę.

– Co jej powiesz?

Spojrzał na nią z czułością przez dym z papierosa.

– Tak bardzo cię kocham. Parsknęła śmiechem.

– To właśnie jej powiesz? Pokręcił głową.

– Powiem jej, że jadę na noc do Nuneaton.

– Nuneaton? Nikt nie jeździ do Nuneaton.

– Ja jeżdżę. Mój znajomy Edmond prowadzi tam firmę wydawniczą. Powiem, że jadę do niego się poradzić.

– To znaczy... że spędzimy razem całą noc? Potwierdził skinieniem głowy.

Zgasiła papierosa.

– Nagle zrobiłam się strasznie głodna.

Stephen poszedł do baru, żeby upomnieć się o jedzenie. Tego dnia Prudence pozwalała mu zająć się wszystkim. Chciała, żeby poczuł się mężczyzną – dopilnował czegoś, nawet jeżeli był to tylko lunch.

Pomachał kwitkiem w stronę mężczyzny za barem.

– Jest jakaś szansa na numer dwadzieścia cztery? Lasagne i tikka z kurczaka?

Facet odszedł, po czym za chwilę wrócił.



– Wybacz, stary. Kucharz mówi, że to zamówienie do niego nie dotarło. Mamy chwilowy zator. Trzeba jeszcze trochę poczekać.

Odwrócił się, żeby obsłużyć kogoś innego. Stephen nie ruszył się z miejsca. Jego chwilowy optymizm gdzieś się ulotnił. Ten facet wiedział. Wyczuł, że Stephenowi nigdzie się nie śpieszy, że najpierw trzeba obsłużyć innych klientów. Stephen stał się nikim i chyba powinien zacząć się do tego przyzwyczajać.

Wrócił do Prudence. Kiedy powiedział jej, co się stało, spojrzała na zegarek.

– Cholera! O pół do trzeciej mam spotkanie.

– W takim razie idź. – Jego głos zdradzał, że użala się nad sobą. – Nie przejmuj się mną.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

– Nie wyglupiaj się. Przecież wiesz, że nigdzie nie pójde. – Uśmiechnęła się do niego. – Porozmawiajmy o piątku.

– Zawsze myślałam, że to moja wina – powiedziała Maddy. – Że nie układa mi się z mężczyznami.

Erin potrząsnęła głową.

– Nie twoja, tylko ich. – Gładziła piersi Maddy. – Ach, żeby wiedzieli, co tracą. Masz w sobie tyle seksu... jak pantera... jesteś cudowna.

– Nigdy wcześniej tak się nie czułam.

– Wiesz dlaczego? – Ujęła Maddy za rękę. Powąchała jej palce, po czym ucałowała każdy po kolei. – Bo twoje palce to moje palce... a moje to twoje... moja słodka.

Leżały na łóżku. Wokół nich, ustawione na spodkach, migotały świece. Maddy położyła głowę na brzuchu Erin. Pogłaskała wilgotną kępkę kręconych włosów łonowych; przesunęła palcem po tatuażu na udzie Erin. Przedstawiał małego, błękitnego delfinka.

Ciało Erin zachwycało ją. A zachwycając się nim, zachwycała się ciałami wszystkich kobiet. Minione dwa tygodnie całkowicie ją odmieniły. Zaczęła patrzeć na mijane na ulicy kobiety innymi oczami. Zauważała ich piersi, włosy, sposób, w jaki się poruszały. Czuła się tak, jakby przeszła transfuzję krwi. Dotąd krążyła w niej obca, pożyczona krew, teraz nareszcie, aż po koniuszki palców – jakże wrażliwe, dokonujące cudownych odkryć – wypełniała ją jej własna krew. Nagle wszystko stało się możliwe, Erin dała jej wolność. Zrozumiała, jak ograniczeni są mężczyźni, a ich miłość jest brutalna i jednostronna. Współczuła kobietom, które tylko taką znały.

– Leżą jak zmiażdżone żuki – mówiła Erin – a oni je przewiercają. Pompują w nie coś tak niebezpiecznego, przed czym powinny się bronić. Smutne, prawda? Same nie wiedzą, co tracą.

Erin dużo mówiła o władzy – władzy mężczyzn nad kobietami. Mówiła o braterstwie kobiet i o ich wyzwoleniu poprzez własne ciała. Erin bez wątpienia uważała siostry Maddy za niewolnice seksu. Prudence oddała się w niewolę swojemu szefowi, a Louise świadczyła cielesne usługi w zamian za dom i poczucie bezpieczeństwa. Maddy dziwnie się czuła, myśląc o nich w ten sposób, ale teraz, kiedy w końcu przebudziła się z uspienia, zobaczyła wszystko w innym świetle.

Erin muskała palcem brwi Maddy. Polizała je jak kotka, która liże swoje małe.

– Czy czujesz, jak pulsuje w tobie twoja krew? – zamruczała. – Pomyśl, jakie z nas szczęściary. Księżyc ma nad nami władzę. Z każdą fazą, w nowiu, podczas pełni jakaś część w nas się budzi... tutaj... albo tutaj... – Pocałowała Maddy w czoło, potem w koniuszek ucha. – Razem to odkryjemy... Odbędziemy nasz własny księżycowy spacer po twojej cudnej skórze...

Słowa Erin, podobnie jak jej palce, działały na Maddy podniecająco. Erin знаła też moc zapachów. Nacierала olejkami palce u stóp Maddy, zapalała kadzidelka i rozstawiała je po całym pokoju. Jej pieszczoty otwierały ciało Maddy; nie miały początku ani końca, zdawały się istnieć we wszystkich wymiarach. Ale i Maddy czegoś się uczyła. Kupowała i zapalała świece, wyszorowała łazienkę i kupiła pachnące płyny do kąpieli, wspólnych kąpieli. Na czas wizyt Erin zamieniała swoje mieszkanie w świątynię miłości. Jak dotąd, nie była jeszcze u Erin, która mieszkała z córką i póki co nie chciała wciągać jej w ich wspólne życie. To czyniło ją tajemniczą, zjawiającą się na kilka oszałamiających godzin, po których znikwała w ciemnościach nocy.

Erin odsunęła się.

– Ukochana moja, może zanim wyjdę, wykąpiemy się jeszcze?

Maddy skwapliwie się zgodziła. Poszła do łazienki i odkręciła wodę. Wlała do wanny olejek jeżynowy i wyprostowała się, by spojrzeć na swoje odbicie w lustrze. Chyba wszyscy napotkani ludzie wiedzieli, co aktualnie dzieje się w jej życiu.

Erin stanęła za nią i przywarła piersiami do jej pleców. Łazienka wypełniała się parą. Erin przetarła lustro i ukazały się w nim ich twarze.

– Czy jesteś ze mną szczęśliwa, kochanie? Maddy kiwnęła głową.

– Nic mi się nigdy w życiu nie udawało. – Umilkła, zastanawiając się, czy nie opowiedzieć przyjaciółce o Nigerii.

– To dlatego, że nie wiedziałaś, czego tak naprawdę szukasz. – Obróciła Maddy i pocałowała ją. Przywarły do siebie, spowite w obłoki pary.

Przez całą noc lał deszcz. Wydawało się, że tego roku nie będzie pięknej, wypełnionej kolorami jesieni, tylko cicho i niepostrzeżenie nadejdzie zima. Dorothy odczuwała ból w biodrach, nasilający się coraz bardziej zwłaszcza wtedy, gdy na dworze panowała wilgoć. Bolały ją też stawy w rękach. Nie da się ukryć, starzała się. Wyobraziła sobie siebie przykuta do wózka inwalidzkiego, słabą ręką usiłującą zwrócić uwagę męża. Był zbyt niecierpliwy, by tolerować chorobę. Szczycił się, że przez całe życie nie przechorował ani jednego dnia. Człowiek nie powinien poddawać się słabości; starość jednak trudno ignorować.

Był piątkowy poranek. Z irytacją przyglądała się, jak mąż macza kawałek kiełbasy w keczupie. Gordon zawsze jadł na śniadanie smażoną kiełbasę, niezmiennie dodając do niej zdecydowanie za dużo keczupu. Przez te wszystkie lata wylała do zlewu chyba całe jego galony.

– Zrobię płace, Gordon – powiedziała. – A potem jadę do Forsy the's.

– Co takiego? – Podniósł na nią wzrok znad „Daily Telegraph”.

– Każę im wykończyć kuchnię.

– Nie wymyślaj.

– Przy okazji niech wymalują także łazienkę.  
– To głupota. Słuchaj, zajmę się tym w weekend.  
– Od sześciu miesięcy słyszę to samo. – Popukała palcem w czytany przez siebie „Daily Mail”. – Wiesz, co jest w moim horoskopie? „Masz prawo sama decydować o sobie”.  
– Kochanie, posłuchaj: obiecuję. – Przełknął ostatni łyk herbaty i wstał. Skrzywił się przy tym.

– Co się stało? Pomasował sobie ramię.

– Złapał mnie skurcz.

Wziął swój telefon komórkowy, pocałował ją w czoło i wyszedł.

– Spędzą u nas noc? – Louise patrzyła na niego. – W ten weekend?

– Nie mówiłem ci? – Robert dokończył kawę i wstał. Do kuchni wpadła Imogen.

– Mamo, chodź już! – Trzeba było wychodzić do szkoły.

– Ale ja dzisiaj pracuję. – Louise wciąż patrzyła na męża. – W domu jest bałagan, nie zrobiłam żadnych zakupów, nie mam czasu...

– Pomogą ci – nie dał jej skończyć.

– Kto? Henry i Sophie? Będą siedzieć, popijać wino i wałęsać mi się po kuchni, pytając w kółko: „W czym możemy ci pomóc?” A ponieważ za dużo czasu zajmie mi tłumaczenie, więc wszystko będę musiała zrobić sama, poza tym to nasi g o ś c i e. Jedyne rzeczy, jaką goście lubią robić, to obierać groszek, którego i tak nie mam.

Robert wymknął się za drzwi. Poszedł do pracy.

– Chodź już! – zdenerwowała się Imogen. Louise chwyciła kluczyki do samochodu.

Gordon tkwił w korku ulicznym w połowie Old Kent Road. Niecierpliwie bębnił palcami w kierownicę.

– No, ruszcie się, cholerne zawałdrogi!

Gordon należał do ludzi, którzy prowadzili jednostronną konwersację z innymi kierowcami, strofując ich i poganiając. Czasem odnosił wrażenie, że całe życie upływało mu na tkwieniu w ulicznych korkach, za autobusami bez konduktora, których pasażerowie godzinami grzebali po kieszeniach w poszukiwaniu drobnych na bilet.

Musiał dotrzeć na plac budowy koło Elephant and Castle. Punktualnie o dziewiątej miał spotkanie z rejonowym inspektorem nadzoru. Potem musiał sprawdzić, jak idą prace przy Farleigh Road, gdzie nie dowieźli na czas urządzeń sanitarnych. Zadzwoił telefon. To był Nobby, jeden z hydraulików. Byli w Lewisham, gdzie mieli problemy z piekarnikiem. Nie chciał się zmieścić w korytarzu.

– ... dlaczego wcześniej nie zmierzyliscie tego cholerstwa?! – wrzeszczał Gordon. – Jest tam Frank?... To gdzie się, do diabła, podziewa?!

Louise była w Tesco. Drogę zatarasowało jej dwóch kupujących, którzy usiłovali się minąć, co utrudniał im porzucony na środku przejścia czyjś wózek. Dlaczego ludzie zawsze zostawiają swoje wózki na środku? W ciągu ostatnich lat powtarzało się to coraz częściej. Było to nowe zjawisko, tak jak bałagan w kolejce do autobusu, co zauważała podczas wizyt w Londynie. Symptom choroby pieprzyć wszystkich, która najwyraźniej wraz z nadciągającym nowym milenium zaczynała drążyć kraj.

Ze złością precyzyjnie jakoś swój wózek. Czuła się winna, że nie robi zakupów w wiejskim sklepiku, ale nie miała czasu i musiała kupić wszystko od razu. Dlaczego Robert jej nie powiedział, że Warshawowie przyjeżdżają? Wrzuciła do wózka paczkę makaronu i puszkę suszonych na słońcu pomidorów – Robert nazywał je „uszami nieboszczyków”. Każdy z odwiedzających ich gości nagle odkrywał w sobie niepokonany apetyt. To pewnie z powodu świeżego powietrza. Zaczynali od gigantycznych śniadań. „Przecież zwykle nie jadamy śniadań, prawda, kochanie?” Potem przychodziła pora na obfity lunch. „Słowo daję, Lou, nie mam pojęcia, jak ty to robisz. Ja nie mam czasu na gotowanie”. Szczególną popularnością cieszył się chleb jej własnego wypieku. „Kochanie, dlaczego nie pieczesz chleba? Ponieważ przez cały cholerny tydzień byłam w Mediolanie!”

Louise zauważyła szczupłego, jasnowłosego chłopca. Ubrany w dres, wykladał na półki kocie jedzenie w puszkach. Dopiero po chwili rozpoznała w nim własnego syna.

– Boże, wyglądasz tak dorosłe! – zawołała, podchodząc do niego.

– Mamo! – Jamie zmarszczył na jej widok czoło, pokazując innych kupujących.

– Przepraszam. Daj mi parę whiskasów, dobrze? O, tych tutaj.

Zdjął z półki puszkę, o które jej chodziło. Ich kot był wyjątkowo wybredny. W tej chwili nie chciał jeść niczego innego poza „Salmon’n’Tuna Selected Cuts”. Problem w tym, że jego gusta zmieniały się jak w kalejdoskopie. Miał chyba jakiś radar, którym wyczuwał, że zrobiła właśnie większy zapas jedzenia, które aktualnie sobie upodobał, i natychmiast przechodziła mu na nie ochota. Z pyszczkiem wykrzywionym obrzydzeniem obwąchiwał miskę, jakby podała mu w niej wymiociny, i zaczynał demonstracyjną wędrówkę po kuchni na sztywnych łapach, miaucząc żałośnie. Monty, który ze spływającymi z pyska stróżkami śliny tylko na to czekał, rzucał się wtedy i wylizywał wszystko do czysta.

Louise zostawiła syna i poszła w stronę stoiska z mięsem. Jej goście, mimo gargantuicznych apetytów, często bywali kapryśni. Czy Henry i Sophie nie byli przypadkiem wegetarianami? A może Sophie zażywała środki antydepresyjne i nie może jeść sera? Ostatnio rozmawiały o prozacu, który zażywała była żona Henry’ego, i Sophie zastanawiała się, czy także nie zacząć go przyjmować, była bowiem w depresji z powodu niemożności zajścia w ciążę. Boże, jakie to wszystko skomplikowane.

Stojąc przy kasie, Louise rozmyślała o swoich rodzicach. Oni dorastali w świecie dla niej zupełnie obcym i niezrozumiałym, dla jej dzieci tym bardziej. Wywodzili się z klasy pracującej, gatunku wymierającego. Poza tym oni od początku ciężko pracowali. Oszczędzali, ściubili – jakże dziwnie dzisiaj brzmią te słowa! – jedli mielonkę z puszki i gotowane ziemniaki, a łosoś, nad którym jej kot tak wydziwiał, dla nich był szczytem luksusu.

Louise niosąc torby z zakupami, szła w stronę parkingu. Nie miała pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. Czy powinna czuć się winna, że prowadzi takie życie i tyle rzeczy przyjmuje za oczywiste? Czy powinna czuć się winna, że po tym wszystkim, co dla niej zrobili, ona nie jest szczęśliwa?

Gordon już był spóźniony na następne spotkanie. Gdzie, do licha, podziewał się Frank, jego brygadzysta? Nie mógł się dodzwonić na jego telefon komórkowy. Frank miał problemy z alkoholem. Mniej więcej raz w miesiącu wpadał w ciąg. Spraw, Panie Boże, żeby tym

razem tak się nie stało.

Gordon ruszył biegiem do swojego samochodu. Właśnie strażnik miejski wsuwał mu za wycieraczkę mandat.

– Hej! – krzyknął Gordon. – Hej, człowieku! Już idę!

Ale strażnik, najwyraźniej głuchy jak pień, właśnie odchodził. Gordon zaklął ze złością.

Dwa razy w tygodniu przed południem Louise pracowała. Należała do zespołu wolontariuszek pomagających dzieciom z lokalnej szkoły w czytaniu. Tim wiedział dokładnie, kiedy przyjeżdżała i o której kończyła. Szkoła mieściła się naprzeciwko jego sklepu. W ten piątek odtykał właśnie kratkę ściekową przed wejściem, bo po nocnej ulewie była kompletnie zapchana jakimiś cuchnącymi śmieciami.

O dziesiątej pojawił się space cruiser Louise. Serce Tima podskoczyło. Była spóźniona, bo normalnie przychodziła piechotą. Wyprostował się i patrzył, jak parkuje przed szkołą, wysiada i prawie biegiem wchodzi do szkoły.

Nawet z tej odległości jej toyota wydawała się wielka jak czołg. Górowała nad innymi samochodami. Gdyby nie należała do Louise, powiedziałby, że jest obrzydliwa. Przypominała nafaszerowanego sterydami jeepa – ogromna, srebrna, otoczona gąszczem metalowych wsporników. Mąż Louise chciał ją odizolować od świata; otoczył ją wysokim, szczelnym murem, nieprzeniknionym dla ludzi z zewnątrz. Louise była księżniczką w wieży zbudowanej przez męża. Nie mogła być szczęśliwa. Tim o tym wiedział. On i tylko on potrafił dostrzec to mimo złudnych pozorów. Czekala, by ktoś ją z niej uwolnił, co było tylko kwestią czasu.

– Będę w domu o szóstej – szepnęła Prudence. – Przyjdź najszybciej, jak będziesz mógł.

Odłożyła słuchawkę, zebrała dokumenty i poszła na zebranie. Alan, dyrektor, spojrzał na nią zezem przez obłok papierosowego dymu.

– Hej, Pru, wyglądasz dzisiaj wyjątkowo ślicznie.

Była pora lunchu. Zza chmur wyjrzało słońce. Maddy i Erin siedziały na rolce torfu w ogrodzie przy Kensington High Street, należącym do wiecznie nieobecnego Araba. Siedziały obok siebie i jadły kanapki z mozzarellą. Maddy stała się wegetarianką i zupełnie nie odczuwała braku mięsa. Podobnie jak z mężczyznami, nie miała pojęcia, co wcześniej w nim widziała. Rolki torfu przypominały futro zdarte z bezbronych zwierząt.

– Popatrz – powiedziała Maddy. – Stopy mamy tej samej wielkości.

Erin potarła swoim butem stopę Maddy.

– Chciałabym, żebyś dzisiaj wieczorem wróciła ze mną do domu. Poznasz moją córkę.

Słońce zaszło. Prudence szła ulicą, wymachując torbą z zakupami.

Z mijanej bramy dobiegł ją głos.

– Masz forszę?

Ze spiwora wychynęła rozczochrana głowa chłopaka w wieku jej siostrzeńca.

Nachyliła się i dała mu jednofuntową monetę. Uśmiechnęła się rozanielona i poszła dalej. Pomyślała, że szczęście ludzi oślepia i czyni nadzwyczaj szczodrymi. Żeglują przez życie w powłoce ochronnej, której nic nie jest w stanie wyszczerbić. Wiedziała, że nie powinna była kupować jedwabnej koszulki, która kosztowała pięćdziesiąt razy więcej niż kwota, którą dała przed chwilą temu chłopakowi, ale z drugiej strony, czy ona choć raz nie ma prawa czuć się

szczęśliwa?

Przystanąła. Musiała mijać to miejsce setki razy. Okno wystawowe zdobił napis: „Woskowe usuwanie owłosienia”.

Prudence uśmiechnęła się do siebie. Pchnęła drzwi do salonu piękności i weszła.

Co za dzień! Mandat za parkowanie, nieszczelna instalacja gazowa. Na ulicach ruch jak diabli, zwykła piątkowa gorączka, kierowcy zachowywali się jak szaleńcy i na dodatek, gdy Gordon przejeżdżał właśnie Waterloo Bridge, rozdzwonił się jego telefon.

– Dzięki Bogu, że pana złapałam! – rozległ się głos pani Malik, w którym pobrzmiwały nutki hysterii. – Jestem w łazience, prawdziwa powódź. Och, błagam, niech pan szybko przyjedzie.

– Spokojnie, złociutka – powiedział Gordon. – Gdzie ma pani główny zawór?

– Nie mam pojęcia!

Zmienił pas i ruszył w kierunku Victoria Station.

– Już jadę.

Zatrąbił wściekle na furgonetkę „Evening Standard”, która zawracając, zajęchała mu drogę. Kierowcy „Evening Standard” to najgorsi maniacy ze wszystkich, jeżdżą, jakby na świecie wybuchła właśnie trzecia wojna światowa.

Gordon zahamował. Cholera jasna! Westminster Bridge był zamknięty dla ruchu.

Louise szarpnęła prześcieradło na łóżku w pokoju gościnnym. Strąciła karafkę z wodą. Niech to diabli! „Londyn to prawdziwy dom wariatów” – powiadali. „Bomby, blokady na kołach, złodzieje... A tutaj taki spokój, śpimy tu jak susły, prawda, kochanie?”

Wytarła wodę garścią chusteczek higienicznych. Nie przepadała specjalnie za Henrym i Sophie. Henry pracował z Robertem. Cały weekend będą gadać o pracy. Sophie była PR w jakiejś firmie związanej z modą i jej pobłażliwy uśmiech nie pozostawiał wątpliwości, że uważa Louise za głupią kurę domową. Louise podniosła koldrę i zaczęła upychać ją w poszwę.

Gordon dwukrotnie przejechał ulicę wzdłuż. Nigdzie ani śladu parkomatu. Zaparkował obok innego samochodu i pognął na drugą stronę ulicy. Zadzwoił i otworzyła mu mała dziewczynka.

– Mamusia jest na górze? – zapytał.

Kiwnęła główką. Na suficie zauważył ryse. Woda zaczynała już przeciekać.

Ruszył biegiem na górę.

Trish wkładała płaszcz.

– Na pewno mogę wyjść wcześniej?

Prudence pokiwała głową.

– Korzystaj z życia, póki możesz.

– Ale masz – dzisiaj humor. Jakies nadzwyczajne plany na wieczór?

– Nie, siedzę w domu – odparła Prudence z uśmiechem. Ukradkiem przesunęła dłonią po nodze. Nawet przez rajstopy czuła, że skórę ma gładką jak jedwab.

Z urwanego kurka sikała woda, zalewając podłogę. Pani Malik, roztargniona, przerażona kobiecina, próbowała powstrzymać powódź rękami.

- Zbiornik jest na dachu? – spytał Gordon, usiłując przypomnieć sobie rozkład domu.
- Nie wiem!
- A zawór?
- Mąż by wiedział! Pokazał na klapę w suficie.
- Ma pani drabinę?
- Nie wiem!
- Drabina jest pod schodami – podpowiedziała dziewczynka.

Gordon pognął na dół. Nagle rozległ się huk. Podniósł wzrok i zobaczył chmurę gipsowego pyłu – zawałił się kawałek sufitu.

Otworzył schowek pod schodami i wyciągnął drabinę. Była drewniana i bardzo ciężka, cała upačkana zaschniętą farbą. W łazience, brodząc w wodzie, ustawił drabinę i zaczął się na nią wspinać. Napał na klapę, ale nawet nie drgnęła.

Gdy usiłował ją otworzyć, wydarzyły się dwie rzeczy. Zadzwonił jego telefon. A potem gruba, elastyczna taśma ścisnęła mu pierś, pozbawiając go oddechu.

Gordon jęknął. Pani Malik patrzyła, jak spadał. Duży, ciężki mężczyzna chwycił się kurczowo drabiny, która runęła wraz z nim, przygniatając go swoim ciężarem.

Z pluskiem wylądował na ziemi. Jedna noga zaplątała mu się w szczelkach drabiny. Leżał w wodzie i oddychał, charcząc. Pani Malik zaczęła krzyczeć.

W biurze Dorothy wypłacała chłopakom pensje. Była piąta trzydzieści po południu. Lloyd wziął swoją kopertę. Pochodził z Jamajki i był jedynym czarnym mężczyzną na liście płac. „Chłopak pierwsza klasa, bardzo pogodnego usposobienia”. Zarumieniła się na wspomnienie mężowskiego braku delikatności; że też on zawsze musi z czymś wyskoczyć. Coś go do tego pchało, jakaś perwersyjna potrzeba mówienia rzeczy niewłaściwych. Pokpiwał ze swoich córek, co wcale nie poprawiało sytuacji. Cały problem z Gordonem polegał na tym, że zawsze był tylko sobą. Nigdy przed nikim niczego nie udawał. „Jestem, jaki jestem”. Ileż to razy powtarzał te słowa z dumą buldoga? Są ludzie, także i Gordon, którzy ze swojego braku elastyczności czynią cnotę, i nic nie było w stanie tego zmienić.

– Widziałeś mojego męża? – spytała. Lloyd pokręcił głową.

– Myślałam, że zamierzał jechać na Farleigh Road – powiedziała.

– Nie widziałem go przez cały dzień. – Lloyd obrócił się do wyjścia. – Niech się pani trzyma, pani Hammond. Miłego weekendu, OK?

Nagle zapragnęła dotknąć włosów Lloyda, poczuć ich sprężystość. Zarumieniła się.

Gordon poszedł pewnie na drinka ze swoim brygadzystą, Frankiem. W końcu był piątek. A jutro każe mu zająć się kuchnią.

Prudence nakryła stół na dwie osoby. Kolacja dochodziła w piekarniku. Zmieniła pościel, z szafki nocnej zabrała poprawiony w połowie manuskrypt, stawiając na jego miejsce wazon z anemonami. Czuła się jak najbardziej troskliwy scenograf.

Zadzwonił dzwonek. Zbiegła na dół. W drzwiach stał Stephen. Sodowe światło latarni skąpało go w niezwykłym blasku; wyglądał jak hologram wszystkich jej pragnień.

Zarzuciła mu ramiona na szyję. Ach, jednak był jak najbardziej rzeczywisty!

Bywały wieczory, w które tęsknota ścisnęła serce Tima z taką siłą, aż zapierało mu dech

w piersiach. Czasem potrafił się jej przeciwstawić.

Ale nie dzisiaj. Dzisiaj go oszukała, pozbawiła możliwości przyglądania się, jak idzie do szkoły. Nie widział też, jak w porze lunchu ją opuszczała; zajęty był wtedy obsługiwaniem klienta. A gdy wyrzął na zewnątrz, po jej space cruiserze nie było już śladu.

Margot stała przy kuchence, smażąc ziemniaki.

– Idę zaczerpnąć trochę powietrza – powiedział.

– Wracaj szybko – odparła. – Obiad będzie gotowy o ósmej. Spojrzał na jej plecy. Jego duża żona, którą niegdyś tak kochał, wydawała mu się słaba i krucha. Potężne cielsko nadal kryło w sobie kobietę, która potrafiła śmiać się głośno i serdecznie, która kiedyś była szczęśliwa. Okno, przy którym stała, zasłonięte było perkalową zasłonką, jeszcze z ich starego mieszkania. Wybierali ją razem, niedługo po ślubie.

Oczy go zapiekły. Odwrócił się, nałożył kurtkę i poszedł na dół. Wnętrze sklepu oświetlał blask dochodzący z zamrażarki, w której stały kartony z mlekiem, niemi świadkowie w błękitnej poświacie.

Prudence przygotowała Stephenowi gin z tonikiem.

– Przynajmniej raz chcę, żebyśmy się zachowywali jak normalni ludzie – powiedziała. – Żebyśmy zjedli kolację, pooglądali telewizję i poszli do łóżka.

– A może zrobilibyśmy to w odwrotnej kolejności? – uśmiechnął się, biorąc od niej szklaneczkę. – Co będziemy jedli?

– Perliczka duszona w pomarańczach i winie.

– Mmm... robiłem kiedyś perliczkę. Trzeba ją dusić godzinami, żeby mięso samo odchodziło od kości... – Wziął ją za rękę i wstał. Pokazał na drinki. – Weźmy je ze sobą do sypialni.

Był zimny, wietrzny wieczór. Co chwilę jakaś chmura przysłaniała księżyc. Wieża kościelna odcinała się ciemnym kształtem na tle nocnego nieba.

Tim stanął na palcach, żeby móc zajrzeć ponad murem. Na podjeździe stało jakieś nieznane mu auto. W dolnych oknach Starego Probostwa paliło się światło. Zajrzał do kuchni; zawsze najpierw tam kierował wzrok. Stała w niej, pochylona nad kuchenką.

Wślizgnął się przez bramę, przemknął przez gąbczastą, wilgotną trawę i przycupnął ukryty za krzakami.

Stephen rozpiął jej bluzkę i przesunął dłońmi po jedwabnej koszulce – czarnej, wykończonej koronką.

– Mmm... milutka.

– Takie rzeczy nosimy w Nuneaton – powiedziała Prudence.

– Mmm, porozmawiajmy o wydawnictwie...

– Porozmawiajmy o Microsoftcie...

– Mmm, co za miękkość... – Powiódł ją do łóżka i delikatnie na nim ułożył. – Porozmawiajmy o rozkładach.

– Mmm, rozłóż mnie... tak jest dobrze... Chcesz dotknąć moich arkuszy kalkulacyjnych?

– W ten sposób?

– Mmm, w ten...



- Sprawdźmy napęd dysków...
- Twardych czy miękkich?
- A jak myślisz?
- Och! Hm... chyba wiem...
- Zaczniemy formatowanie?
- Ale najpierw musisz przycisnąć tutaj...
- I tutaj?
- Mmm...

Zadzwonił telefon. Zamarli przerażeni.

– Sekretarka jest włączona – szepnęła. Objęła go ramionami i leżeli, czekając.

W salonie pipnęła automatyczna sekretarka i dobiegł ich cichy głos. Głos jej matki.

– Prudence, jesteś tam? Ojciec jest w szpitalu! W St Mary's... Jesteś tam? Boże, gdzie ty się podziewasz?

Tim przykucnął za krzakami przy oknie z holu. Zwykle przyczajał się w tym właśnie miejscu. Z domu dobiegał go przytłumiony odgłos rozmów i śmiechu. Louise podawała swoim gościom kieliszki z szampanem. Nałożyła luźną błękitną bluzkę, którą widział po raz pierwszy. Jej rozpuszczone włosy połyskiwały złotem w blasku ognia. Zarżał koń. Tim podskoczył. Louise odwróciła się i powiedziała coś do kobiety.

Zadzwonił telefon. Tim znowu podskoczył. Louise poszła do telefonu. Stał przy oknie. Była teraz tak blisko, że nieomal mógł ją dotknąć.

Odebrała telefon i przez chwilę słuchała.

Odwróciła się od okna z dłonią przytkniętą do ust.

Sypialnia Maddy pogrążona była w ciemności. Na tarczy elektronicznego budzika godzina zmieniła się z 8. 03 na 8. 04.

Na rozstawionych na dywanie spodeczkach porozlewał się wosk z wypalonych świec. Na stoliku przy łóżku tkwiły dwa kubki, do połowy wypełnione wystygłą herbatą. Łóżko stało niczym statek zmierzający na wyprawę odkrywczą. „Moja Ameryka, moja nowa ziemia”. Lecz dzisiaj łóżko było puste. Maddy poszła do Erin, mieszkającej trzy kilometry dalej.

Telefon dzwonił... i dzwonił... Lecz nie było nikogo, kto mógłby podnieść słuchawkę.

Dzwonił i dzwonił. Aż wreszcie przestał.

## **CZEŚĆ DRUGA**

## Rozdział pierwszy

Po sześćdziesięciu pięciu latach ciało Gordona zostało mu odebrane. Było poszturchiwane, sprawdzane, oglądane, penetrowały je lasery. Przewożono je z jednego oddziału na drugi; tkwiły w nim różne rurki i igły, wysysające krew i tłoczące jakieś płyny. Jego funkcje życiowe wędrowały przewodami i można się im było przyjrzeć na ekranach monitorów, jak skakały w formie szalonych zygzaków, podczas gdy on leżał na łóżku z maską tlenową przyssaną do twarzy niczym macka ośmiornicy. Tylko ból należał do niego, ale nawet on nie był mile witanym gościem, tylko panoszył się w jego klatce piersiowej i nie pozwalał mu na normalne odczucia. Z jego powodu bał się nawet poruszyć. Czaił się, ciężki i przykry, pod żebrami i tkwił w nodze, w miejscu, w którym przez żyłę udową robili mu angioplastykę. W ciągu minionych dwóch dni obce instrumenty sprawdzały każdy kawałek jego ciała, czemu towarzyszyło techniczne słownictwo, z którym z wolna zaczynał się oswajać, chociaż za każdym razem, gdy uświadamiał sobie, że odnosi się do niego, drgał zaskoczony.

Gordon rzadko odczuwał strach. Lata gnały jak szalone, a on niewiele się nad tym zastanawiał. A teraz nagle pokonała go własna śmiertelność. Obok niego leżał skulony na łóżku mężczyzna, spowity drutami jak marionetka i targany kaszlem brzmiącym jak grzechot śmierci. W panującym gorącu zdychały nawet kwiaty, które Gordon dostawał wraz z życzeniami powrotu do zdrowia. Ich główki opadały, poddając się woli silniejszej niż ich własna. W drugą noc jego pobytu w szpitalu na końcu oddziału pośpiesznie ustawiono parawan; rano zniknął, ukazując puste łóżko. Gordon poczuł ogarniającą go panikę. Nacisnął na uszy szpitalne słuchawki i wsłuchiwał się w transmitowane przez radio telefony do szpitala, w zawodzące głosy ludzi skarżących się na dziury w chodnikach. Wmawiał sobie, że jest z nim coraz lepiej, po tygodniu wróci do domu i wszystko znowu będzie tak jak dawniej. Drżał na myśl o odwiedzinach Dorothy, ponieważ na jej twarzy widział odbity własny paniczny strach. W niedzielę wieczorem przywiozła mu walkmana.

– Pożyczyłam go od Jamiego – oznajmiła. – A tutaj masz kilka nagranych na kasety książek z biblioteki. Czyta je aktor, ten, który w telewizji gra weterynarza, pamiętasz? – Zaczęła szukać czegoś w torbie. – Przyniosłam ci też czystą piżamę i sok jabłkowy. – Chciała, by leżał w otoczeniu zwykłych przedmiotów. Uwięziony pod maską czuł się jak nurek głębinowy, dla którego wszystko wokół było obce, ale nie poddawał się. – Jak się czujesz?

– Dobrze – skłamał do plastikowej rurki. – Zdrowy jak koń.

Zaczęła mówić o dziewczynkach, że przyjdą go odwiedzić następnego dnia. Pokazała mu kartki z pozdrowieniami od znajomych i próbowała ustawić je na szpitalnej szafce. Spytała, co mu dzisiaj robili, czy są już wyniki badań, wreszcie umilkła.

Patrzył na nią i myślał: nieomal umarłem. Ujrzał nad sobą klapę w suficie. Podniósł ją, a wtedy oślepiło go białe światło, rozbijając go na atomy. Spojrzał na żonę, jej falujące brązowe włosy, kremową bluzkę i sweter. Dla ludzi, którzy spojrzeli śmierci w oczy, znajome twarze

stawały się nagle odległe, jakby oddzielone grubą szklaną szybą. On był nurkiem głębinowym, uwięzionym pod maską. Wydało mu się, że Dorothy znowu zaczęła mówić. Pomyślał sobie, że jest bardzo dzielna, skoro z taką upartą regularnością farbuje sobie włosy, próbując powstrzymać coraz silniej atakującą je siwiznę. Kogo ona chciała oszukać?

W poniedziałek zjawił się konsultant. Nazywał się Jarvis-Jones. Przypominał mu ojców siedzących przed nim na szkolnych uroczystościach jego córek, zasłaniających mu widok. Ich plecy zdawały się mówić: jakim prawem ten człowiek tutaj siedzi, za kogo on się uważa?

– Jak widzę, prowadzi pan firmę budowlaną – powiedział, zaglądając w swoje notatki. – Proszę więc spojrzeć na swoje ciało jak na system centralnego ogrzewania. Co się dzieje, gdy bojler się zepsuje? – Siostra oddziałowa spoglądała na niego wilgotnymi oczami. – Tak, miał pan lekki atak serca. Nazwałbym to epizodem, który powinniśmy potraktować jako sygnał ostrzegawczy. Dwie z pańskich najważniejszych arterii znacznie się zwężyły. Jednakże nie ma powodu, aby w dalszym ciągu nie prowadził pan życia normalnego dla człowieka w pańskim wieku. Musi pan jednak przestrzegać pewnych reguł. Przede wszystkim unikać stresu – pańska praca pewnie dostarcza go panu aż nadto, co? Pamiętam, co się działo, gdy u nas była ekipa remontowa! – Roześmiał się. Zawtórowała mu siostra oddziałowa. – Musi pan przejść na dietę niskocholesterolową. Obawiam się, że koniec ze smażonymi kiełbaskami. – Znowu zajrzał w notatki. – Ach, widzę, że pan pali. O Boże. Trzeba z tym skończyć, to dla pana dobra. Jeszcze pana odwiedzę, zanim wypiszemy pana do domu.

Wyszedł, a siostra podążyła za nim jak cień. Do łóżka Gordona podeszła April. Była pielęgniarką – jego pielęgniarką, której imię widniało na identyfikatorze.

– Co za dupek. – Kiwnęła głową za konsultantem. – Wie pan co? Przed przyjściem zawsze mizdrzy się do lusterka. Widziałam kiedyś na parkingu. – Podała Gordonowi pigułki. – Przypomina mi mojego chłopaka. Wróciłam kiedyś do domu, a on tak sobie ustawił lustra, żeby mógł się oglądać z boku. Żalodne, nie uważa pan?

– Żalodne. – Gordon uśmiechnął się do niej przez maskę. April była młodą, czarną kobietą, pulchną i pełną życia. Lubił na nią patrzeć, jak krząta się po oddziale. Przypominała mu korek podskakujący na powierzchni wody, nie pozwalający wciągnąć się w głębinę.

– Mężczyźni są o wiele bardziej próżni od kobiet, nie sądzi pan? – ciągnęła. – Mój facet, Dennis, ma fioła na punkcie kulturystyki. Jak się pan dzisiaj czuje?

– To dziwne – powiedział Gordon. – Tyle było spraw do załatwienia w piątek, ciągle gdzieś się coś waliło. A teraz wydaje mi się, że to wszystko zdarzyło się komuś innemu. Rozumie siostra, o co mi chodzi?

– I pewnie nie ma już takiego znaczenia?

– Inni też tak czują? Przytaknęła.

– Tak się dzieje z sercowcami. Wracają do domu i ich życie wygląda już zupełnie inaczej. Niedawno spotkałam jednego takiego. Zostawił żonę i założył hodowlę rukwi wodnej.

– Rukwi wodnej?

– Chyba tego potrzebował. Rukiew przynajmniej się człowieka nie czepia.

– Biedny tata – powiedziała Prudence. – Boi się. A ojciec nie powinien bać się niczego.

– Bo powinien żyć wiecznie? – spytała Maddy.

- On się boi śmierci.
- Och, dojdzie do siebie – powiedziała Maddy. – Będzie żył dalej, jakby nic się nie stało.
- Tak myślisz?
- Naszego ojca nic nie jest w stanie zmienić.
- Kiedyś mówiłaś o nim tato – zauważyła Prudence.
- Cóż, ja się zmieniłam.

Szły w stronę samochodu. Za nimi wznosił się gmach szpitala, z komina na dachu wypływały kłęby czarnego dymu. Widok ojca wstrząsnął Prudence. Od lat nie widziała go w piżamie; poczuła się skrępowana. Klatkę piersiową porastały mu siwe włosy, znacznie bardziej gęste, niż pamiętała z dzieciństwa. Bez względu na oplatające jego ciało rurki, w piżamie stał się nagle starym człowiekiem. Nie była też przygotowana na maskę tlenową.

- Czy ja się nic nie zmieniłam? – spytała Maddy.
- O co ci chodzi?
- No wiesz, coś się wydarzyło.

Minął ich ambulans jadący z włączoną syreną. Zniknął za rogiem budynku.

- No, zakochałam się – powiedziała Maddy.

Prudence zatrzymała się obok samochodu.

- Maddy! To cudownie!

- W pewnym sensie.

– Kim on jest? Dopiero co go poznałaś? To nie ten facet z Afryki, jak mu tam, ten Szwed?

Maddy pokręciła głową.

- No, powiedzże – niecierpliwiła się Prudence. – Znam go?

- To Erin.

Prudence patrzyła na siostrę. Poczula, że twarz zalewa jej fala gorąca.

- Erin?

- Jesteś zaskoczona?

- Tak... nie... co chcesz, żebym powiedziała?

– Bo ja nie – odparła Maddy. – To właśnie jest najzabawniejsze. To najmniej zaskakująca rzecz, jaka kiedykolwiek mnie spotkała. – Maddy oparła się o samochód i wbiła wzrok we własne tenisówki. – Nagle wszystko nabrało sensu. Musiałam o tym komuś powiedzieć.

- Kiedy to się stało? Na kolacji u mnie? Maddy szarpała jakąś nitkę na swoim swetrze.

- Pocałowała mnie. To było tak... jakbym spała całe życie i nagle się obudziła.

- Czy wcześniej już... kobiety cię pociągały? Boże, gadam jak na Channel 4.

– Chodzi ci o to, czy jestem lesbijką, czy tylko zakochałam się w Erin? – Maddy uniosła twarz, kwadratową, szczerą twarz. Policzki miała zaczerwienione. – Nie wiem. Nic nie wiem. Po prostu jestem szczęśliwa.

Prudence objęła siostrę ramieniem. Maddy stała bez ruchu. Nie należała do wylewnych osób.

- Nie mów... wiesz komu – poprosiła.

- Biedny tata – westchnęła Prudence. – Dostanie kolejnego ataku.

– ... nasza własna siostra! Wygląda jakoś inaczej? Co mówiła? – Louise wzięła puste opakowanie po jogurcie i wrzuciła je do kosza. Wolną ręką sprzątała pokój córki. – Jak mamy teraz o niej mówić? Lesbijka czy gej? My tu żyjemy na odludziu i nie chciałabym czegoś palnąć. Kłopot w tym, że oni ciągle zmieniają określenia. Na przykład kiedyś mówiło się czarni, a teraz to jest obraźliwe. – Przytrzymała słuchawkę telefonu ramieniem i nachyliła się, żeby zebrać stertę brudnych rajstop. W słuchawce głos Prudence odpłynął, nie wiadomo, czy z powodu odległości, czy podekscytowania. – Szkoda, że ja nie jestem lesbijką. – Louise zaniósła bieliznę do łazienki. – Nie miałabym wtedy tych okropnych dzieci z ich jeszcze gorszym bałaganem. – Wrzuciła brudy do kosza na pranie i spojrzała na wannę. – Dlaczego oni nigdy nie myją wanny? Wygląda, jakby ktoś kąpał w niej guźca. N a dodatek używała mojego peelingu do ciała. – Rozmarzonym głosem dodała: – Żadnych dorastających córek z ich burzą hormonów...

Kiedy odłożyła słuchawkę, przyszło jej do głowy, że to utyskiwanie przed Pru na własne dzieci nie było zbyt taktowne. Bezdzietność Prudence dawno stała się między nimi tematem tabu i choć Louise podejrzewała, że siostra już się z tym pogodziła – prawdę powiedziawszy, podejrzewała nawet, że tak naprawdę nigdy nie chciała mieć potomstwa – wiedziała też, że dla osoby nie mającej dzieci skargi rodziców mogą być bardziej bolesne niż przechwałki, podobnie jak utyskujący milioner gorszy jest od tego, który nie skrywa swego samozadowolenia.

Louise, tak jak jej ojciec, nie należała do szczególnie refleksyjnych osób. W życiu kierowała się instynktem, zdrowym rozsądkiem. Gotowała, wychowywała dzieci, pozwalała o siebie dbać i dawała się kochać. Targała torby z zakupami, wykopywała w ogrodzie pory, wdychając zapach ziemi. Świat podziwiał tylko jej powłokę zewnętrzną, lecz jej umysł na ogół drzemał. Teraz, kiedy rozmyślała o własnej siostrze, nieomal czuła, jak w jej głowie zgrzytają zardzewiałe trybiki. Czy Maddy zawsze była lesbijką, czy ta orientacja seksualna leżała w jej naturze? Od najmłodszych lat Maddy nie potrafiła się przystosować i sprawiała kłopoty, wечно kłóciła się z ojcem i nie tylko. Jak się tak zastanowić, myślała Louise, nigdy nie potrafiła się dogadać z żadnym mężczyzną: z nauczycielem matematyki, sadystycznym szefem programu w Kanadzie i wieloma innymi. Może odkryty nagle homoseksualizm nada temu wszystkiemu sens, wygładzi charakter Maddy, sprawi, że siostra stanie się łagodna i łatwa we współżyciu? A może życie nie było tak proste? Cała ta sprawa, choć fascynująca, wstrząsnęła Louise do głębi. Sama nie poznała dotąd Erin, ale wyglądało na to, że to silna, charyzmatyczna osoba. Czy sprowadziła Maddy na złą drogę, czy też wręcz przeciwnie – wyzwoliła ją? Mimo całej swojej wojowniczej natury, Maddy była bardzo wrażliwą, delikatną dziewczyną, nie mogącą się nigdzie odnaleźć. Może potrzebowała właśnie kogoś takiego jak ta kobieta. Lecz Louise poczuła się samotna. Jej siostra była lesbijką. Nazywając ją tym tak obcym dla siebie słowem, zrozumiała, że straciła siostrę.

Tymczasem jej ojciec leżał w szpitalu, wnosząc swój wkład do statystyk zatytułowanych „Ofiary ataku serca”. Choć miał wszelkie szanse na pełny powrót do zdrowia, jego także w pewnym sensie straciła – rozumiała, że w każdej chwili może się o niego upomnieć śmierć. Z trzech sióstr to właśnie Louise była najbardziej z ojcem związana. Od początku cieszył się

jej urodą i uległością. Prowadziła życie zrozumiałe dla niego – była matką, miała dom, otaczał ją luksus. Dumę, którą odczuwał – choć czasem krępującą – przyjmowała jako rzecz oczywistą. Jej konstrukcja psychiczna była znacznie mniej skomplikowana niż siostr i troska, którą odczuwała, niewiele miała wspólnego z tym, co przeżywały pozostałe dwie córki na wieść, iż był tak bliski śmierci.

Na szczęście, młodzi ludzie w wieku dojrzewania skoncentrowani są głównie na sobie. Imogen wybrała się na przejażdżkę konną. Gdy galopowała, wiatr uwalniał ją od wszystkich dręczących ją trosk, kiedy jednak ściągnęła wodze Skylark, zaatakowały ją jak chmara uciążliwych, na chwilę tylko przegnanych much. Czy jej broda była za duża? Piersi zbyt płaskie? T a k. Co Karl tak naprawdę o niej myślał, czy rzeczywiście chciał jej pokazać borsuczą norę? „Jesteś jeszcze dzieckiem” – powiedział. Co to miało znaczyć? Tyle razy przypominała sobie tę scenę, że wyprała ją z wszelkiego znaczenia, jak zbyt często oglądane wideo. Och, te jego kręcone, wilgotne od potu włosy! Szorstkość szyi... zniszczony skórzany fartuch przysłaniający uda...

Był jasny listopadowy poranek. Jechała ścieżką do konnej jazdy, wzdłuż Westcott Ridge. W pobliskim lesie śpiewnie zawodziła piła do drewna. Czowała zapach końskiego potu i kwaśną woń kiszonki. Poniżej rozciągała się tajemnicza dolina, z przycupniętą u podnóży wzgórz farmą. Tam mieszkała z Karlem. Rano otwierała drzwi i rzucała ziarno kurom. Ko, ko, ko... Karl rąbał drewno. Wieczorem kładli się do kutego z żelaza łóżka z pierzyną, a wpadające przez okno światło księżycy oświetlało srebrzyście ich twarze. Jakże niedojrzali wydawali się jej koledzy Jamiego, a te rozchichotane dziewczyny w szkole! Imogen jechała ścieżką wśród szumiących pinii. Skręciła w główną drogę do wsi, minęła budynki gminne i domy mieszkalne. Dotarła do zakrętu, za którym rozciągały się wiejskie łąki. Zegar na kościelnej wieży wybił pierwszą. Przed pubem stała zaparkowana furgonetka Karla.

Serce Imogen skoczyło do gardła. Zatrzymała Skylark i zsiadła z niej. Nogi miała jak z waty. Chwilę zajęła się uprzężą. Poprawiając popręg, spojrzała na drzwi do pubu. Skoncentrowała całą siłę woli, nakazując pojawić się w nich Karlowi. Zawsze tak robiła, od najmłodszych lat... Jeśli policzę do dziesięciu... Jeśli ścisnę dostatecznie mocno...

Drzwi się otworzyły. Karl wyszedł. Wsiadła na konia i podjechała do niego.

– Cześć – powitał ją. – Nie powinnaś być w szkole?

– Teraz mam wolne. Przygotowuję się do egzaminów. Uśmiechnął się.

– I jak widzę, ciężko pracujesz.

Miał na sobie kurtkę z ośle skóry i apaszkę w kropki przewiazaną na szyi.

– Kiedy sobie pojeżdżę, lepiej mi się myśli. Popatrzył na konia.

– Jak tam podkowy?

– W porządku.

– To do zobaczenia. Trzymaj się. – Wsiadł do furgonetki i odjechał.

Odetchnęła głęboko zapachem spalin, który zostawił po sobie jego samochód. Pograżona w myślach wracała do domu. Zeskoczyła i zaprowadziła Skylark do stajni. Wciąż zamyślona, obejrzała końskie kopyta.

Poszła do skrzynki z narzędziami ojca i wyjęła z niej obcęgi.

April miała trzydzieści lat – była starsza, niż początkowo sądził. Jej skóra była taka gładka, błyszcząca jak skórka śliwki, a ona sama wyglądała jak dojrzały owoc. Kiedy się śmiała, co zdarzało się bardzo często, Gordon nie mógł się nadziwić bieli jej zębów. I jako jedyna pielęgniarka zawsze znalazła czas, żeby z nim porozmawiać. W miarę upływu dni Gordon z coraz większym zainteresowaniem słuchał historii jej życia jak żywcem wyjętej z oper mydlanych. Miał wrażenie, że pojawiające się w nim postacie zna nie gorzej niż członków własnej rodziny.

W środę przyniosła mu parę kaset. Jedną po drugiej ułożyła na jego łóżku.

– Alanis Morissette... Nina Simone... – powiedziała. – Lubię kobiety, które śpiewają o tym, jakie to ich życie jest do kitu.

Uśmiechnął się.

– Bo twoje jest niby takie wspaniałe, no nie? – Usadowił się wygodnie, z radością czekając na kolejną opowieść. – No to mów, co się wczoraj stało z tym boksem trenerem?

– Przyjął Dennisa i wrócili do domu, razem z innymi kumplami, zalani w trupa. Zaczęli śpiewać, darli się jak idioci, aż ludzie walili w sufit, a ja próbowałam się trochę przespać. Nagle dzwoni moja ciotka...

– Ta, której samochód stanął w płomieniach? Skinęła głową.

– Jest trzecia rano, rozumie pan, a ona mówi, że chyba ma Parkinsona i czy mogłabym jej opisać symptomy. A tymczasem w drugim pokoju coś leci z hukiem. Te świry postanowiły zatańczyć na moim szklanym stole... – Przerwała, bo zjawiała się Dorothy.

Gordon przedstawił je sobie.

– To jest April. Opiekuje się mną.

– Bardzo mi miło panią poznać – powiedziała Dorothy. – Dużo o pani słyszałam. Mąż dochodzi do siebie, prawda?

– O tak, świetnie mu idzie. Już się zajął reorganizacją oddziału.

– Gordon!

– Jeszcze kilka dni – dodała April – a przebuduje całą służbę zdrowia. Pewnie uda mu się to lepiej niż im.

Wyszła.

– Bardzo miła dziewczyna.

– Nie masz pojęcia, co jej się przytrafiło w zeszłym tygodniu – powiedział Gordon. – Widzisz, ona ma chłopaka Dennisa i on ciągle wdaje się w jakieś bójkę, a ona musi go wyciągać z ciupy... Mieszkają nad optykiem w Brixton...

– Gordon, nie ekscytuj się tak. – Dorothy położyła mu uspokajająco dłoń na ramieniu.

Umilkł.

– Zresztą nieważne.

Dorothy wyjęła z torby kilka książek.

– Wypożyczyłam je z biblioteki... – Położyła książki na szafce przy łóżku. – Niczym się nie martw. Frank zajął się budową w Lavender Hill, z Duke's Avenue Len przysłał faksem sprawozdanie, a ja wczoraj zrobiłam VAT. – Przerwała. – Gordon?

– Co?



– Dobrze się czujesz?  
– Prawie umarłem – powiedział. Położyła swoją dłoń na jego.  
– Wcale nie, kochanie. Wyzdrowiejesz. Ale kiedy wrócisz do domu, nawet palcem nie kiwniesz. Żadnych zmartwień, żadnych stresów.

– Za to mnóstwo rukwi wodnej.

– Czego?

– A, słyszałem o takim jednym facecie. Pokiwała głową.

– Samo zdrowe jedzenie, już ja tego dopilnuję. I nie oszukasz mnie! – Uśmiechnęła się. – Boja zawsze wiem, kiedy robisz coś, czego nie powinieneś.

Jest noc, a książki z biblioteki leżą obok nietknięte. Na wpół siedząc wsparty o poduszki, Gordon ze słuchawkami walkmana w uszach słuchał, jak Nina Simone śpiewała *In the dark*, a jej głos wypełniał jego żyły jak gęsty, czarny, pulsujący syrop.

Gordon leżał, otoczony przez chorych i umierających, a jego serce biło w rytm przepełniającej go muzyki.

## Rozdział drugi

W środę Prudence została wezwana do gabinetu prezesa Unimedia, gdzie przy kieliszku chardonnay zaproponowano jej stanowisko Stephena. Choć nadali jej inny tytuł – redaktor naczelny – i postawili na czele przemierzanych po reorganizacji działów, nie miała wątpliwości, że zasadniczo zajęła stanowisko, z którego wcześniej Stephen został tak brutalnie usunięty. Ten fakt nieco przyćmił jej radość z awansu, nie miała jednak czasu się nad tym zastanawiać, ponieważ firmę ogarnęła gorączka pakowania się w oczekiwaniu na rychłe przenosiny do nowej siedziby Unimedia w Docklands.

Stary, zmurszały budynek w Bloomsbury został sprzedany, biurowego kota przygarnęła Muriel, recepcjonistka, wysłana na wcześniejszą emeryturę. Był to koniec zmierzchu pewnej ery brytyjskiego przemysłu wydawniczego, co również przyczyniało się do mieszanych uczuć dręczących Prudence. Chociaż stary system pracy zawsze napawał ją odrazą, czuła się też sentymentalnie przywiązana do przeszłości, podobnie jak ludzie niereligijni lubią kościoły i boli ich, gdy zapada decyzja o ich wyburzeniu. Poza tym Stephen w swojej muszce i z przyjaźniami jeszcze z czasów oksfordzkich również był częścią tej umierającej na jej oczach tradycji i kiedy w piątek Prudence po raz ostatni opuszczała Museum Street, czuła klucie w sercu. W przeciwieństwie jednak do swojej siostry Louise – Louise o miękkim sercu – Prudence potrafiła zapanować nad uczuciami. W końcu to ona była tą rozsądną, na której wszyscy polegali, więc kiedy zabierała swoich nowych podwładnych na drinka w czasie przerwy na lunch, promieniała optymizmem na przyszłość.

Unimedia House, główna siedziba imperium środków masowego przekazu, był ogromnym budynkiem ze szkła, w którym nie brakowało arrium i postmodernistycznych ozdobników. Zwieńczony talerzami anten satelitarnych mieścił się na ziemi niczyjej, otoczonej obwodnicami i placami budów pomiędzy Wapping i Isle of Dogs. Z sali posiedzeń rady nadzorczej na najwyższym piętrze roztaczał się widok na Tamizę i spowite smogiem drapacze chmur w City. W ogromnym, wykładanym marmurami holu zegary pokazywały aktualny czas w Nowym Jorku i Tokio. Budynek patrolowały oddziały strażników, na których piersiach popiskiwały krótkofalówki. Na zewnątrz, po drugiej stronie drogi dojazdowej i parkingu, stał budynek ze ścianami pokrytymi lustrzanymi szybami, w których siedziba Unimedia mogła się przeglądać, z narcystycznym zachwytem kontemplując swój wizerunek.

Firma Beveridge i Bunyan, odkurzona i odświeżona, rozlokowała się na jedenastym piętrze. W piątkowe popołudnie Prudence wraz z Trish wprowadziły się nowego biura. Było ogromne, z dywanem w dyskretnym kolorze i białymi ścianami. Speszony stanęły w nim, przyciskając do piersi doniczki z roślinami ze starego biura. Czują się dziwnie małe i nieprofesjonalne.

Zadzwoił telefon. Trish odebrała go pośpiesznie.

– Biuro redaktora naczelnego – powiedziała głupkowatym głosem. – Mówi Trish. Czym mogę służyć? – Podała słuchawkę Prudence. – To Stephen.

Prudence chwyciła telefon. Rozległ się w nim jego głos.

- Chciałem zadzwonić do ciebie pierwszy. Jakie to uczucie?
- Dziwne. Wszystko tu takie wielkie. I puste.
- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że dali ci moją posadę?
- To stało się zaledwie w środę. Skąd dzwonisz?
- Sprzed budynku.

Prudence podeszła do okna. Na dole, przy drodze, w budce telefonicznej dostrzegła figurkę. Szarpnęła klamkę przy oknie.

– Tu jest klimatyzacja – powiedziała Trish. Prudence zaczęła walić w szybę. Kiwnęła na Stephena.

- Chodź na górę – wrzasnęła do słuchawki.
- Nie, daj spokój – odpowiedział.
- Schodzę do ciebie!

Wybiegła z biura. Nadusiła przycisk wzywający windę. Były trzy – szklane kapsuły pełnące w górę i dół po ścianie atrium. Wskoczyła do jednej i zjechała na parter. Stukając obcasami w marmurową posadzkę, pokonała hol i wypadła na ulicę.

Budka telefoniczna była pusta. Stephen odszedł.

W tym samym tygodniu na początku listopada Maddy także się przeprowadziła. Zamieszkała z Erin. To Erin zaproponowała, żeby Maddy zamieszkała u niej i pomogła jej prowadzić interes.

– Moja ukochana, będziemy pracować razem. – Splotła swoje silne, spękane palce z palcami Maddy. – Co ty na to?

Maddy spakowała wszystkie swoje rzeczy do plastikowych worków i Erin zabrała ją wraz z nimi do swojego domu w Hackney. Przy Romilly Street stały nieco nadgryzione zębem czasu szeregowo domy, na tyłach których mieściła się szkoła. Gdy Maddy przyjechała, trwała właśnie przerwa obiadowa. Dziecięce krzyki brzmiały tak samo jak te, które zapamiętała z czasów, gdy mieszkała jeszcze w Purley, a które dochodziły z oddzielonej drzewami szkoły na tyłach ogrodu. Pograżona we wspomnieniach stała wraz z Erin w sypialni.

Na schodach rozległy się czyjeś kroki. Obróciły się obie. W drzwiach stanęła Allegra.

- Co tu robisz? – spytała Erin. – Dlaczego nie jesteś w szkole?
- Musiałam przyjść po klarnet.

Allegra była dziewięcioletnią dziewczynką, krępa, o ciemnej skórze – jej ojciec był Hindusem.

– Naprawdę nie masz nic przeciwko temu, żebym z wami zamieszkała, Allegro? – spytała Maddy.

Dziewczynka pokręciła głową.

– Nie. I możesz mówić do mnie Ally, jeśli chcesz. – Obróciła się i zeszła na dół, bezmyślnie drapiąc się po pupie. – Mam nadzieję, że zostaniesz dłużej niż ta ostatnia – krzyknęła na odchodnym przez ramię.

W sobotę Gordon był ubrany i gotowy do wyjścia. Jakaś siostra przeszła obok jego łóżka.

- Przepraszam, złotko – zwrócił się do niej. – Gdzie jest April?
- Ma dziś wolne.

– Ale ja się z nią nie pożegnałem.

– Mam jej coś przekazać?

Pokręcił przecząco głową. Spojrzał na leżące na szafce przy łóżku kasety.

Zjawiła się Dorothy i zabrała go do domu. Gdy dojechali, usadziła go w salonie i otuliła mu kolana kocem. Gordon był rozdrażniony i niespokojny. Marzył o papierosie.

– Duszno tutaj.

– Podkręciłam ogrzewanie.

Postawiła torbę z jego rzeczami i usiadła obok na kanapie.

– Gordon, dużo w ostatnim tygodniu myślałam. Odkąd zachorowałeś.

– O co ci chodzi?

– Uważam, że powinieneś przejść na emeryturę. Gapił się na nią.

– Na emeryturę?

– Frank zajmie się wszystkim, przynajmniej przez jakiś czas.

– Frank to alkoholik.

– Więc sprzedamy interes – powiedziała. – Żadna z dziewczynek go nie przejmie. To nie ma znaczenia. Nic nie ma znaczenia. Myślę, że powinniśmy poszukać mniejszego domu, mieć trochę przyjemności z życia. Spędzać ze sobą więcej czasu, tylko ty i ja. Nie sądzisz?

Kotu zdarzył się w kuchni wypadek. W sumie nie wypadek, po prostu na dworze było zimno i najzwyczajniej w świecie nie chciało mu się wyjść. Louise zebrała dowody jego winy na zmiotkę i wyniosła do ogrodu, gdzie wyrzuciła je na trawę. Już odchodziła, gdy pomiędzy pokrzywami dostrzegła podkowę.

Podniosła ją, po czym za pomocą młotka i kilku gwoździ zabrała się do przybijania jej nad drzwiami do kuchni. Robert, którego potwornie bolała głowa – dzień wcześniej była kolacja firmowa – zszedł na dół w szlafroku.

– Tłuczesz jak odźwierny przy wrotach do piekieł. Młotkiem wskazała na podkowę.

– To nam przyniesie szczęście.

– Z twoją rodziną będzie ci potrzebne. Ojciec miał atak serca, siostra okazała się lesbijką. Jaką jeszcze niespodziankę nam szykują?

. – Nie rozumiem, co masz przeciwko lesbijkom.

– W sumie nic – odparł. – Ja też lubię seks z kobietami. Wziął od niej młotek i dobił gwoźdź. Podkowa obróciła się i zawisała do góry nogami.

– Przestań – powiedziała Louise. – Jeszcze stanie się coś strasznego.

Listopad to bardzo melancholijny miesiąc. Wiatr zwiewa liście do rynsztoków, ogrody umierają. Ziab nadchodzącej zimy przenika do szpiku kości, a piękno lata znika, ukazując całą brzydotę, która się pod nim skrywa. To czas, gdy należy spojrzeć prawdzie w oczy. Nawet taki człowiek jak Gordon musiał się z tym pogodzić, tym bardziej że nie bardzo wiedział, jaką to prawdę ujrzy, ani nie miał pojęcia, dokąd ciągnie go nie rozpoznana jeszcze tęsknota, której poddawał się bezwładnie jak targany wiatrem liść. Ze zdumieniem spostrzegł bowiem, że zmierza swoim samochodem w stronę Brixton, myśląc sobie, że nadejdzie dzień, w którym w końcu umrze, a sklepy, które właśnie mijał, będą prosperować jak gdyby nigdy nic – taki na przykład Radio Rentals nie będzie nawet miał pojęcia, że on, Gordon, zjawił się

kiedys na rym świecie, by któregoś dnia z niego odejść. Tyle lat już żyje, a jeszcze nigdy nie jechał autobusem numer 3, za którym właśnie utknął. Lecz tym razem się nie mიაոаł, nie próbował go nawet wyprzedzić. Pograżył się w jakimś dziwnym fatalizmie, dla opisanía którego nie potrafiłby chyba znaleźć słów; tłumaczył sobie po prostu, że musi przecież zwrócić kasety, z czym nie mógł już dłużej zwlekać.

„Mieszkam nad Betterspecs”. Powiedziała mu o tym kiedyś, dodając, że naprzeciwno jest Burger King. Na tym etapie, zanim w jeszcze cokolwiek się stało, przypominając sobie te wskazówki, czuł się podekscytowany jak dzieciak. Znalazł to miejsce i zaparkował. Wysiadł z samochodu i znalazł się w innym świecie. Dzień był wietrzny, przenikliwie zimny, a on czuł się jak klacz jego wnuczki, gdy wyprowadzono ją z kuchni – strzygł uszami i łapał wiatr w nozdrza.

Obok sklepu optycznego były drzwi. Na domofonie zauważył dwa dzwonki i przycisnął niższy. Minęła chwila długa jak wieczność. Ulicą przeszedł mężczyzna, klóąc się z kimś przez telefon komórkowy; przejechał samochód z dudniącą w środku muzyką. Już miał nacisnąć drugi dzwonek, gdy usłyszał kroki na schodach. Drzwi się otworzyły i stanęła w nich April.

Gordon wyciągnął kasety.

– Właśnie przejeżdżałem – powiedział. – I pomyślałem, że przy okazji ci je podrzucę.

– Proszę wejść. Przyjrzał się jej.

– Dobrze się czujesz?

Poszedł za nią na górę. Wpuściła go do mieszkania. Na podłodze leżało roztrzaskane krzesło. Lustro było zbite, a ściana pochlapana czymś, co wyglądało jak kawa. April przysiadła na oparciu kanapy.

– Wczoraj okropnie się pokłóciliśmy. Wziął się do bicia. Myślałam, że mnie zabije. Więc się zabrałam i poszłam się przespać do mojej koleżanki Beverley, a kiedy wróciłam, jego już nie było. – Wybuchła płaczem. – Nie wiem, co robić.

Pogładził ją włosami – były takie kręcone! Ściągnęła je do tyłu i spięła złotymi plastikowymi spinkami. Pomyślał, że dziwnie wygląda w zwykłych ubraniach – dzinsach i czerwonym swetrze. Nie przypominała w nich opiekującego się nim w szpitalu anioła miłosierdzia. Teraz była zdeorientowaną młodą kobietą, desperacko potrzebującą pomocy. Trochę się zawstydział, gdy na myśl o tym poczuł dreszcz radości.

– Nic się nie martw, złotko. Teraz ja tu jestem. – Cofnął rękę. – Myślisz, że on wróci?

Pokręciła głową.

– Właśnie o to się pokłóciliśmy. Widziałam go, jak wychodził z siłowni z tą dziewczyną... Wie pan, to od razu widać... mowa ciała. – Odetchnęła głęboko. – Zawsze był taki zazdrosny o mnie, a sam przez cały czas... Och, nienawidzę go! – Zsunęła się na kanapę.

– Nie, wyniósł się. Zabrał swoje rzeczy.

– Siedź i nie ruszaj się. A ja zrobię ci herbatę.

– To pan powinien odpoczywać – zaprotestowała.

– Opiekowałaś się mną. A teraz moja kolej zająć się tobą.

– Nie powinien pan być w domu?

– Prawdę mówiąc, w domu dostawałem bzika. – Rozejrzał się po pokoju. Duże, brudne okno wychodziło na ulicę. Nagle przerażająco blisko przejechał nią autobus. Na górnym pomoście siedzieli ludzie. – W jednej chwili wszystko tu posprzątani. – Nie dość, że w pokoju panował bałagan, to zauważył, że przydałoby się go też wymalować. – To twoje mieszkanie czy wynajmujesz je?

– Moje. Kupiłam.

Poszedł do kuchni i nalał do czajnika wodę, jakby był u siebie. Była to pierwsza pożyteczna rzecz, jaką zrobił od ponad dwóch tygodni, i poczuł się bezgranicznie szczęśliwy. Weszła April i otworzyła szafkę. Te drzwiczki także trzeba by naprawić; jeden z zawiasów był wyłamany. April wyjęła opakowanie herbaty w torebkach. Kiedy tak stała obok niego, Gordon poczuł się bardzo domowo. Miał wrażenie, że robią to od lat.

Przyniosła mleko.

– Cieszę się, że pan przyszedł.

– Teraz trochę posprzątam, a w niedzielę przyniosę narzędzia – powiedział. – Pracujesz w niedzielę?

Pokręciła głową.

– No to dobrze. – Oderwał kawałek papierowego ręcznika i podał jej. – A teraz bądź grzeczną dziewczynką i wytrzyj nos.

Maddy była z Erin w Cheyne Walk. W ogrodzie libańskiego bankiera sadyły kwitnące zimą prymuie. Maddy ze zdumieniem odkrywała, że uwielbia tę pracę. Uwielbiała jeździć po Londynie furgonetką, włączając się w pracujące życie miasta, po czym rozstając się z nim na długo, by pracować w zaciszu wypełnionych śpiewem ptaków ogrodów. Maddy była twarda; ani deszcz, ani chłód jej nie przeszkadzały. Dawało jej to swego rodzaju poczucie wyższości nad Erin, która bardzo źle znosiła zimno. Poza tym to Erin była szefem. Urodzona nauczycielka, była w swoim żywiole, tłumacząc Maddy tajniki nawożenia ziemi. Jak wielu apodyktycznych ludzi, cieszyła ją ignorancja innych, a przyjemność, jaką dawało jej udzielanie informacji, nastrojała ją wręcz łagodnie. Miała siedmiu stałych klientów – zarówno prywatnych, jak i firmy. Do jej obowiązków należała regularna, cotygodniowa pielęgnacja trawników i skrzynek w oknach, a także projektowanie ogrodów i duże zmiany ich wystroju. Dla Maddy, od tak dawna wiodącej pozbawione korzeni życie, proste zajmowanie się roślinami było kojące. Nawet w tym przepelnionym umieraniem okresie czuła się pełna życia, mogąc kopać w ziemi, sadząc swoje liściaste dzieci na grządkach i uciskając wokół ich korzonków glebę. Uzdrawiało ją to, dawało poczucie bezpieczeństwa. Czy mogła jednak temu błogostanowi bez zastrzeżeń zaufać?

– Nigdy nie byłeś z nikim dłużej? – zapytała.

– Jesteśmy my, tutaj i teraz – padła odpowiedź. – Czy to nie jedyne, co się liczy? – Erin wyprostowała się i popatrzyła na zegarek.

– Dlaczego w takim razie bez przerwy sprawdzasz, która godzina?

Erin potrząsnęła głową.

– O piątej mam spotkanie. – Wytarła nos, zostawiając sobie na policzku smugę brudu.

– Z moją siostrą? Erin przytaknęła.

– Powiedziałam jej o nas kilka tygodni temu. To dziwne, ale nie wyglądała na zaskoczoną. Czasem sobie myślę, że moje siostry znają mnie lepiej, niż ja sama się znam.

– Może faktycznie tak jest. – Erin zdrapała ziemię z łopatk. – Kochanie, czy mogłabyś odebrać Allegre ze szkoły i zawieźć ją na lekcję tańca?

Maddy skinęła głową.

– Myślisz, że nie przeszkadza jej, że mieszkamy razem?

– Skąd, ona cię uwielbia.

– Inne też uwielbiała?

Erin podniosła się i spojrzała na Maddy.

– Przepraszam – szepnęła Maddy.

Wyjęła prymulę z doniczki. Gdy to robiła, pomyślała o powieści Erin. Obrazowe sceny seksualne czytała zszokowana, bo choć daleka od pruderii, nie była przyzwyczajona do tego rodzaju literatury – prawdę powiedziawszy, w ogóle niewiele czytała. Zdumiały ją ataki zazdrości, od których płonęły jej policzki i skręcało ją w brzuchu, gdyż bohaterką utworu bez wątpienia była Erin. Nawet teraz – choć otulona była w stary płaszcz ogrodniczy i męczyła się z otwarciem worka torfu – łatwo było ją sobie wyobrazić na plaży w Goa, jak smaruje piersi swojej kochanki miodem, w scenie z pierwszych stron powieści, by na koniec kochać się z nią namiętnie w wodzie. Maddy nie przywykła do tak gwałtownych uczuć, jej romanse z mężczyznami nie miały w sobie żadnej pasji, i chociaż cieszyła się, że jednak jest zdolna do takiej żarliwości, nie była przygotowana na jej mroczną stronę – zazdrość.

Erin odeszła wraz z zapadającym zmrokiem. Maddy uratowała życie dżdżownicy i odrzuciła ją w głąb ogrodu. Pięć minut po odejściu Erin zaczęło padać. Maddy poczuła urazę do matki natury, bo wyglądało to tak, jakby Erin na nią także miała wpływ i nie pozwala jej spuszczać deszczu, dopóki nie odejdzie.

Maddy siedziała w furgonetce. Na pokrytej błotem ścieżce odcisk stopy wypełniał się wodą. To był ślad pozostawiony przez but Erin. Patrząc na niego, Maddy poczuła ogarniającą ją wielką falę miłości. Ileż szczęścia miała woda, mogąc zbierać się w miejscu, w którym przed chwilą stała stopa Erin!

Deszcz ustał równie gwałtownie, jak się pojawił. Maddy zaczęła się zbierać. Pomyślała sobie, że jej wcześniejsze życie było znacznie prostsze; teraz, gdy w końcu otworzyła swoje serce, stało się o wiele bardziej skomplikowane.

W sali konferencyjnej Brian, dyrektor do spraw artystycznych, pokazywał Erin projekt okładki jej książki. Prudence wierciła się zdenerwowana. Erin działała na nią onieśmielająco. Nawet jej brudne paznokcie zdawały się świadczyć o jej wyższości, zupełnie jakby Erin zajmowała się czymś uczciwszym niż wszyscy ci ludzie związani z mediami.

– Wspaniale się to czyta – mówił Brian. – Twoje nazwisko będzie tutaj.

Brian był cudownym dzieckiem lat sześćdziesiątych, jednym z tych cockneyów, którym się udało. Choć już posunięty w latach i pomarszczony, nadal promieniował swego rodzaju urokiem, który jednak zdawał się zupełnie nie działać na Erin.

– Słowo daję, moja dziewczyna nie mogła się oderwać od lektury. Tak się zaczytała, że przegapiła swój przystanek i wylądowała w Hounslow East.

– Wszyscy mówią to samo – wtrąciła Prudence.  
– A tu będzie tytuł – pokazywał Brian. – *Igrając z ogniem*.  
– Czy to mają być kobiece ciała? – spytała Erin. Brian kiwnął głową.  
– Ludzie tak długo będą się zastanawiać, która co robi, że w końcu kupią książkę. –  
Roześmiał się. – Nie, naprawdę, jesteśmy cholernie z niej zadowoleni.  
– A co ty o tym myślisz? – Prudence zwróciła się do Erin.  
– Moja książka jest o języku – odparła Erin. – Mówi o kobiecym poszukiwaniu wolności.  
– No tak, ale sporo w niej także czego innego – zauważył Brian.  
Prudence zamarła, ale Erin się uśmiechnęła.  
– A jak myślisz, po co? Przecież chyba chcemy, żeby powieść się sprzedawała.  
– No to bierzmy się do roboty. – Prudence uśmiechnęła się z ulgą.  
Niestety, ulga okazała się przedwczesna.  
– Co u Maddy? – spytała, gdy odprowadzała Erin do windy.  
– Wszystko w porządku – padła odpowiedź. – Pracuje teraz ze mną. Świetnie sobie radzi z roślinami.  
– Musicie wpaść któregoś dnia na kolację. Ostatni miesiąc był trochę zwariowany przez tę chorobę taty i naszą przeprowadzkę do nowego budynku. Maddy wydaje się bardzo szczęśliwa... no wiesz, z tobą.  
Erin pokiwała głową.  
– W końcu przestała uciekać.  
– Uciekać? A przed czym?  
– Przed wami, to chyba oczywiste – powiedziała Erin. Dotarły do windy. Stały przy niej dwie sekretarki z działu Prudence, ubrane już do wyjścia.  
– Przed nami? – spytała zdumiona Prudence.  
– Tobą i twoją siostrą.  
– O co ci chodzi? – Prudence wpatrywała się w Erin. Dwie sekretarki słuchały z nie skrywanym zainteresowaniem.  
– Przy was zawsze czuła się gorsza, jakby nie pasowała. Nie wiedziałaś o tym? Louise jest taka piękna... ty taka mądra. Wasz ojciec także specjalnie jej nie pomagał. Maddy bardzo wiele wycierpiała.  
Prudence stała, niezdolna wykrztusić ani słowa. Drzwi do windy otworzyły się. Erin oraz dwie dziewczyny weszły do środka i drzwi się za nimi zamknęły.  
O pół do szóstej Prudence wyszła z biura. Deszcz przestał padać. Stephen siedział na murku. Oświetlało go światło stojącej na parkingu latarni. Był nie ogolony, miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy i wyglądał, jakby czekał na Godota.  
– Dlaczego nie wszedłeś do środka? – zapytała i natychmiast tego pożałowała. Przecież to oczywiste, że nie wszedł. Ujęła go pod ramię. – Chodź, pójdziemy gdzieś na drinka.  
Wsiedli do samochodu i wyjechali z parkingu. Dziesięć minut później wjechali na plac budowy z wybudowanymi w połowie domkami. Prudence zawróciła. System jednokierunkowych ulic wywiódł ich na wiadukt wzdłuż Canary Wharf, potem do tunelu i na rondo.



– Gdzie, do diabła, jest ten pub? – mruknęła Prudence. Stephen wyrzwał przez okno.  
– Czy nie przejeżdżaliśmy już tędy jakieś pięć minut temu? – spytał.  
– Cholerne jednokierunkowe ulice – powiedziała rozzłoszczona. – Zupełnie jakbyśmy trafili w pętlę czasu.

Pokazał jej jakiś wyjazd.

– Spróbuj tutaj.

– Psiakrew. – Nie zdążyła.

Jechali dalej, a ona zdenerwowana wymachiwała rękaw stroną mijanej ziemi niczyjej.

– Witamy w nowym, cudownym świecie wydawniczym. Nie cieszysz się, że się z niego wyrwałeś?

– Prawdę mówiąc, nie.

– Wybacz, ale miałam okropny dzień. Na dodatek przyszła ta cała Erin Fox i oznajmiła mi, że zniszczyłam moją siostrę, bo byłam za mądra.

– Od początku nie podobała mi się ta baba. Apodyktyczna, pozbawiona poczucia humoru, zachwycona sobą.

– Wygląda na to, że Maddy jest nią kompletnie zauroczona – powiedziała Prudence. – Nigdy dotąd nie widziałam jej takiej promiennej.

– Może po prostu lepiej jest być z kobietą.

– Ja już nie pamiętam, jak to jest być z mężczyzną.

– Zatrzymaj samochód – powiedział.

– Nie mogę!

– Po prostu zatrzymaj.

Prudence zjechała na chodnik. Obok nich z hukiem przejeżdżały samochody. Zgasiła silnik.

– Prudence, straciłem pracę – powiedział Stephen. – Ty ją dostałaś, no i dobrze. Naprawdę bardzo się cieszę z twojego awansu, ale w tych okolicznościach dla mnie to mała pociecha. Przez ostatni miesiąc wycierałem progi we wszystkich możliwych wydawnictwach w Londynie. Zacząłem nawet wypełniać podanie o pracę agenta ubezpieczeniowego. Jak nisko można upaść? – Wyrzwał na zewnątrz, na wznoszący się nad jakimś magazynem dźwig.

– Moje małżeństwo lada moment się rozpadnie. Nic mi już nie zostało. Rano nie chce mi się nawet ubrać.

– Tak mi przykro.

– Nie, to mnie jest przykro. Prudence milczała chwilę.

– Ja... ja po prostu nie mogę już tego wytrzymać – zaczęła w końcu. – Mój ojciec był o krok od śmierci. Ty i ja, my także któregoś dnia umrzemy...

– Cóż za radosna rozmowa...

– Po co to wszystko? – Obróciła się do niego. – Żyjemy w takim okresie połowicznego rozpadu, naprawdę nie żyjąc wcale, i sprawiamy sobie wyłącznie ból. W zasadzie tylko on jest prawdziwy. – Spojrzała przez okno. – I nawet nie możemy się nigdzie napić, do ciężkiej cholery!

– To zabawne, że przeklinasz.

– Cóż, właśnie zaczęłam.

– Muszę przyznać, że mi się to podoba – powiedział.

Zapatrzyła się na wypełniony po brzegi schówek na rękawiczki. Obok nich z łoskotem przemknęła ciężarówka, wprawiając w drżenie cały samochód. Wydało jej się, że siedzą w delikatnej, nietrwalej łupince, miotanej po targanym wichrami świetle.

– Steve, musimy z tym skończyć. Wiesz o tym, prawda? Siedzieli dalej, a po policzkach spływały im łzy. Nie spojrzała na niego, ale wyczuła, że potakująco skinął głową.

– Dot? Wychodzę. Wrócę trochę później.

– Dokąd? Nie powinieneś prowadzić samochodu.

– Nic mi nie będzie. Jadę tylko do miasta.

– Po co?

– Muszę podrzucić farbę na Lavender Hill.

– Przecież jest niedziela.

– Tak... ale w ten sposób na rano wszystko będzie gotowe, no nie?

– Słowo daję, Gordon. Ale cieszę się, że czujesz się już lepiej.

– To na razie.

– Uważaj na siebie. I nie wydzieraj się na innych kierowców.

– Pa.

Imogen usłyszała nadjeżdżający samochód. Przekroczyła leżącego Monty'ego i pomknęła do kuchennego okna. To była jego furgonetka. Pędem wybiegła przez boczne drzwi, kiedy jednak dotarła do rogu domu, zwolniła i nonszalancko zaczęła iść przez zwirowany podjazd.

– Cześć – powiedziała.

Była przekonana, że jej twarz zdradzała wszystko. Miała wrażenie, że jest zupełnie przezroczysta, jak pędraki, przez których skórę widać wewnętrzne narządy, pulsujące nadzieje i obawy.

Karl wziął swoją torbę z narzędziami. Dzisiaj miał na sobie błękitną koszulę i szalik w kropki. Chyba był u fryzjera, bo loki opadające na szyję znikły. Trochę mu to ujęło uroku, ale wcale nie była tym zmartwiona, bo dzięki temu nikt inny nie będzie go pragnął.

– Miło z twojej strony, że przyjechałeś w niedzielę – powiedziała.

– Przecież to nagły wypadek, no nie? A zresztą i tak cały tydzień mam zajęty.

Podniósł kopyto Skylark. Boże, co za szczęście, że konie nie potrafią mówić.

– Musiała cholernie mocno szarpnąć – zauważył.

– Potknęła się o coś i potem usłyszałam ten szcęk.

– Kiedy ją podkuwałem?

– Pięć tygodni temu – odpowiedziała natychmiast. – Ale bardzo dużo jeździłam. – Poglądziła szyję Skylark. – Próbowałam znaleźć tę borsuczą norę.

– Borsuczą norę?

– No wiesz, kiedyś mi o niej opowiadałeś. W Blackthom Wood.

Karl przyłożył nową podkowę do kopyta.

– Aha, wiem którą.

– Powiedziałeś, że mi ją pokażesz.

– Serio?

– Uwielbiam borsuki. Zaczął podkuwać konia.

– No, pomyślimy o tym – powiedział.

– W zasadzie wszystkie wieczory mam wolne. – Zaraz jednak pośpiesznie dodała: – To znaczy, często wychodzę, ale gdybym wiedziała wcześniej...

Podniósł na nią wzrok.

– Ile masz lat?

– Szesnaście. Już ci przecież mówiłam.

– Słuchaj no, szesnastolatko, powinnaś siedzieć w domu i uczyć się.

– Założę się, że ty nigdy nie siedziałeś.

– A ty skąd niby możesz to wiedzieć? – Uśmiechnął się i podrapał po wygolonym karku. Kto mu obcinał włosy? Fryzjerka? Nie wyglądał na faceta, który chodzi do fryzjera. – No, dobra – powiedział. – Może dzisiaj o zmierzchu?

Pokiwiała radośnie głową. Czuła, jak jej policzki zalewa fala gorąca.

Tym razem Gordon miał na sobie ubranie robocze – swój kombinezon. Za uchem tkwił wetknięty ołówek. Gordon opuścił wiertarkę.

– Tak sobie myślałem – powiedział. – O, zobacz... gdybyś przesunęła to tutaj... mogłabyś tak obrócić stół i zrobiłoby się więcej miejsca. Drzwi przestałyby walić w stół... A tu można by zrobić szafkę na kasety wideo... i osuszyć tę wilgotną plamę. Według mnie, pękła rura ściekowa. Trzeba porozmawiać o tym z właścicielem budynku.

April uśmiechnęła się.

– Zawsze taki jesteś?

– Jaki?

– Wszędzie robisz porządek.

Upchnęła poduszkę w poszewkę; wszystkie powłoczki wyprała w pralce.

– Marnujesz się w swojej pracy. Powinieneś dowodzić armią.

– I dowodzę. Tyle tylko, że to sami dezserterzy. Zwłaszcza w poniedziałek rano.

Roześmiała się i zaciągnęła zamek błyskawiczny w powłoczce.

– Kiedyś tak samo rozśmieszałem moje córki.

– Teraz już się nie śmieją?

– Nie z moich dowcipów. Jeśli o nie chodzi, to traktują mnie trochę jak zło konieczne.

– A to czemu?

– Jestem ich ojcem. A ojcowie zawsze palną coś głupiego, nie sądzisz?

Przetrzepała poduszkę i ułożyła ją na kanapie.

– Ja swojego, niestety, nie miałam okazji poznać. Kiedy miałam sześć lat, przysłał mi botki, naprawdę śliczne, z czerwonego zamszu, ale były za małe. Chyba rosłam szybciej, niż myślał.

– Jak mógł zostawić kogoś takiego jak ty? Upychała kolejną poduszkę w powłoczkę.

– On tak nie myślał. – Umilkła na chwilę. – Ostatnio, kiedy miałam jakieś wieści o nim, wyjechał na Jamajkę. – Rzuciła poduszkę na kanapę. – Czasami o nim myślę. Zwłaszcza kiedy mam nocki. Wtedy mam czas. Zupełnie jakby cały świat spał. Jestem tylko ja i ci

biedacy, którymi się opiekuję. Tylko bicie ich serc na monitorach. Są jak moje dzieci, a ja pilnuję, żeby były bezpieczne. Przynajmniej tej nocy. – Wzruszyła ramionami. – Wtedy o nim myślę. A nawet nie wiem, jak wygląda. – Ruchem głowy wskazała na pokój. – Z tym jest znacznie łatwiej.

Gordon patrzył na nią. Nagle wydało mu się, że pokój się cofa, jak fala z sykiem uciekająca z plaży. Zostali tylko oni, wysoko poza jej zasięgiem.

Był jeden z tych brudnych listopadowych dni, szarych i wilgotnych, kiedy można by pomyśleć, że zmrok trwa przez cały dzień, od świtu. Imogen w zaciszu swojego pokoju nakładała kolczyki w kształcie gwiazdek. Przejrzała się w lustrze. Kolczyki na nocne obserwowanie borsuków? Szybko je zdjęła.

Zeszła na dół i wzięła płaszcz z wieszaka. W drzwiach kuchni pojawiła się matka.

– Dokąd się wybierasz?

– Do Sandry – powiedziała Imogen.

– Po co?

– Pooglądać wideo.

– Mówiłaś przecież, że już w życiu się do niej nie odezwiesz za to, że nagrała ci coś na twoim *Withnail and I*. A zresztą i tak nigdzie nie pójdziesz, dopóki nie posprzątasz swojego pokoju.

– Mamo...

– To ci zajmie najwyżej pół godziny.

– Nie mogę!

– Wideo może poczekać. Na tym właśnie polega wideo. Zadzwoń do niej.

– Nie mogę! Imogen wybiegła z domu.

Z kuchni wyszedł Jamie, wyjadając taramasalatę prosto z opakowania. Louise odwróciła się do niego.

– Co ja takiego zrobiłam? – spytała. – Nigdy się tak nie odnosiłam do swoich rodziców. Zawsze byłam grzeczna, miła i porządna.

– Czyżby?

– Pomagałam mamie. Śmiałam się z dowcipów taty.

– Akurat!

– Naprawdę!

– Założę się, że byłaś taka sama jak my – stwierdził i wrócił do kuchni.

Louise poszła za nim. Na kuchennym stole piętrzyły się torby; dopiero co wróciła z niedzielnej mszy w katedrze Tesco. Torby były porozwalane, jakby szczur w nich buszował. Jej dzieci nie miały sobie równych w wynajdywaniu smakołyków, na które akurat przyszła im ochota – lody owocowe, taramasalata – resztę upychając byle jak z powrotem.

– Może powinnam zadzwonić do waszej babci – powiedziała. – Zapytać, jak się ma dziadek. Nie rozmawiałam z nimi od tygodnia.

– Taka porządna córka – prychnął zjadliwie Jamie.

Nie zwracając na niego uwagi, wybrała numer. Gdy czekała, aż ktoś odbierze, pokazała na torby.

– Rozpakuj to, dobrze?

– Mamo! Przez cały tydzień wykladałem towar na półki. Pewnie to tutaj także.

Telefon odebrała Dorothy. U nich wszystko dobrze, powiedziała, ale martwi się o Gordona. Ciągłe go gdzieś nosi, nie może usiedzieć na miejscu, a poza tym potwornie brakuje mu papierosów. W ciągu minionych dziesięcioleci kilkakrotnie próbował je rzucić, ale nigdy mu się nie udało.

– Myślę, że wymyka się z domu, żeby sobie skrycie zapalić.

– Daj go do telefonu. Przeczytam mu ustawę o strajkach.

– Nie ma go. Wszedł rano i do tej pory nie wrócił. Prawdę mówiąc, zaczynam się już denerwować.

– Nie mam ochoty na papierosa... nie mam ochoty na papierosa... – powtarzała monotonicznie April. – Wszystkie pielęgniarzki palą. Śmieszne, no nie, zważywszy na to, że nikt lepiej od nas nie wie, czym to grozi.

– Nie musisz tego robić – powiedział Gordon – tylko po to, żeby było mi różniej.

– Zaczynam nowe życie. To już postanowione. Po co komu faceci? Nawet prasowałam mu koszulę. A chyba już nikt dzisiaj tego nie robi.

Siedzieli w kuchni i pili herbatę. April chwyciła się za koniuszek ucha i ścisnęła go.

– Trzeba tak robić, kiedy bardzo chce się palić. Gordon także złapał się za ucho.

– W ten sposób?

Nachyliła się przez stół i ścisnęła koniuszek jego ucha.

– Tak. Pokazała mi to moja kumpela, Beverley. W uchu są receptory, także i te reagujące na nikotynę. Nauczyła się tego od swojego trenera na basenie.

Było mu bardzo miło, gdy tak ścisnęła mu ucho. Nachylając się ku niemu, wsparła piersi w poplamionej farbą koszulce o stół.

– Jak długo tak trzeba trzymać? – spytał.

– Aż ci przejdzie ochota.

Minuty mijały. Lodówka włączyła się z dygotem. Na podwórku pod jej mieszkaniem ktoś gwizdał motyw przewodni z *Guys and Dolls* – „I Got The Horse Right Here...”. Słowa znał na pamięć. Spróbował skoncentrować się na nich, by zagłuszyć coraz gwałtowniejszy głód nikotyny.

– Jest coraz gorzej – powiedział.

Roześmiała się i znowu chwyciła go za ucho. Jej dłoń była przyjemnie ciepła.

– Nie mogę robić tego wiecznie.

– A niby czemu nie? Coraz bardziej się do ciebie przywiązuję. Myślę, że będę cię ze sobą wszędzie zabierał.

– Ale byśmy śmiesznie wyglądali. A gdzie mnie zabierzesz? W jakieś cudowne miejsce?

Skinął głową.

– Co byś powiedziała na Neasden?

– Mmm, wspaniale.

– Albo Ponders End... Gdzie tylko zechcesz, bez żadnych ograniczeń.

– A może w jakieś naprawdę niesamowite miejsce, na przykład East Bromley?

– O, tego nie znam. Słyszałem tylko, że mają tam tygrysy. Wychodzą w nocy, na parking Bejam.

Parsknęła śmiechem i puściła jego ucho. Gordon wyjrzał przez okno. W oknach naprzeciwko płonęły światła. Najwyraźniej na dworze zrobiło się już ciemno.

– Cholera. Muszę się zbierać. – Rzucił okiem na zegarek. Była godzina piąta.

Zebrał swoje rzeczy. Oboje zeszli na dół. April otworzyła mu drzwi.

– Dzięki za wszystko – powiedziała.

Pożegnał się z nią i skręcił za róg w boczną uliczkę, gdzie zostawił samochód. Jego mercedes stał tam, oświetlony przez latarnię. Wydał mu się dziwnie niski, jakby zapadł się w asfalt.

Przyjrzał mu się dokładnie. Koła zniknęły.

Blotnistą ścieżką szła za Karlem. Gałęzie trącały ją w ramiona. Było tak ciemno, że nie widziała, dokąd idzie. Weszła w jakąś koleinę i potknęła się.

Wziął ją za rękę. Miał takie duże i suche dłonie! Czy trzymał ją tylko dlatego, że chciał jej pomóc?

– Nie papłaj, kiedy dojdziemy na miejsce, dobrze?

– Ja nie paplam! Potknęli się oboje.

Gordon oddał jej książkę telefoniczną. Dzwonił do warsztatów zajmujących się serwisem opon, ale – tak jak podejrzewał – żaden nie był czynny.

– Otworzą dopiero w poniedziałek – stwierdził.

– Może zadzwonisz na policję? – podsunęła April. Pokręcił głową.

– Zadzwon do żony – powiedziała. – Musi wiedzieć, co się stało.

Gordon podszedł do okna. Po drugiej stronie ulicy był jasno oświetlony Burger King.

– Prawdziwa katastrofa – powiedział.

– Co takiego?

Jakaś kobieta wchodziła z dziećmi do Burger Kinga; nad ich głowami podskakiwały srebrzyste balony.

– Widzisz, nie powiedziałem jej, że tu będę. Za jego plecami zapadła pełna zaskoczenia cisza.

– Och.

Wciąż mówił, patrząc na ulicę:

– Sam nie wiem, dlaczego.

– Rzeczywiście. Odsunął się od okna.

– Lepiej do niej zadzwonię.

Zwrócony do April plecami, wykręcił numer do domu. Gdy Dorothy odebrała, jąkał się i plątał.

– ... znowu ta cholerna skrzynia biegów, próbowałem ją naprawić. Nie wiedziałem, że już ta godzina... Nie, nie, wszystko w porządku, wrócę pociągiem. Będę w domu za godzinę.

Odłożył słuchawkę. Nagle, nie wiadomo dlaczego, brakło mu tchu.

April bawiła się złotym łańcuszkiem na szyi.

– Dlaczego jej nie powiedziałaś, że ukradli ci koła?

– A bo ja wiem? – Znowu zebrał swoje rzeczy. – Pójdę już.

Zadzwoił telefon. Gordon zamarł. Skąd Dorothy знаła ten numer?

W końcu, po kilku dzwonek, April podniosła słuchawkę.

Rozległ się w niej męski, rozzłoszczony głos, tak głośny, że nawet Gordon go słyszał. April ścisnęła słuchawkę.

– Ani się waż! – powiedziała. – Wychodzę! I zmieniałam zamki! – Umilkła i słuchała. – Dennis?

Ale w słuchawce słyhać już było tylko ciągły sygnał. Odłożyła ją.

– To był Dennis – powiedziała. Twarz miała skurczoną. – Zaraz tu przyjdzie.

Rozplakała się. Gordon objął ją ramieniem. Jej ciało nie było mu już obce – duże, mocne ramiona – była postawną dziewczyną – jędrne piersi. Pachniała terpentyną i ciężkimi perfumami.

– Zostanę – powiedział.

– Nie możesz.

– Cii. Nie zostawię cię samej.

Oczy Imogen z wolna przyzwyczajały się do ciemności. Ponad nią wznosiły się czarne, masywne pinie. W panującej ciszy zdawało się jej, że słyszy ich oddech. Kilka metrów dalej rozciągał się nieco jaśniejszy pas piachu, w którym zionął czarny otwór nory. Imogen opatulona płaszczem siedziała obok Karła, który rozłożył na ziemi starą kurtkę, a to oznaczało, że musiała usiąść bardzo blisko niego, tak że ich ramiona się stykały.

– Będą wychodzić na łowy. – Pokazał ręką w stronę nory. – Samiec i samica.

– Czy borsuki łączą się w pary na całe życie? – spytała szeptem.

Potrząsnął głową.

– Są na to zbyt mądre.

Uśmiechnęła się. Nie widziała, czy i on się uśmiechał. Poruszyła się ostrożnie, żeby wyciągnąć aparat. W tym momencie jej udo oparło się o jego.

– Hej, nie możesz robić im zdjęć – szepnął, owiewając jej twarz ciepłym oddechem. – To je wystraszy.

– Aparat jest na podczerwień. Należy do mojego taty. Zobacz. – Wycelowała w niego obiektyw i zwolniła migawkę. – Żadnego błysku, widzisz?

Wziął od niej aparat.

– Rany – powiedział i przybliżył aparat do twarzy, żeby mu się lepiej przyjrzeć. – Dziany ten twój stary, no nie? Co robi? Pracuje w City?

– Cii – syknęła. – Mieliliśmy nie paplać.

Umilkł. Panujący między nimi układ sił uległ zmianie. Przez chwilę pomyślała o bracie i ich dziecinnych walkach o to, kto jest górą. Zazwyczaj wygrywał Jamie – w końcu starszy i na dodatek chłopak – ale w tych nielicznych przypadkach, kiedy jej udawało się wygrać, jakże słodki był smak zwycięstwa!

Zresztą nie miała ochoty na rozmowę o ojcu. Nie chciała powiedzieć Karlowi, czym zajmował się jej ojciec. Przede wszystkim sama nie bardzo wiedziała, na czym polegała jego

praca, po drugie nudziło ją to. W ogóle nie chciała myśleć o rodzicach. Miała obok siebie Karla. Prawdziwy cud! Kłopot w tym, że tyle razy o tym marzyła, a teraz, kiedy w końcu jej sny się ziściły, z trudem to do niej docierało. Nic nie czuła. Pragnęła, żeby było już po wszystkim, bo chciała znaleźć się w swoim pokoju i z rozkoszą rozpamiętywać każdą chwilę.

Panowała wilgoć; czuła, jak ziąb przenika ją do szpiku kości. Szara mgielka oddechu Karla mieszała się z jej. Byli tak blisko! Zupełnie jakby łączyły się ich dusze. Zazdrościła jego płucom, że są w jego ciele i mogą dla niego pracować. To. prawdziwy cud, że on jest żywy i chce mu się siedzieć razem z nią w tym lesie. Po raz setny zastanawiała się, czy rzeczywiście interesowały go borsuki, czy też po prostu była to wymówka, by przyprowadzić ją tu nocą. Puścił jej rękę już dawno temu. Ciekawe, czy miał ochotę ująć ją znowu? Albo czy – oby! – myślał o tym, żeby ją pocałować? Ona, oczywiście, borsukami nie była absolutnie zainteresowana. Kiedyś widziała jednego, przejechanego na drodze do Beaconsfield; żywe oglądała tylko w telewizji.

Wpatrywała się w otwór nory – był tak czarny, że wyglądał jak z kamienia. Tylko dlatego zdecydowała się na tę wyprawę, że chciała udowodnić Karlowi, że potrafi być cierpliwa i siedzieć bez ruchu przez tyle czasu, co tak niepodobne jest do dziewcząt w jej wieku; że potrafi wczuć się w rytm natury. A gdyby wreszcie jakiś borsuk wychynął z nory, mogłaby – niby z wrażenia – chwycić Karla za rękę.

Czas płynął. Czuła zapach jego wody po goleniu. Ciekawe, czy umył się i zadbał o siebie specjalnie dla niej? A może – cóż za przerażająca perspektywa – wybierał się dokądś później? Nic o nim nie wiedziała, poza adresem, który znalazła w książce telefonicznej, gdy szukały z matką kowali, nie znała żadnych szczegółów z jego życia. Riverview Close 14, Tetbury Magna – wieś oddalona o piętnaście kilometrów, w pobliżu High Wycombe. Adres znała na pamięć, był wyryty w jej sercu. Oprócz tego nie wiedziała nic – tylko tyle, że był mężczyzną, prawdziwym, muskularnym i czarnym jak cygan, niepodobnym do żadnego z kolegów Jamiego. Mężczyzną, który – wszystko na to wskazywało – chciał tu siedzieć obok niej.

Czy borsuki już sobie poszły? Dalej wpatrywała się w otwór, aż zaczęło jej się wydawać, że pulsuje, jakby był żywą istotą. Zesztywniała – czy coś się w ciemnym otworze nory poruszyło, czy też tylko jej się wydawało? Chciała zapytać Karla, ale bała się przerwać trans, w jakim się znaleźli, zakłócany jedynie równym biciem ich serc.

Gordon nie potrafił kłamać. Jak większość uczciwych z natury ludzi, gdy był zmuszony do kłamstwa, robił to w sposób tak skomplikowany, zawily i wydumany, że uwierzyć mu mogli jedynie ci, którzy – jak jego żona Dorothy – przez lata przywykli mu ufać. Przez telefon dokładnie tłumaczył Dorothy, że samochód zepsuł mu się na Herne Hill, niedaleko miejsca, gdzie mieszkał Frank; poszedł więc do niego i zastał go w strasznym stanie, nad wypitą do połowy butelką szkockiej, gotowego do wyruszenia w kolejny pijacki rejs, postanowił więc kupić trochę jedzenia – Frank nie miał w domu nawet kromki chleba – i zostać, żeby doprowadzić przyjaciela do porządku.

– Gordon, przecież Frank jest dorosły – powiedziała Dorothy. – Sam może się o siebie zatroszczyć.

Gordon zastanowił się chwilę.



- Wiesz, nie chciałem ci tego mówić, ale coś ze mną nie tak.
- Och, moje biedactwo. Może przyjadę po ciebie? Jak się czujesz?
- Skonany.
- Prosiłam cię, żebyś nie wychodził...
- Nic mi nie będzie. Wezmę pigułkę i przekimam na kanapie.

Odłożył słuchawkę. April dyskretnie wycofała się do sypialni, ale pewnie i tak słyszała każde słowo. Stała mu się bardzo bliska, w końcu kłamał z jej powodu. Poczł mdłości.

Wykręcił numer do Franka.

– Słuchaj, gdyby zadzwoniła Dorothy, zrób coś dla mnie. Śpię u ciebie, nie pytaj dlaczego... Nie, to nie tak! Jutro ci wszystko wytłumaczę. Dzięki, stary.

Intryga zataczała coraz szersze kręgi. Jej zatrute macki sięgały wszędzie. Weszła April.

- Wyglądasz okropnie – powiedziała.
- Nie jestem przyzwyczajony do czegoś takiego. Wzięła kubek.
- Przecież nie zrobiłeś niczego złego.
- Nie.
- Możesz wracać do domu. Szczerze. On pewnie i tak się nie zjawi.

Gordon spojrział na nią. W końcu zdobył się na powiedzenie prawdy:

- Chcę tu zostać.

Imogen nie była przygotowana na wrażenie, jakie wywrze pojawienie się borsuków. Pasiasta, czarnobiała mordka – najpierw jedna, po chwili druga, jak przyjazny trójkąt. Potem je usłyszała: fukanie, węszenie, zaaferowana rozmowa dwóch borsucznych towarzyszy, współmałżonków. Myślała, że będą poruszać się ociężale, ale Karl miał rację, były wyjątkowo wdzięczne i zwinne. Nawet nie zauważyła, że złapała go za rękę.

Dwa borsuki węszyły w pobliżu nory. Kiedy się odwróciły, ich mordki znikły, a one same stały się szarymi kształtami w ciemności. Głęboko ją poruszyło to wtargnięcie w ich noc, dla nich tak zwyczajną i podobną do innych. Znowu odwróciły się w ich stronę i można było odnieść wrażenie, że przyglądają się im z łagodną tolerancją. „Cóż, przyglądacie się nam?” – zdawały się mówić ich mordki. „Bardzo proszę, nie krępujcie się”. Chwilę jeszcze się pokręciły, słyszała ich sapanie. Byli jak ludzie – starsza, zasapana para. Potem odeszły w ciemność.

Wysoko między drzewami wrzasnął jakiś ptak. Był to krzyk ostrzegawczy – jak dźwięk ostrzonego noża. Gdzieś w lesie szczeknęło zwierzę – może lis? Ramię Karla stężało, wbijając się w jej rękę. Tej nocy nie zapomnę do końca życia, przemknęło jej przez myśl.

Na ulicy ktoś wył ze śmiechu. Gordon zeszywniał. Dobiegł go brzęk tłuczonego szkła. Czyżby do końca załatwiali jego samochód? Leżał pod kocem, na kanapie w saloniku April. Poduszka pod jego głową oklapła i oparcie kanapy zaczęło go uciskać.

Przez zaciągnięte zasłony wpadało światło z ulicy. Przejechała ciężarówka, wprawiając w drżenie szyby okienne. Północ dawno już minęła, ale wszystko wokół zdawało się dalej tętnić życiem. Prawdę mówiąc, panował cholerny hałas, zwłaszcza w porównaniu z ciszą Purley. Jakie to dziwne, że nie śpi we własnym łóżku. Leżał na kanapie młodej czarnej kobiety, której nazwiska nawet nie znał. Zjadł z nią pizzę na wynos. Siedział obok niej na tej właśnie kanapie

i oglądał trzeci odcinek jakiegoś serialu w telewizji, którego ona była wielbicielek. Przypomniało mu się, że Dorothy też go oglądała, on jednak nigdy nie widział ani jednego odcinka – no tak, ale w końcu cały tydzień spędził w szpitalu.

Skorzystał ze szczoteczki do zębów April. Umył się pod prysznicem w jej łazience, oglądając jej osobiste rzeczy na półeczce pod lustrem – żel do ciała, szampon, coś o nazwie „Black Beauty Hair Relaxer”. Obcość tego wszystkiego tylko wzmagala jego poczucie winy. Z drugiej strony, poza okłamanie żony nie zrobił niczego złego. Pomógł jedynie April doprowadzić do porządku mieszkanie i pocieszył ją, kiedy płakała. Nic więcej. To była szalona przygoda, tyle że chyba nikt nie uwierzyłby, iż może się przytrafić właśnie jemu. Nawet jemu samemu z trudem to przychodziło. W sumie odczuwał coś na kształt dumy, że zachował się jak student – jak jedno z jego wnucząt.

Na ulicy jakiś człowiek zaczął krzyczeć. Gordon zamarł. Może to ten jej narzeczony. Może lada moment zacznie się dobijać do drzwi na dole. Gdzieś w oddali rozległo się zawodzenie sklepowego alarmu.

Otworzyły się drzwi od sypialni. Za nimi, w pokoju, paliło się światło. Stała w nich April w piżamie; wyglądała w niej jak dziecko. Bez słowa podeszła do kanapy.

Gordon milczał, uniósł tylko kołdrę, a ona wsunęła się pod nią i położyła obok niego – trochę było im we dwójkę ciasno. Niezgrabnie objął ją ramieniem. Coś zamruczała. Przez chwilę sądził, że może lunatykuje, ale poczuł ostry, zwierzęcy zapach jej strachu. Leżała w jego ramionach, z brodą wspartą o jego pierś. Po paru minutach jej oddech stał się równy i głęboki – usnęła.

W ciszy Purley, w wyłożonej kwiecistą tapetą sypialni spała Dorothy. Na dworze zaczął padać deszcz. Ulicą przemknął samochód, ale poza tym panował spokój. Dorothy miała sen. Biały mercedes kombi, ubrudzony błotem, jechał pod prąd tunelem. Załadowany był ciałami opakowanymi w grube budowlane wory. Za kierownicą siedział Gordon. Zaczęła biec tunelem, krzycząc, by się zatrzymał, lecz z jej ust nie dobywał się żaden dźwięk. Samochód znikając za zakrętem, pod wpływem nadmiernego ciężaru sunął podwoziem po drodze. Dorothy spała dalej, a rano po przebudzeniu czuła jedynie lekki niepokój.

W Starym Probostwie Louise leżała samotnie w wielkim metalowym łóżku. Robert siedział na dole i popijając whisky, oglądał z Jamiem *Szklaną pułapkę*. Naturalnie cieszyło ją, że mąż spędza czas z synem. Jak na dwoje ludzi mieszkających pod jednym dachem udało im się utrzymywać minimalny kontakt, co kładła na karb wieku Jamiego oraz wzajemnej pogardy syna i ojca dla stylu życia tego drugiego. Coraz częściej jednak Robert przesiadywał na dole do późna i do łóżka kładł się dopiero, gdy Louise już spała. Zamykał się w swoim gabinecie i pracował albo po prostu zasypiał przed telewizorem. Przez wiele lat kładli się spać mniej więcej równocześnie, wędzeni niepisaną erotyczną synchronizacją. Uciekali od rodzinnego życia na dole, psych kłaków i domowych problemów, by w zaciszu sypialni oddawać się intymnym przygotowaniom do nocnego odpoczynku.

Dlaczego on jej unikał? Nie kochali się od dziesięciu dni, od czasu, gdy podekscytowani i rozchichotani wrócili do domu z kolacji u jedyńskich mieszkańców wioski, których Robert uznawał za wystarczająco zabawnych – starego, wiecznie ululanego dziennikarza i jego

kochanka. Raz ją zaniedbywał, kiedy indziej znowu następowały okresy, w których kochał się z nią gwałtownie – nie, nie kochał: uprawiał seks. Namiętność Roberta stała się jakaś bezosobowa. Chwytał ją swymi owłosionymi ramionami i penetrował jej ciało, zapominając jakby o jego istnieniu. Przypominało to jakiś wściekły dialog pomiędzy nim a jego penisem. Po wszystkim całował ją obojętnie i zasypiał. Przez cały czas trwania ich małżeństwa zawsze miała wrażenie, że mąż traktuje jej ciało niezależnie od niej samej. Tym razem jednak było to coś innego. Zupełnie jakby nic go już z nią nie łączyło.

Louise zgasiła światło. Mimo urody, jej doświadczenia z seksem były raczej skromne; Robert złowił ją zbyt szybko. Od tamtej chwili była mu wierna i teraz, po tylu latach wspólnego życia, nie miała z czym porównywać jego i jego zachowania. Gdy układała się do snu, w głowie kołatały jej różne wyczytane w czasopiśmie określenia: „męska menopauza, kryzys wieku średniego... „Wreszcie usnęła.

Imogen leżała w łóżku. Piętro niżej trzaskała broń automatyczna, ogromne okna roztrzaskiwały się z hukiem, a Bruce Willis wyskakiwał z ekranu telewizora. Imogen leżała z otwartymi oczami, a na podłodze koło łóżka wałała się sterta jej przemoczonych ubrań. Gdzieś w oddali zaszczekał pies.

To był magiczny wieczór. Gdy borsuki odeszły, wracała z Karlem przez las. Zaczęło padać, lecz deszcz tylko pogłębiał ich odizolowanie od reszty świata nudzącego się przed telewizorami. Pojechali do Beaconsfield. Siedząc w furgonetce i patrząc na mijane po drodze domy, czuła się jak człowiek wyjęty spod prawa, rozpustna jak cyganka, z mokrymi włosami przylepionymi do czoła. Karl kupił jej frytki. Mężczyzna za ladą ją znał, często po szkole kupowała u niego frytki, teraz jednak była już kimś innym i obdarzyła go uśmiechem z wyżyn swojej nagle osiągniętej dorosłości.

Karl odwiózł ją do Wingham Wallace. Kręcił gałkami radia – szczęśliwe gałki! – aż znalazł stację, na której The Doors śpiewali *Come on baby light myfire*. Lubiała tę piosenkę, ponieważ gitarowa solówka ciągnęła się w nieskończoność, nie przerywając czaru. Torba z frytkami leżała na jej kolanach. Karl sięgał do niej co chwilę, wyjmował po jednej frytce i wkładał do ust. Było w tym geście coś o wiele bardziej osobistego niż trwający wieki pocałunek. Wysadził ją przy kościele. Nie pocałował jej, tylko zmierzwił jej włosy i powiedział:

– To na razie. Trzymaj się.

Trzydzieści kilometrów dalej, w Clapham, Prudence leżała bezsennie. Wypiła całą butelkę bułgarskiego cabernet sauvignon, nie pomogło jej to jednak usnąć. Stephen nie odezwał się ani razu od ich zerwania w ubiegłym tygodniu. Nawet nie zadzwonił.

Na brzuchu leżał jej kot Cedric. Mimo tak późnej pory samochody nie przestawały jeździć w jednym kierunku; na Titchmere Road ruch nie ustawał nigdy. Jeżeli wszystkie miejsca parkingowe były zajęte, co się na ogół zdarzało, każdy, kto chciał się zatrzymać, musiał ustawić samochód obok już zaparkowanych, blokując ruch i zmuszając przejeżdżających do gwałtownego hamowania. Tylko najodważniejsi decydowali się zostawiać tak samochody na dłużej.

Stephen do nich nie należał. Wpadł do jej życia tylko na chwilę, nie wyłączając świateł

awaryjnych. Przez cały rok był czujny, nie zdejmował ręki z dźwigni biegów, gotów w każdej chwili odjechać. Bał się trwałego związku – określenie obrzydliwe, ale jak najbardziej odpowiednie. Nawet nie rozejrzał się za parkometrem, nie mówiąc już o pozwoleniu na stałe parkowanie.

Prudence roześmiała się – suchym, nerwowym śmiechem. Kot na jej brzuchu śmiesznie podskakiwał. Pomyślała sobie: przez cały ten czas ani na chwilę nie zgasił silnika, podły drań. A teraz siedzi sobie bezpiecznie w swoim pieprzonym garażu w Dulwich. Ona się nie śmiała; to był płacz. Bez łez, szarpiący wnętrzości. Kot w końcu tego nie wytrzymał i zeskoczył z łóżka.

Maddy mówiła w ciemność.

– Ojciec mnie nienawdził, bo byłam inna. Nie robiłam tego, co zwykle robią grzeczne małe dziewczynki. A ja nigdy nie starałam się go zadowolić.

– Zdaje się, że to bardzo konwencjonalny człowiek – powiedziała leżąca obok niej Erin. – Nic nie jest w stanie go ruszyć. Wiedzie swoje nie poddane niczyjej ocenie życie, a twoja matka mu w tym pomaga, idealnie odgrywając swoją rolę. Grzeczna zoneczka gotuje mu obiadki i pomaga w pracy. – Ziewnęła i otarła się o szyję Maddy. – To się nigdy nie zmieni. Smutne, nie sądzisz?

Maddy podejrzewała, że jest za stara, aby tak się użalać na rodziców; w ten sposób zachowują się nastolatki. Ale Erin zachęcała ją do tego. Poza tym w ten sposób zbliżały się do siebie, stanowiło to łagodną formę afrodyzjaku. Owinęła nogę wokół nogi Erin. Na ulicy wył alarm samochodowy; w okolicy, gdzie mieszkała Erin, bez przerwy włamywano się do samochodów.

– Zawsze podchodziłam do mężczyzn ze złej strony. Dlatego właśnie wyjechałam z Nigerii. – Maddy umilkła. Nikomu, nawet siostrze, nie powiedziała, co się tam wydarzyło. – Ten facet, Pierre, nasz szef, był prawdziwą świnią. Boże, ależ on się uwielbiał. Mnie nienawdził, ponieważ jego urok na mnie nie działał. Straszny był z niego drań. Posuwał tę kobietę z plemienia Ibo, córkę jakiegoś generała, a Ibrahim, nasz kierowca, musiał go wozić do hotelu, gdzie się z nią spotykał. A za pieniądze, które dostaliśmy na mleko w proszku, kupił jej klimatyzator. – Znowu przerwała. – Potem któregoś dnia odkryłam, że nasi robotnicy, którzy mieli budować klinikę dla dzieci, budowali dla niego i jego żony werandę na tyłach ich domu. Powiedziałam kolegom, ale oni mi nie uwierzyli. Uważali, że się go czepiam, bo go nie lubię. Wszyscy zmówili się przeciwko mnie. Pierre mnie wywalił. Pewnie mogłam walczyć o swoje, ale nagle poczułam, że mam wszystkiego dosyć.

Leżała wpatrzona w ciemność. Coś z Afryki, co unosiło się w powietrzu, przeniknęło ją całą. Inercja, korupcja. Całe życie pyskowała, stawiała czoło przeciwnościom i nagle się poddała – ona, ta dzielna, nieustraszona Maddy.

– Więc się spakowałam i wyjechałam. A on wciąż tam jest. Och, jasne, że nim pogardzałam, ale sobą chyba jeszcze bardziej za to, że stchórzyłam. Rozumiesz?

Ciało w jej ramionach stało się dziwnie ciężkie. Erin usnęła.

## Rozdział trzeci

Są sprawy, których załatwienie nie sprawia kłopotu. Na przykład nowe koła. O godzinie dziesiątej trzydzięci w poniedziałek rano zostały założone, a rachunek za nie uregulowany gotówką. Uporawszy się z transakcją, Gordon – wykąpany, chociaż wciąż w niedzielnym ubraniu – pojechał na budowę przy Dawlish Road, gdzie czekał na niego Frank z kamienną twarzą.

– Powinniśmy się stąd wynieść do końca tygodnia – powiedział Frank. – Ale dobrze będzie, jeśli nam się to uda do końca roku. Boba nie ma, Len postanowił, że jednak nie przyjdzie, i nie ma komu gipsować. A co ty niby robiłeś u mnie wczoraj wieczorem?

– Frank, posłuchaj, naprawdę bardzo cię przepraszam... Niespodziewanie Frank się uśmiechnął. Miał bardzo zmienne usposobienie, zły humor w ułamku sekundy ustępował miejsca wesołości.

– Mam tylko nadzieję, że była tego warta.

– To nie tak...

– Nie ma sprawy. Nie wydam cię. – Frank odwrócił się i wszedł do domu.

– Nie jest...

– Ty stary diable. Kto by pomyślał?

To wprost niewiarygodne, ile ludzie potrafią włożyć wysiłku, aby ominąć prawdę. Jest w tym coś nieomal heroicznego. Cała ta spożyta na wymówki energia – gdyby dało się ją podłączyć do generatora, można by oświetlić całe miasto. Co Gordon usiłował sobie wmówić? Że April potrzebna była praktyczna pomoc, której tylko on mógł udzielić. Że robił tylko to, co do niego należało – oczywiście za darmo, ale co to za człowiek, który odmówi pomocy pielęgniarce? I tak nie zajmie mu to zbyt wiele czasu, najwyżej pięć dni. Gdyby się tym nie zajął, byłoby tylko gorzej – wyciekająca z dziurawej rurki pod kranem woda dostałaby się pod wykładzinę i całe mieszkanie by zgniło. Tłumaczył sobie, że przecież musi jakoś wykorzystać w połowie zużyte puszkę emulsji – a jakże, posunął się aż tak daleko w oszukiwaniu samego siebie. Wmawiał sobie, że nie robi nic złego.

Mówił sobie, sięgając samej krawędzi, że biedna April zaznała tyle zła od tego brutala, swojego chłopaka – poprzedni nie był ani trochę lepszy – że należała jej się odrobina dobroci, by do reszty nie straciła wiary w rodzaj męski. Ojciec ją porzucił; Gordona córki także opuściły w naturalnym procesie dorastania. Zupełnie ich nie rozumiał. Nawet Louise, zawsze mu najbliższa, mieszkała daleko i wiodła życie, wobec którego on sam wydawał się sobie niezgrabny i nie na miejscu. Po każdej wizycie u niej czuł się wyczerpany, jak gdyby cały dzień spędził w złym, za ciasnym ubraniu.

Wkraczając na grunt jeszcze bardziej niebezpieczny, wmawiał sobie, że dobrze mu robi przyjaźń z kimś, kto lubi go takim, jaki jest; w czyjej obecności czuł się naprawdę sobą, choć jakby odmienionym – lepszym Gordonem, którego poza nim samym nikt nie znał. Cóż za wspaniała przygoda – spotkać kogoś, kto śmiał się z jego dowcipów, choćby tylko przez kilka dni, góra tydzień – bo przecież dłużej nie będzie tej znajomości ciągnął. W taki sposób sam

sobie dodawał otuchy.

Toczył wszystkie te rozmowy z samym sobą, ale nigdy w domu – jakoś nie potrafił myśleć o April, przebywając w jednym pokoju z Dorothy – lecz w samochodzie, gnając z jednego placu budowy na drugi. Miał się nie przemęczać, nie wolno mu było dźwigać ciężarów, dzięki czemu miał wymówkę, by nigdzie nie zabawić dłużej. Poza tym i tak nie potrafił usiedzieć w jednym miejscu i dobrze czuł się tylko w ruchu ulicznym, siedząc za kierownicą.

A kiedy jeszcze wyłączył telefon, nikt nie wiedział, gdzie aktualnie przebywa. Szef firmy budowlanej zawsze jest akurat gdzie indziej. W drodze, przed chwilą wyjechał albo zjawi się lada moment. Wszyscy oni są tacy sami, no nie?

– Gdzie on się podziewa? – Z tym pytaniem Dorothy zwróciła się do Franka przez telefon. Była środa.

– Chyba z Jeremym Dawsonem. – Dawson and Associates byli firmą projektową w Elephant and Castle.

– Dzwoniłam do nich. Przez cały dzień staram się go złapać.

– Mówił, że musi pozalać jakieś sprawy. Znasz przecież Gordona.

– Muszę z nim porozmawiać o odmowie na zezwolenie. Simmonides wydzwania do mnie od świtu.

– Nie widziałem go przez cały dzień. Może pojechał do Sidcup.

– Rozmawiałam z Mavisem. Nie było go u nich.

– Na pewno nic mu się nie stało.

Patrząc z perspektywy czasu, doszedł do wniosku, że ten tydzień był jak zaczarowany. Ktoś inny wszystkim sterował, a on unosił się bezwolnie, jakby pod działaniem przemożnej, tajemnej siły. Miał wrażenie, że kompletnie oderwał się od świata z jego problemami i odpowiedzialnością, jakby nadal tkwił w szpitalu, tyle że tym razem nie towarzyszył temu ból.

Słońce świeciło, wyjątkowo ciepłe, jak na listopad. Jego promienie odbijały się od dachów naprzeciwko, ogrzewając go łagodnie, gdy pokrywał kremowożółtą farbą ściany w mieszkaniu April. Owe dni były niewinne jak bajka dla dzieci. W pokoju obok spała April. W tym tygodniu miała nocne dyżury i dała mu klucz. Kiedy otworzył drzwi, zastał ją opatuloną w łóżku, a jej fartuch wisiał niedbale przewieszony przez oparcie krzesła. Przez długie godziny nocne, podczas których on spał, ona czuwała nad oddziałem pełnym chorych i marzyła o ojcu. Była jak jeszcze jedna córka Gordona, brązowa, jednocześnie obca i dziwnie znajoma, niespodziewanie odzyskana.

Tak właśnie o niej myślał, a to chyba nie było niczym zdrożnym? Dlatego właśnie na palcach wszedł do jej pokoju, by sprawdzić, czy jeszcze oddycha, i nacieszyć się jej widokiem. Tak samo ostrożnie zaglądał do swoich córek, gdy jako małe dziewczynki spały w łóżeczkach. Rzeczy należące do April – czego śpiąc, nie była świadoma – stawały się mu drogie i bliskie: jej plakat z reprodukcją van Gogha, pluszowe zabawki, niebieskie flaszki, które przywiozła sobie z wakacji w Wenecji. (Pojechała tam na weekend z grupą świrów, którzy upijali się na umór. „Żałuję, że nie byłam zakochana” – powiedziała wtedy). W

łazience suszyły się jej majtki; a w kuchni na widok słoiczków pełnych torebek z herbatą łyż same napływały mu do oczu.

Duży pokój jednak nie nosił żadnych śladów jej osobowości. Wszystkie meble wysunął na środek” i zasłonił prześcieradłami. Pachniało w nim farbą, co kojarzyło mu się z pracą. Usunął z niego całą jej przeszłość, jak starą farbę z okiennych framug. Wyrównywał wszystkie ubytki w ścianach; meble malował na nowy, jasnożółty kolor, kryjąc pod nim jej dawne życie.

Był czwartkowy ranek. Do pomalowania została mu tylko jedna ściana. Gordon zanurzył pędzel w puszcze. Jego ręka poruszyła się sama, bez jego woli. Napisała: KOCHAM CIĘ.

Gordon wpatrywał się w litery. Były wielkie i przekrzywione, zamazane na końcach. Z O kropla farby spłynęła po ścianie. Ulicą przejechał autobus. Nagle odgłosy dochodzące z ulicy stały się dziwnie odległe – czyjś śmiech, klekot dostawy do pobliskiego sklepu monopolowego. Stał bezwolny, zasluchany w dźwięki miasta, sąsiednich ulic. W pokoju słychać było tylko oddech klepek w podłodze. A może były to westchnienia dobywające się z jego własnej piersi.

Gordon znowu zanurzył pędzel w farbie. Gdy April się obudziła – zdradziło to skrzypienie podłogi za ścianą, szum wody w toalecie – i weszła do pokoju, po literach dawno nie było już śladu.

– Gdzie ty się podziewałeś przez cały dzień?

– Tu i tam.

– Mam tu dla ciebie dziesięć wiadomości. Gdybyś zadzwonił, mogłabym wszystko sama załatwić.

– Wybacz, złotko. Był okropny ruch.

– Frank jest wściekły. O trzeciej miałeś się spotkać z inspektorem.

– Naprawdę?

– Gdzie byłeś?

– Pojechałem na Tottenham Court Road. Oglądałem systemy biurowe. Mówiłaś, że drukarka doprowadza cię do szału.

– Gordon, dobrze się czujesz? Czy coś się stało?

– Nic mi nie jest.

W piątek po południu Gordon skończył. Pokój wydawał się większy i ładniejszy. Oboje zgodnie stwierdzili, że nabrał klasy. April pomogła mu ustawić meble.

– Wygląda świetnie – powiedziała. – Myślałeś kiedyś, żeby zająć się tym profesjonalnie? Wytarł ręce w kombinezon.

– Ktoś mi to kiedyś podsunął. Powiedziałem, że wystarczy mi operacja mózgu.

Roześmiała się i pokazała na okno.

– Muszę powiesić tu nowe firanki. Te wyglądają paskudnie.

– Znam jednego faceta, który może ci je załatwić po kosztach...

– Gordon! Dość już dla mnie zrobiłeś. W pracy się nie skarżą? Spojrzał na sufit.

– Tu nie domalowałem kawałka...

– Wystarczy! – Złapała go za rękę. – Usiądź.

Poszła do kuchni i po chwili wróciła, niosąc butelkę i dwa kieliszki.

– To australijskie wino musujące – powiedziała.

– Musujące są najgorsze. Należy trzymać się od nich z daleka. Zaśmiała się. Uwielbiał jej śmiech, był taki niski, gardłowy i zaskakująco wulgarny. Rozplatał drucik i kciukami wypchnął korek.

Napili się. Słońce, czerwony talerz, chowało się za budynek naprzeciwko. Z ulicy dochodził szum ruchu w godzinie szczytu. Przez tyle lat w piątkowe popołudnia torował sobie w nim drogę, na zmianę to trąbiąc, to łaskawie przepuszczając inne samochody – jako kierowca zawsze miał bardzo emocjonalny stosunek do innych pojazdów na drodze. Wykończony docierał do domu w Purley, by o siódmej rano w poniedziałek zebrać się i zacząć cały ten kołowrót od nowa.

– Oddałabym życie za papierosa – powiedziała.

– Cii.

– Ile to jeszcze będzie trwało?

Popatrzył na nią. Miała na sobie granatowy dres. Dawniej dresy nie bardzo mu się podobały.

– To zależy od ciebie – odparł.

– To zależy od nas obojga.

Czy chodziło jej o papierosy? Opróżniła swój kieliszek, wstała i podeszła do okna.

– Czasami przyglądam się ludziom – powiedziała. – Patrzę na nich i myślę sobie, czy oni mają pojęcie, co dzieje się w ich środku, jaki to cud? Nieważne, czy ktoś jest idiotą, głupcem albo samolubem, jego ciało tak czy owak pompuje, trawi... pracują aorty, wewnętrzności, płuca, jak niewolnicy. Choćbyśmy byli najbardziej wredni pod słońcem, nasze ciała i tak oczyszczają się i odnawiają, wyrównują poziom płynów i elektrolitów, bronią nas przed infekcjami... nawet najgorszemu człowiekowi jego ciało zawsze wybaczy... Wzruszające, no nie? – Obróciła się. – Rozumiesz, samo o siebie się troszczy.

Wziął marynarkę. Objęła go mocno ramionami i przytuliła swój policzek do jego. Nagle ich twarze zwróciły się do siebie i zaczęły się całować. Miała takie miękkie usta, słodki język! Poczul, że puszczają wszystkie tamy. Runęła masa wody, zalewając go bez reszty.

Odsunęli się od siebie. Gordon drżał.

– Chyba lepiej już pójdę – powiedział. Pozbierał swoje rzeczy i wyszedł.

W weekend pogoda uległa zmianie. Wiatr zmienił się na północny i znacznie się ochłodziło. Na ulicach zacinąła mżawka, zmuszając ludzi do szukania schronienia. Pociągi spóźniały się i zmarznięci podróżni wyczekiwali na peronach, dla rozgrzewki przytupując nogami. Zamarzająca mgła sprawiła, że ruch na M1 zamarł. Ulewne deszcze szerzyły zniszczenie w południowej Europie, a w Zatoce Meksykańskiej huragan przeszedł przez Windward Isles, pozostawiając po sobie ruinę. Natomiast Nowy Jork rozkoszował się najcieplejszym od niepamiętnych czasów listopadem. Eksperci nie wiedzieli, co o tym wszystkim sądzić. Wraz ze schyłkiem stulecia natura zwariowała, wprawiając całą ziemię w drżenie.

Ogród Domu Pod Brzozami zamarł, jak gdyby nigdy nie miał się ponownie zbudzić do



życia. Gordon kręcił się po domu bez celu. Była sobota. Dorothy poszła odwiedzić wiekową ciotkę, która złamała sobie biodro. Gordon popatrzył na zmywarkę, ale jakoś nie miał siły jej otworzyć, aby włożyć do niej brudne naczynia. Gazeta leżała nietknięta, tak jak ją przyniesiono, z kolorowym dodatkiem wciąż w środku. W domu panował chłód. Gordon przechadzał się po pokojach, sprawdzając kaloryfery. Czy u April centralne ogrzewanie działało jak należy? Zapomniał sprawdzić.

Spojrzał przez okno na dom naprzeciwko – wolno stojący, częściowo drewniany. Powinien znać jego mieszkańców, w końcu, na miłość boską, byli sąsiadami: Bosworthowie mieszkali tu równie długo jak on; Dorrelowie, których syn niejednokrotnie pożyczał od niego prostownik do akumulatora. Gordon mieszkał tu od dwudziestu lat, a jego ulica wydawała mu się równie obca jak w dniu, w którym się na niej zjawił po raz pierwszy.

Stał na półpiętrze i zaglądał do pokoi dziewczynek. Jego żona dawno temu zajęła sypialnię Prudence z oknami wychodzącymi na południe i ustawiła tam maszynę do szycia. Na desce do prasowania piętrzyła się sterta wypranych ubrań. Dorothy zawsze odkładała prasowanie, zabierając się do tego dopiero wtedy, gdy w radiu było coś ciekawego. Z pozostałych dwóch sypialni ślady po ich dawnych mieszkankach znikły wieki temu. Zupełnie jakby jego córki nigdy nie istniały. Ich dzieciństwo przeleciało jak z bicia trzasnął; po prostu przezimowały w domu niczym migrujące ptaki.

Zszedł na dół. Pomyślał sobie – to się wciąż zdarza. Żonaci mężczyźni zakochują się w młodych dziewczynach. W gazetach wciąż się o tym czyta. Jednak do niego to się nie odnosiło. To, co on czuł, było o wiele bardziej skomplikowane, znacznie głębsze. Zupełnie jakby do tej pory jego życie było czarnobiałe, a tu nagle pojawiły się kolory. Czy przed laty, gdy spotkał Dorothy, odczuwał to samo? Nie potrafił sobie przypomnieć. Jego ciało płonęło z pożądania – tak, temu nie mógł zaprzeczyć. Ale nie była to zwykła żądza. Miał wrażenie, że drzwi nagle się otworzyły, ukazując świat bardziej słoneczny, intensywny. Gdyby się poddał i wszedł do niego, wszystko stałoby się możliwe.

Och, w tym było coś więcej, lecz nie umiał znaleźć słów, by to opisać. Nie nawykł do tak intensywnych rozmyślań, pod wieczór odczuwał takie zmęczenie, jakby przez cały dzień przerzucał worki z cementem. Dorothy miała spędzić noc poza domem, był więc sam. Nie włączył telewizora; nie chciał, aby jakaś Anthea Turner wydzierała się do niego. Żuł gumę miętową. April dała mu paczkę, by łatwiej mógł pokonać głód nikotyny. We własnym domu czuł się jak jakiś żujący gumę oszust. Puścił płytę kompaktową z koncertem Mozarta, którą dostał od Prudence. Jego kolekcja składała się w większości z przebojów Broadwayu. Teraz jednak Mozart bardziej przemawiał do jego serca.

Pocierając kark – rozboleł go od malowania sufitu April – otworzył kredens i wyjął albumy z fotografiami. Otworzył pierwszy z brzegu. Na schodach do ich pierwszego domu stała Dorothy – ile to było lat temu? Prawie dwadzieścia pięć, ćwierć wieku. Na rękach trzymała malutką Louise. Zamknął album i otworzył kolejny. Oglądał wakacyjne zdjęcia trzech córek. W kostiumach kąpielowych siedziały przy stole obok przyczepy. Spoglądały podejrzliwie w obiektyw, jakby już wtedy skądś wiedziały, że nadejdzie dzień, gdy je zdradzi.

Zamknął album. Jeszcze nic nie zrobił – naopowiadał tylko kilka nieszkodliwych kłamstw

i wymyślił sobie jakieś drobne alibi. Ale wiedział, że jego dusza już opuściła ten dom. Zamknięte w plastikowych albumach jego dzieci o tym wiedziały. Nawet meble zdawały się patrzeć na niego oskarżycielsko. Światło ulicznej latarni wpadało do pokoju – nie zaciągnął zasłon, by w pokoju zrobiło się przytulnie, nie potrafił jak żona dbać o domową atmosferę, i Dom wydawał się nie zamieszkały, a on sam był samotnym mężczyzną, błąkającym się po pokojach, które nie były już jego. Każda cząsteczka jego ciała tęskniła do April; marzył, by podnieść słuchawkę telefonu i porozmawiać z nią. Wiedział, że nie może ulec tej pokusie. Musi o niej zapomnieć, usunąć ją ze swego życia. Na zewnątrz świat znieruchomiał jak sparaliżowany. W domu Gordon nie wiedząc, co począć z wieczorem, siedział przy biurku i przekładał papiery. Jakiś wewnętrzny głos kazał mu zrobić w nich porządek, jak człowiekowi szukającemu się na śmierć.

Wzgórza Beaconsfield przyprószone były bielą. Jadący swoim BMW Robert wpadł nagle w poślizg i o mało nie wylądował w rowie, jak jakiś borsuk. Imogen siedziała zamknięta w swoim pokoju, przepisując od koleżanki notatki na temat *Cold Comfort Farm*. Była to jedyna książka, która jej się podobała; poza tym przygotowania do egzaminów stanowiły dla niej prawdziwą męczarnię. Jamie swoje zdał bez problemu, a świadomość tego tylko pogarszała jej samopoczucie. To nie fair, że on jest wysoki i jasnowłosy, a ona mała i ciemna. Gdyby nie goliła nóg, byłyby prawie tak samo owłosione jak nogi jej ojca. Czy Karl naprawdę uważał, że jest ładna? Chyba po raz dwudziesty otworzyła *Przewodnik po świecie antycznym* i wyjęła z niego zdjęcie, z którego spoglądał na nią Karl z uniesionymi brwiami. W zależności od nastroju, w jakim akurat się znajdowała, jego spojrzenie mówiło co innego. Czasami patrzył na nią z takim uczuciem, że robiło jej się miękko w dołku. Kiedy indziej znowu wyglądał, jakby zobaczył ducha.

Przysunęła zdjęcie do twarzy i czule je ucałowała. Jego usta się rozsunęły, oddech stał się szybszy. Przesunęła palcem po szorstkim policzku. Przypomniała sobie, jak sięgał ręką po frytkę do torebki na jej kolanach. Wtedy siedziała sztywno jak kij, z drżeniem czekając, aż coś się stanie. Teraz, prawie mdlejąc z pożądania, mogła kazać mu zrobić wszystko, czego zapragnęła.

W poniedziałek było przenikliwie zimno. Gordon wstał o siódmej, jak zwykle. Zjadł z żoną śniadanie – tost i płatki kukurydziane, żadnej smażonej kiełbasy. Poszedł do pracy, zawiózł nowego robotnika na Orpington, gdzie jego firma remontowała mieszkanie. Wziął kilka reklamówek z meblami do kuchni i zawiózł Frankowi, by je ocenił. Wstąpił na Farleigh Road, gdzie samotny murarz męczył się z robotą, którą powinni byli skończyć kilka tygodni temu.

Zadzwoił jego telefon. To była pani Malik. Spytała go o zdrowie, a potem powiedziała, że obawia się, iż popękają jej rury. Słyszając jej głos, drgnął – był to ostatni głos, jaki przedarł się do jego świadomości, gdy właz na dach się otworzył, a jego zalało światło. Rozłączając się – pani Malik należała do jego bardziej nerwowych klientek – poczuł do niej nagły przypływ sympatii.

Popołudnie mijało. Gordon pragnął, by już się skończyło. Z drugiej jednak strony byłoby dobrze, gdyby trwało w nieskończoność. Wmawiał sobie, że to taki sam poniedziałek jak

każdy inny. Po pracy wróci do domu, do żony, zje kolację, odpocznie. Jego współpracownicy nie dostrzegali w nim żadnej zmiany. Był tym samym starym Gordonem – szybkim, niecierpliwym, zawsze skorym do żartów. Nikt nie zauważył – bo i jak? – że o wpół do piątej podjął decyzję.

Stał właśnie na podeście w połowie schodów w domu przy Dawlish Road, którego remontem zajmowała się jego firma. Z piwnicy dochodził odgłos młotka. Gordon wyjął telefon i wybrał numer do domu.

Odebrała Dorothy.

– Halo?

Gordon stał niezdecydowany. Mógł wejść po schodach albo z nich zejść. Teraz albo nigdy; musiał wybierać. Za nim w pustej framudze okiennej powiewała folia.

Powiedział:

– W życiu nie zgadniesz, na kogo wpadłem. Na tego faceta, Grahama, z którym byłem w wojsku, no wiesz, w Nottingham. – Folia za jego plecami szeleściła, jakby chciała zwrócić na siebie uwagę. – Wyobraź sobie, że przyjechał na jeden dzień do Londynu i spytał, czy nie wyskoczyłbym z nim na drinka, może coś przekąsić. Nie masz nic przeciwko?

Dorothy się zgodziła. Wyłączył telefon i zszedł na dół, do samochodu.

W tym tygodniu April miała w szpitalu dzienną zmianę. O wpół do siódmej opuściła oddział kardiologiczny, zapinając płaszcz. Wyszła ze szpitala i przystanęła, by spojrzeć na niebo. Szczelniej owinęła wokół szyi czerwony szal.

Gordon podjechał, zatrzymał samochód i otworzył drzwiczki. Popatrzyła na niego, po czym bez słowa wsiadła. Przez całą drogę do jej domu w Brixton nie odzywali się do siebie. Weszli po schodach na górę do jej mieszkania – po drodze wyjęła ze skrzynki pocztę – i od razu poszli do sypialni. Włączyła światło i usiadła na łóżku.

– Nie powinienes tu być – powiedziała.

Skinął głową. Zsunęła płaszcz z ramion. Pod nim miała fartuch. Gordon rozpiął jej guziki pod szyją. Ona odpięła pasek. Listy, jeden po drugim, ześlizgnęły się z łóżka. April siedziała nieruchomo, patrząc na nie, jak leżą rozrzucone po podłodze.

Uniosła głowę i ze zmarszczonym czołem taksowała wzrokiem jego twarz. Objął ją i przyciągnął do siebie.

## Rozdział czwarty

Była połowa grudnia. Od ostatniego razu, gdy Prudence widziała się ze Stephenem i słyszała jego głos, upłynęły cztery tygodnie. Jej słaby, wiecznie targany rozterkami kochanek wreszcie podjął decyzję i wiernie się jej trzymał. Jeśli ból, jaki odczuwał po rozstaniu z nią – amputacja wydawała jej się znacznie lepszym określeniem – choć w części był równie dotkliwy jak jej, wykazywał niezwykłą siłę charakteru. Z drugiej strony przypuszczała, że on znosił to lepiej: wrócił do żony i ukochanych dzieci, których tak naprawdę nigdy nie opuścił. A może po prostu – ta myśl ją przerażała – zaczynał już o niej zapominać. Wody jego rodzinnego życia podniosły się, odcinając go od przeszłości. Z wolna docierało do niej, że ona także musi nauczyć się żyć bez niego, skończyć z tymi jednostronnymi rozmowami, które nieustannie prowadziła z nim w myślach: „Dasz wiarę, co Alan powiedział mi na zebraniu marketingowym? Co sądzisz o tej aferze z księżną Di?” Pragnęła dowiedzieć się, czy znalazł pracę, ale nie miała kogo o to spytać. Jego zniknięcie – nie tylko z jej życia, ale też z Beveridge i Bunyan – było równoznaczne ze zniknięciem także z życia tych nielicznych już, bliskich mu niegdyś kolegów z biura. Żadnych innych jego przyjaciół nie poznała, trzymał ją w ukryciu, więc nie mogła niczego dowiedzieć się o nim za ich pośrednictwem. Wszelkie jej kontakty z nim urwały się tak ostatecznie, jakby umarł.

Opowiedziała siostrze o wszystkim – Maddy niezbyt chętnie, wiedziała bowiem, że Maddy nigdy za Stephenem nie przepadała, i choć nie należała do osób lubiących się w zwrocie „A nie mówiłam?”, nie była też szczególnie delikatna i stwierdziła, że to potwierdza tylko jej podejrzenia co do niego. Zawsze uważała go za zwykłego flirciarza, ordynarnego prostaka, co słysząc, Prudence zaczęła go bronić, tłumacząc, że to ona z nim zerwała.

– On tylko uszanował moją decyzję – oświadczyła.

Czasem przy Maddy wyrażała się pompatycznie.

Maddy nie lubiła przyjąć. Kim są ci wszyscy ludzie?, myślała. Co oni tutaj robią? Co ona tu robiła? Co za sens wystawać w butach, które cisną i wysłuchiwać wrzasków kogoś, kogo ona i tak w najmniejszym stopniu nie obchodzi, a zresztą w panującym zgiełku nawet nie słyszy? Ludzie zarykiwali się z kawałów, których pointa do niej nie trafiała. Obejrzała się przez ramię. Po latach mieszkania za granicą odwykła od Anglików i ich małomiasteczkowych zajęć. Czasem ktoś przez grzeczność zadawał jej jakieś pytanie, ale ponieważ nawet nie słyszał o miejscach, w których bywała, szybko tracił zainteresowanie. Czuła się wyobcowana i marzyła jedynie o tym, żeby wrócić do domu. Zawsze miała wrażenie, że ubrała się nieodpowiednio, a od dymu z papierosów łzawiły jej oczy. Poza tym wypijała tyle soku pomarańczowego, że aż robiło jej się niedobrze.

Tak więc raczej niechętnie zgodziła się towarzyszyć Erin na przyjęciu w Unimedia House. W zasadzie poszła tylko dlatego, że Erin ją o to poprosiła i niezmiernie tym uradowana, zgodziła się. Była też trochę ciekawa miejsca, w którym pracowała jej siostra. Maddy nigdy dużo nie czytała i miała niewielkie pojęcie, czym właściwie Prudence się zajmuje. W zasadzie – co uświadomiła sobie ze wstydem – tylko raz odwiedziła ją w starym

biurze w Bloomsbury. Teraz jednak, gdy zakochała się w pisarce, stwierdziła, że miejsce pracy Prudence nagle zaczęło ją niezwykle interesować, podobnie jak zakochana w pomocniku Arsenалу dziewczyna ni stąd, ni zowąd chce obejrzeć mecz. Kiedy jednak weszła do wielkiego, nowoczesnego budynku, zrozumiała, że przyszła tu nie ze względu na siostrę, lecz z miłości do Erin.

Prudence prezentowała się wspaniale. Miała na sobie czarną sukienkę, której Maddy nigdy dotąd nie widziała – zdumiewająco obcisłą – i coś złotego na szyi. Pełniła funkcję gospodyni, uśmiechniętej i pewnej siebie. Była to Prudence, jakiej Maddy nie знаła. Rozpierała ją duma. Jej siostra kierująca tymi wszystkimi ludźmi! Było ich co najmniej pięćdziesięciu. Maddy czuła się onieśmielona. Prudence weszła na podwyższenie i zastukała w swój kieliszek, prosząc o ciszę. Jaka szkoda, że ich rodzice tego nie widzieli. W pewnym sensie Erin miała rację – zawsze czuła się intelektualnie gorsza od starszej siostry. Ale Erin była jedynaczką, nie wiedziała, co to siostrzana miłość, nie pojmowała jej siły i skomplikowanych uczuć, jakie za sobą pociąga.

– Witam wszystkich na naszym świątecznym przyjęciu! – Głos Prudence brzmiał czysto i pewnie. Jak wszyscy profesjonalści, wyglądała, jakby świetnie się bawiła. – Mamy za sobą gorący rok, pełen zamieszania i zmian – nowy budynek, nowi właściciele. B&B, choć z oporami, wszedł w nowy, pełen wyzwań współczesny świat wydawniczy, ale jestem niezmiernie szczęśliwa, że mogę stać na czele nowego zespołu, wiedząc, że przy wsparciu Unimedia na pewno odniesiemy nasz największy sukces...

Wśród stojących obok Maddy powstało zamieszanie. Maddy obróciła się. Z tyłu sali stał, chwiejąc się, brodaty mężczyzna. Miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy, pewnie dopiero wszedł. Nawet z tej odległości Maddy nie miała wątpliwości, że jest pijany.

– I mamy cudowną listę wiosennych nowości – mówiła dalej Prudence. – Niektórzy z naszych najlepszych autorów są tu dzisiaj z nami – Corey Deacon, autor / *Can 't Get Enough* – *Feminism and Pasta in the Millennium...*

To był Stephen. W tej chwili Maddy go rozpoznała.

– ... Stanleya Dibbsa, autora niezmiernie poczytnych książek detektywistycznych... Jest Erin Fox, której pierwsza powieść *Igrając z ogniem* stanie się zapewne naszym bestsellerem...

– Dostrzegła Stephena. – Napelnijmy więc kieliszki i cieszymy się tym wieczorem...

– I nie pozwólmy, żeby ktokolwiek nam tę radość zepsuł! – wrzasnął Stephen.

Maddy utorowała sobie drogę przez tłum i chwyciła go za ramię.

– Zamknij się, Stephen! Wyrwał się jej.

– W końcu jakie to ma znaczenie, że zwolniliśmy trzydzieści osób? Jesteśmy tylko ludźmi!

– Chodźmy! – powiedziała cicho Maddy.

– Nasze dzieci pytają: „Tatusiu, dlaczego nie idziesz dzisiaj do pracy?” – darł się dalej. – Czymże jest ludzkie cierpienie, gdy chodzi o zyski?

Ktoś zachichotał. Nadbiegła Prudence. Przy pomocy Maddy prawie siłą wyprowadziła Stephena z sali na korytarz. Idąc, podskakiwał śmiesznie jak nakręcana zabawka. Prudence otworzyła swoje biuro i wciągnęła go do środka.

Na dywanie leżała sterta rzeczy – walizka, torba i jakieś wypchane reklamówki.

Prudence patrzyła na nie z niedowierzaniem.

– Co się stało?

– Odszedłem od niej – powiedział.

– Co takiego?

– Zrobiłem to. Odszedłem od Kaaty.

– A co z dziećmi? – zapytała Maddy.

Osunął się na podłogę jak zepsuta marionetka. Zaczął dygotać. Prudence przyklękła obok niego.

– Przynieść ci coś? – zapytała. – Kawy? Albo wody?

– Czuję się jak morderca – powiedział. – Ich twarze, Pru... kiedy wychodziłem... Pieter odwrócił się i poszedł do swojego pokoju... Dirk tylko stał i patrzył na mnie, a po policzkach płynęły mu łzy...

– Prudence na pewno wspaniale się teraz czuje – zauważyła zgryźliwie Maddy.

Podniósł głowę i spojrzał na Prudence. Jego włosy były jasne, ale brodę miał zaskakująco rudą, co wyglądało, jakby unurzał ją we krwi.

– Znajdzie się u ciebie miejsce dla mnie?

– Oczywiście – powiedziała Prudence, głaszcząc go po głowie.

– Pijak, morderca... Chryste, zdaje się, że załatwiłem ci przyjęcie na cacy... Jesteś pewna, że mnie jeszcze chcesz?

– Oczywiście, że cię chcę – odpowiedziała. – Czy w końcu nie o to w tym wszystkim chodzi?

Nachyliła się i pocałowała go. Maddy wstała i zostawiła ich samych. Cicho zamknęła za sobą drzwi. Na korytarzu czekała Erin.

– A miałam swoją siostrę za osobę inteligentną – stwierdziła Maddy.

– Wybacz – powiedział Stephen. – Trochę się tu rozłożyłem. Pozbierał porozrzucane gazety.

Prudence wróciła do domu z pracy. Było to dwa dni później. Rozleniwiony brakiem zajęcia i ciepłem bijącym od gazowego kominka, Stephen drzemał w fotelu.

Wzięła gazetę z ogłoszeniami i spojrzała na nią.

– Dlaczego praca jest tylko dla pomocników kucharzy?

– Albo maszynistek znających Windows.

– Ty nie umiesz pisać na komputerze, prawda? Potrząsnął głową.

– Zawsze zajmowały się tym moje sekretarki. Usiadła.

– Coś musi się w końcu znaleźć.

– Cieszysz się, że wtargnąłem w twoje śliczne, uporządkowane życie?

– Wcale nie było śliczne – odparła – bez ciebie.

– Mimo że nie spuszczam klapy sedesu i wciąż włożę ci w drogę?

Pogłaskała go po nodze. Przecież to oczywiste, że się cieszyła – choć to słowo brzmiało tak żałośnie nieadekwatnie. Przez cały dzień wprost pławiła się w szczęściu. Jak dotąd jednak towarzyszyło temu pewne poczucie nierzeczywistości. Mimo fizycznych dowodów jego

obecności – torby upchniętej w szafie, bokserek w koszu z brudami – mimo ekscytującej atmosfery męskości, wciąż nie mogła uwierzyć, że on naprawdę został. Gdy otwierała drzwi, była prawie pewna, że zostanie puste mieszkanie, a na automatycznej sekretarce będzie nagrana jedna wiadomość.

– Chcę, żebyś tu był – powiedziała. – Chcę, żebyśmy byli zwykłą parą, jak inni.

Przytuliła twarz do jego policzka. Dzięki Bogu, zgolił tę koszmarną brodę i jego skóra znowu była znajoma w dotyku.

– Słuchaj, w niedzielę idę do moich rodziców. Chodź ze mną. Niech to się w końcu stanie wszem wobec wiadome.

Dziwnie się czuła, mieszkając ze Stephenem pod jednym dachem, lecz uczucie to pogłębiło się jeszcze bardziej, gdy zabrała go ze sobą do domu. Tak była przyzwyczajona do utrzymywania ich związku w tajemnicy, że teraz z trudem potrafiła połączyć te dwie strony swojego życia w jedno. Jak on się zachowa? Rzadko miała okazję przebywać z nim w towarzystwie i teraz bała się, że to najgorszy z możliwych początków – pod czujnym, badawczym spojrzeniem całej rodziny.

Nawet Maddy się zjawiała – wpadła pożyczyć od rodziców kosiarkę do trawy i matka przekonała ją, żeby została na lunch. Maddy nie należała do osób dyskretnych. Czy teraz nie wyskoczy przypadkiem z opowieścią o jego pijackim występie na przyjęciu świątecznym w ubiegłym tygodniu? Prudence była zdumiona, że tak bardzo zależy jej, aby przypaść rodzicom do gustu.

Stali w holu. Rodzina Louise już była, więc Prudence przedstawiła im Stephen. Stephen rozejrzał się wokół siebie.

– A więc to tutaj dorastałaś – powiedział.

– Królowe z Purley – odezwał się Robert. – Nikt nie mógł czuć się bezpiecznie.

Prudence wskazała wychodzące na ogród okno.

– Tam jest nasza przyczepa. Bawiłyśmy się w niej, dopóki Louise nie zaczęła spraszać do niej swoich narzeczonych, a nas przekupywać, żebyśmy się trzymały z daleka.

– Mnie nigdy nie zaprosiła – obruszył się Robert.

– Nie podobałoby ci się – powiedziała Louise. – Tam było pełno pajaków.

Nagle drzwi do przyczepy otworzyły się i pojawił się w nich Gordon. Ruszył przez ogród w stronę domu.

– Cóż on tam, na Boga, robił? – zdziwiła się Louise. Weszli do pokoju. Dorothy znikła w kuchni, kiedy Gordon przyszedł.

– Co tam robiłeś? – zasycała. – Wszędzie cię szukałam.

– Sprzątałem – odpowiedział.

– Sprzątałeś? Przecież wszyscy już przyszli.

Gordon, który po prostu siedział w przyczepie zupełnie beczynnie, wziął teraz tacę z drinkami.

– Zanieść to?

Tymczasem w pokoju Prudence szeptem pouczała wszystkich:

– Tylko się nie wygadajcie, że Stephen jest żonaty.

- Oczywiście – uspokoiła ją Louise.
- Byliby oburzeni. J a zawsze byłam oburzona. Póki mnie samej to nie spotkało.
- Przecież i tak wszyscy to robią – zauważył Jamie.
- Jamie! – krzyknęła Louise. – Skończ z tym cynizmem. Wszedł Gordon i postawił tacę.

Uścisnął dłoń Stephenowi.

- Rany, dziadku – powiedziała Imogen. – Ale ty schudłeś.
- W ogóle się o siebie nie troszczy – odezwała się Dorothy. – A lekarz nas ostrzegał.

Bardzo się martwię.

- Jak się czujesz? – Louise spytała ojca.
- Dobrze. – Wzruszył ramionami.
- Nigdy go nie ma – skarżyła się Dorothy. – Obiecał, że to się skończy, ale jest jeszcze gorzej, niż było.

Robert wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Co, Gordon, jak zawsze te same stare sztuczki?
- Nie widuję go od świtu do nocy – mówiła Dorothy. Gordon otworzył wino.
- Już jej tłumaczyłem – brakuje nam w tej chwili ludzi. Mam o trzech za mało, najlepszy tynkarz na chorobowym...

– Niech Frank się tym zajmie – przerwała mu Dorothy. – Poradzi sobie ze wszystkim.

– A mój najlepszy gipsiarz chyba pitnął na dobre. – Zwrócił się do młodzieży: – Wybaczcie dziadkowi język.

– Ten, który miał kochankę? – zaciekawiał się Robert. Dorothy nachyliła się ku Stephenowi.

– Ma dwie rodziny, a żadna nie ma pojęcia o tej drugiej. Jedna mieszka w Tufnell Park, a druga przy Crouch End.

– Ależ facet ma energię! – wykrzyknął Robert. – Tylko pozazdrościć.

– Chłopcy taty mają niezmiernie skomplikowane życie uczuciowe – powiedziała Prudence. – A mama jest ich spowiednicą.

Gordon podał Robertowi kieliszek z winem.

– Mam nadzieję, że przypadnie ci do gustu. Nowozelandzkie, sam mi poleciłeś.

– W każdym razie – odezwała się Dorothy – uznałam, że potrzebne nam są wakacje, więc przyniosłam te broszury. – Wzięła je ze stolika obok. – Pomyślałam, że moglibyśmy wyjechać na Boże Narodzenie. Jeszcze nie jest za późno.

Prudence sięgnęła po broszury.

– Dokąd się wybieracie? Do ciepłych krajów?

– Myśleliśmy o Bermudach – powiedziała Dorothy.

– Cudownie! – wykrzyknęła zachwycona Louise.

– Ale, tato... – wtrąciła Maddy. – Tam jest pełno czarnuchów.

– Maddy! – ofuknęła córkę Dorothy.

– Nasz ojciec nazywa Afrykę Czarnolądem – wyjaśniła Maddy Stephenowi.

– Och, on cię tylko tak podpuszcza – powiedziała Prudence. Imogen objęła dziadka.

– Uważani, że jesteś kochany. Mówisz tak, bo ich po prostu nie znasz. Ja też nie, w mojej



szkole nie ma ani jednego.

Robert się roześmiał.

– Beaconsfield nie słynie z etnicznej różnorodności. Louise przeglądała broszury.

– Wyglądają cudownie.

– Zarezerwowaliśmy tę – pokazała jej matka. – Widzisz, mamy własną małą chatkę.

– Krytą strzechą i w ogóle – zachwycała się Louise. – Jakie to romantyczne! Zupełnie jak drugi miesiąc miodowy.

Gordon wciąż siedział cicho. Prudence popatrzyła na ojca. Był taki blady, a w tym wielkim fotelu – dziwnie wychudzony.

– Och, tato, jak wspaniale. Myślę, że tego ci właśnie potrzeba.

– Wylatujemy w Wigilię – powiedziała Dorothy.

– Więc świąt nie spędzimy razem – zmartwiła się Louise.

– Farciarze!

– Jamie!

Gordon dotknął palcem koniuszka ucha. Jego milczenie było jak czarna dziura, próżnia wysysająca ich wszystkich. Prudence pomyślała, że jest chyba bardziej chory, niż chce przyznać. Ale on nigdy niczego nie chciał przyznać.

Gordon ocknął się. Poklepał siedzącą obok Imogen po kolanie.

– Ślicznie wyglądasz, Immy.

– Jest szaleńczo zakochana – powiedziała Louise. Imogen zamarła.

– Ależ to cudownie! – ucieszyła się Dorothy. – Kto to taki?

– Jej koń – padła odpowiedź Louise. Imogen odetchnęła z ulgą.

Nie uczestnicząca w rodzinnych pogaduszkach Maddy rozglądała się po pokoju. Dużo czasu upłynęło, odkąd po raz ostatni była Pod Brzozami. Poczula ogarniające ją znowu, znane z dzieciństwa, uczucie klaustrofobii. Purley to nie tylko przedmieście, to także stan umysłu. Nie miało początku ani końca. Jedna ulica łączyła się z drugą, domy, domy, coraz więcej domów, wielkie domy z wielkimi ogrodami. Co też ludzie mogli robić w tych wszystkich pokojach? Czy nigdy nie marzyli, by wyrwać się z nich w świat?

Popatrzyła na ojca. Kiedy on umrze, pomyślała, czym będzie się mógł pochwalić? Że mieszkał w Purley?

Zapra gnęła znaleźć się w domu z Erin. Marzyła o ich łóżku, najwspanialszym miejscu na świecie, oferującym najpiękniejsze przygody.

Lunch dobiegł końca. Jamie zaszył się w przyczepie. Siedział w niej z zamkniętymi oczami i zaciągał się skrzętem. A w dużym pokoju właśnie podawano kawę.

– Dorothy, wszystko było przepyszne – powiedział Stephen.

– Lou uważa, że ożeniłem się z nią dla jej pięknych nóg – zażartował Robert. – Ale tak naprawdę chodziło mi o pieczone ziemniaki jej matki.

Dorothy uśmiechnęła się. Pomyślała, że ostatnio tak rzadko mieli okazję spotkać się wszyscy razem i cieszyć się spokojem niedzielного popołudnia. Obecność człowieka z zewnątrz, jakim był Stephen, po raz pierwszy od bardzo dawna potęgowała poczucie rodzinnej jedności. Popatrzyła na Prudence, która opowiadała właśnie przyjacielowi, jak to

kiedyś wszyscy mieli fioła na punkcie Cluedo. Policzki córki były zaróżowione, a jej ciemne włosy, opadające swobodnie na ramiona, lśniły. Dzisiaj była najpiękniejszą z jej córek. Dużo udanego seksu działa wyjątkowo ożywczo, pomyślała Dorothy. Poczula, że się czerwieni. Stephen wstał.

– Czy mógłbym skorzystać z telefonu?

Dorothy powiedziała, żeby poszedł na górę. Gdy wychodził, Prudence nie spuszczała z niego wzroku. Dorothy dołąła córce kawy.

– Jest bardzo miły. Nigdy nam o nim nie mówiłaś.

– Był moim szefem – powiedziała Prudence. – To było trochę niezręczne.

– A potem ona dostała jego stanowisko – dodała Louise.

– To niesamowite, że w ogóle z tobą rozmawia – odezwał się Robert. – Ja bym nie mógł.

Stephen nagle poczuł przemożną potrzebę porozmawiania z synami. Żołądek mu się skurczył, jakby ktoś uderzył go z całej siły. Przypomnił sobie, że jako świeżo przyjęty do Bryanston chłopiec nagle zateśknął za domem. Teraz było podobnie, lecz znacznie, znacznie gorzej.

Musiał się przekonać, czy Dirk i Pieter wciąż jeszcze chcieli z nim rozmawiać, czy w ogóle jeszcze żyją. Musiał usłyszeć ich głosy. Ciągłe widział swój dom walący się z hukiem lub stający w płomieniach. Czy Kaatya pamiętała, żeby zamknąć tylne drzwi i włączyć alarm? A jeśli zgasł zapłon w bojlerze, czy pamiętała, że trzeba opuścić tę dźwignię, zanim zapali się go znowu, bo inaczej wszystko wyleci w powietrze? A te cholerne zapalone świece, które rozstawiała wszędzie? Wyobrażał sobie synów – bladych, bezbronych, samotnych w świetle najeżonym niebezpieczeństwami. Powinien ich chronić i strzec. To takie nienaturalne, że został od nich oderwany, zupełnie jak gdyby wszystko w naturze zwariowało i stanęło do góry nogami.

Nie mógł oczywiście powiedzieć o tym Prudence. To by ją przygnębiło i zaczęłaby podejrzewać, że jest nieszczęśliwy. A on wcale nie czuł się nieszczęśliwy, brakowało mu tylko synów. Zwykle dzwonił do nich, gdy wracali ze szkoły, a Prudence była jeszcze w pracy. Pragnął jedynie usłyszeć głosy chłopców, choć przez ostatni tydzień słyhać w nich było ostrożność, a nawet chłód. Musiał ich zapewnić, że ich nie opuścił, że wciąż był przy nich, nie odszedł daleko. I że ich kochał. Przecież oni nie ponosili żadnej odpowiedzialności za to, co się stało, sprawa dotyczyła wyłącznie jego i ich matki. Dorośli się zmieniają i czasem nie mogą już dłużej ze sobą mieszkać – to wszystko.

Nigdy nie udało mu się tego powiedzieć. Ilekroć próbował wyjaśniać im, co naprawdę wydarzyło się tego koszmarnego wieczoru, gdy opuszczał dom, nie chcieli go słuchać. Teraz, kiedy do nich dzwonił, rozmawiali o bezpiecznych, zwykłych sprawach – jak im minął dzień? Czy Dirk radzi sobie ze szkolnym referatem? Czuł się tak, jakby ostrożnie przykładał im łagodzącą maść na chorą, podrażnioną skórę.

Kaatya, trzeba oddać jej sprawiedliwość, zawsze wołała ich do telefonu.

– Ach, to ty – mówiła z jeszcze bardziej obcym niż zwykle akcentem.

Ilekroć rozmawiał z nią przez telefon, słyszał jej akcent, lecz teraz wydawał się jakby mocniejszy, zupełnie jak gdyby oddziaływały ich bariery nie tylko emocjonalne, ale i

narodowościowe. Potem krzyczała do chłopców:

– Dzwoni wasz ojciec! – wołała, a jemu wydawało się, że takim samym tonem mówiłaby, gdyby kot napaskudził na dywan.

Stephen siedział na łóżku w sypialni rodziców Prudence na piętrze. Jakie wielkie i wygodne mieli to łóżko. No tak, ale byli małżeństwem od czterdziestu lat i mogli sobie na takie pozwolić.

– Cześć, Dirk, co u ciebie? Jak tam wczorajszy mecz? Co? Który? Ach, „Goldfinger”, tak, rzeczywiście dobry... No, to lepiej idź oglądać dalej... Pieter ogląda z tobą?... Och... Uściskaj go ode mnie. Zadzwoń jutro.

– To już przeszło dwa miesiące – mówiła tymczasem na dole Prudence. – Coś straszego, co się z człowiekiem dzieje.

Wzięłyby już chyba każdą pracę, obojętnie jaką. Nudną, brudną, bezsensowną.

– Może mógłby pracować u dziadka? – wymyśliła Imogen. Zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na dziewczynę.

– Mówiłeś, że brakuje ci ludzi – zwróciła się do Gordona. – Mógłbyś zatrudnić Stephena.

Na schodach rozległy się kroki i po chwili do pokoju wszedł Stephen. Cała rodzina spojrziała na niego.

Ziewająca Prudence w szlafroku smarowała masłem kromki chleba. Była siódma rano. Ułożyła na chlebie plasterki sera i każdy przykryła drugą kromką. Do kuchni wszedł Stephen. Miał na sobie dzinsy i sweter.

– Ostatni raz wstawałem tak wcześnie, kiedy trenowałem rugby – powiedział.

Wyjęła termos.

– Patrz, co znalazłam. Należał do moich rodziców.

– Ach, na moją herbatę – odezwał się z akcentem z Yorkshire.

– Którą wypijesz po znoej pracy.

– Chodź tutaj, kobieto. – Wsunął ręce pod jej szlafrok. – Poczuj te szorstkie, spracowane dłonie.

– Póki co, nie są jeszcze szorstkie.

– Och, ale tylko patrzeć, jak będą. Zawinęła kanapki.

– Spóźnisz się na autobus.

Stephen znał budowlańców tylko z czasów, gdy sam ich zatrudniał. Pamiętał, że byli to mężczyźni, których niczym nie wyjaśniona nieobecność przeplatała się z długimi godzinami, które spędzali przy herbacie, dyskutując z jego współlokatorami o Irlandii Północnej. Kaatya natomiast wysłuchiwała ich skarg na rozliczne bóle i przypadłości, a oni wyciągali od niej różne homeopatyczne lekarstwa. Budowlańcy po prostu kręcili się po domu. Chyba na tym polegała ich praca. Gwizdali na przechodzące dziewczyny i godzinami czekali, aż ich szef dowiedzie jakiś brakujący materiał. Po godzinie od przyjścia robili sobie przerwę na lunch, a w piątkowe popołudnia wszyscy zgodnie znikali w pubie.

Z tego, co pamiętał, to on miał najwięcej roboty. Sprzątał przed ich przyjściem, gnał do sklepu, żeby kupić dla nich cukier i herbatę, a potem sterczał w kolejkach do banku po pieniądze dla nich, żeby mogli oszukać fiskusa. Ciągłe łamały im się narzędzia, a on całymi

godzinami szukał wiertła i przedłużacza. Kiedy tkwili na drabinie, odbierał telefony od ich dziewczyn i nadwierał sobie kręgosłup, gdy pomagał pchać ich beznadziejne, kupione na lewo furgonetki.

Bóg jeden wie, jak bardzo się mylił. Pierwszego dnia wysłali go do Kennington, gdzie remontowali właśnie jakiś dom. Tam poznał Franka, bardzo nerwowego człowieka o czerwonej twarzy, który szybko zostawił go w towarzystwie młodego Ulsterczyka o imieniu Eamonn i który podnosił worki z cementem z łatwością upokarzającą dla Stephena. Choć ziąb panował przenikliwy, Eamonn miał na sobie tylko podkoszulek. Cały lśniący od potu, znosił po schodach worki z gruzem i ładował je na taczki. Na zewnątrz stał pojemnik, o który oparta była deska. Eamonn pokonywał ją z marszu i wysypywał do pojemnika zawartość tacek, wzbijając przy tym tumany kurzu. \_\_\_\_\_ – Stephena traktował z łagodną pogardą, jak cofnięte w rozwoju dziecko.

– Nie robiłeś tego wcześniej, no nie? – pytał i biorąc od Stephena łopate, pokazywał mu, jak ma mieszać piasek z cementem w kałuży wody, niczym kucharz przygotowujący sos. Nigdy w życiu Stephen nie pracował tak ciężko. Gdy godziny powoli mijały, on czuł się coraz bardziej wykończony. Jego umysł, nienawykły do tak nudnego zajęcia, wyłączył się. Rejestrował jedynie schody, które pokonywał tam i z powrotem, zgięty w pół. Eamonn także nie był zbyt rozmowny. Zdawał się zupełnie nie zainteresowany powodem, dla którego ten facet w średnim wieku, najwyraźniej nie znający się na takiej robocie, został mu przydzielony jako pomocnik.

Po paru godzinach Stephen myślał, że umrze. Ból rozrywał mu plecy, dłonie miał całe w pęcherzach. Gdy usiłował się wyprostować, ból przeszył nienawykłe do pracy mięśnie w łydkach. Usiadł na schodach, wytarł nos i wyjął paczkę papierosów.

– Masz ochotę na jednego? Eamonn pokręcił odmownie głową.

– Wiesz, co to robi z twoimi płucami?

Stephen schował paczkę do kieszeni i odkręcił termos. Eamonn natomiast wyciągnął plastikową butelkę.

– Co to? – zainteresował się Stephen. Eamonn pokazał mu etykietkę.

– Woda gazowana o smaku mango.

– Rany boskie.

– Osobiście wolę granaty – powiedział Eamonn. Umilkli i wtedy pojawił się Frank.

– Był tu Gordon? – zapytał. Obaj mężczyźni pokręcili głowami.

– Gdyby się pojawił, powiedzcie mu, że pojechałem do Sutton. Stephen drżał przed spotkaniem z Gordonem. Krępowano go, że pracuje u ojca swojej dziewczyny, tym bardziej że był tak niekompetentnym pracownikiem. Był za słaby, nie nadawał się do tej roboty. Postanowił dać z siebie wszystko, ze względu na Prudence i siebie samego, wołał jednak nie spotykać się z szefem, zanim nie nabierze większej wprawy. Dlatego też z ulgą przyjął fakt, że Gordon ani razu przez cały dzień się nie pojawił. Podobnie jak następnego dnia. Prawdę powiedziawszy, przez cały tydzień nie mieli okazji się spotkać.

Tego dnia April miała wolne. Na dworze zapadł już zmierzch. W mglistym powietrzu światło latami zdawało się rozmyte. W oknach wystawowych migotały świąteczne dekoracje.

Gordon i April leżeli objęci, oboje nadzy pod kołdrą.

– Tylko na mnie popatrz, czyż nie jestem piękna? Gdzie mój medal? – pytała April.

– Znajdzie się dla mnie nagroda pocieszenia?

– Jesteś śliczny... – Poglaskała go. – Taki dobry i czuły, nie starasz się niczego udowodnić.

– Gdybym się starał, pewnie dostałbym kolejnego zawału. Zachichotała.

– I jesteś taki mięciutki...

– I mam taką śliczną łysinę...

– Az uszu wyrastają ci takie słodkie włoski.

– Od razu mi lepiej. Coś jeszcze?

– Nie, to już wszystko. Pocałował ją w szerokie czoło.

– Jesteś dla mnie prawdziwym cudem, wiesz? Moja April, mój kwiatusek... Chcę cię zabrać w tyle miejsc, uczyć cię różnych rzeczy. Chcę pojechać z tobą do Paryża.

– Lepsze to od Neasden.

– April w Paryżu. – Gwizdnął.

– A to co? – zapytała.

– Nauczę cię... och, moja ukochana, co ty we mnie widzisz poza moją wyszukaną i niezwykłą sztuką kochania...

– Twój wspaniały repertuar starych piosenek...

– Talenty hydrauliczne...

– Zgaduj dalej...

Wzięła jego rękę i powiodła ją w dół swego brzucha. Włoski na wzgórku łonowym zawsze miała porządnie ułożone, jakby co wieczór je czesała. Kręcone kępki włosów porastające łagodną, wypukłość. Jego palce pachniały nią – wilgotny, piżmowy zapach, który przyprawiał go o zawrót głowy. Czasami, już po powrocie do domu, przykładał koniuszki palców do nosa i wdychał, wdychał tak długo, aż robiło mu się słabo.

Wsunęła się na niego i usiadła na nim okrakiem. Dotknął jej brodawek, małych i ciemnych, jędrnych jak wiśnie. Lubiła przejmować inicjatywę w łóżku, każąc mu co chwilę zmieniać pozycję, a jej ciało mówiło mu, czego pragnęła. To było dla niego zupełnie nowe przeżycie – jak wszystko, co ostatnio mu się przytrafiło. Swoją żonę poznał we wczesnej młodości i jego doświadczenia z kobietami były raczej skąpe.

Z poważną miną spojrzała w dół na jego twarz.

– Kocham cię, bo jesteś przyzwoitym, dobrym człowiekiem i potrafisz mnie rozśmieszyć.

– Przesunęła palcem po jego nosie. – Bo ci ufam i czuję się przy tobie bezpiecznie. I nie zostawiłeś mnie, kiedy cię potrzebowałam. Dotąd żaden inny facet tego nie zrobił.

– Nie brzmi to zbyt podniecająco.

– O, wręcz przeciwnie. Możesz mi wierzyć.

Wstali i wzięli razem kąpiel. Nigdy wcześniej tego nie robił. April była rozłożystą kobietą, więc w wannie było im trochę ciasno. Oplótł ją nogami. Piękno jej ciemnej, gładkiej skóry przylegającej do jego bladej i zwiotczalej nie przestawało go zadziwiać. Łagodnie namydliła go całego. Gdy to robiła, twarz miała skupioną, wręcz bezosobową – przypominała

mu w tym Louise, gdy jako mała dziewczynka bawiła się lalkami.

Oszołomiony ogarniającą go falą miłości, przyglądał się April. W jej włosach odbijało się światło. Kręcone i błyszczące włosy miała zebrane z tyłu głowy i spięte gumką ozdobioną plastikowymi stokrotkami. Nigdy nie widział, by nosiła je rozpuszczone. Nawet w chwilach największego uniesienia tkwiły nie naruszone, jak rzeźba. Patrzył na kropelki potu nad jej górną wargą. Za pięć minut, pomyślał, będę musiał wstać i iść do domu. Poczł mdłości, znany mu już, bolesny smak winy, skręcający żołądek.

Wyszedł z wanny. April poszła w jego ślady. Wytarli się nawzajem do sucha.

– Gordon, jaka ona jest?

– Odkąd pamiętam, była częścią mojego życia. Jesteśmy jak starzy, dobrzy przyjaciele. Jest moją żoną.

– Ale jaka ona jest? Widziałam ją tylko raz. A chciałabym coś o niej wiedzieć.

Gordon wszedł do sypialni.

– Nie chcę teraz o tym myśleć.

– Proszę. – Weszła za nim. Ciężko usiadł na łóżku.

– To tak, jakbym był w łodzi... odepchnąłem się od brzegu... na nim ktoś stoi, macha do mnie i coś krzyczy, ale ja nie słyszę żadnych słów... To ona. Taka jest prawda. – Nałożył skarpetki. – Nic na to nie poradzę, April. Odszedłem stamtąd i jestem tutaj, z tobą. Myślałem, że moje życie się skończyło, ale ono dopiero się zaczyna. – Wstał i wciągnął slipy. – Wszystkie te banały – księżyc w czerwcu – wszystkie piosenki – to prawda, wiesz? Wszystkie piosenki, które gwizdałem, choć nie wiedziałem dlaczego. – Popatrzył na nią. – Ty też to czujesz? Skinęła głową.

Był piątek. W Tesco tłum kupujących robił przedświąteczne zakupy. W powietrzu wyczuwało się typową dla tego okresu narastającą panikę, zupełnie jakby ogłoszono wojnę nuklearną. Louise pchała przed sobą wózek tak załadowany, że jedną ręką musiała przytrzymywać go z boku. Wpadła na syna, który uzupełniał półki równie szybko jak ludzie je opróżniali. Lubiała te przypadkowe spotkania. Widząc syna poza domem, czuła się z nim szczególnie blisko związana.

Popatrzył na jej wózek.

– Rany, mamó.

– Sos żurawinowy – mruknęła. – Pełnotłusta śmietana. Zapomniałam spytać, czy Erin jest wegetarianką. Założę się, że tak.

– Bo jest lesbijką?

– Cii. – Louise rozejrzała się nerwowo. – Nie, po prostu wygląda na taką.

– Na lesbijkę?

– Wegetariankę!

Jamie popchnął słoiki z korniszonami w głąb półki.

– Co robią lesbijki?

– Nie wiem. – Louise zniżyła głos. – Pewnie to samo, co wszyscy.

– Ale chyba jednak czegoś im brakuje?

– Najwyraźniej jakoś sobie radzą. Możesz mi to podać? Wręczył jej słoik oliwek.

– Dziadek z babcią wiedzą? Pokręciła głową.

– Dostaliby ataku. Mówi się po prostu, że Maddy z nią mieszka. A zresztą i tak ich nie będzie. Jutro wyjeżdżają.

– Farciarze.

Louise pchnęła wózek i ruszyła w dalszą podróż wzdłuż pól.

W biurze chłopcy czekali na swoją wypłatę. W powietrzu czuło się atmosferę nadchodzących świąt. Dorothy rozdawała koperty.

– Wesołych świąt, Kevin. Z kim spędzisz je w tym roku?

– Z Charlene i dziećmiakami.

– Ich kolej? Przytaknął.

– Bliźniaki przychodzą w drugi dzień świąt. Następny w kolejce był Stephen. Wręczyła mu kopertę.

– Jak ci minął tydzień? – Przerwała. – Boże, twoje ręce!

– Nic im nie jest – powiedział Stephen. Ujęła jego dłoń i obejrzała ją.

– Mam w domu masę. Zaraz ci przyniosę.

– Nie, naprawdę...

Przerwali, bo zjawiała się przed nimi Prudence.

– Wcześniej dziś skończyłam – powiedziała, po czym zwróciła się do Stephena: – Podrzucę cię do domu.

Dorothy podała mu dwie torby na zakupy, wypełnione prezentami dla całej rodziny.

– Wszystkie są podpisane. Dzięki, że zgodziłeś się wziąć.

– Nie ma sprawy – uśmiechnął się Stephen. Prudence spojrzała na niego zaskoczona.

– Co się stało? – spytał.

– Nigdy dotąd nie mówiłeś „nie ma sprawy”. Gdzie tata?

– Nie mam pojęcia – odparła Dorothy. – Pewnie zaprosił chłopaków na drinka.

– No trudno, uściskaj go ode mnie. – Prudence pocałowała matkę. – Bawcie się dobrze. –

Odwróciła się do zgromadzonych w biurze mężczyzn. – Wesołych świąt!

Stephen podniósł torby i wyszedł za Prudence.

W General Stores pani Malcolm, wdowa starszka, włożyła do koszyka puszkę z jedzeniem dla kota. Poza nią w sklepie jedyną klientką była Imogen, która przeglądała kartki świąteczne. Były typowe, ozdobione brokatem, z końmi i powozami.

Przed sklepem zatrzymał się space cruiser Louise, wyładowany torbami pełnymi zakupów. Louise weszła do sklepu i przywitała się z córką.

– Zapomniałam o cukrze w kostkach.

– Dla Skylark? Louise pokręciła głową.

– Nie, do koktajlu z szampana dla twojego ojca. – Wzięła opakowanie i zawołała w stronę Tima: – Jak spędzacie święta?

– Spokojnie – odparł. – Tylko Margot i ja. Być może to nasze ostatnie święta tutaj.

– Chyba nie zamykacie? Po Nowym Roku zorganizuję akcję „Pomóżmy naszemu sklepowi”.

– Hipokrytka! – szepnęła Imogen. – Przecież sama zrobiłaś wszystkie zakupy w Tesco. Louise zignorowała ją. Podeszła do lady.

– Nie mógłbyś sprowadzić trochę więcej świeżych owoców? Sklep w Hadleigh ma organiczne jarzyny, ciasta domowej roboty i takie tam.

– Wszystko rozbija się o obrót – powiedział Tim. – W zeszłym tygodniu musieliśmy z Margot sami zjeść zapiekanki wieprzowe.

– Dlaczego?

– Bo ich data ważności skończyła się dawno temu. Louise westchnęła.

– Znam to uczucie.

– Nie mów tak – wykrzyknął gwałtownie Tim. Louise uśmiechnęła się i skierowała do drzwi.

– Podwieźć cię do domu, Immy? – Nie, przejdę się.

Louise wyszła. Imogen zaczekała, aż samochód matki zniknął. Potem wybrała możliwie najładniejszą kartkę – rudzika otoczonego ostrokrzewem – i podeszła z nią do lady.

– Czy mogę pożyczyć długopis?

Kilka minut później wyszła ze sklepu w ciemność. Dochodziła szósta. Za nią Tim wywiesił na drzwiach napis

„PRZEPRASZAMY – ZAMKNIĘTE”.

Furgonetka Karla wciąż jeszcze stała przed pubem. Imogen rozejrzała się – w zasięgu wzroku nie było nikogo, tylko zaparkowane, pokryte szronem samochody.

Szybko podbiegła do jego furgonetki i wsunęła kartkę za wycieraczkę, po czym uciekła.

Gordon wstawił auto do garażu. Jego światła padły na zgromadzone pod ścianą rupiecie z minionych lat wspólnego rodzinnego życia – starą tablicę do rzutków, parę łyżew. Zegar na desce rozdzielczej pokazywał godzinę 6. 34. Zgasił światła i dalej siedział bez ruchu.

W końcu wysiadł z samochodu. Wszedł do domu. Na dole w dużym pokoju było ciemno.

Dorothy wiedziała. Odeszła od niego. Nie zostawiła żadnej wiadomości, listu, niczego. Nie zobaczy jej już nigdy więcej. Ulga, jaką odczuł, była tak wielka, że nagle znowu pokochał żonę.

Nie włączając lampy, usiadł, wyjął paczkę papierosów i zapalił jednego. Na górze słyszał jej kroki i krzątanie. Odetchnął głęboko.

– Gordon, to ty?

Zgasił papierosa i podniósł się. Wszedł na górę.

– Gordon? Chodź tutaj!

Otworzył drzwi do sypialni. Pokój tonął w świetle. Dorothy się pakowała; na łóżku leżała jej walizka. Ona sama stała na środku pokoju. Miała na sobie kwiecistą suknię – w wielkie czerwone róże. Była na nią za krótka.

– Podoba ci się? Dostałam ją w Fowler's. – Wykonała piruet. – A może uważasz, że jestem na nią za stara? – Chwyciła jakąś rzecz i przyłożyła do siebie. – A o tym co myślisz? To taki sarong. Dziewczyna powiedziała, że dzisiaj wszyscy to noszą. – Owinęła się materiałem w pasie. – Po powrocie z plaży robi się tak... Podoba ci się? – Obróciła się. – Nie mam za tłustego tyłka?



Zwróciła się twarzą do niego i zaniemówiła. Gordon płakał.

Wieczór wigilijny był czysty i rozświetlony gwiazdami. W całej Brytanii ustał szaf zakupów. Supermarkety opustoszały, na ziemię spłynął spokój. W Wingham Wallace okna były pozasłaniane, na kominkach płonął ogień, a rangę rovery drzemały bezpiecznie w swoich garażach. Mieszkańcy szykowali się do orgii obżarstwa. Na uliczkach i w zaułkach panowała cisza. Na polach samotne drzewa wznosiły ku niebu swoje gałęzie. Z oświetlonego wnętrza kościoła przez witraż BurneJonesa sączył się blask.

W całym Starym Probostwie także paliły się światła, przez okno w salonie widać było migoczącą lampkami choinkę. Louise i Robert witali u drzwi gości – Erin, Maddy, Allegrę... Prudence i Stephena. Roztaczali wokół siebie urok, który spowijał przybyłych jak dochodzące z holu światło. Błogosławili nim tych, dla których los okazał się nie tak łaskawy.

Salon udekorowany był świątecznymi kartkami – ach, iluż oni mieli przyjaciół i jaki wyśmienity gust! Na górze, w dwóch gościnnych pokojach świeżo zasłane łóżka czekały na dwie pary kochanków – hetero – i homoseksualnych, witanych z jednakową radością.

W stajni Imogen i Allegra wplatały lametę w grzywę Skylark.

– Wierzysz w Świętego Mikołaja? – spytała Imogen. Allegra potrząsnęła główką.

– Mama mówi, że to patriarchalny pedofil. Jakie to smutne, pomyślała Imogen.

– Co więc robisz, kiedy chcesz wypowiedzieć jakieś życzenie?

– Po prostu je wypowiadam.

– Co byś chciała dostać w te święta?

– Swojego tatę.

– Nie widzisz się z nim?

– W zasadzie nie. Mamie potrzebna była tylko jego sperma.

– Bardzo romantyczne – roześmiała się Imogen.

– Mama nie lubi mężczyzn.

– Owszem, zauważyłam. – Imogen przytuliła się do szyi Skylark i wciągnęła w nozdrza jej zapach. – Cóż, ja ich lubię.

Są mili, duzi, silni, mają silne dłonie i chętnie pogalopowałabym z którymś w zachód słońca...

– I m o g e n! – Głos matki dobiegł z domu. – Chodź tutaj i nakryj do stołu!

W salonie Robert uczył Allegrę, jak się robi koktajl z szampana. Ogień na kominku huczał i strzelał. W jego blasku twarze gości promieniały.

– Kostka cukru... – Wrzucił jedną do szklanki. – Odrobina brandy, kropelka Bolly... Kiedy wyrośniesz na piękną, młodą damę, Allegro, i zaczniesz umawiać się z chłopakami, zawsze wybieraj Bollingera.

– Tato, jesteś okropnie politycznie niepoprawny – obruszyła się Imogen. – Dzisiaj kobiety same kupują sobie drinki.

– Nie, jeśli mają dość oleju w głowie. – Nie zwracając uwagi na spojrzenie Erin, Robert podawał wszystkim szklanki. – Teraz jesteśmy w Buckinghamshire, nie w Ludowej Republice Hackney. Jedyne poprawność polityczna, jaką znam, obowiązuje w Klubie Jeździeckim. – Podniósł swoją szklankę. – Witamy w Starym Probostwie, niechaj święta się

rozpoczną. Nasze zdrowie.

Louise zwróciła się do Prudence i Stephena. Ona też uniosła szklankę.

– Za waszą dwójkę, kochani. Bardzo się cieszę, że jesteście tu dzisiaj z nami. – Teraz obróciła się ku Erin i Maddy. – I za was także. – Uśmiechnęła się do Allegra. – I za ciebie.

– Podoba mi się ten dom – oznajmiła Allegra.

– Piję też za twoją książkę – powiedziała Louise do Erin. – Prudence mi ją pożyczyła. Byłam zachwycona.

– Dziękuję – odparła Erin. Robert spojrział na żonę.

– Przecież ty nie czytasz książek. Chyba, że komuś uda ci się wmówić, że to „Elle”.

– Zamknij się – powiedziała Louise. – Tę przeczytałam. Prudence podniosła swój kieliszek.

– Zdrowie mamy i taty. W tej chwili są trzydzieści tysięcy stóp nad Nową Fundlandią...

– I próbują otworzyć paczkę orzeszków – wszedł jej w słowo Robert.

– Nadsluchując klekotu wózka z drinkami – dodał Stephen. – Czy w końcu nadjedzie?

– A może w tej właśnie chwili piją nasze zdrowie? – Zastanawiała się Prudence. – Obiecali, że to zrobią.

– Za mamę i tatę, i ich drugi miesiąc miodowy – wzniosła toast Louise.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Wszyscy spojrzeli po sobie.

– Kto to może być? – zdziwiła się Louise. Robert uśmiechnął się do Allegra.

– Pewnie Święty Mikołaj.

Imogen już miała powiedzieć, że mała w niego nie wierzy, ale nie zdążyła. W holu rozległy się kroki. Do pokoju wszedł Jamie. W towarzystwie Dorothy. Twarz miała szarą jak popiół. W rękę trzymała walizkę.

– Mamo! – wykrzyknęła Louise.

– Co się stało? – zapytała Prudence.

– Zostawił mnie – powiedziała Dorothy.

## **CZEŚĆ TRZECIA**

## Rozdział pierwszy

Był piątek, środek martwego tygodnia pomiędzy Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem. Londyn tkwił w bezruchu, jak pod działaniem zaklęcia. Ulice świeciły pustkami, w biurach panowała cisza zakłócana jedynie odgłosami automatycznych sekretarek. Nawet Brixton zdawało się na wpół uśpione. Dorothy w towarzystwie dwóch córek stała przed Betterspecs. W znajdującej się tuż obok wypożyczalni kaset wideo interes kwitł na całego, bo popołudnie było zimne i ponure. Wychynął z niej potężny rastafarianin obładowany stosem kaset i wyszczerzył w uśmiechu zęby do stojących kobiet.

Na domofonie były dwa dzwonki. Maddy nacisnęła ten znajdujący się wyżej. Czekają, obserwując okna. Na piętrze zasłony były zaciągnięte. Wszystkie trzy wyobrażały sobie to samo – Gordona w jednym łóżku z tą kobietą April, z którego nie wychodzili od Bożego Narodzenia.

Drzwi nikt nie otwierał, więc Maddy przycisnęła niższy dzwonek. Okna na piętrze tuż nad sklepem nie były zasłonięte. Po chwili usłyszały czyjeś kroki na schodach. Drzwi się otworzyły i stanął w nich Gordon. Miał na sobie nie znany im niebieski sweter. Patrzył na nie bez słowa.

– Witaj, Gordonie – odezwała się Dorothy. Skinęła na stojące obok córki. – Nie pozwoliły mi przyjść tu samej.

– To bardzo bezpieczna okolica. – Gordon wskazał ręką ulicę.

– Nie o to jej chodziło – powiedziała Prudence. Umilkli.

– Ona jest w pracy?

Potrząsnął głową.

– Nie, ale wyszła.

Wpuścił je do środka. Wąski korytarz, drewnopodobna tapeta. Weszły za nim po schodach. Otworzył drzwi i znalazły się w mieszkaniu April – w dużym salonie z żółtymi ścianami i kwiatami w doniczkach. Jedyнным śladem obecności Gordona były jego buty stojące na podłodze. Przez chwilę żadne z nich nie wiedziało, co dalej.

– Może któraś z was ma ochotę na herbatę? – zapytał Gordon. Żadna nie odpowiedziała. Maddy usiadła, jej siostra i matka stały nadal.

– Mama miała straszne święta – odezwała się Prudence. – Czego się zapewne domyśliłeś.

– Przepraszam – powiedział. – Nie chciałem, żeby tak się stało.

– A jak chciałeś, żeby się stało? – spytała Prudence.

– Wcale nie chciałem. Wybacz mi, Dot.

– Wracamy do domu – powiedziała Dorothy. – Samochód czeka na dole.

Gordon sięgnął do kieszeni i wyjął paczkę papierosów. Dorothy otworzyła usta, ale nie padło z nich żadne słowo. Gordon zapalił.

– Tato, proszę... – odezwała się Prudence. – Wiesz przecież, że to kompletne szaleństwo.

– Wróć do domu i jakoś to załatwimy – powiedziała Dorothy. – Musimy porozmawiać.

– Ona jest o połowę młodsza od ciebie – tłumaczyła Prudence. – Nic was ze sobą nie

łączy.

- Skąd możesz wiedzieć? – spytał.
- Jesteście... jakby to powiedzieć... zupełnie różni.
- Dlaczego?
- Może jej chodzi o twoje pieniądze? – ciągnęła Prudence. – Przyszło ci to do głowy?
- Dajże spokój! – obruszył się. Prudence rozejrzała się po pokoju.
- Co wy tu robicie przez cały dzień?

Nie padła żadna odpowiedź. W zasadzie nietrudno było się domyślić co.

- Kochanie, proszę cię – spróbowała jeszcze raz Dorothy.
  - Spakuj się i wracajmy do domu.
  - Jestem w domu – odparł. Stał bez ruchu, z wysuniętą do przodu dolną wargą.
- Dorothy przyjrzała się pokojowi baczniej.
- Zrobiłeś tu remont – odezwała się nagle.
  - Co takiego? – spytał zaskoczony.
  - Wyremontowałeś ten pokój, prawda? – Patrzyła teraz na niego. – Ty draniu!
  - Mamo... – odezwała się zdziwionym głosem Maddy.
  - Przez te wszystkie lata nie znalazłeś czasu, żeby skończyć moją kuchnię.
  - Słuchajcie, ona lada moment wróci – powiedział Gordon.
  - Czy możemy porozmawiać o tym kiedy indziej? Maddy wstała i wyjrzała przez okno.
  - Ty mieszkasz w takim miejscu. Nie chce mi się wierzyć.
  - Słuchajcie, nie uważacie, że to sprawa pomiędzy waszą matką a mną? – warknął

rozzłoszczony Gordon.

– Nigdy nie sądziłam, że stać cię będzie na coś takiego. – W głosie Maddy słychać było nieklamany podziw. Wszyscy spojrzeli na nią zaskoczeni. – Zawsze byłeś taki konwencjonalny.

- Po czyjej ty jesteś stronie? – zdenerwowała się Dorothy.
- Po prostu to zdumiewające, nic więcej. Nie wiedziałam, że stać go na to.
- Bardzo mi pomagasz – powiedziała Dorothy. – Wielkie dzięki, Maddy.
- Może ja przygotuję dla nas herbatę – zaproponowała Maddy.

Gordon ruszył w stronę kuchni.

– Pomogę ci – powiedział.

– Tchórz! – syknęła Dorothy, po czym zwróciła się do Maddy: – A ty zdrajczyń! Na miłość boską, co w was wstąpiło?

– Spokojnie, mamo – mitygowała ją Prudence.

– Byłoby lepiej, gdybym mógł z nią porozmawiać w cztery oczy – powiedział Gordon.

– Mama chciała, żebyśmy z nią tu przyszły – oznajmiła Prudence. Rozejrzała się po pokoju. – Zresztą sama byłam ciekawa.

Na schodach dały się słyszeć kroki i po chwili otworzyły się drzwi. Weszła April i zamarła. Położyła na podłodze torby z zakupami.

– Cześć – powiedziała.

– Zdaje się, że poznałeś już moje córki.

– W szpitalu – przytaknęła April.

– Napijesz się herbaty? – spytała Maddy.

– Skończ z tą herbatą! – Dorothy zwróciła się teraz do April:

– Chcemy, żeby Gordon wrócił do domu. – A potem powiedziała do niego: – Chodźmy, kochanie.

– Przecież tak naprawdę wcale go nie chcesz, prawda? – Prudence spytała April.

Gordon patrzył na córki. Zgasił papierosa. April usiadła.

– Naprawdę bardzo mi przykro, pani Hammond. Próbowałam go powstrzymać, wcale nie chciałam, żeby to zrobił, przynajmniej nie tak szybko. – Miała na sobie puchową kurtkę i dzinsy. Była dużą dziewczyną, wysportowaną, zdrową. – Nie chcę rozbijać rodziny, dość się na takie rzeczy napatrzyłam. Ale on powiedział, że jego małżeństwo się skończyło, i to wiele lat temu...

– Tak jej powiedziałaś? – Dorothy z wściekłością obróciła się do Gordona.

– Prawdę powiedziawszy – odezwała się Prudence – my mieliśmy ich za idealnie szczęśliwych.

– Może i tak było – powiedziała April. – Skąd mam wiedzieć, to nie moja sprawa...

– Wręcz przeciwnie, twoja jak najbardziej – przerwała jej Prudence.

– Może byli szczęśliwi, gdy wy jeszcze z nimi mieszkaliście – April zwróciła się do Prudence. – Ale ostatnio nie widujecie się zbyt często, prawda? Nikogo ani niczego nie oskarżam, ale jesteście już dorosłe i macie własne życie.

– Posłuchaj, nikt nie ma do ciebie pretensji – powiedziała Prudence. – Uważamy tylko, że powinien wrócić z nami do domu i omówić wszystko z mamą. Zawsze był raczej impulsywny. Dorothy spojrzała na April.

– A miałam cię za taką miłą dziewczynę. Tak troskliwie się nim zajęłaś. Mówiłam: „Jaka ona miła”. – Zaczęła płakać. – Kiedy przychodziłam do szpitala, on wyglądał tak... dobrze. Myślałam, że po prostu wspaniale wraca do zdrowia. Nawet kupiłam ci pudełko trufli, pamiętasz? – Wyjęła z torebki chusteczkę higieniczną i wytarła nos. – Chciałam ci tylko powiedzieć jedno... – Jej głos nagle zabrzmiał dziwnie oficjalnie. – Jeśli chodzi o stronę fizyczną... zawsze byliśmy bardzo dobrani... bez względu na to, co ci naopowiadał. Chciałam tylko, żebyś wiedziała. Chociaż to nie twoja sprawa.

Patrzyli na nią skrepowani. Nagle zabrakło jej tchu. Twarz miała przerażoną, jakby niespodziewanie dostała cios w plecy. Zgięła się wpół i z cichym jękiem osunęła na podłogę.

Wszyscy patrzyli na nią. Przez chwilę sądzili, że udaje; zrobiła to tak jakoś sztucznie. April schyliła się, ujęła jej rękę i sprawdziła puls. Podniosła głowę.

– Dzwońcie po karetkę.

Gordon chwycił telefon. April ułożyła Dorothy na dywanie i rozpięła jej bluzkę pod szyją. Schyliła się i zaczęła robić jej sztuczne oddychanie.

Dwie córki w milczeniu patrzyły, jak czarna młoda kobieta ratuje ich matce życie. Widok był przerażający, miał w sobie coś dziwnie erotycznego. Przyglądały się zafascynowane.

Na ulicy zgromadził się niewielki tłumek. Przed bramą stała karetka z migającymi na dachu światłami. Sanitariusze wynieśli Dorothy na noszach. April – sprawna i kompetentna –

powiedziała coś do nich. Wskoczyła za noszami do karetki. Gordon wsiadł za nią. Córki patrzyły, jak karetka z wyciem opuszcza ulicę.

Podobno było to przejściowe niedokrwienie; chwilowy atak. Zatrzymali Dorothy na kilkudniową obserwację i badania. Dzięki Bogu, nic jej nie było. Dzięki Bogu także i za to, że zawieźli ją do innego szpitala niż ten, w którym leżał ich ojciec. Trudno sobie nawet wyobrazić zajmującą się nią troskliwie April.

Z drugiej jednak strony April uratowała ich matce życie. Może nie tyle uratowała – zresztą kto to może wiedzieć – ale przynajmniej bez wahania rzuciła się, by udzielić jej pomocy, z czym żadna z córek nie umiałaby sobie poradzić. Jakie to dziwne uczucie mieć dług wdzięczności wobec kochanki ojca!

– Czuję się okropnie, bo ja także zdenerwowałam mamę – powiedziała Maddy. – Ale po raz pierwszy w życiu czułam dla niego podziw.

W to niedzielne południe Maddy leżała w łóżku obok Erin.

– Zupełnie jakby nagle przyłączył się do mnie, tak jak ja wstąpił do klubu, którego członkowie zrobili coś, czego nikt się po nich nie spodziewał.

– Myślę, że może on także się zmienił – zauważyła Erin.

– Nigdy w życiu nie czułam się tak dziwnie. Dotąd to ja byłam ta inna, zawsze go rozczarowywałam. A teraz może mnie zrozumie. Och, już sama nie wiem. Co za zamieszanie. Przecież powinno mi być żal mamy. I jest mi jej żal. Zachował się obrzydliwie.

Chciała, żeby Erin przysłała jej z pomocą, rozwiała wszelkie wątpliwości. Wszak była taka silna. Wiele jej przyjaciółek traktowało mężczyzn z pogardą, nierzadko wręcz z nienawiścią. Erin nie była aż tak krańcowa w swoich ocenach. Jej stosunek do nich cechowało raczej współczucie. Współczuła im ich agresji wynikającej ze strachu. Współczuła, że znajdując się we władzy testosteronu i wielowiekowych uwarunkowań, muszą tak ślepo przeć przez życie. Współczuła, że są tak dumni z tego, co mają między nogami, zupełnie jakby skrywali tam bezcenne trofeum zdobyte w nudnym i idiotycznym turnieju. Czy naprawdę nie zdawali sobie sprawy, co przez to tracą?

Potępiąta ich brak przystosowania. Tylko kobiety tak naprawdę były zdolne w pełni docenić zew i siły natury. Tylko kobiety wraz z innymi kobietami potrafią być prawdziwie wolne, bo podobnie odczuwają i podobne popędy nimi kierują. Nacierając stopy Maddy gliceryną i perfumowaną wodą, szepcząc przy tym dziwne i cudowne słowa... nektar... miód... słodkie paluszki... Dawniej podobne sformułowania otumaniały Maddy. Wprawiały w zakłopotanie. Teraz jednak była nimi wprost zachwycona.

Maddy odsunęła kubki z herbatą i wtuliła twarz w ramię Erin. Zapominając o rodzicach, zaczęła całować wgłębienie na szyi kochanki. Nagle rozległ się dzwonek do drzwi.

– Nie idź! – wyszeptwała.

Erin otworzyła drzwi i ujrzała Aziza. Był delikatnym Hindusem, drobnym, o pięknie rzeźbionych rysach. Erin uniosła brwi. Wysoka, ze zmierzwionymi włosami, w satynowym szlafroku wyglądała jak Walkiria.

– Czy Allegra jest gotowa? – spytał. Erin pokręciła głową.

– Poszła na urodziny.

– Przecież jest niedziela – powiedział. – Wiedziałaś, że przyjdę.

– Nie mówiłam ci?

– Erin, raz na dwa tygodnie w niedzielę mam prawo widzieć się z córką. Nie zastałem jej już dwukrotnie.

– Przykro mi, ale przez cały tydzień nie mogła się tych urodzin doczekać.

– Cóż, ja także nie mogłem się doczekać, żeby zabrać ją na wrotki.

Erin patrzyła na niego – nie zimno, to byłoby dla niego do zniesienia. W jej spojrzeniu była obojętność, jakby miała przed sobą mleczarza, który pomylił domy.

– Przepraszam. Przyjdź w przyszłym tygodniu, postaram się, żeby była.

– W czwartek mam jechać do Glasgow! Wiesz, że...

– No cóż... – Wzruszyła ramionami. – Skoro twoja praca jest dla ciebie aż tak ważna...

– Erin! To nie w porządku! Ja jej potrzebuję...

– Myślę, że na tym właśnie polega problem. Obrócił się na pięcie i bez słowa odszedł.

Dorothy siedziała w szlafroku. Słabe słońce wpadało przez okno, oświetlając nie pasujące do siebie krzesła i mleczny ekran telewizora. Gordon siedział naprzeciwko.

– Trochę to dziwne, że całowała mnie dziewczyna mojego własnego męża – powiedziała Dorothy. – Na domiar złego, muszę jej jeszcze być wdzięczna.

Gordon pokiwał głową.

– Mnie także przywróciła życiu. Dorothy uniosła brwi.

– Zdarzało ci się już wygłaszać różne niegrzeczne uwagi, ale tym razem przesadziłaś.

– Przepraszam, kochana. – Rozejrzał się po sali telewizyjnej, jakby spodziewał się znaleźć w niej pomoc. Otaczały go puste krzesła. – Byłem w domu i popłaciłem rachunki. Zrobiłem porządek z papierami. Nie zabrałem niczego z wyjątkiem moich ubrań.

– Bardzo miło z twojej strony.

– Doktor Mulberek – rozległo się na korytarzu wołanie. Nazwisko brzmiało dziwnie znajomo. Czy nie tak nazywał się prezydent Egiptu?

– Na tej ziemi dano nam tylko jedno życie.

– Wiem o tym, Gordonie.

– Kiedy miałem ten atak serca... niby nic... kochanie, rozumiesz? Urabiałem ręce po łokcie, nie oglądałem się na nic, rok po roku. Nie miałem czasu na życie.

– W kółko ci to powtarzałam – powiedziała Dorothy. – Od wielu lat, ale ty mnie nie słuchałeś. To właśnie złości mnie najbardziej. Mnie nigdy nie chciałeś słuchać. J a też się tak czułam. Mówiłam ci, żebyśmy zlikwidowali firmę, przeszli na emeryturę, mieli coś z życia. Tłumaczyłam, prosiłam, ale ty nawet nie zwracałeś uwagi. Och, lecz wystarczyło, żeby ona powiedziała ci to raz, a ty od razu usłyszałeś.

– Nie ona to powiedziała, tylko ja.

– Och, Gordon, denerwuje mnie ta twoja głupkowata mina. Weszła pielęgniarka. Była czarna. Dorothy zrobiło się słabo.

– Muszę zmierzyć pani ciśnienie – powiedziała pielęgniarka. Dorothy wstała i wyszła za nią.

Erin leżała na sofie z nogami przewieszonymi przez oparcie. Dzisiaj miała na sobie



koszulę, džinsy i farmerskie buty. Udzielała wywiadu młodej przejętej dziennikarce.

– Moja powieść jest o odwadze – mówiła Erin. – Żeby się zakochać, trzeba odwagi, nie sądzi pani? Och, ludzie wciąż powtarzają, że się zakochują, ale to zaledwie słowa, które powtarzają za innymi. W rzeczywistości tylko nieliczni potrafią naprawdę kochać drugą osobę, nie starając się przy tym uczynić z niej swojej własności. Trzeba ogromnej odwagi, żeby dać drugiej osobie wolność.

– Nie robi pani tajemnicy ze swojej orientacji seksualnej – powiedziała dziennikarka. – Czy mogłaby mi pani wyjaśnić...

Przerwała, bo weszła Maddy objuczona torbami pełnymi zakupów.

– Och, przepraszam – zmieszała się Maddy. Dziennikarka wyłączyła magnetofon.

– Maddy, to jest... – Erin zaczęła prezentację.

– Alison – podsunęła dziennikarka.

– Alison z „Independent on Sunday”. – Zwróciła się do dziennikarki: – Może herbaty? Earl Grey, Rosehip, Lapsang?

– Chętnie napiłabym się Lapsang. Erin uśmiechnęła się do Maddy.

– Kochanie, zaparz nam Lapsang. Dziękuję ci bardzo. Maddy wyszła, a Alison ponownie włączyła magnetofon.

– Zapewne pani córka, Allegra, została poczęta przez sztuczne zapłodnienie...

– Ależ skąd – przerwała jej Erin. – Po prostu zerznięłam faceta.

– Och. No tak. Dlaczego zdecydowała się pani samotnie wychowywać córkę? Czy to nie była bardzo odważna decyzja?

– Nie chciałam stracić okazji bycia matką. – Erin nagle zmieniła temat. – Hej, piękna bransoletka.

Alison się rozpromieniła, a Erin uśmiechnęła się do niej czarująco.

W kuchni Maddy nalewając do czajnika wodę, słyszała głos Erin.

– ... mieszkanie z drugą osobą powinno się celebrować, traktować jak nieustające święto, bez podporządkowywania jej sobie.

Gdy w domu nie ma mężczyzny, znika walka o władzę – nie ma podziału obowiązków, licytacji o to, kto co zrobił. Czy zauważyła pani, że mężczyźni zawsze dziękują się za przygotowanie posiłku, a kobiecie nigdy?

Maddy zaczęła wypakowywać zakupy.

Prudence odwiozła matkę do domu. Ponieważ była sobota rano, ulice Purley świeciły pustkami. Kiedy Prudence była mała, przed domami zawsze bawiło się mnóstwo dzieci, a teraz stały przed nimi zaparkowane samochody. Od czasów jej dzieciństwa liczba samochodów podwoiła się, dzieci natomiast znikły. Siedziały w domach i oglądały DVD produkowane przez jej firmę. Mijając kolejne domy, myślała z żalem o minionych latach. Rozpad małżeństwa jej rodziców oddzielił ją od przeszłości, która jak kra odłamała się i odpłynęła w dal.

Prudence spojrzała na matkę. W Dorothy zawsze było coś nieokreślonego, zamazanego. Nie wyglądała nawet na swój wiek. Mało charakterystyczna twarz, w zasadzie niebrzydka. Może właśnie w ten sposób wszyscy patrzyli na jej matkę; była zbyt blisko, a przez to

pozbawiona ostrości. Z Louise sprawa miała się podobnie. Jak jej włosy, ona również była jakaś taka rozwiana, niewyraźna. Być może dlatego, że obie, matka i córka, zawsze zaspokajały potrzeby innych, służyły im. Maddy, silna i kwadratowa, przypominała ojca, odziedziczyła po nim zdecydowanie. Natomiast Dorothy, będąc żoną i matką, zatraciła gdzieś swoją tożsamość. I teraz, w wieku sześćdziesięciu trzech lat, nagle została sama. Gordon nigdy nie wróci, Prudence nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Jak matka sobie poradzi? Jej nagły wybuch w mieszkaniu April kompletnie córkę zaskoczył. Ujrzała matkę, jakiej dotąd nie знаła. Co przyniosą najbliższe miesiące: czy matka się rozklei i podda, czy też wręcz przeciwnie, niespodziewanie okaże się silna? Czy zaskoczy czymś córki i wszystkich tych, którzy ją kochają? Prudence nie miała pojęcia i nagle ogarnął ją przemożny lęk o matkę.

Dojechały do domu. Prudence otworzyła drzwi wejściowe i zebrała leżące na wycieracze listy.

– Pójdę włączyć ogrzewanie.

Dorothy weszła do salonu. Nie było jej w domu przez tydzień – trzy dni spędziła w szpitalu, cztery dochodziła do siebie u swojej przyjaciółki Connie w Harrow. Connie była rozwódką; jeszcze do niedawna należała do innego gatunku kobiet. Bywały chwile, gdy Dorothy im współczuła, czasem zazdrościła wolności. Teraz ja także stałam się jedną z nich, pomyślała.

Nie zdejmując płaszcza, usiadła skulona. Podczas jej nieobecności dom się zmienił, już nie należał do niej. Gdy umarła jej babcia, Dorothy nie odeszła od niej; siedziała przy łóżku jeszcze długie godziny, czuła bowiem, że gdy ją zostawi, babcia stanie się tylko martwym ciałem.

Do pokoju weszła Prudence.

– Pomogę ci się rozpakować – powiedziała.

Dorothy popatrzyła na fotografie w ramkach, na czterdzieści lat małżeńskiego życia. Siedziała na brzeżku krzesła, jak gdyby wpadła tylko na chwilę z wizytą. Zastanawiała się, czy Gordon przyjdzie do biura w poniedziałek. Próbowwała go sobie wyobrazić, jak przegląda faktury i wszędzie rozrzuca popiół z papierosa. Chciała widzieć go takim, jak zawsze.

– Mamo, zabieram cię do siebie – oświadczyła Prudence.

– Nie, naprawdę nic mi nie jest – zaprotestowała Dorothy.

– Mam tu mnóstwo roboty.

– Idziemy.

Ujęła matkę za rękę, suchą i chłodną. Dorothy wstała jak lunatyczka i pozwoliła poprowadzić się do drzwi.

Prudence udało się zaparkować samochód zaledwie kilka metrów od domu. Wzięła to – jak się okazało, przedwcześnie – za dobry znak.

– Czy możesz tu chwileczkę zaczekać? – poprosiła matkę.

– Ja tylko, ee...

Zostawiła matkę, szybko weszła do domu i biegiem pokonała schody na górę, do swojego mieszkania. Otworzyła drzwi i słysząc warkot, weszła do kuchni. Zastała w niej Stephena

przy mikserze.

– Zaprosiłam do siebie mamę, tylko na tę noc. Chociaż może zostanie u nas parę dni. Masz coś przeciwko temu? – Pocałowała go w policzek. – Nie mogłam jej zostawić samej w tym pustym domu.

Spojrzała na mikser, w którym Stephen przygotowywał mleczny koktajl. Odwróciła się i zobaczyła stojącego w drzwiach Dirka.

Przez chwilę panowała cisza.

– Cześć, Dirk – przerwała ją w końcu Prudence.

– Kaatya musiała iść na jakiś kurs – wymamrotał Stephen. – Sobotnie warsztaty czy coś takiego. Zostaną tu do szóstej.

Dirk nalał sobie koktajlu do szklanki i zniknął w salonie. Prudence poszła za nim. Na dywanie leżał Pieter, a wokół niego wały się kartki papieru.

– Cześć, Pieter – powiedziała Prudence. – Miło cię widzieć.

– Wiesz coś o Bismarcku? – spytał. – Tata jest do niczego. Prudence pognała do kuchni i zamknęła za sobą drzwi.

– Zabierz ich stąd! – syknęła. – Weź ich na spacer, cokolwiek.

– Nie mogę!

– Ona nie może się na razie o nich dowiedzieć. Nie w stanie, w jakim się znajduje.

– Prędzej czy później będzie musiała – powiedział.

– Ale nie teraz! Zamknij ich w sypialni, przynajmniej na pół godziny. Zabiorę ją na zakupy.

Weszła do salonu.

– Chłopaki, słuchajcie. Pobawimy się w chowanego.

– Ja mam trzynaście lat! – oburzył się Pieter. Stephen zaczął zbierać porzucane papiery.

– Pieter, proszę cię. Tam też możesz odrabiać zadanie.

– Ale tam nie ma telewizora – zaprotestował Dirk. Stephen pchnął ich obu w stronę drzwi do sypialni.

– Tylko siedźcie cicho, OK?

– Za ile? – zainteresował się Pieter.

– Co takiego? – Prudence popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Tato, za ile?

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy.

– Po funcie dla każdego – powiedział w końcu Stephen.

– Stephen! – wykrzyknęła Prudence.

Pieter pokręcił głową.

– Po pięć funtów.

– Słucham? – Prudence nie wierzyła własnym uszom.

– Dobra, pięć funtów dla obu. – Dirk był bardziej ugodowy.

– Och, niech będzie – zgodził się Stephen z rezygnacją. Dwaj chłopcy weszli do sypialni i zamknęli za sobą drzwi.

Dorothy siedziała przy gazowym kominku.

– Naprawdę, z powodzeniem mogłam zostać w domu – powiedziała.

– Daj spokój. Mam rozkładane łóżko, zapomniałaś już? Możesz zostać, jak długo zechcesz.

Stephen wniósł tacę z kawą.

– Oczywiście – poparł Prudence. Dorothy spojrzała na niego.

– Czterdzieści cztery lata, Stephen. Tyle czasu byliśmy małżeństwem. Jak on mógł to zrobić?

– Cukru? – spytał Stephen.

– Jesteś mężczyzną – mówiła Dorothy. – Wyłumacz mi.

– Nie mam pojęcia – powiedział, podając jej filiżankę. Prudence obrzuciła go ostrym spojrzeniem.

– Ot tak, przekreślił wszystko i wyrzucił na śmietnik – powiedziała Dorothy. – Jak gdybyśmy nigdy nie byli małżeństwem.

– Jestem przekonany, że on także czuje się strasznie – zauważył Stephen.

– Bardzo to miłe z twojej strony – uśmiechnęła się Dorothy. – Ale nie musisz go bronić.

Napiła się kawy.

Prudence podniosła swoją filiżankę. Trochę kawy wylało się na spodeczek. Patrzyła na nogę Stephena; trzymał ją tak, że pogniotły się frędzle dywanu.

– Jest głupi – powiedziała Dorothy. – Słowo daję, o niczym nie ma pojęcia. Wychował trzy córki i dalej nic nie wie o kobietach. Pierwsza, która zwróciła na niego uwagę... Bóg jeden wie czemu, może chodzi jej o jego pieniądze. Nie rozumiem tego.

Może widzi w nim ojca. Bawi się nim, a on daje sobą manipulować. Żeby chociaż była ładna.

– To na pewno nie potrwa długo. – Stephen starał się jakoś iodać jej otuchy.

– Skąd możesz wiedzieć? – spytała szorstko Prudence.

– Nie wiem – odparł. – Domyślam się tylko. Może to kryzys wieku średniego.

Dorothy pokiwała głową.

– Pewnie sobie myśli: och, wszyscy tak dzisiaj robią, więc z temu nie ja?

– Wróci do domu jak zbity pies, z podwiniętym ogonem – powiedział Stephen.

– Skąd ta pewność? – zainteresowała się Prudence. W sypialni rozległ się jakiś huk.

– Co to było? – przestraszyła się Dorothy. Prudence wypila kawę do końca.

– Wychodzimy – powiedziała do matki. – Idziemy do miasta, zjemy lunch u Fortnuma, a potem wybierzemy się na koncert, zdaje się, że grają Gershwin. – Wstała. – Potem pójdziemy do Selfridges i wypróbujemy nowe perfumy. Zapomnimy o wszystkim i po prostu będziemy się dobrze bawić.

– Na pewno masz czas? – zapytała Dorothy.

– Jasne, cały dzień.

Gordon powiedział April prawdę. Zerwał z dawnym życiem, oddalał się od niego, z coraz większym trudem je sobie przypominając. Czuł się bezradny – on, ten Gordon, zawsze nad wszystkim panujący, mówiący innym, co mają robić. Kiedyś życie było proste: kładło się

fundamenty, a potem jedną warstwę cegieł na drugiej. Kto by pomyślał, jak krucha okazała się cała konstrukcja; wystarczyło lekko nią potrząsnąć, a waliła się z hukiem.

Tyle bólu sprawił innym i, co gorsza, na tym się nie skończy. Jego żona osunęła się na podłogę w mieszkaniu April, jakby dosięgła ją kula. W te zimowe dni nawet Gordon, o naturze raczej mało refleksyjnej, starał się znaleźć przyczynę, dla której do tego wszystkiego doszło. Wmawiał sobie, że jego małżeństwo, choć w sumie nie najgorsze, po prostu nie wiadomo kiedy się skończyło. Umierało cicho i niezauważalnie przez te wszystkie dziesięciolecia. Mieli z Dorothy niewiele wspólnego, łączyły ich dzieci i dająca poczucie bezpieczeństwa proza dnia powszedniego. Opowiadał o tym April, sam przy okazji chcąc znaleźć jakieś wytłumaczenie. Wspomnienia jednak upraszczają przeszłość; gdy staramy się znaleźć usprawiedliwienie, spływamy minione wydarzenia. Żadnego małżeństwa nie da się sprowadzić do banału, lecz potrzebujemy go, by wprowadzić ład w powstały nagle chaos.

Prawda zaś była taka, że Gordon się zakochał. Spotkała go wielka przygoda, być może największa w życiu. On i April zapomnieli o całym świecie. Na co jednak komu świat, gdy ma się siebie nawzajem? Odkąd zamieszkał u niej tuż przed Bożym Narodzeniem, nie poznał prawie nikogo z jej przyjaciół. On ze swojej strony – był przecież wyrzutkiem – także prawie z nikim się nie kontaktował. Do pracy chodził sporadycznie, jeździł tylko z jednego placu budowy na drugi, by pracownicy nie zapomnieli o jego istnieniu. Nic sobie nie robił z insynuacji i potępienia; przestał przejmować się wszystkim z wyjątkiem tego, co wymagało jego osobistego udziału. Nagle nic już nie miało znaczenia, a zaczęło się to tego dnia w październiku, gdy powalił go atak serca.

Wiedział, że musi uporządkować swoje życie, choćby przez wzgląd na innych, ale coś go paraliżowało. Przestał w ogóle myśleć, bo każda podejmowana próba okazywała się nie do zniesienia. W sobotę Dorothy wracała do domu. Powinien tam pojechać, włączyć ogrzewanie, zająć się niątak, jak ona jego otoczyła troskliwą opieką. Zastąpiły go w tym córki, a on szedł sobie Prowse Street w Walthamstow i pokazywał April okolice, w których dorastał.

– Tam mieszkał węglarz – pokazał jej dom. – Miał tylko jedno oko i bałem się go jak samego diabła.

– A gdzie mieszkał Kenny? Wskazał inny dom.

– Tam był jego pokój i okno, w którym wywieszał wiadomości. – W jego pamięci zachował się dom zdecydowanie większy, nie był też taki obskurny i odrapany. – Oni pierwsi mieli telewizor. – Ujął April pod rękę. – Kotku, to inny świat, nawet dla mnie. Bóg jeden wie, że dla ciebie tym bardziej.

Na rogu znajdował się salon z używanymi samochodami.

– A tam był schron przeciwlotniczy. Siedziałem w nim i li:zyłem moją kolekcję szrapneli. Mama była przekonana, że umrzony, ale ja w to nie wierzyłem.

– Dlaczego?

– Dzieciaki uważają się za pepek świata i wierzą, że wszystko na nim jest dla nich.

– Egocentryczne małe łotry, wszyscy byliśmy tacy – stwierziła.

Skinął głową.

– Myślałem, że będę żył wiecznie, i proszę, kiedy mój koniec est już bliski, wróciłem tu z

tobą. – Ścisnął mocniej jej ramię. – Więc chyba się tak bardzo nie myliłem?

– Przyprowadziłeś tu kiedyś swoje córki?

– Musiałem je ciągnąć siłą. Byłem dla nich starym nudziaczem, gładzącym coś o wojnie.

Wszystko, co ojcowie robią, jest )kropnie nudne.

– To też? Co robisz ze mną?

Nie odpowiedział. Nagle zatrzymał się.

– To mój dom. Numer czterdzieści sześć. Zamknęła oczy.

– Wyobrażam sobie, że właśnie z niego wychodzisz. Spojrzała. Drzwi domu numer czterdzieści sześć otworzyły się wyszła przez nie rodzina – matka, ojciec, dwie małe dziewczynki. Wszyscy czarni. April wybuchła śmiechem.

Gordon był londyńczykiem z krwi i kości. Przez sześćdziesiąt pięć lat niezmiennie kochał swoje miasto. Gdy na nie patrzył, przepełniała go cockneyowska duma posiadacza. Utożsamiał się : nim, a z racji uprawianego zawodu jego przeszłość była mu bliska – wysiłek wszystkich tych murarzy i tynkarzy, od lat już nie żyjących. Jak większość ludzi w jego wieku odczuwał nostalgię za tym, co przeminęło bezpowrotnie. April prowadziła go do miejsc pełnie dla niego nowych, o istnieniu których miał dotąd tylko mgliste pojęcie. Może jego córki nie myliły się, mówiąc, że jest uprzedzony. Wolał się jednak nad tym nie zastanawiać; wyrzucił to z myśli, a zawsze był w tym dobry. Chętnie poddawał się April, gdy pokazywała mu swój świat, po czym odwzajemniał się tym samym. Tego popołudnia wybrali się na zakupy na Electric Avenue i miał wrażenie, jakby przez całe życie nic innego nie robił. Szli przez kryty dachem targ. April pomachała ręką przyjaciółce, która prowadziła salon fryzjerski przy Second Avenue, obok sklepu korzennego. Stragany zavalone były niesamowitymi materiałami. Ze sklepu obuwniczego, w którym hinduski chłopak kopał piłkę, przewracając kartony, dochodziła dudniąca muzyka. Ulicą przeszły dwie ogromne kobiety w sukniach jakiegoś plemienia, być może z Nigerii, kto to wie? Niewiele wiedział o miejscach, w których mieszkała kiedyś Maddy. Tak naprawdę to nic nie wiedział.

– Nie zrozum mnie źle. Naprawdę bardzo je kocham. Ale przy nich czuję się jak głupek. Głupi stary tata.

– Robią dość onieśmielające wrażenie – zgodziła się April.

– Nawet kiedy niczego złego nie zrobiłem. Kształciłem je. Posyłałem do prywatnych szkół. Chciałem, żeby żyło im się lepiej, i harowałem na to jak wół. A teraz nie mamy sobie nic do powiedzenia.

– Nie straciłeś ich. Przynajmniej nie na zawsze. Zatrzymali się przy straganie z warzywami. Piętrzyły się na nim stosy jarzyn o najdziwniejszych kształtach, połyskujących w świetle elektrycznym.

– Teraz ty mnie ucz. – Pokazał na jeden stos. – Co to jest?

– Słodkie ziemniaki. Niebo w gębie.

– Jak się je gotuje? – spytał.

– Nie mam pojęcia – roześmiała się. – Co powiesz na McDonalda?

Wyszli na ulicę.

– Za moich czasów coś takiego jak nastolatki w ogóle nie istniało. Byliśmy małymi

dorosłymi ludźmi, którzy nosili małe dorosłe ubrania.

– Większość facetów, których znam, nigdy nie dorosła.

– Mogę się do nich na chwilę przyłączyć?

Skinęła przyzwalająco głową i mocniej przytuliła się do jego ramienia.

Dom został wystawiony na sprzedaż. Dorothy i Gordon stał w salonie. Oboje mieli na sobie płaszcze, bo wiejące chłodem wewnątrz sprawiało wrażenie, jakby ani przez chwilę nie było zamieszkałe.

– Nigdy nie dokończyłeś tych półek – powiedziała Dorothy.

– Dorothy... Rozejrzała się po pokoju.

– Szczerze mówiąc, z ulgą pozbędę się tego domu. Jest za luzy, zresztą był taki już od dawna. Całe to cholerne sprzątanie. ^ ci nowi sąsiedzi wciąż się awanturują o podwórko.

– Nie uważasz, że się trochę pospieszyłaś?

– Pospieszyłam? Ja? – Patrzyła na niego. Miała na sobie ıłowy płaszcz, którego nie nosiła od lat. Dlaczego nagle teraz go włożyła? Nie miał pojęcia. Jej twarz ściągnęła się, rysy stwardniały, czego nigdy dotąd u niej nie zauważył. Już się zmieniła. – intereselem mozesz sobie zrobić, co ci się żywnie podoba. Nic nnie to nie obchodzi.

– Ale, Dot...

– Przez cały tydzień nie pokazałeś się ani razu. To już koliec, Gordon, i im szybciej się go pozbędziesz, tym lepiej. Ja będę pracowała jeszcze przez miesiąc, ani dnia dłużej. – Jej twarz nage złagodniała. – Koniec z wstawaniem o szóstej – powiedziała rozmarzonym tonem. – Koniec z kolejkami w banku, koniec : tym przeklętym VAT-em. Myślisz, że to lubiłam? Robiłam to dla ciebie, Gordon. Dla nas. Od niepamiętnych czasów miałam tego powyżej uszu, ale ty niczego nie zauważyłeś. Dałam z siebie wszystko i teraz uważam, że starczy.

– Ale co będziesz robić?

– Nie twój interes.

– Martwię się o ciebie – powiedział.

– Och, doprawdy? – Roześmiała się ponuro. – Kupię sobie mieszkanie, w sam raz dla mnie. Za połowę tego domu stać mnie jedzie na coś porządnego i jeszcze co nieco mi zostanie. Nie mulisz się o mnie martwić, dam sobie radę.

Pokazał na meble, bo nic lepszego nie przyszło mu do głowy.

– A co z...

– Tym wszystkim? Och, tym się zajmiemy później. Ja chcę tylko to – wskazała na mosięzną lampę – i to, i biurko. Całą resztę mozesz sobie zabrać do swojego nowego gniazdka...

– Nie o to mi chodziło... Nie chcę...

– Więc oddaj wszystko do Oxfam – powiedziała. – Albo dziewczynkom. Nic mnie to nie obchodzi. Ale albumy ze zdjęciami zabieram. – Spojrzała na zegarek. Dostała go od niego na sześćdziesiąte urodziny. Była to jedyna rzecz, jaką jeszcze w niej poznawał. – Muszę wracać – powiedziała. – Gotuję obiad dla Pru i Stephena.

Nadszedł poniedziałek. Stephen jechał na roboty dachowe gdzieś w południowowschodnim Londynie. Siedział w szoferce furgonetki z Frankiem i dekarzem o

imieniu Phil – kolejnym facetem, który działał na Stephena deprymująco. Wydawało się, że Kendal Contractors ma niewyczerpany zapas takich młodzieńców. Skacząc po rusztowaniach jak kozice, w swoich niezrozumiałych żargonach krzykiem wydawali Stephenowi polecenia albo z rechem opowiadali sobie dowcipy, których pointa zawsze ginęła w szumie wiatru. Ależ oni byli silni! A jakie mieli doświadczenie! Po trzech tygodniach Stephen nauczył się podstawowych czynności – niektóre zdarzało mu się wykonywać czasem w domu – ale wysiłek, jaki musiał włożyć w naukę nowych, udając przy tym, że w końcu, po kilkakrotnym tłumaczeniu, wie, czego od niego chcą, przyprawił go o ból głowy, który ostatni raz cierpiał na lekcjach łaciny w szkole. Pod koniec dnia zwał się na łóżko jak wór cementu, niezdolny do najmniejszego ruchu, o seksie z Prudence nawet nie wspominając.

Gdy mijali kolejne ulice, on w myślach liczył, kiedy robili to ostatnio. Przed pięcioma dniami. Dla par z długim stażem nie było to nic niezwykłego – nawet Kaatya ze swoimi nienasyconymi apetytami na seks dawała mu czasem wytchnąć, zdarzało się, że i przez tydzień. Kiedy jednak facet porzuca dom i wprowadza się do kochanki, powinien wywiązywać się ze swoich obowiązków względem niej regularnie i często. Czy w końcu nie o to w tym wszystkim chodziło?

Nie tylko fizyczne wyczerpanie stało temu na przeszkodzie.

Kolejną zawadą była Dorothy. Mieszkała z nimi już od tygodnia. Prudence nie chciała się zgodzić, żeby wróciła do opustoszałego domu. Pod pewnymi względami Dorothy była gościem idealnym. Podczas gdy oni byli w pracy, robiła zakupy i gotowała; często też jechała do Purley pilnować interesu. Lecz już sam fakt, że musiał spędzać z nią dzień po dniu pod jednym dachem wpływał na niego przygnębiająco. Widok jej bladej, nieszczęśliwej twarzy wzbudzał w nim wyrzuty sumienia. Była porzuconą żoną, podstarzałą wersją jego własnej, bezradną, zmuszoną samotnie stawiać czoło światu.

poza tym nie mógł przy Dorothy swobodnie rozmawiać z Prudence o problemach w pracy – w końcu to u niej pracował. Musiał się więc ograniczać do przyciszonych rozmów w sypialni, skąd też dzwonił do synów – także i pod tym względem obecność Dorothy nakładała na niego ograniczenia. A i na Prudence obecność matki nie pozostawała bez wpływu. Z namiętnej kochanki stał się nagle posłuszną córką. Jednym słowem, mieszkanie było zdecydowanie za ciasne dla nich trojga. Nic dziwnego, że mu nie stajął.

Zatopiony w myślach Stephen nie zauważył, dokąd jechali. Wyjrzał przez okno i stwierdził, że rozpoznaje okolicę. Znaleźli się w Dulwich.

- Wyrzucę was tutaj, a sam skoczę po bitumen – powiedział Frank.
- Szef się dzisiaj pokaże? – spytał Phil.
- Nie twój interes, młodzieńcze – warknął Frank. – Kasę dostajesz, no nie?
- Niektórzy to mają fart – mruknął Phil. Frank podał Stephenowi plan miasta.
- Ty, intelektualista. Znajdź Agincourt Road.
- Trzecia w lewo – powiedział Stephen po chwili wahania.
- Ho, ho, widzę, że okolica nie jest ci obca – zawołał wesoło Frank i wyprzedził naukę jazdy.

Stephen tylko kiwnął głową.



Siedział sztywno, jakby kij połknął, gdy przejeżdżali Abbey Way – Patrzył na mijane znajome domy. Potem sklepy – monopolom, delikatesy. Na witrynie sklepu zoologicznego zauważył napis „DO WYNAJĘCIA”; w Chattles była wyprzedaż przed likwidacją. Wszystko już się zdążyło pozmieniać. Gdzie teraz Dirk będzie kupował karmę dla swojego myszosciczka?

Frank skręcił w lewo i wjechał w Agincourt Road. Zwolnił.

– Numer trzydzieści sześć – powiedział. – Nie przegapcie. Furgonetka zatrzymała się przed domem Stephen.

– Klucze są pewnie pod doniczką – domyślił się Frank. Phil wysiadł z furgonetki.

– Głupota, no nie? – zauważył. – Byle kto może wejść. Stephen siedział jak sparaliżowany, niezdolny ruszyć się z miejsca. Phil wyładował sprzęt z paki i podszedł od strony pasażera.

– Hej, stary. Wsiadasz?

Stephen wygramolił się z szoferki. Było pół do dziesiątej; chłopcy na pewno wyszli już do szkoły. Podjazd był pusty, ani śladu po zdezelowanym 2CV Kaaty.

Nic się nie zmieniło. Nic w wyglądzie domu nie zdradzało tragedii, która się w nim rozegrała. Stojące na parapetach rośliny Kaaty jak zwykle cisnęły się do okien w poszukiwaniu słońca – w Amsterdamie we wszystkich oknach aż gęsto było od kwiatów, co uważał za jeden z sympatyczniejszych holenderskich obyczajów. Na ganku wałała się porzucona skarpeta, a koło wycieraczki leżała reklamówka z Sainsbury, najwyraźniej pełna pustych butelek po winie. Z kim Kaatya je wypila? Czy był to ktoś mu znany?

– Pod którą doniczką, do cholery?!

Stephen drgnął. Phil, wpatrując się w rząd doniczek na ganku, mamrotał wściekle do siebie.

– Spróbuj pod tą – pokazał mu Stephen.

Phil uniósł doniczkę i znalazłszy klucze, spojrzął na Stephena z uniesionymi ze zdziwienia brwiami.

Zaczął otwierać drzwi – jeden zamek się zacinał i trzeba było mieć na niego sposób, jednak Stephen nie zamierzał iść chłopakowi z pomocą. W końcu weszli. Stephen stanął w holu.

Od miesiąca nie przekroczył progu własnego domu. O ścianę stały oparte rowery chłopców. Na korkowej tablicy widniały poprzyczepiane karteczki z różnymi numerami telefonów, między innymi radiotaxi, z których Kaatya i tak nigdy nie korzystała.

Wszystko wyglądało tak samo. Zupełnie jak gdyby przed pięcioma minutami wyskoczył po gazetę. Z jadalni wychynęła kotka Maureen i mruczając, zaczęła się ocierać o jego nogę. Stephen poczuł narastający ucisk w piersi.

W domu panował gorący zaduch. Pewnie Kaatya, nigdy nie potrafiąca myśleć ekonomicznie, jeszcze w grudniu, gdy opuścił dom, nastawiła bojler na ciągłą pracę. Gdy starał się opanować ogarniającą go irytację, zadzwonił telefon.

Podskoczył, jakby coś go użądliło.

– Idziesz? – Na schodach pojawił się Phil. Pokazał na torbę z narzędziami. – Pomóc ci z

tym?

Telefon nie przestawał dzwonić. Stephen chwycił torbę i zaczął ją targać na górę. Na dole, w holu, telefon wreszcie umilkł. Minął sypialnię, do której drzwi były otwarte. Łóżko nie było zasłane; na podłodze walał się szlafrok Kaaty w chińskie smoki i pełno wycinków z „Sunday Times”, jedynej gazety, którą czytała. W pokoju unosił się zapach drewna sandałowego i papierosowego dymu. Kaatya sama sobie skręcała papierosy z tytoniu Samson.

Stephen odwrócił się i wszedł na najwyższe piętro. Właz na dach był otwarty. Z góry dochodziły odgłosy kroków Phila. Stephen zajrzał do pokoju Pietera. Na suficie widniała plama – znacznie powiększona od dnia, gdy widział japo raz ostatni. Zawsze mieli kłopoty z dachem; od czasu do czasu starał się z tym coś zrobić. W pokoju Pietera jak zwykle panował odrażający bałagan. Tym razem jednak nie był to zwykły bałagan, jaki na ogół można zobaczyć w pokoju dorastającego chłopaka. Tak wyglądała sypialnia chłopca cierpiącego.

Zaskrzypiała drabina i zszedł po niej Phil. Wszedł do sypialni. Stephen akurat przyglądał się nowemu plakatowi na ścianie – młodziutkiej modelki, której imienia nie pamiętał. Dziewczyna stała w wyzywającej pozie, z kciukami wsuniętymi za pasek dżinsów.

– Ktoś tam niezłe narozrabiał – powiedział Phil, pokazując na dach. – Próbował coś latać, ale nie miał o tym najmniejszego pojęcia i tylko wszystko schrzanił, bo deszczówka zaczęła przedostawać się pod blachę.

Stephen nie odpowiedział.

Phil rozejrzał się po pokoju.

– O rany. Niektórzy ludzie to są. Mieszkać w takim ładnym domu... Dasz wiarę? Ja bym swojemu chłopakowi cofnął kieszonkowe na miesiąc...

Rozległ się dzwonek u drzwi. Stephen stał jak wmurowany w ziemię. Phil zszedł na dół i po chwili wrócił z Frankiem. Frank z hukiem postawił pojemnik z bitumenem.

– To wymaga generalnego remontu – mówił do niego Phil. – Ci ludzie o tym wiedzą? Połowa blach odpadła, na spojeniach przecieka, brakuje co najmniej trzydziestu dachówek.

– Niedługo wróci pani domu. – Frank rzucił okiem na zegarek. – Mówiła, że będzie o dziesiątej.

Stephen podszedł do schodów.

– Bardzo was przepraszam – powiedział. – Ale muszę iść.

– Co takiego? – zdziwił się Frank.

– Ubikacja jest na dole – wyjaśnił Phil.

– Muszę iść – powtórzył Stephen. – Naprawdę bardzo mi przykro. Możecie mnie wywalić, jeśli chcecie...

– Hej, stary – zdenerwował się Frank. – Nie możesz tego zrobić...

– Przecież i tak w sumie nie nadają się do tej roboty, prawda?

– Muszę tam mieć dwóch ludzi. – Frank zrobił się czerwony na twarzy. – Chcesz odejść, nie ma sprawy, ale dopiero jak się skończy tydzień.

– Przepraszam. – Stephen zbiegł ze schodów. Frank pognał za nim.

– Ty, słuchaj no! – wrzasnął.

– Nie mogę tu zostać!

Stephen był już w holu. Frank chwycił go za ramię i próbował odwrócić twarzą do siebie. Stephen złapał za klamkę, przekręcił ją i szarpnięciem otworzył drzwi. Obrócił się do Franka.

– Nic nie rozumiesz – powiedział. – To mój dom.

Maddy pracowała nad zleceniem Housing Association. Właśnie układała trawnik. Lubiała tę pracę. Było coś magicznego w tym, że wystarczyło rozwinąć rolkę trawnika i wszystko zmieniało się nie do poznania. Co prawda, martwiła się trochę, że nie dość dobrze wygładziła wcześniej podłoże i trawnik gdzieś się wybrzuszał. W porównaniu z Erin była niezdarna i brakowało jej doświadczenia. A tak bardzo chciała ją zadowolić. Choć Erin zawsze ją chwaliła, ona jednak wciąż czuła się onieśmielona, zupełnie jakby Erin była charyzmatyczną nauczycielką, za którą uczennice zwykle przepadają, a Maddy tym usilniej starała się zasłużyć na jej uznanie.

– Hej, złotko – dobiegło ją czyjeś wołanie. – Zielonym do góry, pamiętasz?

Maddy podniosła wzrok. Nieopodal dwóch robotników wykańczało właśnie okna. Maddy wzięła kolejną rolkę trawnika. Chociaż wychowała się wśród budowlańców, nie przepadała za nimi. Nigdy nie wiedziała, jak zareagować na ich zaczepki. Odkąd poznała Erin, mężczyźni wydawali się jej jeszcze bardziej szorstcy i godni pożałowania – budowlańcy może nawet bardziej od innych. Wciąż jeszcze miała wrażenie, że nigdzie nie pasuje. Zastanawiała się, jak też radzi sobie Stephen. On wyglądał na jeszcze bardziej nieprzystosowanego do pracy fizycznej niż ona.

Nadjechała furgonetka, z której wyskoczyła Erin wystrojona w aksamitną kurtkę i długą spódnicę. Otworzyła klapę bagażnika i pokazała na worek torfu.

– Kochanie, mogłabyś to wziąć?

Maddy podeszła, wycierając dłonie w dzinsy. Erin dostrzegła jej minę i jakby się zmieszała – co zdarzało się niezmiernie rzadko.

– Wybacz, kotku. Ale mam spotkanie z ludźmi od marketingu w jakimś okropnym hotelu. Nawet nie wiesz, ile bym dała, żeby być tu z tobą.

– Naprawdę? – spytała z powątpiewaniem Maddy.

– Naturalnie.

Erin pocałowała ją lekko w usta. Robotnicy zagwizdali. Nie zwracając na nich uwagi, Erin wsiadła do furgonetki i odjechała.

Dorothy siedziała w biurze przed bucującym komputerem.

– ... wyszło na to, że tam mieszkała jego żona i dzieciaki – mówił Frank.

– Co takiego? – spojrzała na niego zdumiona.

– I tak jest do niczego. – Frank zgasił papierosa na spodeczku. – Przyjąłem go tylko ze względu na ciebie. Ale wcale mi to nie było na rękę.

– On ma żonę? I dzieci?

– Dlaczego wszyscy mnie ostatnio okłamują? – zawodziła Dorothy.

– Ja nie kłamałam – obruszyła się Prudence. – Po prostu ci nie powiedziałam.

– Mieszkam tu od tygodnia. W zasadzie od dwóch. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Prudence zamieszała sos.

– Jakoś nigdy nie było okazji. Nie chciałam, żebyś była na mnie zła. Albo na niego.

– Och, wydaje mi się, że nikogo z was tak naprawdę nie znam. – Dorothy wpatrywała się w garnek z sosem, jakby to on był wszystkim winien.

Wszedł Stephen, ale nie odwróciła się, żeby na niego spojrzeć.

– Słuchaj... to było tak – powiedziała Prudence. – Stephen i ja spotykaliśmy się od roku...

– Od roku? A ja myślałam, że od dwóch miesięcy!

– Miesiąc temu, w grudniu, Stephen odszedł od żony i zamieszkał ze mną. To wszystko jest już wystarczająco okropne, więc spróbuj tego jeszcze nie pogarszać. Boże, przecież ty wiesz, jak to jest.

Dorothy odwróciła się gwałtownie i powiedziała do Stephen:

– Jak mogłeś zrobić coś takiego?

– Mamo! – wykrzyknęła Prudence.

– A co z dziećmi?

– Słuchaj, to było inaczej niż z tatą – powiedziała Prudence. – Stephen cierpiał z tego powodu miesiącami.

Dorothy podeszła do drzwi.

– Czemu wy, mężczyźni, nie potraficie utrzymać tego w spodniach?

– Mamo!

– Mam was wszystkich powyżej uszu – rzuciła. Stephen wyszedł za nią do salonu. Prudence wyłączyła gaz i dołączyła do nich.

– Masz rację – zwrócił się do Dorothy. – Sprawilem tylko wszystkim ból. Kiedy dzisiaj wszedłem do domu... mój syn powiesił sobie ten plakat... z modelką. Dorasta beze mnie. Naprawdę myślisz, że nie czuję się winny? Wydaje mi się, jakbym przestał istnieć.

– Gadasz bzdury – oburzyła się Prudence. – Codziennie rozmawiasz z nimi przez telefon. Stąd się dowiedzieli, że pracujesz u taty, i pewnie dlatego wezwala ich do naprawy dachu. Ona chce cię znowu złapać.

Stephen usiadł.

– Ona mnie już nie chce, bo i niby dlaczego? – Spojrzał na Dorothy. – Oszukałem ją i zawiodłem...

– Och, zamknij się – powiedziała Prudence.

– Nawet na cholernego robotnika się nie nadaję...

– Co ci się nie podoba w robotnikach? – zdenerwowała się Prudence.

– Na twoją córkę też sobie nie zasłużyłem – mówił dalej. – Jestem tylko ludzkim wrakiem...

– Przestań się nad sobą uzalać, Stephen! – Prudence patrzyła na niego ze złością. – Skoro jesteś taki nieszczęśliwy, to czemu do niej nie wrócisz? Mam już powyżej uszu tego, że wciąż muszę być wyrozumiała, wysłuchiwać wiecznego marudzenia o twoim małżeństwie... Czy ty kiedykolwiek wysłuchałeś mnie? – Podniosła głos. – Nigdy nie interesowałeś się mną ani mężczyznami, których ja znałam, guzik cię obchodzi, przez co ja przechodzę...

– Słuchajcie, mam wino – przerwała jej Dorothy. – Może je otworzymy...

– Nie, dzięki, Dorothy – powiedział Stephen, wstając. – Wychodzę.

Prawie wybiegł z pokoju. Usłyszały, że przystanął, żeby wziąć płaszcz, po czym trzasnęły

drzwi wejściowe.

– Jasna cholera! – zawołała Prudence.

## Rozdział drugi

Fiona została pochowana w Potters Bar, gdzie Tim i Margot wtedy mieszkali. W ciągu sześciu lat, które od tamtej chwili upłynęły, zostały wykopane nowe groby – przeraźliwie świeże kopce z żółtej gliny, zarzucone kwiatami. Podczas niektórych wizyt Margot stwierdzała, że znowu pojawił się kolejny. Zastanawiała się wtedy, kim byli ludzie spoczywający tak blisko jej córki. Gdy miejsce glinianych kopczyków zajmowały pomniki, oddychała z ulgą; nie podobało jej się, że Fionę otaczają bezimienni. Starsze groby знаła dobrze – wypolerowane granitowe płyty z wrytymi na nich imionami. Tuż obok grobu córki z trójkątnych kawałków marmuru leżał „William James, ukochany ojciec, zmarły w wieku 63 lat”. Dzisiaj Margot uświadomiła sobie, że Fiona więcej czasu spędziła w towarzystwie obcego ojca niż własnego.

Margot ułożyła w wazonie bukiet żonkili. Popatrzyła na grób. Przez sześć lat życie jak gdyby nic płynęło bez Fiony. Zdumiało ją to. Ludzie chodzili do pracy, robili zakupy, jeździli swoimi samochodami. I tak zwyczajnie, po prostu starzeli się.

Nad jej głową wleciało stado kruków jak bezwolne strzępy papieru porwane przez wiatr. Margot podniosła się z klęczek. Teraz Fiona miałaby dziesięć lat. Dawno temu nauczyłyby się układać kwiaty w wazonie. Co sądzi o tym miejscu, w którym przyszło jej spędzić tyle czasu? Może trochę by się bała – tylu zmarłych. Za to na pewno uznałyby cmentarz za świetne miejsce do zabawy w chowanego.

Margot stała, a jej córeczka, wysoka i smukła, skoczyła za grób. „Szukaj mnie!”, zawołała. Margot podniosła torbę. Przez cmentarz przetoczył się powiew wiatru, niosąc ze sobą hałas ruchu na głównej drodze.

Tim był zajęty wykładaniem czasopism, gdy do sklepu weszła Louise. Miała na sobie dzinsy i włochaty błękitny sweter. Tim pomyślał o swojej żonie i o tym, jak nieładnie pachną ludzie pogrążeni w depresji. Nie tylko dlatego, że nie chce im się myć; wokół nich unosi się odór rozpaczy. Nienawidził siebie za te myśli.

Louise niosła pod pachą jakiś rulon.

– Nie pozwolę wam odejść – powiedziała od drzwi.

Tim poczuł, że się rumieni. Choć Louise miała wrodzony urok i przywykła flirtować z mężczyznami, nie była świadoma wrażenia, jakie na nich wywierała.

– Nie rozumiem?

– Teraz, kiedy szkoła się zaczęła, poprosiłam panią Monson, żeby zapędziła dzieci do roboty. Możecie to wywiesić na wystawie. – Rozwinęła rulon i Tim ujrzał, że cały pokryty jest dziecięcymi rysunkami, a przez środek biegnie wielki napis: **POMÓŻMY NASZEMU SKLEPOWI.**

– To bardzo miłe – powiedział.

– Jakie tam miłe – prychnęła. – Chcę, żebyście zostali. Jestem pewna, że uda mi się zainteresować waszą sprawą lokalną gazetę, a Robert zna kogoś w „Financial Times”.

Tim wszedł za ladę. Za nią czuł się bezpieczniej.

– Naprawdę chcesz się tym zająć?

– Razem stworzymy świetny zespół. – Rzuciła plakat na ladę. – Wchodzisz w to? Już się tym trochę interesowałam, szukałam w gazetach artykułów o zamykaniu urzędów pocztowych, przeglądałam statystyki i takie tam. Robert uważa, że mam pstro w głowie...

– To nieprawda!

– No właśnie, udowodnimy mu. Zresztą jego i tak prawie tu nie ma i nic nie wie o naszym wiejskim życiu...

– Pewnie cały czas krąży po kraju – wszedł jej w słowo Tim.

– To prawda. – Pokiwała głową. – Do domu przyjeżdża tylko się wyspać.

Tim odetchnął głęboko.

– Może któregoś dnia, po zamknięciu sklepu, moglibyśmy, ty i ja...

Przerwał. Zadzźwięczał dzwonek nad drzwiami i do sklepu weszła Margot. Była w Londynie, w Potters Bar. Spojrzał na jej twarz i pomyślał: co ze mnie za człowiek?

– Witaj, Margot – powitała ją Louise. – Sprawy nabierają tempa.

– Chodzi jej o kampanię, kochanie – powiedział Tim.

– Och. Dobrze. – Margot, zakutana w płaszcz, otworzyła drzwi wiodące do mieszkania. – Pójdę się położyć.

Drzwi zamknęły się za nią. Usłyszeli skrzypienie schodów. Tim dotknął plakatu.

– Nie najlepsza pora – wyjaśnił. – Dzisiaj jest rocznica.

– Och. Bardzo przepraszam. – Louise wiedziała o ich córce. Powiedział jej lata temu, gdy naszała go gwałtowna potrzeba wygadania się przed kimś. Louise rozumiała i była pełna współczucia, w końcu sama była matką. Przypuszczał, że dla nikogo we wsi nie było to tajemnicą, ale nikt nigdy słowem o tym nie wspomniał.

– Gdybym mogła coś zrobić... – Louise przerwała, bo do sklepu wszedł Jamie. Przed wejściem leżał na trawie jego rower, którego koła jeszcze nie przestały się kręcić.

– Cześć, mamo! – zawołał wesoło. – Co za dzień! Regularna bitwa o wózki!

– Jamie... – Louise zmarszczyła czoło, zmartwiona jego brakiem taktu. Nie dość, że wpadł w takim szampańskim humorze, to jeszcze nie ukrywał, że w Tesco był tłum kupujących.

– Jutro jadę do Londynu – powiedział Jamie. – Idziemy w rejs po klubach z Trevorem.

– Kto to jest Trevor? – spytała Louise.

– Kumpel, z którym pracuję w Tesco. Istny świr. Mówię ci, bo chciałbym, żebyś podrzuciła nas na stację.

– Równie dobrze mogłabym się przeprowadzić na stałe do samochodu. – Louise spojrzała na zegarek. – Muszę pędzić. Immy czeka na mnie u dentysty. – Położyła dłoń na ramieniu Tima. – Na razie.

Dlaczego to zrobiła? Z powodu jego zmarłej fiolki? Z zewnątrz doszedł go szum zapalanej silnika. Jamie zbliżył się do lady.

– Poproszę paczkę bensonów. Tim podał mu papierosy.

– Nie powinienes palić, młodzieńcze. Chcesz umrzeć?

– Gadka w sam raz na modelowego sprzedawcę – roześmiał się Jamie.

Tim pokazał na pusty sklep.

– Praca to sztuka, nie uważasz? – Zwinął plakat i zrzucił go na podłogę. – Po prostu mi cię szkoda, nic poza tym.

– Chce pan poznać moją filozofię życia? – Jamie schował do kieszeni resztę. – Krótko i intensywnie, oto jak powinno się żyć.

– Naprawdę w to wierzysz? – spytał po chwili Tim. Jamie przytaknął skinieniem głowy i wyszedł ze sklepu. Tim powiesił na drzwiach tabliczkę z napisem „ZAMKNIĘTE” i poszedł na górę.

– Margot? – zawołał.

W sobotę po południu Robert przyjechał do domu space cruiserem, ciągnąc za sobą przyczepę. Louise wyszła z domu i przyglądała się, jak parkuje.

– Mam nadzieję, że nikt mnie nie widział – powiedział Robert, wysiadając.

– Bo co?

– Bo to takie drobnomieszczańskie, kochanie.

– Ależ snob z ciebie. – Zajrzała przez brudne okienko do wnętrza przyczepy. – Przecież to żaden wstyd. To, że ty spędzasz wakacje na południu Francji, popijając szampana w Sipriani, wcale nie czyni cię lepszym człowiekiem.

– Cipriani – poprawił ją. – I to jest w Wenecji.

– Niech ci będzie, tam też.

Wyszedł pies, żeby przywitać się z panem, i wsunął mu nos między nogi. Robert odepchnął go.

– Myślisz, że dobrze się bawiłem, włączając się za matką i jej aktualnym kochaniem, którzy albo nie zwracali na mnie uwagi, albo wręcz przeciwnie, interesowali się mną aż nadto. Sam już nie wiem, co było gorsze. I gdy patrzyłem, jak się upijają? – Znowu odepchnął Monty'ego. – Myślisz, że to takie miłe, kiedy opiekuje się tobą szofer?

– Moje biedactwo, – Louise pieszczotliwie zmierzwiła mu włosy.

– Wy pewnie świetnie razem się w tym bawiliście. – Machnął ręką w stronę przyczepy. – Na swój drobnomieszczański sposób.

– Robert!

– Co nie zmienia faktu, że to wyjątkowe obrzydlistwo. – Rozejrzał się. – Gdzie my ją schowamy? Za stajnią?

– Cóż, rzeczywiście byliśmy szczęśliwi – powiedziała. – Przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Co prawda, tata z mamą się kłócili i tak dalej. Ale zawsze myślałam, że się kochają.

– I pewnie tak było – zauważył.

– Na swój drobnomieszczański sposób. Ruszył w kierunku domu.

– I tak uważam za cud, że można wytrwać w małżeństwie dwadzieścia lat. A co dopiero mówić o czterdziestu czterech.

Spojrzała na niego ostro, lecz właśnie wtedy z domu wyszedł Jamie w towarzystwie swojego przyjaciela, Trevora. Obaj wystrojeni byli na wieczorną hulankę w Londynie. Włosy Jamiego zaczesane były gładko do tyłu i natarte brylantyną, natomiast Trevora sterczały we



wszystkie strony jak kolce jeża. Obaj ubrani byli na czarno.

– Rany, księżęta ciemności – zakpił Robert.

– Co to tutaj robi? – spytał Jamie, mając na myśli przyczepę.

– Przecież ci mówiłam – odezwała się Louise. – Teraz, kiedy babcia z dziadkiem sprzedają dom, doszli do wniosku, że przyczepa powinna być u nas.

– Super – ucieszył się Jamie. – Może być moja?

– Nie może – zgasił go Robert. – Kto to jest?

– Trevor – odparł Jamie.

– Cześć, Trevor. – Robert wyciągnął rękę na powitanie. – Bardzo mi się podoba twój kolczyk w nosie. Czy twój ojciec jest farmerem?

– Tato! – oburzył się Jamie.

– Wczoraj zgłosili się potencjalni kupcy – przerwała im Louise. – Na dom.

– Kto by pomyślał, że są ludzie, którzy chcą mieszkać w Purley – Robert uniósł ze zdziwienia swoje czarne, gęste brwi.

– Ty obrzydliwy snobie – zdenerwowała się Louise.

– Ty, o ile dobrze pamiętam, nie mogłaś się doczekać, żeby stamtąd uciec.

Jamie przestąpił z nogi na nogę. – Mamo, bo spóźnimy się na pociąg.

– Ja was podrzucę – niespodziewanie zaproponował Robert.

– Ty? – Louise spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Możemy pojechać BMW? – poprosił Jamie.

– Co ci się stało, że nagle jesteś taki miły? – Louise nie mogła otrząsnąć się ze zdziwienia.

– Nawiązuję więź z synem – odparł Robert. – I z jego przyjacielem.

Robert w towarzystwie chłopców ruszył w stronę swojego samochodu.

– W samochodzie jest telefon – powiedział Jamie do Trevora. – Możemy podzwonić do chłopaków.

– Nie możecie – oświadczył Robert, otwierając drzwiczki. Jamie zajrzał do środka.

– Gdzie się podział?

– Jest zepsuty i oddałem go do naprawy.

– W takim razie nie jedziemy – powiedział Jamie z udawaną irytacją. – No nie, Trev?

Chłopcy wyszczerzyli zęby w uśmiechu i wsiedli. Samochód odjechał.

Louise – lekko tym wszystkim zdumiona, lecz nie podejrzewająca niczego – popatrzyła na końskie odchody leżące na podjeździe. Czy Skylark nie może z tym poczekać, aż znajdzie się w stajni? Nie dało się ich usunąć, nie zbierając jednocześnie całej masy żwiru. Pomyślała, że zawoła Imogen, ale dziewczyna ślęczała w swoim pokoju nad książkami. Louise westchnęła i poszła po łopatę.

Robert wysadził chłopców przed dworcem w Beaconsfield. Nie udało mu się wydusić ani słowa z Trevora, który zachowywał się jak głuchoniemy. Nie przejmował się tym jednak zbytnio, bo co innego zaprzętało mu myśli.

Jadąc do domu, zatrzymał się koło stojącej przy drodze budki telefonicznej. Wszedł do środka, włożył kartę i wybrał numer. Cóż za wspaniałomyślność z jego strony, że zgodził się

odwieźć chłopców na stację.

W tym samym czasie w Hackney cztery kobiety siedziały wygodnie rozparte na poduszkach w salonie domu Erin. Na dywanie stały kubki z herbatą i na wpół zjedzone ciasto. Właśnie zabierała głos Lesley.

– W zeszłym tygodniu rozmawialiśmy o naszych ojcach. – Roześmiała się. – Cóż, wygląda na to, że zawsze rozmawiamy o naszych ojcach...

– Powstaje pytanie – podjęła druga kobieta – czy nasi ojcowie rozmawiają o nas?

Erin uśmiechnęła się.

– Gdyby tak było, nie musiałybyśmy tu siedzieć i rozmawiać o nich.

Lesley podciągnęła opadające skarpetki.

– Cóż, starałam się walczyć z uczuciem odrzucenia. Czy opowiadałam wam, jak miałam dziesięć lat, a on kupił mojemu bratu czerwony strój indiański?

Erin przytaknęła skinieniem głowy.

– I zrobił mu w nim zdjęcie na kartkę na Boże Narodzenie. Teraz także Lesley skinęła głową.

– Udawałam, że mnie to nie zabolalo, ale prawda jest taka, że w dalszym ciągu szukam jego aprobaty.

Jedna z kobiet trąciła ją w bok z uśmiechem.

– Odzywa się w tobie mała dziewczynka, którą wciąż jeszcze jesteś, Les.

– Na przykład takie ciasto – powiedziała Lesley, pokazując na talerz. – Mówi mi, żebym go nie jadła, bo będę gruba.

– Chciałabym wyglądać w kostiumie kąpielowym tak jak ty.

– Mimo to ciastko krzyczy: „Zjedz mnie!”

Wszystkie się roześmiały, a Erin podała jej kawałek ciasta.

Na górze, w pokoju Allegrы na podłodze siedziała Maddy. Bawiła się z małą lalką Barbie. Allegra podniosła do góry wieczorową suknię ze złotej lamy.

– Czy powinna to włożyć na swoją pierwszą randkę?

– Czy ja wiem? – zastanawiała się Maddy. – Może lepiej spodniem?

– Ale ona nie lubi fioletu.

– Dlaczego więc go ma?

– Był razem z nią w pudełku. Maddy odchyliła się i oparła o łóżko.

– Dawniej tratowałam lalki moich sióstr buldożerem.

– Dlaczego?

– Bo ich nie lubiłam.

Allegra posadziła sobie rozebraną lalkę na kolanie.

– Może jeszcze raz umyjemy jej włosy?

Zadźwięczał dzwonek u drzwi wejściowych. Maddy zerwała się i zbiegła ze schodów.

– Pru! Wejdz. – Co mówiąc, przyłożyła palec do ust i obie na palcach minęły drzwi do salonu.

– Co się dzieje? – spytała szeptem Prudence.

- To grupa Erin. Spotykają się tu po basenie. Poszły na górę.
- Och, wygląda ślicznie – powiedziała Prudence, patrząc na lalkę.
- Wygląda głupio – burknęła Allegra.

Siostry przeszły do sąsiedniego pokoju. Prudence usiadła na łóżku.

– Maddy, jestem zrozpaczona. Nie mogłam zadzwonić z domu, bo oboje w n i m siedzą. Zresztą i tak musiałam wyjść. – Kapa na łóżko była wyszywana miniaturowymi lusterkami. Prudence zaczęła jedno skubać. – Błagam cię, weź na trochę mamę do siebie.

– Pru...

– To już dwa tygodnie. Dostaję szału.

– Dlaczego nie wróci do domu?

– Nie może. A poza tym jest wystawiony na sprzedaż.

– Czemu nie zamieszka u Louise?

– Nie może wyjechać z Londynu – tłumaczyła Prudence. – Stara się zrobić coś z firmą... Chce, żeby ktoś ją przejął. Tata jest do niczego. Maddy, proszę cię. To mi strasznie komplikuje sprawy ze Stephenem.

– Dlaczego?

– A jak myślisz?!

Weszła Allegra, niosąc lalkę wystrojoną w szyfon.

– Dobrze jej w tym?

– Prześlicznie – powiedziała Maddy. Prudence jednak pokręciła głową.

– Beż jest okropnie w stylu Klubu Rotarian.

Allegra wróciła do siebie. Maddy stała, wyglądając przez okno. Prudence mówiła do jej pleców w żółtym Tshircie. Czyżby Maddy przytyła? Zrobiła się jakaś taka bardziej kwadratowa. Robert twierdził, że wszystkie lesbijki są grube, bo chcą być równie brzydkie jak pozostałe, ale Robert zawsze wygadywał podobne rzeczy.

– Mama wzbudza w nim najgorsze instynkty, zresztą sama już nie wiem, może jest na odwrót? Wszyscy skaczemy sobie do oczu...

– Może on powinien znaleźć sobie jakąś pracę?

– Dlaczego jesteś do niego tak wrogo nastawiona? Maddy wydłubała trochę wosku ze świecznika.

– Zaslugujesz na kogoś lepszego.

– To nieprawda...

Maddy gwałtownie odwróciła się do siostry.

– Zawsze wyglądasz, jakbyś była nieszczęśliwa. Nawet teraz, kiedy mieszkacie razem.

– To dlatego, że mieszka z nami mama. Posłuchaj, może przynajmniej niech dzisiaj u ciebie przenocuje. Błagam! Chcielibyśmy zjeść ze Stephenem kolację... tylko we dwójkę. Nie po to się wyprowadził z domu, żeby teraz mieszkać z moją matką.

– To już jego problem.

– Boże, co to miejsce z tobą zrobiło – westchnęła Prudence. – To siostrzane zgromadzenie na dole...

– Dzisiaj nie może tu spać – powiedziała Maddy. – Grupa zawsze zostaje na kolacji.

– Przecież to nie są twoje prawdziwe siostry. My jesteśmy rodziną. – Prudence nie dawała za wygraną. – Proszę cię, zachowaj się jak prawdziwa siostra. Więc przy wiozę ją jutro, niech tu pobędzie przez parę dni. Szuka dla siebie mieszkania i niedługo będziemy ją mieć z głowy.

– Muszę spytać Erin. W końcu to jej dom.

– Powiedz jej, że to sytuacja awaryjna – poradziła Prudence.

– Mama jest na mnie w tej chwili zła.

– Jest zła na wszystkich.

Maddy przeczesała palcami włosy. Skróciła je, może dlatego sama wydawała się większa.

– Dowie się.

– Co? – Prudence zastanawiała się przez chwilę. – Tym się nie przejmuj. Myślisz, że jesteś sublokatorką Erin. – Podniosła się i stanęła obok siostry przy oknie. – I tak się dowie, prędzej czy później. – Popatrzyła na profil siostry. – Maddy, proszę cię. Zawsze byłaś taka odważna. Odważniejsza ode mnie i Louise. Sprzeciwiałaś się tacie. Pracowałaś w Afryce, w jakiejś choleralnej strefie wojny.

– To nie to samo.

– Gdybym była czarna i umierająca z głodu, pomogłabyś mi.

Zapadła noc. Jamie i Trevor włóczyli się po Brixton High Street, starając się wyglądać na luzaków. Ulica była pełna ludzi – głównie czarnych i młodych – tak jak i oni szukających rozrywki na sobotni wieczór. Trevor zapalił papierosa i wystrzelił zapalniczkę w powietrze.

Oparty o bramę mężczyzna mruknął coś do nich niewyraźnie.

Zatrzymali się i spojrzeli po sobie. Ulicą z hukiem przejechał autobus. W końcu Trevor skinął głową. Pogrzebali po kieszeniach w poszukiwaniu pieniędzy. Mężczyzna wsunął Trevorowi w rękę małą paczuszkę.

Maddy zmywała, kiedy za ostatnią kobietą zatrzasnęły się frontowe drzwi. Do kuchni weszła Erin i objęła ją.

– Zostaw to, Kopciuszku, dokończę rano. – Pocałowała Maddy w koniuszek ucha. – Myślałam, że już nigdy nie wyjdą.

– Mimo to je lubisz.

Erin mówiła niskim, wibrującym głosem.

– Przez cały czas mogłam myśleć tylko o tobie... i o tym, jak będę cię tutaj dotykać... – Wsunęła rękę pod Tshirt Maddy i zaczęła pieścić jej pierś. – I tutaj... – Dotknęła jej ust. – Moja ukochana, najdroższa...

Maddy poczuła ucisk w gardle. Stała niezdolna się poruszyć. Erin ściągnęła jej przez głowę Tshirt. Maddy zamknęła oczy. Jedyne dźwięki, jakie do niej docierały, to kapanie wody z kranu.

Erin zanurzyła palec w słoiku z miodem. Posmarowała nim piersi Maddy, najpierw jedną, potem drugą. Nachyliła się i zaczęła zlizywać miód. Maddy, półprzytomna z rozkoszy, zachwiała się i oparła o zlewozmywak.

Trevor niezwykle imponował Jamiemu. Pochodził z najgorszej okolicy High Wycombe. Jego ojciec miał więzienną przeszłość. Trevor kradł różne rzeczy z Tesco i miał zakaz wstępu do wszystkich pubów w Beaconsfield. Jego wiedza na temat prochów była wręcz

encyklopedyczna, połączona z precyzją konesera. Przyjaźń Trevora bardzo Jamiemu schlebiała i starał się jak mógł, by zasłużyć sobie na jego uznanie.

Dotarli do The Fridge i ustawili się w kolejce. Nagle Jamie zaniemówił. W ich stronę zmierzał mężczyzna wyglądający zupełnie jak dziadek. To był dziadek. Prowadził pod rękę czarnoskórą kobietę.

Zbliżyli się. Jamie wiedział, że dziadek zwariował na punkcie tej jakiejś April i zamieszkał razem z nią w Brixton, jednak nie był przygotowany na szok, jaki przeżył, widząc ich razem. Przywykł do tego, że dziadkowi zawsze towarzyszyła babcia. Nagle poczuł ogarniające go uczucie dumy. Wyszedł z kolejki i podszedł, by się z nimi przywitać.

Powiedzieli mu, że wyszli coś zjeść.

– Dużo o tobie słyszałam – przywitała go April, ściskając dłoń. Miała dużą, okrągłą, pełną życia twarz. – Same piątki i tak dalej. – Spojrzała na Gordona. – On jest bardzo dumny z ciebie. Kiedy jedziesz do Yorku?

– W październiku.

– Kto dzisiaj gra? – spytała, mając na myśli The Fridge.

– Adrenalin Village.

– Super. Mam ochotę potańczyć. Gordon ścisnął jej ramię.

– W takim razie idź i baw się dobrze. – Uśmiechnął się do nich obojga. – A ja pójdę i położę się do łóżka z termoforem.

Maddy i Erin leżały w łóżku przytulone do siebie. Maddy gładziła palcem śliski strumyczek potu spływający pomiędzy piersiami Erin.

– Tyle się już nauczyłaś, moja słodka myszko – zamruczała Erin. – Jeszcze niedawno byłaś taka nieśmiała... nieśmiała i skryta, bałaś się otworzyć...

– Tobie wszystko zawdzięczam.

Stojąca obok nich świeca zamigotała i zgasła.

– Chcę powiedzieć całemu światu, wszystkim kobietom, co tracą.

– Tylko nie mojej matce – powiedziała Maddy, spoglądając w ciemność. – Naprawdę nie masz nic przeciwko temu, żeby tu zamieszkała?

– Wstydzisz się nas?

– Pod tym względem wciąż jeszcze jestem myszką. Daj mi trochę czasu – poprosiła Maddy.

Erin obróciła się na bok, by móc widzieć Maddy.

– Kochanie, mamy cały czas na tym świecie.

– Mogę spać w twoim gabinecie? Tylko te parę nocy.

– Wślizgnę się i wezmę cię na faksie.

– Gdybyś to zrobiła na komputerze, mogłabym być komputerową myszką – powiedziała Maddy.

Maddy rzadko udawało się powiedzieć coś zabawnego. Erin uśmiechnęła się i objęła ją czule ramionami.

Gdy pierwszy raz widzimy, jak ktoś tańczy, odczuwamy coś w rodzaju skrępowania. Podobnie jest z mówieniem po francusku. Jamie z ulgą zauważył, że Trevor, chociaż naćpany

po uszy, radzi sobie z tańcem jeszcze gorzej niż on. Co prawda był smukłej budowy ciała, ale zupełnie brakowało mu koordynacji ruchów. Miotał się po parkiecie w pewnej odległości od Jamiego w rytmie słyszonym tylko przez niego, nieczuły na muzykę, jak gdyby sterowały nim niewidzialne linki. April, przeciwnie, była wyśmienitą tancerką. Jego ojciec zapewne powiedziałby coś o „naturalnym wyczuciu rytmu”, na szczęście jednak nie było go tutaj. Radość April była zaraźliwa jak dzuma i Jamie poczuł, że sam zaczyna się rozluźniać. Trevor nawet się uśmiechnął, co do tej pory zdarzyło mu się w obecności Jamiego tylko raz, gdy wyciągnął z kieszeni płat wędzonego łososia.

Jamiego rozpieszczała duma, że tańczy z czarną kobietą, i bez przerwy udawał, że coś do niej mówi, ruszając ustami jak złota rybka, byle tylko nikt nie miał wątpliwości, że są razem. Dyskoteka była pełna ludzi. April, spocona, w minispódnicy i robionej na drutach kamizelce, odpowiadała tym samym. Należała do dobrze zbudowanych kobiet i Jamie bardzo się starał nie gapić na jej piersi, które poruszały się pod kamizelką, jak gdyby żyły własnym życiem. Dziwnie mu się robiło na myśl, że dziadek, staruszek emeryt, pieści je każdej nocy! Jamie zacisnął powieki i poddał się muzyce wypełniającej mózg, świdrującej całe ciało aż do szpiku kości.

Jakiś czas później wyszli w noc. Trevor się pożegnał; wybierał się do siostry w Streatham. April zaprosiła Jamiego do siebie.

Ruszyli ulicą.

– Czy on w ogóle coś mówi? – spytała.

– Nie.

April otworzyła drzwi wejściowe. Weszli po schodach do jej mieszkania.

– Superchata. – Jamie rozejrzał się wokół. – Chciałbym tu mieszkać.

– Nie podoba ci się na wsi? Potrzęsła głową.

– Co to za wieś. Sami maklerzy giełdowi i bogacze. Nikt podobny do ciebie tam nie mieszka... – Urwał zmieszany. – Jeśli wiesz, co mam na myśli.

April roześmiała się. Po raz pierwszy mógł się jej przyjrzeć w normalnym świetle. Wcześniej widział ją tylko w laserowych smugach dyskotekowych świateł i sodowym blasku ulicznych latarni. Spostrzegł, że ma bardzo piękną skórę, w kolorze lśniących kasztanów, którymi bawił się jako dziecko. Zęby miała białe jak mleko, a szerokie usta w kolorze, którego nie potrafił nawet nazwać. Czując, że się rumieni, pomyślał, jakby to było je całować.

April znikła w sąsiednim pokoju, skąd po chwili wróciła z pościelą. Pupą zamknęła za sobą drzwi do sypialni.

– Śpi jak niemowlę – szepnęła.

Jamie wziął od niej kołdrę i rozłożył ją na sofie.

– To dziwne – powiedział.

– Chodzi ci o dziadka i o mnie?

– Co ty w nim widzisz? – spytał. – Byłeś już kiedyś zakochany? Pokręcił głową.

April usiadła na rozłożonej kołdrze.

– Kiedy się zakochasz, może się okazać, że ona wcale nie jest tą najładniejszą czy najmądrzejszą. Gdyby tak było, co te brzydsze i głupsze miałyby pocać? Dzięki Bogu,

miłość nie na tym polega. – Przetrzepała poduszkę. – W miłości nic się nie liczy – wiek, uroda. Po prostu przy tej osobie wiesz, że jesteś sobą do końca. Jesteś tym Jamiem, którego lubisz najbardziej. – Patrzyła na niego. Twarz miała szczerą i otwartą. – Nie obchodzi mnie, co myślą inni. Może jemu potrzebna jest jeszcze jedna córka i tym razem wszystko ułoży się tak jak trzeba. Ojcowie zawsze myślą: gdybym zrobił to czy tamto. A może ja szukam w nim ojca. Nie wiem. I nic mnie to nie obchodzi.

Jamie z rumieńcem na twarzy wbił wzrok w dywan.

– Myślę, że miał wielkie szczęście.

– Oboje mieliśmy – powiedziała. – Możesz mi wierzyć.

Następnego dnia była niedziela. Imogen wybrała się na konną przejażdżkę. Jechała galopem wzdłuż zaoranego pola, koło Cobbetfs Rise. Jej wioska leżała poniżej, spowita mgłą. Biedaki, myślała, żyją tam, nie widząc nic przez te opary. Tu, na górze, świeciło słońce, a ona była wolna. Czuła, jak pod nią pracują mięśnie Skylark, widziała wylatujące z końskich chrap dwie smużki oddechu. W powietrze wzbilo się stado ptaków, trzepocząc białoczerwymi skrzydłami. Po chwili opadły na sąsiednim polu niczym strącona z choinki lameta.

Szyja Skylark lśniła od potu, ciało między udami Imogen pulsowało oddechem. Imogen ściągnęła cugle i skierowała konia w lewo, ku Blackthorn Wood. Ręką sprawdziła, czy nie zgubiła torby przytroczonej do siodła. Wzięła ze sobą nawet kilka puszek piwa.

Na polance dojrzała zaparkowaną furgonetkę Karla. Serce skoczyło jej do gardła. Stał oparty o drzewo i palił papierosa. Imogen podjechała do niego i zeskoczyła z konia.

– Cześć – powiedział.

Louise sprzątała króliczą klatkę. Popatrzyła na siedzącego w kącie Boyda z uszami położonymi po sobie.

– Nie krzyw się na mnie – powiedziała. – Ja także tego nie lubię. Mógłbyś spytać, gdzie się podziewa Imogen. Znalazła sobie nowy obiekt uwielbienia. – Zebrała odchody na łopatkę. – Kobiety to zmienne istoty, nie sądzisz, Boyd? Chyba już zdążyłeś się o tym przekonać.

Zadzwoił telefon. Louise wyprostowała się.

– Robert! – krzyknęła, odpowiedzi jednak nie uzyskała. Zamknęła drzwiczki klatki i pobiegnęła do domu.

Dzwonił Jamie ze stacji w Beaconsfield. Louise wytarła ręce w ścierkę. Wzięła z komody kluczyki do samochodu. Dzisiaj miała wrażenie, jak gdyby żyła w garnku, który ktoś przykrył pokrywką, a ona bulgotała, starając się za wszelką cenę ją podnieść. Oczywiście, przekłete zamknięcie ani drgnęło. Louise kładła swoje przygnębienie na karb spowijającej wszystko mgły.

Imogen otworzyła puszkę i napiła się piwa.

– Tyle moich koleżanek ma rozwiedzionych rodziców. Ale nie dziadków. Chodzi mi o to, że dziadkowie nie powinni się zmieniać. W końcu po to są. – Zadrzała.

– Chodź tu – powiedział Karl. Ujął jej rękę i zaczął ją masować.

– Dziadek na pewno...

– Robi to – dokończył za nią Karl.

– Przestań!

– Paskudne, no nie? – powiedział. – Pewnie dostanie przepukliny.

Roześmiała się.

– Jesteś bardzo ładna, kiedy się śmiejesz – powiedział, patrząc na nią.

– Posiniał mi nos? – spytała. Kiwnął głową i przykrył jej nos ręką.

– Wargi zresztą też. Zasłoniła usta dłonią.

– Przestań!

– Daj, spróbuję coś z tym zrobić. Nachylił się. Ich usta się zetknęły.

– Lepiej? – spytał.

– Jesteś taki ciepły – powiedziała, a głos jej zadrżał.

– Mam tu własny grzejnik. – Karl poklepał się po piersi. Zaśmiała się. Ruszył głową. Zderzyli się nosami. Pocałował ją.

To był długi, gorący pocałunek. Jego język wślizgnął się między jej wargi. Wsuwając ręce pod jego kurtkę, objęła go i poczuła przężące mu się na plecach mięśnie.

– Nocował u nich! – Louise stała z synem w kuchni.

– Słucham? – Robert podniósł wzrok znad gazety.

– U ojca i tej dziewczyny. Jamie u nich nocował! Robert spojrział na syna.

– Ładna jest? Twojej mamie nie wierzę, jest uprzedzona.

– Nadaje się – powiedział Jamie.

– Nadaje się! – Robert parsknął śmiechem. – Od razu widać, że zarabiasz na życie, wykładając towar na półki.

– Jest super. – Jamie otworzył lodówkę. – Znała faceta, który siedział.

– I on spał w jej mieszkaniu! – zasyczała Louise. – Tata zrobił mu śniadanie.

– Ona ma świetny ekspres do kawy. – Jamie wyciągnął opakowanie guacamole. – Taki do robienia espresso.

– Co babcia by na to powiedziała? – spytała Louise. Robert odchylił się do tyłu na krześle.

– Nie widzę w tym nic złego.

– Ale to takie nielojalne – upierała się Louise. – Po czyjej on właściwie stoi stronie?

Jamie zanurzył palec w guacamole i oblizał go.

– Dlaczego muszę stawać po czyjejś stronie? Otworzyły się drzwi i weszła Imogen, cała zarumieniona od jazdy.

– Jamie nocował u dziadka i tej dziewczyny – powiedziała do niej Louise.

Robert odwrócił stronę gazety.

– Podobno jest wspaniała. Nadaje się – powiedział.

– To wcale nie jest zabawne – zdenerwowała się Louise.

– ... ma szczęście, stara pierdoła.

– Robert!

– Stary, a proszę jaki jurny. – Robert odwracał kolejną stronę. – Daje nam wszystkim nadzieję.

– Tato! – zawołała z oburzeniem Imogen.

– I to z kimś wpielegniarskim fartuchu. Wielki Boże! Monty podniósł się i zaszczeakał.



– Zamknij się! – krzyknęła na niego Louise. Monty zamachał ogonem i znowu usiadł.

– Zawsze mi się stary drań podobał – mówił dalej Robert. – Nawet kiedy zanudzał mnie na śmierć. Prawdę powiedziawszy, nieraz stawałem po jego stronie, zwłaszcza gdy wy wszystkie – tu spojrzął znacząco na Louise – rzucałyście się na niego jak harpie. Biedaczysko, zawsze był w mniejszości. Ale teraz bardzo urósł w moich oczach. – Roześmiał się. – Poczciwy stary Gordon, Humbert Humbert wśród budowlańców.

– Co takiego? – nie rozumiała Louise.

– To z *Lolity* – wytłumaczył jej Jamie.

– Trudno April nazwać Lolitą – powiedziała Louise. – W końcu ma już trzydzieści lat.

– Jak na moje standardy to wciąż smarkula – oznajmił Robert.

Imogen obróciła się na pięcie i wyszła. Louise poszła za nią.

– Przejazdka się udała? – spytała córkę.

– Była okay – burknęła Imogen i poszła na górę. Louise zrobiło się przykro. Nagle z kuchni dobiegł ją krzyk Jamiego:

– Ten cholerny królik uciekł. Kto zostawił otwartą klatkę?

Była piąta trzydzieści po południu. Maddy ścieliła łóżko w gabinecie Erin. Na ścianie powiesiła plakat Amnesty, żeby schować pod nim kalendarz z rozpisany planem prac ogrodniczych. Komputer zasłoniła kaszmirowym szalem. Po tych zabiegach pokój od biedy mógł wyglądać jak jej sypialnia.

Obejrzała się i zauważyła stojącą w drzwiach Allegrę.

– Nic nie powiem, jeśli kupisz mi Barbie baletnicę.

– Allegra! To szantaż! – Proszę!

– Ale ja nie mam pieniędzy – powiedziała Maddy.

– Mama ci nie płaci?

– Nie. – Maddy pokręciła głową. – Wszystko inwestuje w interes.

– Ale przecież to ty głównie pracujesz.

– Tylko dlatego, że mama jest tak zajęta swoją książką. Proszę cię, Ally. To nieładnie tak mnie szantażować.

– Dobra. W takim razie nie lalkę. Wystarczy sam strój do baletu.

Jamie siedział z Imogen w przyczepie. Było w niej, co prawda, zimniej niż na zewnątrz, ale Jamie chciał zapalić skręta. Siedział na twardym łóżku, Imogen natomiast na siedzisku, z którego można było zrobić koję. Wyobrażali sobie, że dawno temu ich ciotki siedziały tak samo i zwierzały się sobie z sekretów.

– Mama i tata nie mają pojęcia, co to miłość. Oboje są tacy okrutni – powiedziała Imogen.

– No, co się stało? – spytał Jamie, podając jej skręta. Imogen odmówiła.

– I tak byś nie rozumiał.

– Imrny!

– Ja go kocham.

Jamie zaciągnął się i powoli wypuścił dym.

– Przecież ty nic nie wiesz o tym facecie. Czy on ma dziewczynę?

– Dawniej z kimś mieszkał, ale teraz to już nieaktualne.  
– Co ci zrobił? No, siostrzyczko, gadaj.  
– Pocałował mnie.  
– Gdzie? – nie ustępował.  
– W normalne miejsce.  
– Nie o to mi chodzi. Gdzie byliście?  
– W Blackthorn Wood. – Przymknęła oczy. – Było tak pięknie. Ptaki śpiewały i wyszło słońce...

– Zrobił coś jeszcze?  
– Nie! On nie jest taki. Och, ty nic nie rozumiesz. Znowu się zaciągnął.  
– Kiedy z nim byłaś, czułaś się sobą do końca? Nawet chociaż w zasadzie niewiele macie ze sobą wspólnego?

– Co takiego? – Patrzyła na niego, nie mając pojęcia, o czym mówi.

Maddy była zajęta przygotowywaniem kolacji. Jej matka nachyliła się, żeby zajrzeć do garnka.

– Wygląda interesująco. Co to takiego?  
– Hinduski groszek i okra – wyjaśniła Maddy. Allegra podniosła wzrok znad swojego zadania domowego.

– No wie pani, damskie paluszki.

– Jadałam to w Nigerii. – Maddy zamieszała potrawę.

– Robią się takie oślizgłe od gotowania – powiedziała Allegra.

– Jesteś wegetarianką? – Dorothy zwróciła się do Allegrzy.

– Nie. – Allegra pokręciła główką. – Kiedy tata mnie zabiera, idziemy do Burger Kinga.

– Kim jest twój tata?

– Ma na imię Aziz. Mama wykorzystała go tylko dla jego cermy. Chodzę z nim na rolki.

– Rozumiem. – Dorothy odchrząknęła.

– Nie przychodzi tu za często, ale przysyła mi faksy.

– Faksy? – zdziwiła się Dorothy.

– No wie pani... – zaczęła cierpliwie tłumaczyć Allegra. – Wybiera się jakiś numer...

– Wiem, co to są faksy – przerwała jej Dorothy. – W ten sposób się porozumiewacie?

– Wolałabym email.

Dorothy spoglądała w zadumie na ciemną główkę dziewczynki pochyloną nad książkami. Czy tak właśnie wygląda dzisiejszy świat?, pomyślała.

Cały parter domu Erin przerobiony był na jeden wielki pokój. Z tyłu mieściła się część jadalna, gdzie właśnie jadły. Ściany pomalowane były na ciemno, a w powietrzu unosił się nikły zapach kadzidła. Ze ścian zwieszały się ludowe tkaniny.

– Czy tak tu wyglądało, kiedy się wprowadziłaś? – spytała Dorothy.

– Nie. – Erin potrząsnęła głową. – Zburzyłam tę ścianę i postawiłam kominek.

– Nieźle – pochwaliła Dorothy, która przecież знаła się na budowaniu. Nie lubiła Erin; nie miała z nią żadnych wspólnych tematów i podejrzewała, że Erin ma jąza prowincjuszkę. Można powiedzieć, że jej nie zauważała, traktowała jak kogoś, kto znalazł się w jej domu

przez czysty przypadek. Kobięca solidarność najwyraźniej nie obejmowała starszych pań z Purley, które nie nosiły kolczyków w nosie. Erin ani słowem nie wyraziła współczucia z powodu rozpadu jej małżeństwa. Być może uważała mężczyzn za tak wstrętnych, że według niej Dorothy miała szczęście, uwalniając się od jednego z nich. Dorothy nie miała pojęcia, co tak naprawdę Erin myśli, nigdy w życiu nie spotkała podobnej osoby. Widziała jednak, że Maddy jest w nią zapatrzona jak w obraz – miała w sobie coś inspirującego, jakąś gwałtowną niezależność. Może któregoś dnia także i Dorothy nauczy się żyć w ten sposób. W bardzo odległej przyszłości. W tej chwili nawet nie potrafiła o tym myśleć. O, przed Gordonem zgrywała się na dzielną, ale tak naprawdę była przerażona. Ale kto by nie był na jej miejscu? Gdzie się na przykład podzieje po kilku dniach spędzonych u Maddy? Wróci do Prudence? Albo do Connie w Harrow? Tylko patrzeć, jak możliwości się wyczerpią.

– Kuchnię także sama zrobiła – powiedziała Maddy. – Zaprojektowała i w ogóle. Chcesz jeszcze trochę ryżu?

– Mój tata też projektuje domy, ale nigdzie nie może znaleźć pracy – odezwała się Allegra. – Może dlatego, że ludzie w Anglii nie znają się na architekturze.

Erin pokręciła głową.

– Nie, on jest zbyt apodyktyczny – powiedziała. – Aziz pochodzi z wysokiej kasty – zwróciła się teraz do Dorothy. – Swoich klientów traktuje jak nietykalnych. Nic dziwnego, że prawie ich nie ma.

– Jest miły! – krzyknęła Allegra. – Mama nie lubi, kiedy on tu przychodzi.

– Ma na ciebie zły wpływ – powiedziała Erin. – Zawsze następnego dnia jesteś zdenerwowana.

Allegra zmarszczyła nos.

– Tylko dlatego, że jesteś dla niego taka wstrętna.

– Bo agresywnie się zachowuje. – Erin odrzuciła włosy do tyłu. W uszach miała duże kolczyki, które zamigotały w blasku świec. – Wszystko przez to, że jest taki słaby i przestraszony. Nie rozumie swoich uczuć i dlatego ciągle się złości.

– Może jest zły, bo nie widuje się z Allegra – powiedziała Dorothy. – W końcu to jego córka. Nie ma innego ojca. Nawet gdyby on był najgorszy. – Nagle poczuła się zrozpaczona... przez fakty, cały ten świat. – Wiem, że to nie moja sprawa, ale chyba nie powinniśmy mówić o nim w ten sposób w obecności jego córki.

Na chwilę zapadła cisza.

– Mama ma rację – Maddy zwróciła się do Erin.

– Słucham? – Erin spojrzała na nią.

– Skończyłaś? – spytała Maddy, nachylając się nad dziewczynką. – Idź się wykapać.

Allegra zsunęła się z krzesła i wyszła z pokoju.

– Mama ma rację – powtórzyła Maddy. – Zawsze źle się o nim przy niej wyrażasz.

– Co w ciebie wstąpiło? – spytała wyraźnie zła Erin.

– Nie powinnaś tak przy niej krytykować jej ojca.

– I kto to mówi?! – wykrzyknęła Erin. – Przecież ty bez przerwy swój ego krytykujesz.

– No nie wiem – włączyła się Dorothy. – Ostatnio była dla niego nad wyraz miła.

– Nie mówimy teraz o moim ojcu. – Maddy wstała i zaczęła zbierać talerze. – To nie w porządku, Erin, że Allegra zawsze gdzieś w niedzielę wychodzi. Robisz to celowo. To nie w porządku wobec nich obojga. To ty jesteś apodyktyczna.

Erin spoglądała na nią ze zdumieniem.

– Maddy, co się stało?

– Ma prawo się z nim widywać, inaczej nigdy nie nauczy się mu ufać i skończy na grupowych spotkaniach, wygadując na niego niestworzone rzeczy. I on także ma prawo widywać się z nią. – Maddy zebrała resztki ryżu do miski. – Potrafisz być bardzo apodyktyczna, Erin. Kto powiedział, że właśnie ty wiesz najlepiej, jak należy wychowywać dziecko? Większość czasu cię nie ma – albo pracujesz, albo udzielasz jakichś wywiadów, albo zamykasz się w swoim gabi... – Przerwała, szybko jednak się poprawiła. – W mojej sypialni. Prawda jest taka, że ja przebywam z Allegra znacznie więcej od ciebie. – Umilkła zaczerwieniona.

Erin uniosła brwi.

– Lepiej się czujesz? – spytała.

– Przepraszam. – Maddy wstała. – Po prostu było trochę racji w tym, co powiedziała mama.

Dorothy zebrała talerze.

– Zaniose je do kuchni.

– Nie, zostaw, ja to zrobię – powiedziała Maddy. – I tak zawsze ja zmywam.

Poszła do kuchni. Erin wstała i podążyła za nią. Dorothy usiadła i patrzyła na pobjowisko na stole.

Erin zamknęła za sobą drzwi do kuchni.

– Co to miało znaczyć? – zasyczała.

– Tak właśnie uważam. – Maddy włożyła naczynia do zlewu. – I chciałam ci o tym powiedzieć już dawno.

– Ale odważyłaś się dopiero w obecności matki. Ależ z ciebie tchórz, Maddy. Mnie atakujesz, ale jej boisz się powiedzieć, że jesteś lesbijką.

Odwróciła się gwałtownie i wyszła.

Zwiększająca się liczba rozwodów fantastycznie musi wpływać na wzrost sprzedaży kanap. Dorothy, opatulona kołdrą, leżała w salonie Erin. Przez szczelinę w okiennicach czuło się przeciąg. Nie mogę się narażać moim gospodarzom, myślała. Jestem w końcu na ich łasce.

Gdzieś na zewnątrz zaszczekał pies. Znajdowała się w Hackney, ale nawet nie wiedziała gdzie dokładnie. Ulicą przeszły jakieś dzieciaki. Jeden z nich coś śpiewał. Co oni robią na ulicy o tej porze?

Maddy w długim Tshircie i skarpetkach weszła, żeby powiedzieć dobranoc.

– Ostatnio ciągle udaje mi się palnąć coś głupiego – rzekła Dorothy.

– To nie twoja wina.

– Kiedyś to była głównie specjalność taty, pamiętasz? I do wszystkiego się wtrącał. – Choć opatulona kołdrą, Dorothy zadrzała. Wsunęła dłonie pod pachy, by choć trochę je ogrzać. – Boże, ależ mi go brakuje.

– Wiem.

Maddy – spięta i zakłopotana – nachyliła się i pogładziła matkę po ramieniu.

– Naprawdę nie chciałam... no wiesz... brać jego strony, ani nic z tych rzeczy. No, wtedy. Nie chciałam stawać po niczyjej stronie.

Dorothy chrząknęła, coś utknęło jej w gardle.

– Niech cię to nie odstrasza... to, co stało się między ojcem a mną. Małżeństwo to naprawdę wspinała rzecz. I na pewno spotkasz odpowiedniego mężczyznę.

Maddy sięgnęła do lampy.

– Zgasić ją? Dorothy kiwnęła głową.

– Pa, dobranoc – powiedziały obie jednocześnie.

– I ten mały chłopczyk mówi: „Pokażę ci mojego, jeśli ty mi pokażesz swoje”. – Robert zaciągnął się cygarem. Ich gość, sąsiad o imieniu Derek, radośnie kiwał głową przez opary dymu. Robert napił się brandy. – I ściąga spodnie, a ona mówi: „Och, i to wszystko?”

Było pół do pierwszej w nocy. Przecież ten Derek śmiertelnie go nudzi, pomyślała Louise. Po co on go zaprasza?

– Dziewczynka mówi: „Mój tata ma takie dwa”.

– Dwa? – zakrztusił się Derek. Robert kiwnął głową.

– „Jednego takiego malutkiego, przez którego siusia, i drugiego dużego, którym nasza au pair myje sobie zęby”.

Obaj mężczyźni ryknęli śmiechem.

– Idę spać – powiedziała Louise, wstając. – Dobranoc, Derek.

– Świetne żarcie, jak zawsze. – Derek spojrział na zegarek. – Boże, jutro do roboty. Będę spadał.

Robert nachylił się i dołączył mu brandy do kieliszka.

– Napijmy się jeszcze jednego, na lepsze spanie. Louise obrzuciła męża spojrzeniem i wyszła.

Nareszcie sami, Prudence i Stephen kochali się. Potem usnęli. Gdy się poruszali, z pościeli unosił się wilgotny zwierzęcy zapach. Za oknami, na jednokierunkowej ulicy przejechał samochód.

Nagle Stephen usiadł.

– Co się stało? – spytała Prudence.

– Wciąż myślę, że w domu wybuchnie pożar.

– Nic nie czuję – uśmiechnęła się Prudence.

– Nie tutaj. W domu.

– Och – powiedziała po chwili.

– Ciągłe mi się wydaje, że chłopcom coś się stanie, a mnie przy nich nie ma.

– Nic im nie jest. – Mówiła ostrzejszym tonem, niżby chciała. – Idź spać.

Maddy leżała w gabinecie Erin. Nie mogła spać. Patrzyła bezmyślnie na przysłonięty szalem komputer.

Otworzyły się drzwi. Do pokoju wślizgnęła się Allegra i wdrapała się na łóżko.

– Nie kłóć się z mamą – szepnęła prosząco. – Nie odchodź od nas.

– Nie odejdę... Przecież nic się nie stało.

Przytuliła małą dziewczynkę. W tym momencie zapiszczał faks.

– To tata! – Allegra odsunęła się i wyskoczyła z łóżka.

– Chyba nie o tej porze.

Maszyna zaczęła buczeć. Maddy włączyła światło i obie przyglądały się, jak wysuwa się z niej papier.

Allegra oderwała kartkę. Faks zaadresowany był do Erin. Dziewczynka podała go Maddy.

– To od jej agenta w Nowym Jorku – powiedziała Maddy. – Sprzedali im prawa autorskie.

– Fascynujące.

– Nie bądź złośliwa.

– Kiedy książka wyjdzie, ona będzie jeszcze gorsza. – Allegra weszła z powrotem do łóżka.

– To będzie dopiero za miesiąc.

– Szkoda, że to nie od taty – westchnęła Allegra.

Trzasnęły frontowe drzwi. Na górę wszedł Robert.

Louise leżała w łóżku. Przez okno sączyło się światło księżyca, zalewając srebrzystym blaskiem stos czasopism na nocnym stoliku.

– Dlaczego ostatnio siedzisz na dole, póki nie zasnę? – spytała.

– Przecież nie śpisz.

Poszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi, a ona leżała, dalej samotna, w wielkim metalowym łóżku.

Wpadający przez okno księżyc oświetlał czoło śpiącej Imogen. Na dworze, gdzieś niedaleko kościoła, rozległo się pohukiwanie sowy. Niżej kamienie nagrobne nachylały się ku sobie, jakby szeptem zdradzały sobie jakieś sekrety. Kryły pod sobą ludzkie życie, które przetrwało czasem czterdzieści, czasem tylko czternaście lat. W wazonach chwiały się owinięte w papier żonkile. One żyły najkrócej.

Imogen spała. Dożyła już szesnastu lat. Aż szesnastu. Jak dotąd nigdy tak naprawdę nie cierpiała. Spała z pięścią przyciśniętą do ust, ssąc kciuk. Spała tak, odkąd była dzieckiem.

## Rozdział trzeci

– Co zrobimy z mamą?

Maddy, Louise i Prudence siedziały w przyczepie. Dawniej też tak siadywały, tyle że teraz role się odwróciły – teraz one czuły się rodzicami. Wciąż nie mogły się nadziwić, że małżeński kryzys ich rodziców pojawił się tak późno. Czasami dochodziły do wniosku, że to głupota – przecież każda z nich miała już własne życie.

Ich ojciec zachowywał się jak dwudziestolatek. Z tego, co wiedziały, potrafił bawić się do białego rana. Minęło dobre kilka tygodni, odkąd widziały się z nim ostatnio. Wrócił do pracy i zjawiając się w biurze, tylko denerwował matkę. Dorothy stała się jak zblakana kula armatnia, siejąc spustoszenie wszędzie, gdzie wylądowała. Chwilowo mieszkała kątem u Prudence, wciąż jednak była niebezpieczna, spadając im na głowę wieczorami, kiedy to pretensje wygłaszane pod adresem ojca mieszały się z krzyżowym ogniem pytań, które miały jej pomóc ustalić, czy córki ostatnio się z nim kontaktowały.

– Jest jak król Lear – mruknęła Prudence. – Tylko że tym razem mamy do czynienia z panią Lear. U kogo teraz zamieszka? – Spojrzała na Louise. – Jak dotąd ci się upiekło. Może już czas, żebyś i ty się trochę pomęczyła?

Louise zawsze wszystko przychodziło łatwo – uroda, pieniądze, dzieci, porośnięty wistarią dom z pięcioma sypialniami. To nie było w porządku, ale cóż Louise mogła na to poradzić?

– Nie mogę. – Najstarsza siostra pokręciła głową. – Zresztą ona musi być w Londynie.

Mówiła prawdę – Dorothy wciąż jeszcze nie znalazła nikogo, kto mógłby przejąć jej obowiązki w biurze.

Weszła Imogen i usiadła. Z rozpromienioną twarzą uderzała się lekko palcatem po udach.

– Chowacie się przed kolegami Jamiego? – spytała. Siostry pokiwały głowami. Nawet tu, w oddalonej i zamkniętej przyczepie, słychać było dudniącą muzykę dochodzącą z domu.

– Oni są tacy infantylni – powiedziała przeciągle Imogen. W ostatnim czasie jakby wyrosła z towarzystwa brata.

– Zastanawiamy się, co zrobić z babcią. – Louise przedstawiła jej sytuację. – Codziennie widuje dziadka i działa to na nią tak, jakby ktoś sypał sól na otwartą ranę. W ten sposób nigdy nie dojdzie do siebie i nie ułoży sobie życia na nowo. – Wyciągnęła skądś niedopałek papierosa. – Czy twój brat tu pali?

Imogen zwróciła się do Prudence.

– Przecież twój chłopak mógłby prowadzić biuro. Z tego, co wiem, kiedyś już to robił.

Trzy kobiety spojrzały na nią zaskoczone. Mimo smugi błota na nosie, wyglądała imponująco. Imogen wykazywała czasem zaskakujący zmysł praktyczny – potrafiła nawet wpaść na genialny pomysł. W końcu to właśnie ona wymyśliła, żeby Stephen zaczął pracować dla Gordona.

– Może pracować w biurze – powiedziała – a babcia będzie miała czas poszukać sobie nowego męża. Jak na swój wiek, wygląda całkiem nieźle. A wtedy wy miałybyście ją z

głowy.

W ten sposób Stephen został szefem biura w Kendal Contractors, które to stanowisko znacznie lepiej odpowiadało jego kwalifikacjom niż praca robotnika. W pewien mroźny lutowy dzień dom w Purley został sprzedany, podwórze uprzątnięte, a biuro przeniesione do nowej siedziby przy Herne Hill, niedaleko mieszkania Franka. Dorothy rzuciła ostatnie segregatory na biurko i pocałowała Stephena w policzek.

– Powodzenia. Będzie ci potrzebne. – Wręczyła mu klucze. – Wychodzę.

– Dokąd idziesz?

– Wpłacić to do banku. – Poklepała się po torebce, w której miała czek z sumą za połowę domu. – A potem wybieram się do fryzjera, później na West End, na obiad z moją przyjaciółką Connie. Może też pójdziemy do jednego z tych lokali z męskim striptizem.

– Nie wierzę!

– I słusznie, ale przecież mogłybyśmy, prawda? – Była dziwnie podniecona i rozgorączkowana. Machnęła ręką w stronę kartonowych pudeł. – Mam czas, czego o tobie raczej nie da się powiedzieć. – Nałożyła płaszcz. – Do widzenia, Frank. Trzymajcie się, chłopaki.

Wyszła, wsiadła do czekającej taksówki i odjechała.

Ogrom wydarzeń ostatnich dwóch miesięcy wciąż nie przestawał Gordona zadziwiać. To doprawdy niesamowite, że coś tak abstrakcyjnego jak miłość przekładało się na tak monumentalne fizyczne zamieszanie. Z domu wyniesiono i załadowano na ciężarówkę trzydzieści trzy wory śmieci. Meble spakowano i wywieziono do magazynu w Croydon. Przyczepa pokonała trzydzieści kilometrów autostradą i znalazła schronienie w Starym Probstwie, a w jego dawnym domu w Purley zainstalowała się nowa rodzina ze swoimi nowymi meblami. Stephen każdego dnia jeździł na Herne Mili. Dorothy wprowadziła się do wynajętego pokoju niedaleko Prudence. Robotnicy na pewno sporo się natrudzili, taszcząc tam i z powrotem wszystkie te torby i kartonowe pudła.

A wszystko zaczęło się od zwykłego uśmiechu – iskry, mrowienie w łądźwiach. Był tym przerażony, ale jednocześnie poczytywał to za cud.

Wziął za wszystko pełną odpowiedzialność. Gordon był przyzwoitym człowiekiem – och, potrafił się chełpić, brakowało mu cierpliwości, do ideałów nie należał. Ale jako z gruntu dobry człowiek, swoim uczynkiem był równie wstrząśnięty jak wszyscy inni. Dom został sprzedany i na jego rodzinnej mapie zaszły zmiany. Pojawiły się na niej nowe terytoria, zostały zawarte nowe sojusze. Pragnął pogodzić się z córkami, lecz bał się do nich odezwać. Ich uwagę całkowicie pochłaniała opieka nad Dorothy, ale też to ona właśnie potrzebowała teraz ich wsparcia. Poczul się trochę lepiej, gdy w mieszkaniu April Maddy stanęła po jego stronie, ale podejrzewał, że był to tylko chwilowy akt buntu. Maddy zawsze zachowywała się na przekór wszystkim. Zresztą sytuacja nie rozwinęła się jeszcze na tyle, by szukać oparcia w najmłodszej córce.

Pociechy szukał więc w pracy. Z trudem przychodziło mu przyzwyczaić się do tego, że w telefonie nie słyszał już głosu starego sojusznika, Dorothy, i nie jej twarz widział, gdy wpadał do biura. Miejsce żony zajął Stephen, z trudem przegryzający się przez zawilości prac



biurowych, które dla Dorothy i niego były czymś zupełnie oczywistym. Dziwnie się też czuł, jadąc do nowej siedziby firmy – kilka razy zdarzyło mu się automatycznie pojechać do Purley.

Sprzedaż domu natomiast przyjął z ulgą. Dorothy powiedziała, że pozbyła się go z radością. Może, mimo goryczy, ona także poczuła się wolna. Męczyło go, że nie mógł jej o to spytać – było to dla niego czymś nienaturalnym. Zresztą to nie jedyne pytanie, jakie chciał jej zadać; w głowie kłębiło mu się tysiąc innych. Uważał Dorothy za swego najstarszego przyjaciela i nie potrafił ot tak, po prostu o niej zapomnieć. Tęsknił za nią, a nie było nikogo, przed kim mógłby się wyzalić. Przecież to idiotyzm kochać inną kobietę i wciąż tęsknić za żoną! Być może każdy wiarołomny mąż czuł podobnie. Niestety, tego nie wiedział. Mężczyźni w jego wieku na takie tematy nie rozmawiali.

W niedzielę po sprzedaży domu zabrał April na lunch. Poszli do restauracji w Maidenhead, położonej tuż nad rzeką. Para przy sąsiednim stoliku bez przerwy im się przyglądała; z całą pewnością kierowała nimi zazdrość.

April otworzyła menu i ziewnęła. Dopiero co skończyła nocny dyżur.

– Czemu nie rzucisz pracy? – spytał. – Zajmę się tobą.

– Ale ja chcę pracować. – Jej twarz wysunęła się zza skórzanej oprawy menu. – Lubię to.

– Przecież mówiłaś, że masz duszę kury domowej.

– Owszem, ale tylko duszę. A zawsze chciałam pracować jako pielęgniarka. – Spojrzała do karty. – Wezmę awokado i przepiórkę. Wiem, że ciągle narzekam, ale ty także bez przerwy marudzisz. Dlatego właśnie ludzie mieszkają razem. No, między innymi dlatego. Mają przed kim ponarzekać. – Odłożyła kartę i uśmiechnęła się do niego. Ubrana była w białą bluzkę, którą widział po raz pierwszy. Wciąż jeszcze miała stroje, których on nie zdążył poznać.

– Chcę ci kupić dom – powiedział. – Co ty na to? Wynajmiesz swoje mieszkanie i razem zamieszkamy w jakimś ładnym miejscu. – Przykrył jej dłonie swoimi. – Zaslugujesz na to.

Zaczęła wyglądać przez okno. Rzeka była szara i wzburzona.

– Każdy, kto nie mieszka w Brixton, jest przekonany, że ci, którzy tam mieszkają, marzą wyłącznie o tym, żeby się stamtąd wynieść. A mnie się tam podoba. – Znowu się do niego uśmiechnęła. – Nie śpieszmy się tak. Przecież póki co jest nam dobrze, prawda? A ciebie wiecznie gdzieś gna.

Zabawna rzecz z tą miłością. Pewne słowa, w normalnych okolicznościach będące obelgą, w ustach zakochanej osoby mogą brzmieć jak miłosa pieszczota. Słowa są jak tofu: ich smak zależy od uczuć, które je przepelniają.

Gordon spoglądał na April. Grzebała w miseczce z orzechami, wybierając swoje ulubione. W bluzce z białym koronkowym kołnierzykiem wyglądała jak pieśniarka gospel.

– Niech będzie – powiedział. – Zrobię, jak zechcesz. – Choć tak naprawdę marzył, aby ją pocałować.

Nie przekonała go jednak. Naprawdę chciał się nią opiekować. Chciał kierować jej życiem.

Książka Erin ukazała się pod koniec miesiąca. Z tej okazji Prudence wydała przyjęcie u

siebie w mieszkaniu. Dorothy pomagała w przygotowaniach. Stale musiała wynajdywać sobie jakieś zajęcie, bo inaczej chyba zwariowałyby. Czuła, że unosi się bezwolnie, otumaniona samotnością. Potrzebny jej był jakiś punkt zaczepienia.

– Nie masz więcej blach do pieczenia? – zirytowana spytała Prudence. Szkoda, że smutek tak naprawdę wcale nie jest wzruszający. Wręcz przeciwnie, ci, którzy go odczuwają, stają się kłótlivi i egoistyczni, łatwo tracą panowanie nad sobą, brak im tolerancji. Dorothy wiedziała, że nie może odsuwać się od swoich córek, bo tylko one jej zostały. Kiedy jednak wykladała marynowane cebulki, złość aż w niej bulgotała – na gości, którzy bez wątplenia będą eleganccy i bardzo z siebie zadowoleni; na Erin, której książka nic a nic jej się nie podobała; na sam fakt, że trzeba było przygotować wegetariańskie jedzenie, co dla Dorothy było czystą obłudą. Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się idiotycznie. Przecież nawet cierpliwość jej córek miała swoje granice, ale nie mogła znieść myśli, że musi być miła dla innych – w domu swoich córek była tylko gościem – co tylko wzmagало jej zły humor. Zaniósła półmisek z surowymi warzywami do salonu.

– Ojca nie będzie, prawda?

– Oczywiście, że nie – obruszyła się Prudence. – Masz mnie za idiotkę?

– Och, nic by mu nie sprawiło większej przyjemności, niż zjawić się tutaj i zepsuć mi wszystko. – Dorothy z hukiem postawiła półmisek. Była jak osiadły na skałach tankowiec, z którego rozdarłej burty wyciekała trująca ropa.

Zaczęli schodzić się goście – większości Dorothy nie znała. Rzeczywiście okazali się eleganccy i zadowoleni z siebie; wręcz bił od nich blask. Niektóre panie miały na sobie kostiumy.

– Ach, więc to pani jest matką Prudence – powiedziała jedna z nich. – Tyle o pani słyszałam.

Ciekawe, co takiego? Że jestem porzuconą żoną? Nerwowo omiotła wzrokiem pokój; z przyzwyczajenia szukała Gordona, by nadszedł jej z odsieczą.

Oczywiście nie znalazła go. Ależ z niej idiotka. Do oczu napłynęły jej łzy. Na pewno przez ten przeklęty dym z papierosów. Jak miała pozbyć się tych starych, głęboko zakorzenionych nawyków? Jak inni sobie z tym radzą?

Prudence zastukała w swój kieliszek. W pokoju zapadła cisza.

– Wielu powiada, że w dzisiejszych czasach wydawnictwo przestało być przedsięwzięciem ryzykownym. Trudno promować nowe powieści, chyba że ich autorami są osoby znane z telewizji lub aktorzy. Cóż, nazwisko Erin Fox nie jest znane z mediów czy afiszy. Posłuchajcie jednak tych recenzji. – Podniosła do oczu kartkę papieru. – Według „Marie Claire” to wspaniały debiut.

„Guardian” napisał, że to fascynująca podróż przez psychikę kobiety, od lektury której nie sposób się oderwać... Podobnych opinii mogłabym przytoczyć jeszcze wiele. Wznieśmy więc toast za *Igrajac z ogniem*. Poigraliśmy z nim i – zobaczcie tylko! – nie sparzyliśmy się.

Wśród zebranych rozległ się aprobujący śmiech, zadźwięczały kieliszki. Dorothy stała koło Stephena, do którego zwrócił się jakiś mężczyzna.

– Twoje zdrowie, stary koniu. – Wzniósł kieliszek. – Słyszałem, że pracujesz w firmie

budowlanej? Odwalasz papierkową robotę, tak? – Wyszczerył zęby w uśmiechu. – Założę się, że przydadzą ci się doświadczenia z pracy w wydawnictwie.

– Nie rozumiem? – spytał Stephen. Mężczyzna nie przestawał się uśmiechać.

– Tu coś zniknie, tam coś zatuszujesz.

Stephen roześmiał się. Dorothy zmierzyla go spojrzeniem, po czym zwróciła się do mężczyzny:

– Wie pan, nie wszyscy budowlańcy to dranie. A już na pewno nie spotka pan takich w naszej firmie. Dziękuję, że się za nami ująłeś. – Ostatnie zdanie wypowiedziała do Stephena.

Wzięła pusty talerz i poszła zanieść go do kuchni, gdzie Maddy nalewała sobie właśnie sok grejfrutowy. Położyła gwałtownie talerz na suszarce.

– Jak ta Prudence może mieszkać z takim słabym człowiekiem? – spytała.

– Tylko nie zepsuj zabawy – syknęła Maddy. – To przyjęcie Erin.

– Zazwyczaj ty się w tym specjalizowałaś – powiedziała Dorothy, patrząc na córkę.

– W czym mianowicie?

– Och, nieważne – machnęła ręką Dorothy.

Redaktor literacki z „Sunday Times” wrzucił niedopałek papierosa do kominka, co widząc, Prudence się skrzywiła. Czy on nie zauważył, że to gazowy kominek?

Pokój był pełen ludzi. W tłumie dostrzegła Stephena rozmawiającego z Erin. Bohaterka wieczoru miała na sobie tę samą ludową suknię, w której była u Prudence na kolacji wiele miesięcy temu. „Przynajmniej jedno wzniesienie mu się udało”. Jakże brzemienna w skutki okazała się ta kolacja! Maddy się zakochała i odkryła, że jest lesbijką. Wróciła do domu i zaczęła nowe życie. Ich ojciec się zakochał, i to również w najbardziej nieprawdopodobnej osobie. Rodzice się rozwiedli, dom został sprzedany, a całe dzieciństwo trzech sióstr spakowane do skrzyń i zamknięte w magazynach w Croydon. Stephen odszedł od żony i zamieszkał z Prudence. Pomyślała o nieobecnej Louise. Tylko w jej życiu nie zaszły żadne zmiany, ominął ją zamęt, który dotknął wszystkich pozostałych członków rodziny.

Prudence krążyła wśród gości, częstując zakąskami. Jako gospodyni miała duże doświadczenie i z przyjemnością organizowała przyjęcia. Lecz tym razem była to służbowa okazja i obecność matki źle na nią wpływała. Dawniej kłopoty wynikały za sprawą Maddy, lecz miłość wpłynęła na nią korzystnie. Była bardzo dumna z książki Erin i stała się częścią życia Prudence.

– Wspaniała powieść, prawda? – zagadnęła redaktora z „Kaleidoscope”.

– Podam was do sądu – uśmiechnął się. – Kompletnie zniszczyła moje życie seksualne. Narzeczona od tygodnia kładzie się z nią do łóżka.

Prudence parsknęła śmiechem.

– Może powinniśmy sprzedawać tę książkę jako środek antykoncepcyjny.

Odeszła, rozglądając się za matką. Nie miała do Dorothy zaufania; matka stała się nieprzewidywalna – szlochała, atakowała kogo popadnie, by nagle wpaść w nie kontrolowaną radość. Dorothy częstowała właśnie gości guiche. Ostatnio farbowała włosy na bardziej intensywny rudy kolor. Miała na sobie zamszową kamizelkę i zielone spodnie; wyglądała jak podstarzała kokietka podrywająca mężczyzn na statkach. Lecz były to pozory, pod którymi

skrywała się zagubiona, rozczarowana kobieta. Nagle Prudence zrozumiała, że tak naprawdę wcale matki nie zna. Nigdy nie traktowała jej oddzielnie, dla niej zawsze była jednym z rodziców. Gdyby ktoś zapytał Prudence, nie potrafiłaby powiedzieć, czy matka jest skąpa, czy też raczej szczodra, zmysłowa czy ma zahamowania? Matka była częścią ojca, który jako osoba dominująca ukształtował ją na swoją modłę. Ciekawe, co tak naprawdę Dorothy myśli?

– Jak tam? – zaczęła ją Prudence. – Dobrze się bawisz?

– Owszem – odpowiedziała uśmiechem – słodkim, jak u Louise. Każda z nich miała w sobie coś z matki.

Przerwała im krótko obcięta kobieta z Channel 4.

– Erin Fox to urodzona gwiazda! – westchnęła z rumieńcem na twarzy.

– To prawda. Wiążemy z nią wielkie nadzieje.

Tak, pomyślała Prudence, Erin miała w sobie coś, jakąś wewnętrzną pewność, która przyciągała ludzi jak magnes.

Prudence rozejrzała się za swoją torebką i wyjęła z niej papierosy. Zapalając, zdała sobie sprawę, że oto po raz pierwszy pali w obecności matki. Czy dlatego, że w końcu dorosła, czy też matka nagle stała się słabą osobą, z której opinią nie musiała się już liczyć?

Wciągnęła dym do płuc. Otoczona gośćmi pożegnała się w myślach z matką; od tej chwili Dorothy nabrała cech ludzkich, stała się niezrozumiała i zmienna, zagubiona w wielkim świecie. Teraz Prudence była za nią odpowiedzialna.

Dorothy weszła do sypialni. Na stosie płaszczy siedziała Allegra i bawiła się Game Boyem.

– Szukałam cię – powiedziała Dorothy.

– Nikogo tu nie znam – burknęła Allegra w odpowiedzi.

– Ja też nie.

– I mam powyżej uszu tego wegetariańskiego świństwa – oświadczyła dziewczynka.

– To tak jak ja. – Dorothy uśmiechnęła się do małej. – Bierz płaszcz.

– Tak jest znacznie weselej – powiedziała Dorothy. Allegra, z ustami pełnymi jedzenia, przytaknęła skwapliwie.

Siedziały w Costas's Burgers and Kebabs, naprzeciwko stacji Clapham Junction. Allegra pałaszowała podwójnego burgera z frytkami. Jak na swój wiek była raczej mała i dobrze byłoby ją nieco podtuczyć.

– To pani wnuczka? – spytał mężczyzna za ladą, wielki Grek z wąsami.

– Nie. – Dorothy potrząsnęła głową. – Pożyczyłam ją sobie.

– Pożyczyłyśmy sobie siebie nawzajem – powiedziała Allegra.

Jakże wiele miały ze sobą wspólnego: mała dziewczynka i ona, starsza pani. Obie były jak wyrzucone na plażę przez sztorm patyczki.

– Gdzie mieszka twój tata? – Dorothy spytała Allegrę.

– W biurze.

– W biurze? Allegra kiwnęła główką.

– Mieszka tam od Bożego Narodzenia, chociaż nie powinien. To wbrew regułom.

– Nie ma domu?

– Żona go wyrzuciła.

– Ach, więc jest żonaty.

Allegra zębami rozerwała torebeczkę z keczupem.

– To krowa. I ma okropne dzieci. Dorothy poczuła, że w głowie jej się kręci.

– Czyje dzieci?

– Kogoś, kogo znała przed tatą. – Allegra poląła keczupem frytki. – Tata i ona kupili ten dom. Był w strasznym stanie, a tata go pięknie odnowił. Pracował nad tym całym latami. A kiedy skończył, ona powiedziała, że już go nie kocha. Wywaliła go i zamieszkała z nauczycielem ceramiki. Tacie jest bardzo przykro.

– Trudno mu się dziwić.

– Próbuje ją wyrzucić z domu. Wszystkie pieniądze wydaje na prawników.

– Czy twój tata ma jeszcze jakieś dzieci? – spytała Dorothy.

– Nie. Tylko mnie. A i tak prawie się nie widzimy.

– Ale przysyła ci faksy.

Allegra kiwnęła głową. Nadziała frytkę na widelec i włożyła ją do ust.

– Chciałabyś go zobaczyć? Allegra znowu kiwnęła głową.

– Znasz jego numer telefonu?

Dorothy czuła ożywienie, gdy wsiadały do samochodu. Wszyscy wokół łamali reguły, dlatego więc ona nie może? Było jej żal tego Aziza, który wydał jej się taki miły przez telefon. Jego także, podobnie jak ją, wyrzucono z domu. Jechała przez zaśmiecone ulice. Świat nagle wydał jej się pełen okrucieństwa i niczym nie uzasadnionej przemocy. Może warto spróbować skleić przynajmniej dwa rozbite kawałeczki?

Przez Waterloo Bridge kierowała się na północ. Wiedziała, że wtrąca się w nie swoje sprawy, ale co tam. Erin była przekonana, że zabiera Allegrę do domu, gdzie zajmie się małą, aż ona sama wróci. Jeśli się dowie – będą kłopoty.

Dorothy znalazła adres na planie miasta. Wjechała do Kentish Town i zaparkowała samochód tuż obok zamkniętego salonu wystawowego Magnet. Allegra wzięła ją za rękę i razem poszły ulicą. W świetle latarni połyskiwał bruk, którym była wyłożona jezdnia. Wiejący zimny wiatr poderwał w górę plastikowy worek.

– Tu mieszka? – szepnęła Dorothy.

– Witaj, słoneczko – rozległ się jakiś głos. W bramie siedział mężczyzna.

– Cześć – odpowiedziała Allegra.

– Jak tam moja mała dziewczynka?

– Dobrze.

Dorothy przez moment sądziła, że to ojciec Allegry. Nic już nie było w stanie jej zaskoczyć. Mężczyzna podniósł do ust puszkę z piwem.

– Światło moich oczu! – powiedział.

– Zawsze tu siedzi – poinformowała ją szeptem Allegra. Poprowadziła Dorothy dalej i dopiero na końcu uliczki zadzwoniła do jakichś drzwi.

Biuro Aziza było bardzo nowoczesne, całe ze szkła, metalu i betonu. Otworzył im drzwi, objął Allegrę i zaprowadził je na górę po spiralnych schodach do pokoju. W środku stała

deska kreślarska, komputer i leżanka.

– Tutaj śpi – wyjaśniła Allegra, pokazując leżankę. Jeszcze jedna kanapa, pomyślała Dorothy.

Aziz był czarujący. Niezwykle grzeczny, oficjalny, ubrany w harmonijnie dobrane odcienie brązu. Nalał Dorothy kieliszek wina.

– Wszyscy skakali koło mamy, więc pomyślałyśmy, że przyjdziemy do ciebie. – Allegra podeszła do szafki, otworzyła ją, jakby była u siebie, i wyjęła grę komputerową.

– Nie powinnam była tego robić – powiedziała Dorothy. – Ale zrobiłam.

– Jestem pani naprawdę bardzo wdzięczny. – Nie było w nim nic apodyktycznego, a nawet można powiedzieć, że wręcz przeciwnie.

Allegra włożyła do komputera dyskietkę z grą i usiadła na podłodze.

– Ma pan dość jedzenia? – spytała Dorothy i urwała, rumieniąc się. – Przepraszam, ale jest pan taki chudy.

– Zawsze taki byłem – odparł z uśmiechem, ale jego piękne ciemne oczy pozostały tragicznie smutne. Chciała zadać mu tyle pytań. Czy wtedy wiedział, że Erin potrzebuje go tylko do tego, żeby mieć z nim dziecko? Czy ją kochał? Lecz wyglądał na człowieka, który niechętnie mówi o prywatnych sprawach. A poza tym, co ją to obchodzi?

– Allegra jest bardzo utalentowana, prawda? – spytała zamiast tego. – Słyszałam, jak gra na klarncie.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę. W ostrym świetle czuła się tak, jakby byli na scenie – niebabcia i nieobecny ojciec, połączeni najcieńszą z więzi. Czy jednak z innymi ludźmi wiąże nas coś mocniejszego? Przecież wszystko może pęknąć w ułamku sekundy, pomyślała.

Czuła, że powinna zostawić ojca i córkę samych. Była jak piąte koło u wozu, psujące randkę. Gdzie jednak miała się podziać? Allegra siedząca na podłodze z linoleum wydawała się całkowicie pochłonięta grą.

– Cieszę się, że tu jest – powiedział Aziz, jakby odgadując jej myśli. – Na ogół spotykamy się tylko w niedziele.

– To nie w porządku, prawda? – spytała Dorothy. – Wszystko.

Potrząsnął głową i wbił wzrok w miskę z cytrynami. Poza nimi w pokoju nie było żadnych innych owoców. Zastanawiała się, czy z powodu jego nieudolności w prowadzeniu domu, czy też Aziz używa ich na jakiś hinduski sposób.

– Obawiam się, że przyszłyście w nie najlepszym momencie – powiedział.

– Może w takim razie pójdziemy...

– Nie, zostańcie. Cieszę się, że przyszłyście. Tylko chodzi o to, że właśnie straciłem klienta, a szczerze mówiąc, niewiele ich dzisiaj mam. Jest nas za dużo, a pracy jak na lekarstwo.

– Wiem.

– Naprawdę? – zdziwił się.

– Przez te wszystkie lata widziałam wielu bezrobotnych architektów. – Boże, jak to nietaktownie zabrzmiało.

– A moja żona... była żona... Cóż, szczerze mówiąc, proszę pani...

– Dorothy.

– Dorothy... czuję się wykorzystywany... w ogóle. Czy jako mężczyzna mogę tak mówić? Przecież to kobiety są wykorzystywane. – Zniżył głos. – Erin... potem moja żona... obie wykorzystały mnie, żeby dostać to, o co im chodziło. A ponieważ są kobietami, zwyczajnie im się, do cholery, upiekło. Proszę mi wybaczyć język.

– Mężczyźni także wykorzystują kobiety – powiedziała Dorothy.

– Tak, lecz o tym wszyscy wiedzą.

– Ale to i tak nieuczciwe.

– A kto powiedział, że życie jest uczciwe? – Przeczesał palcami włosy i znowu zapatrzył się na cytryny.

– Och, proszę, nie smuć się tak! – wykrzyknęła. Podniósł głowę.

– Powiedz mi w takim razie, z czego mam się cieszyć? Teraz ja także jestem częścią tego całego bałaganu, pomyślała.

Do oczu napłynęły jej łzy żalu – za siebie, za Aziza, za nich wszystkich. I za Allegrę, najbardziej poszkodowaną ofiarę.

Allegra pomogła ojcu przygotowywać kolację. Dorothy w tym czasie przeglądała „Blueprint”. W szafce była Kuchenka mikrofalowa i zlewozmywak. Na koniec Aziz odprowadził je do samochodu.

Allegra wsiadła i od razu zajęła się nastawianiem radia. Dorothy zwróciła się do Aziza.

– Dlaczego Erin chciała mieć dziecko? – spytała go szeptem. – Przecież prawie wcale jej nie widuje. Mieszkam u nich chwilowo, więc wiem.

Aziz popatrzył na pustą ulicę, którą jak widmo przemknął autobus bez pasażerów.

– Erin ma świra na punkcie podporządkowywania sobie wszystkich i wszystkiego. Dlatego między innymi napisała tę powieść. Stworzyła sobie tak samo jak swoich bohaterów. Wiedziałaś, że tak naprawdę jest dziewczyną z przedmieścia? Jej ojciec jest inspektorem w Watford.

– Poważnie? Aziz przytaknął.

– Wyobrażała sobie siebie jako matkę. To był kolejny wizerunek. A czy może być coś lepszego niż matka egzotycznego dziecka rodziców różnych ras? Niestety, w tym wypadku w grę wchodziło także inne ludzkie.

– Może wszyscy zachowujemy się podobnie. – Już w myślach dodała: Ja wyobrażałam sobie, że moje małżeństwo jest szczęśliwe. Ja też żyłam w świecie własnych kłamstw.

Następnego dnia Erin wyjechała w podróż promocyjną swojej książki – Przez cały tydzień miała udzielać wywiadów i wygłaszać odczyty w różnych częściach kraju. Jej książka okazała się oszałamiającym sukcesem. Recenzje aż kipiały od zachwytów i od rana do nocy wydzwaniali dziennikarze, ciekawi wszystkiego, począwszy od zapłodnienia in vitro, na kryzysie środkowowschodnim kończąc.

Dorothy i Maddy zabrały Allegrę na jeden dzień do Starego Probostwa. W szkole trwała przerwa międzysemestralna i Imogen obiecała powozić dziewczynkę konno. Podczas gdy Louise zajęta była w domu przygotowywaniem lunchu, Dorothy i Maddy wyszły do ogrodu. Powietrze było czyste i rześkie, jakby świat został dokładnie wymyty. Na padoku Imogen

prowadziła konia w kółko. Na jego grzbiecie siedziała sztywno Allegra, kurczowo trzymając się grzywy.

Maddy rzuciła się na trawę i wyciągnęła na całą długość.

– Wiesz, że nie powinnaś była zabierać Allegrę do domu Aziza – powiedziała.

– Wiem – przyznała Dorothy. – Ale zabrałam.

– Nie szkodzi. Nie pisnę słówka. Dorothy usiadła na ławce.

– Mała chce z nim zamieszkać.

– Jak to? Przecież to biuro.

– Wiem. Boże, ale się porobiło. – Słońce ogrzewało twarz Dorothy. Przymknęła oczy. –

Wtedy w restauracji ten mężczyzna zapytał, czy jestem babcią Allegrę. Pomyślałam sobie, czy nie powiedzieć mu prawdy. „Nie, to córka Hindusa, który został wykorzystany dla swojej spermy, a moja córka jest kochanką lesbijki”.

Zapadła cisza. Rosnące na pobliskiej grządce żonkile zdawały się słuchać z zainteresowaniem.

Maddy nie patrzyła na matkę, tylko w niebo.

– Skąd wiesz? – spytała.

– Och, wiedziałam od dawna. Maddy gwałtownie usiadła.

– Naprawdę?

– Wiedziałam, że mężczyźni cię nie interesują. Zbyt wielkiego wyboru nie było. – Dorothy zaśmiała się nieprzyjemnie. – No, mogły cię jeszcze pociągać owczarki niemieckie.

Maddy zerwała źdźbło trawy.

– Czy wiedzieli wszyscy z wyjątkiem mnie?

– Och, mam już dość kłamstw. Okłamywałam siebie w tylu sprawach.

– Na przykład? – Maddy po raz pierwszy spojrzała na matkę.

– Na przykład, że moje małżeństwo jest szczęśliwe.

– Przecież było.

– Ale to się skończyło dawno temu. A ja tylko nie chciałam tego dostrzec.

– Tata tak mówi, żeby poprawić sobie samopoczucie. – Maddy szarpała ździebełko. – I nie masz nic przeciwko temu?

– A czemu miałabym mieć? Jeżeli tylko jesteś szczęśliwa. – Dorothy popatrzyła na pochyloną głowę córki. – Bo chyba jesteś szczęśliwa?

– Oczywiście, że jestem – odparła Maddy, nie podnosząc wzroku.

Lunch przebiegał w ożywionej atmosferze. Rozmowa w ogrodzie chyba oczyściła atmosferę. Jadły lasagne, którą Louise przetrzymała za długo w piekarniku, ponieważ królik znowu uciekł i minęło pół godziny, zanim udało im się go znaleźć i wierzgającego zamknąć na powrót w klatce.

Louise popatrzyła na swoje podrapane nadgarstki.

– Wyglądamy, jakbyśmy postanowiły popełnić zbiorowe samobójstwo.

– O, nie. – Dorothy potrząsnęła głową. – Tak łatwo się mnie nie pozbędziecie.

– Myślę, że powinnaś rozejrzeć się za nowym mężem – powiedziała Imogen.

– Tak szybko? – Dorothy nałożyła sobie sałatkę owocową. – Nie chcę nowego męża.



Jeden mi w zupełności wystarczy.

– Nie czujesz się samotna?

– A kogo byś mi proponowała?

Imogen zerwała się i przyniosła lokalną gazetę. Pokazała im pierwszą stronę.

– Patrzcie, mama doprowadziła do tego, że wydrukowali artykuł o naszym sklepie.

Poznała tego dziennikarza.

– I on ma znaleźć mi męża?

Kręcąc głową, Imogen przerzucała strony.

– Nie, szukam „Kącika samotnych serc”.

– Bardzo to miłe z twojej strony – powiedziała Dorothy. – Ale mnie niczego nie brakuje.

Louise wzięła gazetę od córki. Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej okulary.

– Widzicie, muszę już nosić okulary. Starzeję się. Założę się, że ty będziesz następna – zwróciła się do Maddy. Założyła delikatne szkła w złożonych oprawkach, które nadały jej niespodziewanie inteligentny wygląd.

Zaczęła przeglądać ogłoszenia.

– „Wrózenie i jasnowidztwo – poufne i życzliwe porady... „ „Dawcy jajeczek poszukiwani przez bezpłodne pary, telefon... „ „Kwalifikowany hydraulik... „ Uups! Nie ta kolumna. – Szukała dalej. – O, proszę. „Greczny wdowiec, 63, szuka pani do towarzystwa” – coś dla ciebie. Tu jest tego cała masa.

– Po prostu chcecie się mnie pozbyć – powiedziała Dorothy. – Wydać mnie za męża i więcej się o mnie nie martwić.

Imogen ujęła babcię za rękę i zmusiła, by wstała. Poprowadziła ją na górę, do sypialni Louise i Roberta, gdzie otworzyła szafę.

– Najpierw musisz o siebie zadbać – powiedziała. – Możesz pożyczyć jakieś ubrania mamy. Ona i tak nigdy ich nie nosi. – Zaczęła przeglądać wieszaki i znalazła jedwabną bluzkę. – W tym wyglądałabyś wspaniale. – Teraz zdjęła sukienkę i przyłożyła ją do babci. – O, to kolor idealny dla ciebie, sama popatrz!

Dorothy przestała się uśmiechać. Patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Nagle znalazła się znowu w swojej sypialni w Purley i okręcała się przed Gordonem, gdy ujrzała, jak zmienia mu się twarz.

– Co się stało? – Imogen była ciepłą, wrażliwą dziewczyną. Zarzuciła babci ramiona na szyję.

– Zaraz mi przejdzie – uspokoiła ją Dorothy. Poglądziła dziewczynę po głowie i schowała suknię do szafy. „Słodka szesnastolatka”. Przypomniały jej się urodziny wnuczki. Gordon postukał w swój talerz, prosząc zebranych o uwagę. Przypomniała sobie zachwyty Imogen, gdy ujrzała swojego konia... Magiczna chwila, zbliżająca rodzinę do siebie.

– Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa – powiedziała.

– Och, jestem. – Przez moment kusiło Imogen, by opowiedzieć babci, co się stało, jak całowała się w Blackthorn Wood i świat stał się inny. Łatwiej byłoby jej zwierzyć się babci niż rodzicom. Nie odezwała się jednak i odpowiednia chwila minęła bezpowrotnie.

Do Londynu wyruszyły po zmierzchu. Louise patrzyła, jak za zakrętem znikają tylne

światła. Po chwili za kościołem pojawiły się światła przednie i oświetliły uliczkę. Jeszcze chwila, a ciemność połknie prowadzony przez matkę samochód, by po pewnym czasie wypuć go w łukowe światło autostrady, jak podróżnika w czasie wyrzuconego w kolejny dzień. Wkrótce Robert będzie jechał do domu w odwrotnym kierunku. Ostatnio wydawał jej się tak odległy. Miała wrażenie, że jadąc jej na spotkanie, przemierzał strefy czasowe.

Wróciła do kuchni i popatrzyła na zmywarę. Rzęziła, jakby i dla niej nagle to wszystko stało się nie do zniesienia. Zadzwoił telefon.

To był Robert, który nie wyszedł jeszcze z pracy.

– Rano mam spotkanie – powiedział. – Chyba zostanę na noc w mieście, tym bardziej że wybieram się z klientami na kolację. Prześpię się u Henry’ego.

Opowiedziała mu o „Kąciku samotnych serc”.

– Imogen żartowała sobie z mamy. Młodzi są tacy konwencjonalni, nie uważasz? Uważają, że małżeństwo załatwia wszystko. No, ale mama obiecała, że przejrzy londyńskie gazety.

– Ho, ho. Twoja mama nie marnuje czasu.

– Jest w nastroju „acomitam”. – Louise umilkła na chwilę. – Zresztą ja chyba też. Może też poczytam tę rubrykę.

– A cóż to ma znaczyć?

– Dlaczego wciąż zostajesz w mieście? To już drugi raz w tym tygodniu.

– Kochanie – przemówił cierpliwym tonem. – Czy naprawdę sądzisz, że chce mi się spędzać wieczór z kimś, kto nieustannie walcząc z konkurencją, musi nosić tytuł najnudniejszego człowieka na świecie? W towarzystwie jego wystrojonej w kremplinę flamy? Naprawdę tak myślisz?

Louise odłożyła słuchawkę. Czowała się wypompowana. Jeśli chodzi o wpędzanie jej w podobny nastrój, Robert nie miał sobie równych.

Poza nią w domu nie było nikogo. Imogen i Jamie wyszli i zapewne wrócą późno. Siedząc samotnie w ciemnościach, nagle poczuła czyjąś namacalną obecność na zewnątrz. Spuściła kuchenne żaluzje. Poszła do salonu, gdzie także zasłoniła okna. W kominku leżała kupka popiołu, pozostałość palącego się w nim poprzedniego wieczoru ognia. Wzięła szufelkę i zaczęła czyścić palenisko. Jestem bardzo samotna, pomyślała, pograżając się w żalu nad samą sobą.

Jakiś czas później zabrała psa na spacer. Noc była cicha i bezksiężycowa. Biegając wzdłuż kościelnego muru uliczkę oświetlała pojedyncza latarnia. Przeszła kawałek, głęboko wdychając nocne powietrze. Nagle Monty zawarczał.

– Spokojnie, to tylko Rocky. – Pochyliła się, by pogłaskać starego, powykręcane przez artretyzm spaniela Tima. Zgarbiony Tim stał koło latarni.

– Wybacz – powiedziała. – Przestraszyłeś mnie.

Tim miał wąską twarz, dzieci przezywały go Łasica. W świetle latarni dostrzegła, że przerzedzają mu się włosy. Z dała od sklepu, na obcym sobie terenie wydawał się mniejszy niż zwykle. Zauważyła to już wcześniej.

Tim wskazał na jej dom. Gdy odwracał głowę, jego okulary błysnęły.

– Zobaczyłem, że go nie ma.

– Kogo?

– Twojego męża. Nie ma jego samochodu. Z trudem przelknęła ślinę.

– Wyglądasz, jakby ci było bardzo zimno – wydukała.

– Louise, muszę z tobą porozmawiać. – Chrząknął. – Dłużej tego nie wytrzymam. Zawsze się zastanawiałem, czy taka kobieta jak ty mogłaby się zainteresować mną, kimś, kto nie jest godzinę myć ci stóp...

– Tim...

– ... ale z drugiej strony, ostatnio tak często przychodzisz do mojego sklepu, myślałem sobie, czy może rzeczywiście chodzi ci o tę kampanię, czy też może raczej... – Nerwowo szarpał trzymaną w ręku smycz. – Czy to możliwe, żeby taka kobieta, bogini...

– Tim, proszę...

– Nie, wysłuchaj mnie. Od lat chciałem ci to powiedzieć, dokładnie od pięciu, odkąd ujrzałem cię po raz pierwszy, jak wysiadałaś ze swojego volvo...

– Ach, tak, volvo! – zawołała. – Czy to nie zabawne, że z chwilą, gdy pozbywasz się samochodu, od razu o nim zapominasz...

– A potem, tego dnia w marcu, pamiętasz? Gdy torba się rozerwała i zbieraliśmy ziemniaki, a ty położyłaś mi dłoń na ramieniu...

– Naprawdę? – Patrzyła na kamienny mur połyskujący wilgocią w blasku latarni. Z początku myślała, że Tim jest pijany, teraz jednak z zamierającym sercem zrozumiała, że jest jak najbardziej trzeźwy.

– Miałaś takie smutne oczy, a ja pomyślałem, że chyba nikt nie zdaje sobie sprawy z twojego smutku. A potem na festynie, kiedy moje zdjęcie zdobyło pierwszą nagrodę...

– Co wtedy zrobiłam?

– Nie pamiętasz? Pocałowałaś mnie.

– Naprawdę?

Chwycił jej rękę i przycisnął do ust.

– Kocham cię. Oddałbym za ciebie życie.

– Tim, ja nie mogę... ty nie możesz...

Monty wcisnął nos w krok Tima. Louise objęła psa za szyję i odciągnęła go na bok. Wykorzystała okazję, by nieco się odsunąć.

– Próbowałem zacząć tu nowe życie – mówił Tim drżącym głosem. – Po... no wiesz, po tym, co się stało. Kiedy przyjechałem tu z... no wiesz, kiedy tu przyjechaliśmy i otworzyliśmy sklep, myśleliśmy, że zaczniemy od nowa. Ale nie udało się, Louise. Bo wtedy wszystko się skończyło. – Zrobił krok w jej stronę. – Prawdę powiedziawszy, jeśli o mnie chodzi, to mogą zburzyć sklep choćby jutro, nic mnie to już nie obchodzi. Moje życie to ty. – Ujął jej rękę i gładził palce, jeden po drugim. – Chcę uczynić cię szczęśliwą, bo oboje na to zasługujemy. Louise, on cię tak strasznie zaniedbuje. Nie rozumiem, jak mężczyzna może się tak zachowywać!

– To nieprawda...

– Czy jest cię – choćby najmniejszy – szansy, że i ty czujesz to samo? Albo że może

któregoś dnia poczujesz?

Zahukała sowa. Nigdy już nie będę mogła przekroczyć progu jego sklepu, pomyślała. Poczula narastający, ogarniający ją całą żal.

– Tim, ty masz żonę, ja męża...

– Czy mogę mieć nadzieję? – spytał natarczywie. – Błagam, powiedz, że tak. Daj mi coś, dla czego mógłbym żyć!

Zbliżał się jakiś samochód. Louise odskoczyła. Oślepił ich blask reflektorów, psy się rozszczękały. Samochód zatrzymał się z piskiem opon.

– Cześć, mamó! – rozległ się okrzyk Jamiego. Trzasnęły drzwiczki, przez chwilę słychać było dudniącą we wnętrzu auta muzykę. Jamie i Imogen zęgnali się głośno z przyjaciółmi.

Samochód odjechał. Gdy Louise się odwróciła, po Timie nie było już śladu, pochłonęła go ciemność.

– Umieram z głodu – powiedział Jamie. – Zostało coś do jedzenia?

– Z kim rozmawiałeś? – zaciekawiała się Imogen. – Z Łasicą?

– Tata mówi, że on jest z tych, co to naprawiają sobie okulary plastrem.

– Nieprawda! – warknęła Louise. – Wy snoby!

– „Położyła ją pod drzewem” – czytała Erin. – „Ułożyła delikatnie na piasku. Krew pulsowała jej w żyłach. Sunęła w dół po ciele Roxanne, obwąchując je jak pies goniącą się sukę. Przywarła ustami do gęstwiny włosów, zaczęła całować różową jagodę jak ukryty pomiędzy kolcami różany pączek. Jakże słodko brzmiały w jej uszach okrzyki ukochanej!”

Maddy otworzyła drzwi. Księgarnia była pełna kobiet. Wszystkie wpatrywały się w czytającą swoją powieść Erin. Maddy zaczęła torować sobie między nimi drogę.

Zbliżał się jakiś mężczyzna. Kijem poganiał byka. Roxanne pośpiesznie okryła się prześcieradłem. »Ukochana moja, me jesteś z nas dumna?« – zapytała Eve. – »Nie jesteś dumna ze swego pięknego ciała?«,

Maddy nie słuchała. Pęcherz miała wypełniony do granic wytrzymałości. Cały dzień pracowała w zarośniętym ogrodzie otaczającym nie zamieszkały, zamknięty dom. Jedną z niedogodności jej pracy był częsty brak urządzeń sanitarnych. Przypomniała sobie jak czasem ojciec – w rzadkich chwilach, gdy przychodziła mu chęć na pogaduszki z córkami – opowiadał jej o przebiegłych i dziwacznych sposobach, do których uciekali się budowlańcy gnani potrzebą.

– Czy jest tu gdzieś ubikacja? – spytała szeptem stojącą obok kobietę.

– Szsz!

Maddy spróbowała się skupić.

– Chodź ze mną, najdroższa, popływamy... „ – czytała Erin. Maddy wiedziała, co będzie dalej. Czytając książkę Erin, była skrepowana i czuła się nieswojo. Rozejrzała się po zasłuchanych kobietach. Rozmowa z matką, którą odbyła tydzień wcześniej, wywarła na niej niesamowite wrażenie. Skoro jej matka wiedziała zapewne rzeczywiście Maddy była lesbijką; taka się urodziła. Przez całe życie czuła, że nie należy do rodziny; teraz wreszcie zrozumiała dlaczego. Jej miejsce było tutaj, wśród tych bezkompromisowych kobiet, opierających się o półki z książkami. Nie czuła się już gorsza od Louise i Pru; odkryła swoją tożsamość, z której

była dumna.

Jeszcze bardziej dumna była z Erin. Tak bardzo ją tego wieczoru kochała. Przez ostatni tydzień prawie w ogóle się nie widziały i Maddy zżerała tęsknota. Skupiona uwaga słuchaczek rozgrzewała Erin, która aż wręcz promieniała. Miała na sobie satynowy żakiet i krawat; włosy zaczesła do tyłu i namaściła żelem. W porównaniu ze słuchającymi kobietami wyglądała jak upierzony barwnie ptak wśród szarych wróbelków.

Rozległy się gorące oklaski. Erin przeszła do sąsiedniego stolika, gdzie miała podpisywać książki. Maddy przepchnęła się przez tłum.

– Hej, obowiązuje kolejka! – zdenerwowała się jakaś kobieta z ogoloną głową.

Maddy potulnie stanęła w kolejce, która wolno przesuwała się do przodu. W końcu doszła do Erin trzymającej w pogotowiu pióro.

Erin podniosła wzrok.

– Kochanie. Jak wypadłam?

– Wspaniale – powiedziała Maddy. – Furgonetka czeka na zewnątrz. Pomyślałam, że wrócimy razem do domu.

– Och, kotku, nie mogę. Idę na kolację z ludźmi z Waterstone.

– Ale ja kupiłam coś do jedzenia. Mówiłaś, że dzisiaj będziesz w domu.

– O Boże – uśmiechnęła się Erin. – Mówisz zupełnie jak żona.

Stojące za plecami Maddy kobiety zachichotały.

Maddy odwróciła się i przepchnęła przez tłum. W oczach miała łzy. Szarpnięciem otworzyła drzwi i wyszła na ulicę. Z pękającym pęcherzem i sercem dobiegła do furgonetki, wsiadła i pojechała do domu.

Wstyd to tyran młodości. Z wiekiem jego władza stopniowo maleje. To właśnie mówiła sobie Dorothy, popijając wino z pierwszym mężczyzną, z którym umówiła się na randkę. Na imię miał Raymond i był niezwykle miłym człowiekiem, co dodatkowo wszystko utrudniało. Dorothy wstydziła się – ale nie tak jak w czasach młodości – za siebie. Wstydziła się także za niego. Było w nich obojgu coś doprawdy kosmicznie żalсного. Siedzieli w pubie w Holborn. Na zewnątrz przejeżdżały autobusy, a w ich oknach dostrzegła ludzi, z którymi aż do bólu chciała się zamienić miejscami.

Raymond wyciągnął fotografię swojej żony.

– Odeszła rok temu, na wiosnę – powiedział. – Cudowna z niej była kobieta.

Łysą czaszkę pokrywały mu wątrobowe plamy. Skórę miał suchą jak papier, a gdy chował zdjęcie, zauważyła, że drży mu ręka. Podczas gdy Dorothy trwała w małżeństwie, ludzie się starzeli. Podejrzała, że ona również się zestarzała. Czy tak właśnie wyglądała? Siedzący naprzeciwko mężczyzna był nie tylko lustrzanym odbiciem jej samotności – samotności, która zdawała się ogarniać cały świat – ale także jej śmiertelności. Zastanawiała się, czy i on spoglądał na nią z podobnym przerażeniem, dręczony podobnymi myślami. W trwającym wiele lat małżeństwie partnerzy się nie starzeją; nie zauważa się ich widocznych skądinąd zmarszczek. Wiek obojga zatrzymuje się w jakimś nieokreślonym momencie – nie tym, gdy się poznawali, lecz jakimś niewyraźnym, zawieszonym w czasie.

– Jednym z moich grzechów jest gra w golfa – powiedział. – A ty masz jakieś hobby?

- Cóż... kiedyś grywałam w badmintona.
- Interesujące. Kiedy to było?
- W szkole – odparła Dorothy.

Zapadła cisza. Wyczuwała jego desperację, zupełnie jakby sączyła mu się z porów. Bał się umierać samotnie.

Niestety, Prudence i Stephen wciąż nie byli sami w mieszkaniu. Co prawda, matka Prudence wyprowadziła się już dawno, lecz Kaatya została. Była gościem, którego pozbyć się nie dało. Jej niewidzialna obecność przepełniała powietrze jak trujący gaz. Z każdym dniem robiło się coraz gorzej. Prudence nigdy jej nie widziała, raz tylko słyszała jej głos przez telefon. Brzmiał szorstko i obco, gdy pytała, czy może rozmawiać ze Stephenem. Prudence czuła się wręcz obrażona, że przez tyle czasu nie zdążyła się nauczyć właściwie wymawiać tak prostego zdania. Na podstawie rzucanych mimochodem przez Stephena uwag wyobrażała sobie jego żonę – czarnowłosą jak ich synowie, noszącą dziwaczne stroje, które kupowała w sklepach Oxfam. W wyobraźni Prudence Kaatya była kobietą piękną – zwykle takie bywają nieznane rywalki. Wraz z upływem czasu jej piękność rosła, aż wreszcie, pobudzana zazdrością Prudence, stała się wręcz obezwładniająca. Miała szerokie zmysłowe usta, jak kobiety z książek *Heartbeat* wydawanych przez Prudence. Usta Prudence były małe. Kaatya sama sobie skręcała papierosy – jakie to zabawne i beztroskie! Jeździła zdezelowanym 2CV, którym bez przerwy w coś wjeżdżała – Stephen właśnie zmagał się z kolejnym pozwem ubezpieczeniowym. Była wesoła i twórcza, w porównaniu z nią Prudence czuła się ponura i bez polotu. Namiętna i lubieżna, potrafiła wślizgnąć się pod stół, by stamtąd zadowolić Stephena. Miała ogromną tężyznę fizyczną. Pewnego razu na wakacjach w Grecji podniosła owcę i posadziła na murze, żeby zrobić jej zdjęcie. Zadręczając samą siebie, Prudence wyobrażała ją sobie w łóżku ze Stephenem, doświadczoną, narzucającą tempo. Żył z Kaatya przez czternaście lat, z czego sześć jako małżeństwo, i musieli kochać się tysiące razy – w Dulwish, w Amsterdamie, w niezliczonych hotelach podczas wakacji, w łóżku, pod namiotem i – wnioskując z tego, co słyszała o niej – pewnie nie raz pod gołym niebem. Prudence robiło się niedobrze.

Nawet przywary Kaatyi – jej bezwzględna samolubność, niechlujstwo, brak intelektualnych zainteresowań – o których Stephen mówił najchętniej, zapewne by dodać Prudence otuchy, pogłębiały tylko jej zazdrość. Dzięki nim Kaatya stawała się przerażająco rzeczywista, jak gdyby przebywała z nimi w jednym pokoju. Poza tym, skoro żona była aż tak beznadziejna, dlaczego wytrwał przy niej tak długo?

Ze swoich rozterek nie zwierzyła się żadnej z sióstr, czuła się nimi upodlona. Zdawała sobie sprawę, że cierpi na obsesję; potrafiła spojrzeć na siebie z boku. Dlaczego chciała rościć sobie prawa do jego przeszłości? Przecież związek Stephena z żoną nie powinien jej nic a nic obchodzić. Czy nie mówił, że ją kocha i że życie z Kaatya było czystym szaleństwem? Z drugiej jednak strony miała świadomość, że przecież nie mógł być aż tak głupi. Przez wiele lat na pewno wiódł z nią szczęśliwe życie. Skoro ona, Prudence, kochała go naprawdę, skąd ta nadzieja, że cierpiał i był nieszczęśliwy? Och, jakież to wszystko bolesne. Wspominając minione czasy, Stephen starał się taktownie pomijać Kaatye. Za każdym razem

Prudence sztywniała, jakby ich rozmowa mogła eksplodować niczym bomba; choćby nie wiem jak się pilnował, każde wypowiedziane nieświadomie „my” rozdzierało jej serce na strzępy.

Wiedziała, że musi coś zrobić. Zdecydowała się pewnej marcowej soboty. Stephen wybrał się z chłopcami do swojej matki w Chichester. Prudence wzięła prysznic i starannie umalowała twarz. Wiedziała, że zachowuje się jak idiotka. Po pierwsze, pewnie nawet nie ujrzy tej kobiety, po drugie, nawet gdyby, to i tak nie miała zamiaru zdradzać jej, kim jest. Włożyła swoje najbardziej pretensjonalne ubrania: czarne aksamitne legginsy i sweter w jaskrawe wzory, który powodowana impulsem kupiła przed laty, by później nie nałożyć go ani razu.

Pojechała do Dulwich. Miała wrażenie, że połowę ulic rozkopano. Tkwiła w korku ulicznym, czekając na zmianę tymczasowo ustawionych świateł. Czy to nie znak, by wracała do domu? Pomyślała o tym wszystkim, czym powinna się zająć w sobotni ranek – o nie przeczytanych manuskryptach, praniu nie odebranych z pralni. Przed nią stał monstrualnie wyglądający jeep, podobny do tego, którym jeździła Louise. Wypluwał z siebie kłęby spalin. Jaki wydawał się ważny, wielki, wręcz uzbrojony! Louise była bezpieczna w swoim małżeństwie. Miała dzieci – coś, co łączyło Stephena i jego żonę więzią silniejszą niż małżeństwo.

Samochody posunęły się do przodu. Prudence przypomniała sobie pełen desperacji okrzyk matki: „Przecież ona nawet nie jest ładna!” Chodziło jej wtedy o April. Lecz zazdrość matki wydawała się czysta, w pełni zrozumiała – w porównaniu z jej pogmatwaną, chorobliwą obsesją. April skradła serce Gordonowi, a Dorothy znalazła się sama na dzikim pustkowiu. Zaledwie trzy miesiące temu Dorothy zajmowała się firmą i żyła sobie szczęśliwie w domu w Purley. Teraz była samotna i z wynajętego pokoju wyruszała na spotkania z obcymi mężczyznami w pubach. W sumie było w tym też coś ożywczego – nie krępowały jej żadne więzy, mogła robić, co jej się żywnie podobało, zakosztować życia. Prudence sama jej to powiedziała, z fałszywą wesołością, jak gdyby rzeczywiście była odpowiednią osobą do udzielania podobnych rad.

Zaparkowała na końcu Agincourt Road i zgasiła silnik. Serce waliło jej jak młotem, podobnie jak trzy miesiące wcześniej, gdy siedziała w tym samym miejscu, wpatrując się w samochody Kaaty i Stephena. Teraz był marzec, drzewa nie miały liści, widziała więc dom wyraźnie. Nawet z tej odległości mogła dostrzec, że citroen nie stał przed domem. Być może Kaatya wyszła. Ale mogło też być tak, że oddała samochód do warsztatu. Spojrzała na dach zreperowany przez firmę ojca. Czy Kaatya wezwała ich celowo, by zwabić Stephena, czy też tylko chciała go zranić?

Prudence zapaliła papierosa. Jej ręka drżała. Myślała: muszę ją zobaczyć. Obraz żony Stephena jej wyobraźnia budowała przez osiemnaście miesięcy. Pru ludziła się, że gdy wreszcie ujrzy rywalkę, bolesny wrzód pęknie i wypłynie z niego to, co ją zatruwa.

Minęło pół godziny. Prudence siedziała w środku. Nawet nie włączyła radia. Może, jeśli posiedzi dostatecznie długo, te wielkie domy w stylu edwardiańskim zneutralizują się; ulica stanie się miłym, anonimowym miejscem, jedną z wielu podobnych w Londynie. Może uda

jej się przekonać samą siebie, że powinna Kaaty, porzuconej żonie, współczuć. A może – nigdy nic nie wiadomo – Kaatya nagle pojawi się w drzwiach swego domu z obcym mężczyzną u boku?

Prudence właśnie sobie to wyobrażała, gdy drzwi się otworzyły i stanęła w nich kobieta. Kaatya z całą pewnością – kimże innym mogłaby być? Z tej odległości Prudence zauważyła tylko zamazany czarnobiały kształt na czerwonych nogach. Kaatya zaczęła iść w przeciwną stronę.

Prudence wysiadła z samochodu. Pośpiesznie ruszyła ulicą, by zmniejszyć dzielący je dystans. Kaatya niosła torbę i podobnie jak często dzieje się to w przypadku gwiazd filmowych, okazała się niższa, niż Prudence sobie wyobrażała – zawsze myślała o niej jako o osobie niezwykle wysokiej. Miała na sobie sztuczne futro, czerwone legginsy i botki oraz masę kruczoczarnych włosów. Prudence nieomal czuła jej zapach. Kaatya przeszła główną ulicę, prawie wpadając pod samochód. Prudence podążyła za nią.

Za rzędem sklepów stał wyglądający jak zakład przemysłowy budynek, w którym Kaatya znikła. Na jego fasadzie widniał napis „The Old Brewery Fitness Centre”. Na drzwiach wywieszony był cennik. „Członkostwo – 250 funtów rocznie”. Stephen zapłacił. Płacił za wszystko. Przez cały czas trwania ich małżeństwa Kaatya nie zarobiła ani pensa; była zbyt źle zorganizowana. Należała do tych kobiet o artystycznych zapędach, które płacąc kartą kredytową mężów, kupowały masę materiałów, nigdy jednak nie potrafiły do końca zrobić z nich użytku. Stephen często się na to skarżył, w oczach Prudence czyniło to jednak jego żonę tym bardziej atrakcyjną – impulsywną, twórczą, o wybujałych potrzebach seksualnych.

Obok budynku biegła uliczka. Prudence zagłębiła się w nią i zajrzała przez okno.

Sala była pełna kobiet. Od razu dostrzegła wśród nich Kaatyę, ubraną w lśniące zielone body. Była chuda, z niewielkimi piersiami; nawet z tej odległości Prudence widziała jej wyraźnie zarysowane sutki. Brzuch miała tak wpadnięty, że kości łonowe sterczały ostro. Stała, wymachując rękami, najpierw jedną, potem w identyczny sposób drugą. Wyginała całe ciało i kręciła biodrami, jak gdyby ćwiczyła z hula hoop. Te same biodra poruszały się pod Stephenem. Otarła czoło, ukazując gęstą kępkę czarnych włosów pod pachą. Ruchy miała swobodne, jak ktoś, kto dobrze czuje się w swoim ciele.

Prudence przyglądała się jej bacznie, wręcz pożerała ją wzrokiem. Kaatya poruszała się w rytm muzyki. Miała ciemne oczy i emanowało z niej coś mrocznego, co często daje się zauważyć u ludzi pochodzących z Europy środkowej. Och, bez wątpienia była urodziwa, lecz nie tak, jak ją sobie wyobrażała Prudence. Jej ciało zaczynało już lśnić od potu. Leżała na podłodze i wymachiwała nogami; rozwierała je i zwierzała jak nożyce, uprawiając seks z powietrzem. Także i Prudence obficie się pocila. Ona i ta kobieta dzieliły się tym samym ciałem, w obie wchodził ten sam mężczyzna.

Kaatya wstała, obróciła się i powiedziała coś do kobiety obok. Prudence aż jęknęła z zazdrości. Pragnęła, by Kaatya przemówiła do niej. Co się dzieje? Czyżby była nie rozpoznana lesbijką? Erin twierdziła, że prawdziwe pożądanie nie zwraca uwagi na płęć; gdy kochała, płęć kochanej osoby nie miała dla niej żadnego znaczenia. Prudence uznała to za bzdury – po prostu Erin chciała dostać dwie rzeczy w cenie jednej – ale nagle przypomniała



sobie swoje zauroczenia szkolnymi koleżankami, ich siłę, zazdrość, uniesienia.

Prudence odwróciła się. Poszła z powrotem do auta. Widok żony Stephena niczego nie rozwiązał. Wręcz przeciwnie, wszystko pogorszył. Teraz bowiem Kaatya stała się osobą z krwi i kości. Nie można już było przegnać jej jak ducha.

– Miałem szczęście, że mogłem podróżować – mówił mężczyzna. – Mam zbiór nalepek na pudełka zapalek ze wszystkich stolic świata. Najlepsza obsługa jest w British Airways, ale w liniach szwajcarskich jest najwięcej miejsca na nogi. – Patrzył na Dorothy przez szkła grube jak denka butelki. – Będę szczery, proszę pani. Zależy mi na długotrwałym, opartym na miłości związku.

Dorothy musiała jakoś się wytłumaczyć, bo właśnie wychodziła. Nie pamiętała, jak to zrobiła, być może zachowała się dziwacznie, nie potrafiła jednak nic sobie przypomnieć.

Dzień był cudowny, prawdziwie wiosenny. Przecięła Cromwell Road. Po jej lewej stronie wznosił się budynek Muzeum Historii Naturalnej. Dawno temu, kiedy dziewczynki były jeszcze małe, zabrała je tam, na wycieczkę do poprzedniego stulecia.

Wpadła na kogoś.

– Najmocniej przepraszam.

Przeszła z powrotem Cromwell Road. Dokąd ona idzie? Gdzie miała się skierować, jaką drogę wybrać na tę resztę życia, która jej jeszcze została?

Wtedy właśnie zauważyła furgonetkę. Stała zaparkowana przed hotelem. Jakaś kobieta wносиła z niej krzak, tuląc go do piersi niczym dziecko. Po chwili umieściła go w pojemniku na stopniach przed wejściem. Tą kobietą była Maddy.

Dorothy poczuła nagły przypływ radości. Przez ten ułamek sekundy, zanim rozpoznała w kobiecie własną córkę, patrzyła na nią jak ktoś obcy: kwadratowa – czyżby znowu przytyła? – o krótko obciętych włosach, w wojskowych spodniach i kurtce. Bezkształtne ubrania czyniły z niej osobę bezpłciową. Pracowała, obojętna na przechodzących obok ludzi, ugniatając ziemię wokół rośliny.

Dorothy szybko przeszła ulicę.

– Maddy! – zawołała.

Takie przypadkowe spotkania mają w sobie coś romantycznego; nawet jeśli jest to własna córka w zupełnie obcym miejscu. Maddy wyprostowała się.

– Mama. Co ty tu robisz?

– Możesz zrobić sobie chwilę przerwy?

Usiadły w hotelowym barze. Na ścianach wisiały obrazki zabitych ptaków. Maddy umyła ręce, ale wciąż wyglądała jak osoba pracująca na dworze.

– Napij się wina – zaproponowała Dorothy.

– Nie piję.

– Och, choć raz dotrzyмай mi towarzystwa. – Dorothy patrzyła na córkę. – Proszę.

Maddy zamówiła wino. Nie piła z dwóch powodów. Po pierwsze nie lubiła smaku alkoholu, po drugie uderzał jej natychmiast do głowy.

– Ja mam już dość – powiedziała Dorothy.

– Nie rozumiem?

– Spotkałam się z czterema mężczyznami. – Muzyk grał melodię Toma Jonesa // *'s Not Unusual*. Dorothy lubiła Toma Jonesa, co jej córki uważały za cudaczne. – Jeden z nich był drużynowym skautów i mieszkał z matką. Chcę umrzeć.

– Na pewno kogoś sobie znajdziesz – pocieszyła ją Maddy.

– Komu potrzebni są mężczyźni? Ty się bez nich obchodzisz. – Dorothy przerwała. – Czy w ogóle ktoś jest nam potrzebny?

– Mnie tak – powiedziała Maddy, popijając wino.

– Ale ty masz... No właśnie, gdzie jest Erin? – Dorothy rozejrzała się, jak gdyby spodziewała się, że lada moment Erin wejdzie przez drzwi. Barman czyścił kieliszek.

– Na konferencji – odparła Maddy.

Dorothy czekała. W duchu zachęcała córkę do szczerości, nie chciała jej jednak naciskać. Poza tym nie przepadała za Erin, a pytanie o kogoś, kogo się nie lubi, może zabrzmieć obraźliwie.

– Jest teraz sławna – powiedziała Maddy. – Wczoraj była w telewizji. Widziałaś? – Znowu napiła się wina. – Zmieniła się.

– To znaczy?

– Po prostu się zmieniła. – Opróżniła kieliszek. – Cholera, upiłam się.

– Co my zrobimy? – wyrwało się Dorothy pytanie.

– Spróbuj jeszcze raz. Może trafisz lepiej niż z tątą.

– Tak myślisz?

– Tata cię wykorzystywał – mówiła Maddy. – Tłamsił cię. Zawsze tak głośno jadł. I palił, zanim myśmy skończyły. Był świnią.

– Nieprawda.

– W zasadzie teraz bardziej go lubię. Przynajmniej zrobił coś niespodziewanego.

– Wiem o tym – powiedziała szorstko Dorothy. – Ale co ze mną?

– Już ci mówiłam, że lepiej ci będzie bez niego. Ma świra na punkcie kontrolowania wszystkich i wszystkiego. Pamiętasz nasze wakacje? Zawsze planował je z mapą w ręku, a my musiałyśmy robić dokładnie to, co nam kazał. Zawsze miał cholerny plan! – Zjadła chipsa. – Wykorzystywał cię, a ty mu na to pozwalałaś. – Czknęła. – Do tego trzeba dwojga. – Znowu czknęła. – To był niezdrowy układ.

Dorothy czekała, córka jednak zapadła w milczenie.

– Maddy... – odezwała się.

– Spróbuj jeszcze raz – powiedziała Maddy. – Co ci zależy? Zrób to dla siebie. Byle co. Niech przynajmniej jedna z nas będzie szczęśliwa. Widziałaś ostatnio Prudence? Wygląda okropnie. Niech jedna z nas będzie szczęśliwa. Tylko Lou się na razie upiekło.

Louise nikomu nie opowiedziała o spotkaniu z Timem. Nie chciała go upokarzać. Aż nadto dobrze potrafiła sobie wyobrazić reakcję Roberta. Od tamtego wieczoru, to znaczy od tygodnia, ani razu nie odwiedziła miejscowego sklepu. Co za ironia, pomyślała, że wyznanie Tima kazało jej zrezygnować z przyzwyczajenia.

Dzień był piękny. Żywopłot pokryły kwiatuszki chelidonii i wyglądał jak obsypany drobnymi pieniążkami. W powietrzu wyczuwało się lekką świeżość. Zastanawiała się, co

czują Tim i jego żona, spoglądając na coroczne odradzanie się życia, podczas gdy to jedyne, które ukochali, pozostawało martwe. Przeszła przez kościelny dziedziniec. Kamienie, którym był wyłożony, poprzekrzywiały się niczym poluzowane wiekiem zęby.

Z pobliskiej szkoły dobiegały krzyki dzieci. Louise uwielbiała dzieci – żałowała, że nie ma ich więcej – macierzyństwo było dla niej czymś równie naturalnym jak oddychanie. Najszczęśliwsza czuła się wtedy, gdy Jamie i Imogen byli mali. Teraz pomagała sześciolatkom w nauce czytania i od czasu do czasu zabierała któreś z dzieci do domu. Tego ranka, spoglądając na pochyloną główkę Sophii Wilmott, myślała o Timie. Nie miał córeczki z blond włoskami spiętymi w kucyki, którą mógłby kochać. Louise tak naprawdę nigdy nie cierpiała, a cierpienie Tima było zbyt wielkie i niewyobrażalne, by mogła je sobie choć po części wyobrazić. Być może ono właśnie – kto to wie? – zmusiło go do tego niesamowitego wyznania. Co, na Boga, mogła zrobić? Nigdy nawet przez myśl jej nie przeszło, że mógł żywić do niej sekretną namiętność. Od tej chwili każdy gest przyjaźni z jej strony będzie brał za zachętę; gdy zaś odnosić się będzie do niego oficjalnie, poczuje się zraniony.

– Goblin – powiedziała, wskazując zdanie. – „Goblin Wimbush był najsmutniejszym goblinem na świecie”.

Wieczorem Robert zawiadomił ją, że następnego dnia nie wróci na noc do domu, musiał jechać do Walsall.

– Znowu? – zdziwiła się. – Co będziesz robił w Walsall?

– Pamiętasz braci Markham? Okładziny hamulcowe? Z samego rana mamy zebranie rady nadzorczej. Ktoś w tym domu musi pracować.

– Chcesz się zamienić? Haruję jak niewolnica, gotuję dla tych twoich cholernych znajomych, dbam o dom. – Zirytowana podniosła głos. – Dzisiaj pomagałam dzieciom w czytaniu, ale co to ciebie obchodzi.

Obeszła pokój, gasząc ze złością światła. Jak człowiek się starzeje, pomyślała, zaczyna mówić rzeczy, których wcześniej nawet by się nie odważył pomyśleć. „Kiedy byłam w waszym wieku”, mawiała do dzieci. „Nawet nie wiecie, jacy z was szczęściarze”. Wszystkie te zdania czekały, jak jej szkła do czytania, aż nadejdzie chwila, kiedy je włoży, nawet o tym nie myśląc. Stała koło okna.

– Chciałabym mieć więcej dzieci.

– Chryste, dwójka ci nie wystarczy?

– Nie czułabym się taka samotna.

Dawniej Robert by ją objął. Teraz tylko prychnął i spojrzął na kratę koło kominka.

– Czy kot znowu załatwił się do kominka? – spytał.

Wyglądała przez okno. W szybie widziała odbicie swego męża. Gdy podeszła bliżej, odbicie znikło. Widziała już tylko panującą na zewnątrz ciemność.

– Przynajmniej ktoś mnie kocha – powiedziała.

– Kto mianowicie?

Obróciła się. Poglaskała stojącego przy niej psa.

– Ty mnie kochasz – szepnęła do Monty’ego. Robert usiadł ciężko w fotelu.

– Wybacz mi. Ostatnio mam w pracy prawdziwe urwanie głowy.

– Mówisz, jakbyś występował w telewizji. Jakiś czas później zrozumiała, dlaczego.

Na imię miał Erie. Do jednej ze swoich rozrywek zaliczał „Dobre wino i jedzenie”. Siebie określał jako „Dobry rocznik, choć na pewno nie Premier Cru”. Przez telefon powiedział, że chciałby ją zabrać na kolację, i w pierwszej chwili Dorothy się zawahała. A jeśli i on okaże się nudziarzem? Jeśli oboje z przykrością pomyślą, że muszą jeszcze jakoś wytrwać ze dwie godziny?

Chyba wyczuł jej niepewność.

– Mam dość jedzenia w samotności – powiedział po prostu.

– To tak jak ja – odparła Dorothy. Podał jej adres restauracji w Holland Park.

– Jak cię rozpoznam? – spytała.

– Nie zapadam zbyt łatwo w pamięć – powiedział. – Więc po wszystkim bez trudu o mnie zapomnisz.

Restauracja nazywała się U Archiego. Nazwa w stylu knajpy, gdzie spodziewać się można jajek z frytkami, które walnie przyczyniły się do zawału serca jej męża. Na pierwszy rzut oka rzeczywiście nie przedstawiała się zbyt romantycznie – co Dorothy przyjęła z ulgą – jasne światła, drewniane stoliki oddzielone jak boksy w stajni.

Wstając, by ją powitać, Erie powiedział:

– Nie daj się zmylić. Oni tu naprawdę bardzo poważnie podchodzą do sprawy. Do ziemniaków dodają olej balsamiczny.

Erie był drobnym, na pierwszy rzut oka trochę zniewieściałym mężczyzną. Powiedział jej, że uwielbia gotować; szczerze mówiąc, jego łysa czaszka wyglądała jak ugotowane na twardo jajko. Podobno zawsze gotował dla swoich synów. Teraz, kiedy obaj są już dorośli, a żona nie żyje, od czasu do czasu przygotowywał sobie wystawną jednoosobową ucztę.

– Ale to nie to samo, prawda? – Postukał palcem w menu. – Podają tu wyśmienitą rybę. Lubisz ryby? – Dalej studiował kartę. – To ich specjalność, na wierzch kładą pieczoną paprykę. Może zamów pierwsza, wtedy ja wybiorę coś innego i będziesz mogła skosztować, jeśli zechcesz.

Gdyby podobne słowa wypowiedział Gordon, zabrzmiałyby jak polecenie. Erie natomiast wypowiadał je z prawdziwym entuzjazmem. Rozluźniła się. Wyraźnie lubił rozmawiać i dobrze się czuł w towarzystwie kobiety. Pomyślała o Gordonie, który choć całe życie spędził w damskim otoczeniu, zawsze zachowywał się jak stuprocentowy samiec. Nie nasiąkł nim ani odrobinę, był nieprzemakalny.

Erie opowiedział jej o sobie. Pracował jako architekt przemysłowy i rok temu przeszedł na emeryturę. Miał dwóch synów, jeden został weterynarzem, drugi nauczycielem. Wyrażał się o nich z zabarwionym lekką kpina uczuciem, jak ktoś, dla kogo miłość jest czymś zupełnie naturalnym.

– John, starszy syn, jest bardzo ostrożny. Poza nim nie znam nikogo, kto zapinałby pasy w taksówce.

Podano im jedzenie. Dorothy zaczęła opowiadać mu o córkach.

– Louise jest mężatką, ma dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Mieszkają w przepięknym domu na wsi. Prudence robi karierę, pracuje w wydawnictwie. Jest redaktorem

w Unimedia, słyszałeś o nich?

– A ostatnia?

– Madeleine prowadziła interesujące życie – w Kanadzie, Afryce – sama już nie wiem, gdzie była. Uwielbia przygody, taka z niej niezależna dusza. – Umilkła. Zamoczyła kawałek ryby w sosie. Spojrzała na Erica. Pod śmieszoną czaszką zobaczyła szczerą, ciekawą twarz. Drewniane przegródki między stolikami sprawiały, że poczuła się jak w konfesjonale. Zza nich dobiegała ją szmer rozmów i brzęk sztućców.

– Ale to tylko część prawdy – powiedziała.

– To znaczy?

– O tych rzeczach mówi się łatwo. Choć są trochę nudne, nie sądzisz? – Spojrzała na talerzyk z sałatką. – Tak naprawdę mąż Louise ją tyranizuje, podobnie jak kiedyś mój mąż mnie. Ma wszystko, o czym można tylko zamarzyć. Od urodzenia los jej sprzyjał, nie wydaje mi się jednak, żeby była szczęśliwa. Moja druga córka zawsze marzyła o dzieciach, ale teraz jest już chyba na to za późno. Żyje w grzechu z mężczyzną, który porzucił swoją rodzinę, i chyba także nie jest szczęśliwa. Z Maddy natomiast zawsze były kłopoty. Pierwsze słowo, które wypowiedziała, to było „nie”. A teraz okazało się, że jest lesbijką.

– Naprawdę?

– Podejrzewałam to od dawna, ale i tak przeżyłam szok. Mieszka z kolejną tyranką – o co tym moim córkom chodzi? W swoich partnerach szukają tyranajca? Przyjaciółka Maddy jest tak zajęta, że nie ma czasu zająć się własną córką – o mojej już nie wspominając. Teraz masz już pełny obraz. – Wzięła młynek z pieprzem i przyprawiła sobie rybę. – W ciągu ostatnich trzech miesięcy dowiedziałam się więcej o swoich córkach niż przez całe życie. Zupełnie nie wiem, dlaczego ci to wszystko mówię, przecież cię nie znam.

– Może właśnie dlatego – powiedział z uśmiechem.

– Może.

Znowu się uśmiechnął.

– Spróbuj tego. – Podał jej na swoim widelcu kawałek wieprzowiny. Otworzyła usta jak pisklę dzióbek i zjadła mięso. Przedziwnie się czuła, zupełnie jakby zaczynała topnieć po dłuższej i mroźnej zimie.

Opowiedziała mu o swoim dzieciństwie; o ojcu, który przez całe życie prowadził firmę holowniczą, i o tym, jak siedziała obok niego w szoferce i jeździła z nim po całym kraju.

– Czułam się jak królowa. W tamtych czasach drogi były zupełnie puste i ciągnęły się przed nami jak drogi do krainy Oz. Uwielbiałam ten film. Miałam wrażenie, że widzę przed sobą całe swoje życie i podbiję świat. – Pili już kawę. – Jest taka piosenka Peggy Lee – znasz ją? – nazywa się *Czy to wszystko?* W jednej zwrotce jako mała dziewczynka idzie do cyrku i zadaje to właśnie pytanie. Mój mąż często jej słuchał, bardzo lubił Peggy Lee. Czy to wszystko? Cóż, okazało się, że nie dla niego.

– Któregoś dnia opowiem ci o mojej żonie – powiedział Erie. – Byliśmy bardzo szczęśliwi, w zasadzie. Inni na pewno tak myśleli. Ale wszystko było znacznie bardziej skomplikowane. – Zamieszał śmietankę w kawie. – Gdy umarła, oczywiście bardzo rozpaczałem. Nadal za nią tęsknię. Ale z drugiej strony cieszy mnie odzyskana wolność, choć

bardzo się tego wstydę, – Spojrzał na nią. – Jesteś pierwszą osobą, której o tym mówię.

– Więc mamy remis.

Gdy zbierali się do wyjścia, miała wrażenie, że jej ciało jest lekkie jak piórko. Może to z powodu wina. Ruszyli do drzwi. Przy jednym stoliku zauważyła znajomą twarz. To był Robert. Rozmawiał z kimś, kogo nie widziała, bo widok zasłaniała jej przegródka.

Już otworzyła usta, by go przywitać.

– Przepraszam bardzo – powiedział kelner.

Usunęła się, by mógł przejść z dymiącymi talerzami. I wtedy Erie ujął ją pod ramię, by poprowadzić do drzwi. Poczekam jeszcze, pomyślała. Nie chcę, żeby Robert dowiedział się już teraz.

I wyszli na ulicę.

– Rany, mam, czytałam o U Archiego w „Harpers” – powiedziała Louise. – Nadążasz za modą.

– Prawda? – ucieszyła się Dorothy. – Jadłam rybę z trawą cytrynową. Smakowało wyśmienicie.

– No, no, ale się stałaś światowa, odkąd tata odszedł. Tylko uważaj – teraz trawa cytrynowa i ani się obejrzymy, jak zasmakujesz w kokainie.

Działo się to następnego dnia, w piątek – Dorothy wybrała się do Wingham Wallace na noc.

– Och, kiedyś lubiłam eksperymentować w kuchni – powiedziała. – Na początku naszego małżeństwa. Ale wasz tata nie lubił żadnych nowinek.

– Opowiadaj, jaki on jest?

Dorothy męczył kac. Popatrzyła na psie legowisko wyłożone starym kraciastym kocem, z którym – jak pamiętała – dawno temu jeździli na pikniki. Poczula, jak uwalnia się od przeszłości, pozwala jej spokojnie odpłynąć w niebyt.

– Było zupełnie tak, jakbym spotkała starego przyjaciela, który doskonale wie, o czym mówię. Znowu miałam trzydzieści lat.

– Wyglądasz na dwadzieścia. Był miły? Adorował cię?

– Mój Boże, cóż za staroświeckie słowo.

– No, powiedz – nalegała Louise. – Nie możesz pozwolić, żeby na pierwszej randce posuwali się za daleko.

– Mam sześćdziesiąt trzy lata.

– Ja też już nie pamiętam, jak to jest na pierwszej randce – zadumała się Louise.

Roześmiały się obie. Później Dorothy nieraz wspominała tę właśnie chwilę. Zapach pieczonego mięsa, śmiech. Pytania Louise, jakby role się odwróciły i córka zajęła dawne miejsce matki. Dziewczęcą solidarność, do której nawet Monty się przyłączył i machał radośnie ogonem, zmiatając ze stołu listy.

– Nakarmił mnie – opowiadała Dorothy. – Przez całe życie to ja karmiłam innych.

Siedziała na krawędzi krzesła, ogarnięta należącymi do tak odległej przeszłości uczuciami, że z trudem potrafiła je nazwać. Zapomniała już, jak cudownie smakują te wszystkie wątpliwości: „czyon zadzwoni?” i „cojamupowiem?” Napomknął, że „któregoś dnia

opowiem ci”. Czy miało to oznaczać, że chciałby się z nią znowu spotkać?

Nadjechał samochód. Otworzyły się drzwi i wszedł Robert, wpuszczając do domu powiew zimnego powietrza.

– Cześć, Dorothy.

Rzucił na podłogę torbę podróżną i pocałował teściową w policzek. Pocałował też Louise. Humor wyraźnie mu dopisywał. Dorothy uśmiechnęła się do niego, w końcu po części miał coś wspólnego z przepełniającym ją szczęściem.

Louise wyjęła z lodówki tackę z lodem.

– Mama opowiadała mi o swojej wczorajszej randce. – Wycisnęła kilka kostek lodu. Zagrzechotały wrzucane do szklanek. – Idzie z duchem czasu. Była w bardzo modnej restauracji w Holland Park. U Archiego.

– Dobra? – Robert odwrócił się, żeby pogłaskać psa. To powinno być Dorothy wystarczyć. Przecież Robert nigdy nie głaskał psa. Ona jednak była zbyt naiwna.

– W końcu poszłam do miejsca dobrego nawet dla ciebie. Co zamówiłeś?

Louise odkręciła butelkę z tonikiem. Rozległ się charakterystyczny syk.

– O co ci chodzi? – spytała.

Dorothy uśmiechała się promiennie do zięcia.

– Chciałam się z tobą przywitać, ale kelner wszedł mi w drogę. Tonik opryskał Louise. Wytarła dłonie w sweter. Potem powiedziała do męża:

– Myślałam, że byłeś w Birmingham.

## **CZEŚĆ CZWARTA**



## Rozdział pierwszy

Małżeństwo Louise skończyło się w wyjątkowo spektakularny sposób. Zapadło się, osunęło na kolana w tumanach pyłu jak wysadzona w powietrze kamienica. Widok był przerażający. Wszyscy zazdrośnie spoglądający na tę pozornie nie do zdobycia fortecę – a było ich wielu – przyglądali się temu z niezdrowym dreszczykiem podniecenia. Nawet siostry Louise, w zasadzie dobre kobiety, kochające siostrę bezgranicznie, nawet one nie mogły oprzeć się satysfakcji, choćby chwilowej. „To nie fair!”, zwykła uskarżać się Maddy. „Louise się upiekło”.

Teraz równowaga uległa zachwianiu. Z początku siostry usiłowały przemówić Louise do rozsądku, ona jednak zdumiała je nieprzejednaną w swojej gwałtowności reakcją.

– Drań! – krzyczała. – Świnia! Macie pojęcie, jak długo to się ciągnęło? Sześć lat! Odkąd nas wywiózł na ten koniec świata.

W pierwszy weekend, gdy cała sprawa się wydała, Robert umknął do Londynu. W sobotę natomiast siostry zjechały do Wingham Wallace. Jak na wiadomość o śmierci porzuciły wszystkie swoje plany; nawet nie potrafiłyby powiedzieć, co zamierzały robić. Jamie i Imogen spędzali cały dzień poza domem, póki co nieświadomi jeszcze tragedii, jaka dotknęła ich rodzinę.

– To ja tu tkwiłam, wychowując dzieci, usługując mu, do ciężkiej cholery! – wściekała się Louise. – Byłam dla niego jak przystanek, nic poza tym. I przez cały czas posuwał tę... tę babę.

– Jestem przekonana, że on cię kocha – próbowała ją uspokoić Dorothy. – Zawsze cię kochał. Mężczyznom trafiają się czasem takie, jak by to powiedzieć, takie grzeszki.

Louise popatrzyła na matkę.

– A w ciebie co nagle wstąpiło?

– No cóż, to się czasem zdarza – odparła Dorothy. – W końcu kto jak kto, ale ja wiem. Robert mówi, że nie chce rozbijać rodziny. Dlaczego nie miałabyś mu wybaczyć?

– Po czyjej ty jesteś stronie? – zdenerwowała się Louise.

– Wybierzcie się gdzieś tylko we dwoje, w jakieś spokojne miejsce, i porozmawiajcie o wszystkim.

– Nie chcę o niczym rozmawiać.

Na dworze padał deszcz. Siedziały we czwórkę skupione wokół grzejnika; nikomu nie chciało się przynieść drewna i rozpaść ognia w kominku. W domu już dawało się odczuć brak miłości; rozpacz osiadała w nim jak kurz.

– Louise, proszę – przekonywała Pru. – Pomyśl o dzieciach.

– Cały czas o nich myślałam – wybuchła Louise. – A myślisz, że czemu tkwiłam tu przez te wszystkie pieprzone lata? – Drżącą ręką nasypała sobie cukru do herbaty. Zbrzydła i postarzała się przez cierpienie, włosy zwisały jej jak strąki. – Rozwiódę się z nim. Obedrę go z każdego pensa za każdy cholerny dzień, kiedy w zimnie i błocie grzebałam w tym jego cholernym ogródku, kopiąc ziemniaki, żeby miał się czym pochwalić przed tymi swoimi

cholernymi przyjaciółmi.

– Louise, uspokój się – prosiła Prudence, przysiadając na oparciu fotela siostry. – Musimy się zastanowić, jak to wszystko załatwić. Mama i ja już to znamy. Witaj w klubie.

– Nie interesuje mnie żaden pieprzony klub! – wykrzyknęła Louise i wybuchła płaczem.

Dorothy siedziała zapatrzona w rozgrzaną kratkę grzejnika. W jego buczeniu brzmiała jakaś jałowość.

– Dlaczego musiałam go zauważyć? To moja wina. Tyle szkody robię w waszym życiu, zupełnie jak słoń w składzie porcelany.

– Cieszę się, że wiem – powiedziała Louise. – W końcu wszystko stało się dla mnie jasne.

Maddy i Prudence spojrzały na siostrę, nie do końca rozumiejąc, o co jej chodzi. Mimo iż nigdy jednakowo nie lubiły Roberta, kryzys w małżeństwie Louise był dla nich prawdziwym szokiem. Dostatecznie ciężko przeżyły rozstanie rodziców, teraz jednak na ich oczach z piedestału spadał ideał. Gdy ktoś chciał sobie wyobrazić małżeński raj, od razu stawało mu przed oczami Stare Probostwo. Jak Robert mógł to zrobić ich siostrze? Zupełnie jakby zdradził ich własne marzenia. Zbrukał je.

– Jak on mógł? – zastanawiała się Prudence. – I to z kimś, kto ma prawie pięćdziesiąt lat. I na pewno jest dużo brzydsza od ciebie.

– Pru! – zawołała Maddy.

– Och, uspokój się... To nie pora na polityczną poprawność. Zapadła cisza. Spoglądały na swoją znękaną siostrę.

– Jak ja mogłam go kochać? – szlochała Louise. – Dlaczego on mnie tak okłamywał?

Prudence podała jej chusteczkę. Nagle ogarnęło ją wrażenie *deja vu*. W Boże Narodzenie na tym samym krześle siedziała ich matka i także płakała. „Nienawidzę go! Jak on mógł to zrobić?” Siedziała i powtarzała te same słowa – wszyscy bowiem używamy identycznych słów do wyrażania tak smutku, jak i radości – słów wytartych jak otoczaki w górskim strumieniu przez burzę ludzkich uczuć.

Na imię miała Deirdre. Mieszkała w Essex, gdzie jej mąż prowadził firmę. Był niedużym człowiekiem o wojowniczym charakterze i nazywał się Graham Frye. Któregoś dnia zgłosił się do firmy Roberta z planami powiększenia swojej firmy. Było to siedem lat temu, gdy Robert z rodziną mieszkał jeszcze w Chelsea, dzieci były małe, a małżeństwo z Louise stanowiło źródło zazdrości wszystkich znajomych. Louise prezentowała klasę biorącą się z jej nieziemskiej urody. To, że urodziła się jako córka budowlańca, ani wtedy, ani teraz nie miało znaczenia, jako że większość znajomych Roberta z City, wychowanych w burzliwych latach siedemdziesiątych, wywodziła się z różnych środowisk, wcześniej rzecz nie do pomyślenia. Można nawet pokusić się o stwierdzenie, że robotnicze korzenie tylko potęgowały jej urok, gdyż w przeciwieństwie do innych żon zdawała się zupełnie zadowolona ze swej służalczej wobec Roberta roli. Nie przeszkadzało jej, że wychowuje dzieci, prowadzi dom i gotuje wyszukane potrawy, na co inne panie nie miały ani czasu, ani tym bardziej ochoty. Tam, skąd wywodziła się Louise, kobiety wiedziały, jak być kobietami.

Uznanie Roberta dla cnót żony nie przeszkadzało mu w rozlicznych romansach, w czasach gdy dzieci były jeszcze małe – zupełnie przelotnych. Nadawał się do nich idealnie:

pojęcie moralności było mu raczej obce i – co znacznie ważniejsze – kierowała nim przemożna seksualna ciekawość granicząca niemal z infantyлизmem. Ponadto był mężczyzną niespokojnego ducha, łatwo się nudził i konieczność utrzymania czegoś w tajemnicy podniecała go. Innymi słowy, typowy kobieciarz. Póki co jednak, nic z tego nie zagrażało trwałości jego małżeństwa.

Robert wybrał się do Colchester, by naocznie przekonać się, czy plan Grahama Frye'a ma szanse powodzenia. Dobrze pamiętał ów dzień – szary i ponury, nic nie wskazywało, by w jakikolwiek sposób miał się okazać brzemienny w skutki. Firma Frye'a była dość obszerna – składały się na nią warsztaty i salon wystawowy; Frye był przedstawicielem Saaba. Zakład znajdował się tuż przy rzece Stour i zaczęto już w nim dokonywać napraw łodzi. Właściciel postanowił wejść w spółkę z miejscowym biznesmenem i wybudować przystań. Do tego właśnie potrzebna mu była pozytywna opinia Roberta.

– To przyszłość – argumentował. – Organizacja wolnego czasu i wypoczynku.

Plan był ambitny i wymagał okazałych nakładów inwestycyjnych. Robertowi przypadł do gustu; zawsze fascynowali go zwykli ludzie o wielkich ambicjach. Wtedy jego firma zajmowała się głównie systemami emerytalnymi i wykupami przez zarząd, to jednak było coś więcej. W firmie Robert miał opinię niezależnego i błyskotliwego, którego jednak trzeba było trzymać w ryzach. Plan Frye'a, spodobał mu się głównie dlatego, że był ryzykowny, i zanim minęło południe, postanowił, że przedstawi go swoim szefom.

Wtedy właśnie zjawiała żona Frye'a. Weszła, niosąc tacę z kawą. Panowie siedzieli w biurze. Przez otwarte okno wpadały do pomieszczenia piskliwe krzyki mew.

– Przepraszam, że dopiero teraz – powiedziała. Głos miała niski i melodyjny. – Ale musiałam wyjść na pocztę.

– To moja żona, Deirdre – przedstawił ją Frye. Postawiła na stole tacę i uściśnięła dłoń Roberta. Była dojrzałą kobietą o obfitym biuście i miękkich brązowych włosach. Tego dnia miała na sobie kremową bluzkę i jedwabny kardigan; należała do niezmiernie rzadko spotykanych Angielek, które wyglądają na osoby noszące kosztowną i elegancką bieliznę. Bez wątpienia była kobietą piękną i świadomą swojej urody, co na ogół Robert spotykał dotąd wyłącznie u Europejki z kontynentu. Później dowiedział się, że płynęła w niej krew irlandzka i francuska. Spojrzała na jego buty.

– Jak widzę, kazał panu brodzić w błocie. Nie jest panu zimno? Może zamknę okno?

Robert pokręcił głową. Odczuwał przedziwny spokój, jak gdyby wszystkie jego narządy wewnętrzne nagle trafiły na właściwe im miejsce. Wiedział, że przez całe swoje życie czekał na tę właśnie kobietę.

Patrząc na tamto spotkanie z perspektywy czasu, myślał, że może była w tym lekka przesada. Może jednak nie stało się to tak od razu. Później przyznała mu się, iż jego obecność wywołała w niej niepokój.

– Przypominałeś mi wilka. Pomyślałam: „Jemu nie można ufać. Na pewno cały jest porośnięty gęstym włosem jak zwierzę”.

Powiedziała też, że wyczuwała, iż obwąchuje ją jak pies, a to wcale jej się nie podobało.

To jednak nastąpiło później, znacznie później. Nie spali ze sobą przez ponad rok, nie

pozwoliła na to. Ona była mężatką i gorliwą katoliczką. Zadręczał ją gdy czegoś bardzo pragnął, zawsze w końcu to dostawał. Gdy wreszcie zostali kochankami, wydawało mu się, że to najbardziej naturalna rzecz, jaka mu się w życiu przytrafiła. Była radością jego życia, jego kobietą, bratnią duszą. Nigdy od samego początku nie czuł się winny zdrady wobec Louise. Wręcz przeciwnie, gdy przebywał z Louise, miał wrażenie, że zdradza Deirdre. Ona go rozumiała, pomagała uleczyć nie zagojone rany z przeszłości. Kochała go bez zastrzeżeń, do czego rodzona matka – jego szalona, niezrównoważona matka – nigdy nie była zdolna. W porównaniu z tym jego stosunki z Louise – mimo iż mieli dzieci – wydawały mu się płytkie i bez znaczenia.

Ich związek ciągnął się latami. Deirdre nie chciała odchodzić od męża i Robertowi nie pozostawało nic innego, tylko się z tym pogodzić. Jak na kogoś z jego charakterem, wykazywał niezwykłą cierpliwość. Lecz przy Deirdre stawał się lepszym człowiekiem; wmawiał sobie nawet, że dzięki niej jest lepszym mężem dla Louise. Fakt, iż w żonie nigdy nie obudził się nawet cień podejrzenia, uznał za Boże błogosławieństwo, sankcjonujące jego drugi związek. Widywał się z Deirdre mniej więcej dwa razy w tygodniu; raz było to spędzone wspólnie popołudnie, innym razem noc w Londynie. Resztę czasu trwał jakby uśpiony – pogrążony w miłym śnie – i wyglądało na to, że nikt niczego nie zauważa. Deirdre była wpleciona w sens jego życia, utrzymując go przy zdrowych zmysłach. Lecz jakiś rok temu wszystko zaczęło się zmieniać.

Matka i siostry Louise wyjechały w niedzielę wieczorem. Robert wrócił. Wyglądał tak okropnie, że przez moment zrobiło się go Louise żal. Następnego dnia rano odwiózł Imogen na lotnisko, wyjeżdżała bowiem na szkolną wycieczkę do Francji i do domu miała wrócić dopiero na Wielkanoc. Również Jamie wybrał się do Yorku na jakieś otwarte dni na uniwersytecie i miał tam spędzić kilka dni ze studiującymi już na pierwszym roku kolegami. Jak na razie żadne z dzieci nie wiedziało, ani chyba nawet nie podejrzewało, że dzieje się coś złego.

Robert i Louise zostali w domu sami. Niczym zranione zwierzęta zamknęli się przed światem. Robert nie pojechał do Londynu, wziął sobie tydzień wolnego. Gdyby Louise czuła cokolwiek, zapewne byłaby mu za to wdzięczna. Oboje kryli się przed słońcem, które drwiło z nich, wpadając przez okna i bezlitośnie odkrywając każdy najmniejszy pyłek kurzu. Pogoda niespodziewanie zrobiła się przepiękna i świat na zewnątrz rozkoszował się nią, obojętny na rozgrywający się w Starym Probstwie dramat. Zaczęły się ferie. W szkole trwały przygotowania do wielkanocnego festynu, w czym Louise powinna była uczestniczyć. Slauci dmuchając w swoje gwizdki, biegali po okolicy.

Rósł stos brudnych filizanek w kuchennym zlewozmywaku, telefonu nikt nie odbierał. Louise i Robert kręcili się po domu nie umyjni, z twarzami bladymi jak u duchów. Siedzieli w szlafrokach niczym inwalidzi i pili whisky, a słońce wędrowało po ogrodzie, by w końcu skryć się za kościołem. Rozmawiali i rozmawiali, w kółko o jednym i tym samym. Te rozmowy ich wyczerpywały, bo tak naprawdę niewiele mogli sobie powiedzieć. Wraz ze śmiercią ich miłości umarły także ich słowa.

Gniew Louise się wypalił. Robert jej nie kochał, przeniósł swoje uczucia na inną kobietę.

Próbował tłumaczyć, starał się być miły.

– Jest od ciebie starsza. Nawet w części nie jest tak piękna jak ty. Ani taka bystra czy wesoła.

– Naprawdę myślisz, że mi w ten sposób pomagasz? – spytała.

Siedzieli skuleni w kuchni. Do nóg Louise łąsił się kot i miauczał, prosząc o jedzenie.

– Dlaczego przestałeś mnie kochać?

– Nigdy nie przestałem. Kochałem cię zawsze... bardzo cię lubiłem...

– Lubieś!

– Nic się nie zmieniło – powiedział. – Moje uczucia do ciebie nie zmieniły się ani odrobinę.

– Ty się zmieniłeś. Jesteś inny od kilku miesięcy.

– Ale to naprawdę nie ma nic wspólnego z tobą. Musisz mi uwierzyć.

– Nikomu już nie wierzę. Jestem zbyt zmęczona.

– Lou... jakoś sobie z tym poradzimy...

– Kochasz ją bardziej ode mnie. Cóż jeszcze można powiedzieć. – Louise patrzyła na niego. – To jest okropne.

Siedziała otępiała. O czym oni kiedyś rozmawiali? Dwadzieścia lat małżeństwa rozplynęło się. Gdzie się podziały wszystkie te słowa, które do siebie mówili? Teraz stały się tylko kulkami popiołu. Żałowała, że nic nie czuje, ale było jej tylko niedobrze. Gdyby była sama, może jakoś lepiej uporałaby się z szokiem, który to wywołało. Robert jednak był z nią, starał się być miły jak truciciel, który wbijając śmiertelny zastrzyk, podaje jednocześnie znieczulenie.

W głowie jej dudniło. To, co właśnie stało się jej udziałem, spotykało bez przerwy tyle osób; nawet jej matka musiała przez to przejść. Pocięła ich z taką ślepą, pełną wyższości ignorancją. Przeczytała na ten temat setki artykułów, nic jednak nie przygotowało jej na to, co sama w tej chwili czuła.

Nigdy by też nie zgadła, że Robert mógłby się tak zachowywać. Przez te wszystkie straszliwe dni był dla niej dobry, nawet czuły. Przygotowywał jej kąpiel, co nie było do niego podobne, ale nagle oboje przestali się nawzajem poznawać. Z dnia na dzień stał się dla niej obcym człowiekiem, z którym nie łączyło jej nic poza dziećmi. Gdzieś w zakamarkach umysłu zastanawiała się, jaki był dla tej drugiej kobiety – nie mogła zdobyć się na to, by nazwać ją po imieniu – czy ten blady, troskliwy mężczyzna był Robertem, którego ona знаła? Czy jej także przygotowywał kąpiel, czy właśnie ona go tego nauczyła?

Louise leżała zanurzona w wodzie. Leżała w niej tak długo, aż zupełnie wystygła. Jej ciało stało się nagle zaniedbane jak u starej kobiety. Na włosy łonowe spoglądała jak na jakiś anachronizm, puszek do pudru porzucony na toalecie obcej kobiety. Po raz pierwszy od dnia ślubu zamknęła drzwi do łazienki na klucz. Nagle oboje z Robertem zaczęli się siebie wstydzić, rozbierali się na osobności, wkładali piżamy i nie dotykając się, leżeli w łóżku. Żadnemu z nich nie przyszło do głowy przenieść się do innego pokoju. Potrzebna im była zwierzęca bliskość drugiego ciała, gdy oddychając ciężko, w nie kończące się noce udawali, że śpią.

Rankiem Robert podawał jej herbatę, co miał zwyczaj robić przed wielu laty, zanim na świecie pojawiły się dzieci. Byli tylko we dwojkę, jak na początku małżeństwa. W domu panowała taka cisza, że chwilami wydawało jej się, iż za zamkniętymi drzwiami pokoje stoją puste i nie umeblowane. Nigdy nie mieszkały w nich żadne dzieci, nie słuchały swojej okropnej muzyki. Wszystko to było tylko snem, snem o rodzinie, który śniła, a teraz nagle się z niego przebudziła.

Zeszła na dół. Nawet to było ponad jej siły. Ze zdumieniem stwierdziła, że była już środa, dwa dni minęły niezauważenie.

– Co my powiemy dzieciom?

Zadawanie pytań także ją wyczerpywało.

– Co my zrobimy?

– A co chcesz zrobić? – spytał Robert. Stał, wyglądając przez okno.

– Chcesz z nią zamieszkać, prawda?

Nie poruszył się. Patrzyła na jego plecy okryte szlafrokiem w brązowoczarne pasy; kupiła mu go w Liberty. Na dworze świeciło słońce, z dachów parowała nagromadzona przez noc wilgoć.

– Jesteś urodzonym zdrajcą – powiedziała. – Wyssałeś to z mlekiem matki. Ale to coś więcej niż tylko zwykła zdrada, prawda?

Potrząsnął głową.

– Gdybyśmy my... – przerwała. Słowo „rozstanie” nie chciało jej przejść przez gardło. – Jeśli odejdziesz, czy ona także zostawi swojego męża?

Kiwnął głową.

– Nie chciała rozbijać naszej rodziny. Jest raczej religijna. „Ale nie na tyle, żeby się z tobą nie pieprzyć”, powiedziałyby Louise, gdyby nie była tak zmęczona.

– Więc lepiej niech się tak stanie. Nie chcę walczyć. Po co walczyć o małżeństwo, skoro bitwa z góry jest przegrana? Zróbmy to. Sprzedaj dom. Nie możemy dalej żyć razem.

Robert nadal stał bez ruchu. Louise słyszała kapiącą z kranu wodę. Gdy się w końcu odezwał, ta chwila wbiła jej się w pamięć do końca życia – pasiaste plecy Roberta, widok kościelnej wieży za oknem, który zawsze miała przed oczami, przygotowując tysiące posiłków dla swojej rodziny.

– Louise – powiedział, nie odwracając się od okna. – Jest jeszcze coś, co muszę ci powiedzieć.

Zapadła noc. Louise siedziała w ogrodzie. Siedziała w nim już bardzo długo, ale nie mogła wrócić do domu i znaleźć się z Robertem pod jednym dachem. Mimo ciepłego płaszcza nie przestawała się trząść. Za krzakiem krzątał się w swojej klatce królik.

Rozległ się szczełk otwieranego okna. Nie chciała, żeby Robert ją zawołał. Po chwili okno się zamknęło. Za żywoplotem słyszała konia. Skylark pasła się na swojej łące; skubała trawę, a gdy odbiegała kawałek, ziemia pod jej kopytami drżała. Także i klacz była tej nocy niespokojna. Zapewne swoim zwierzęcym instynktem wyczuwała, że coś jest nie tak.

Środa jeszcze się nie skończyła. Zdumiewające, że to wciąż ten sam dzień. Louise w kółko myślała jedno: „A więc to dlatego był taki miły”. Popatrzyła na kościół. W jego

wnętrzu płonęło światło, zapewne trwały przygotowania do Wielkanocy. Na witrażach zgromadzone wokół ciała na krzyżu anioły dęły w swoje trąby; wyglądały, jakby trawił je ogień. Louise nie potrafiła się modlić, bo nikt jej nigdy tego nie nauczył. Do kościoła wchodziła tylko wtedy, gdy chciała go pokazać swoim gościom. Myślała: gdybym wierzyła, On byłby Bogiem zemsty, karałby podłych, każąc im płonąć w ogniu piekielnym. Patrzyłby, jak ich trawi, a potem utuliłby mnie w swych ramionach i przyniósłby mi ulgę. Gdybym wierzyła, nie byłabym teraz taka samotna.

Nie była sama. Ktoś ją obserwował.

Wolno obróciła głowę. Dojrzała stojącą w ogrodzie jakąś postać, na wpół ukrytą za żywopłotem. To była kobieta – ogromna, w bezbarwnym ubraniu.

Louise odwróciła się od niej. W domu zaszczekał pies, potem zapadła cisza. Serce tłukło się jej w piersi. Jeżeli nie będzie się ruszać, może kobieta zniknie. Oczywiście, że to ona, ta Deirdre. Stała tam, czekając na Roberta. Jeżeli Louise będzie udawać, że jej nie zauważyła, może zabierze ze sobą Roberta.

Koń zarżał. W kościele pogasły światła. Teraz budynek kościoła wyglądał jak ciemna wielka bryła ze strzelającą w niebo wieżą. Czy ta Deirdre nie mogła poczekać? Może w jakiś sadystyczny sposób pragnęła przyglądać się ostatnim śmiertelnym drgawkom małżeństwa, do którego unicestwienia tak się przyczyniła? Louise wstrzymała oddech. W przenikliwej ciszy zdawało jej się, że słyszy, jak tamta oddycha.

Może Deirdre nie mogła trzymać się z dala. Przyszła tu, żeby ich szpiegować. Prudence opowiadała Louise, że któregoś dnia pojechała pod dom Stephena i po prostu siedziała, patrząc na niego. Czy możliwe, żeby ta kobieta się bała, czy Robert nagle nie zmieni zdania i jednak zostanie z rodziną?

Louise poczuła ogarniającą ją wściekłość. Jak ta Deirdre miała czelność się tu zjawić? Wstała z ławki i zaczęła iść przez trawę. Intruz trwał niewzruszony niczym ogrodowa statua. Louise podeszła.

Kobieta była gruba, ubrana w jasną kurtkę i spódnicę, na nogach miała kalosze. Było w niej coś znajomego, lecz chwilę trwało, zanim Louise uświadomiła sobie, kogo ma przed sobą. To była Margot ze sklepu.

– Dobrze się pani czuje? – spytała Louise. – Co pani tutaj robi?

– Chcę z panią porozmawiać – odezwała się Margot.

– Co się stało?

– Wiem wszystko – powiedziała Margot. – O pani i o moim mężu.

Louise nie odrywała wzroku od połyskującej w świetle księżycy twarzy Margot. Twarzy szerokiej, otoczonej kręconymi, nie pasującymi do niej włosami, które wyglądały raczej jak peruka. Louise nie widziała żony Tima od wielu miesięcy.

– Co o pani mężu? – Louise próbowała sobie przypomnieć, co się stało z Timem, ale w głowie miała pustkę. Nagle usłyszała jakiś hałas. Odwróciła się i zobaczyła, że drzwi do ogrodu są otwarte i sący się przez nie strumień światła, w którym rysowała się sylwetka Roberta.

– Tutaj nie możemy rozmawiać – szepnęła.

Louise wślizgnęła się za żywoplot i ostrożnie przeszła przez zwirowany podjazd, idąc w stronę przyczepty. Margot podążała za nią. Louise otworzyła drzwi. Twarz Margot była bez wyrazu, jakby kobieta szła we śnie. Zdawała się nie zauważać faktu, że Louise nie zaprosiła jej do domu.

Przez małe okienko wpadało do środka światło ulicznej latarni. Louise usiadła na stołeczku. Miała wrażenie, że Margot wypełnia swoją potężną osobą ciasne wnętrze przyczepty. Usiadła na łóżku, dysząc ciężko, wyczerpana marszem.

– Widzi pani, dowiedziałam się o wszystkim – zaczęła Margot. – Chce pani wiedzieć jak? Interesuje to panią? Proszę mi przerwać, jeśli panią nudzę. – Wpatrywała się w twarz Louise. Pod wpływem tego wzroku Louise czuła, jak ciarki chodzą jej po plecach. – Coś mi się dzisiaj przytrafiło. Pani tego nie zrozumie, ale i tak wszystko opowiem. No więc, świeciło słońce, a ja czułam, że coś się święci. Nie wiem, czy pani o tym wie... o tym, co się stało, i pewnie to pani nic nie obchodzi...

– Ależ wręcz przeciwnie i naprawdę bardzo pani współczuję...

– ... ale po raz pierwszy od sześciu lat ogarnęło mnie to przedziwne uczucie. Już nawet zapomniałam, jak to jest. Naprawdę coś niesamowitego. Zupełnie jakby ktoś zdejmował ze mnie ciężar, jakbym dojrzała światło na końcu czarnego tunelu. To była nadzieja. Jakiś przebłysk, nieomal szczęście. – Poruszyła się i łóżko zaskrzypiało. Wciąż nie odrywała spojrzenia od twarzy Louise. – Mówię po to, żeby pani zrozumiała wszystko, co mi pani zrobiła.

– Co ja takiego zrobiłam?

– W środę zamykamy w południe. Pomyślałam, że urządzimy sobie grilla. Taki piękny dzień! Tim się ucieszy. Tak sobie pomyślałam. Nawet pani sobie nie wyobraża, jak on cierpiał. Pomyślałam: mam trochę kurczaka i kiełbaski. Ustawię grill z tyłu za sklepem i spędzimy miło czas, tylko we dwoje. Poszłam więc do sklepu po worek z węglem. I wtedy je znalazłam.

– Co takiego?

– Zdjęcia.

– Co?

– Pani zdjęcia.

Louise zamarła. W gardle jej zaschło.

– Powiedział, że panią kocha. – Margot mówiła bezbarwnym głosem. – Może to niewiele, proszę pani, ale on jest wszystkim, co mam. Jak mogła mi go odebrać?

– Ale ja przecież...

– Strasznie z pani pazerna kobieta. Ma pani wszystko i jeszcze zachciało się pani mojego męża...

– To nieprawda! – wykrzyknęła Louise.

– Widzi pani, pomyślałam sobie, że to trochę niesprawiedliwe – powiedziała Margot. – Pani pewnie tak nie uważa, ludzie tacy jak pani nie myślą o podobnych rzeczach...

– Według pani ja mam wszystko? – Louise nachyliła się ku niej, ich kolana się zetknęły. – Chce pani znać prawdę? Moje małżeństwo właśnie się rozpadło, oto co się stało. –



Wierzchem dłoni otarła nos. – Mój mąż ode mnie odchodzi, zakochał się w kimś innym, zakochał się wiele lat temu. Czekał tylko, żeby dzieci dorosły, ale ja trochę za szybko o wszystkim się dowiedziałam. On mnie lubi. Tak powiedział. Lubi mnie, a ja opiekowałam się dziećmi. – Wsunęła dłonie we włosy. Rozejrzała się po maleńkiej przyczepie – kuchence, zasłonkach w kwiatki. W świetle latarni wyglądała złowieszczo, jak karła parodia normalnego życia. Louise znowu popatrzyła na Margot. – Chce pani jeszcze coś usłyszeć? Coś, o czym powiedział mi dopiero dzisiaj? Okradł nas też z naszych pieniędzy. W tym też mnie oszukał. W zeszłym roku wziął pożyczkę pod zastaw ubezpieczenia na dom, i wie pani, na co mu to było potrzebne? Żeby wykupić męża tej kobiety. Jego interes plajtuje, biedaczysko. Więc my za to zapłaciliśmy. Tak bardzo ją kocha. Zapłaciliśmy i zostaliśmy bez grosza. Niczego już nie mamy... domu, niczego. – Wściekle machnęła rękami. – Tego już nie ma. Wszystko przepadło. – Popatrzyła na pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu twarz Margot. – Sama nie wiem, po co pani o tym mówię.

– Ponieważ ja się nie liczę – powiedziała Margot z goryczą. Siedziały w milczeniu. Gdzieś w oddali zaszczekał pies. Może Monty. Louise miała wrażenie, że jej dom gdzieś odplynął, nie potrafiła sobie wyobrazić, że ma teraz do niego wrócić.

Spojrzała na Margot. Wyglądała staro. Dziwne, że nie tak dawno urodziła dziecko. Ale może późno wyszła za mąż. Może dla obojga nie było to pierwsze małżeństwo. Louise nic o nich nie wiedziała. Margot miała rację; do czasu tamtego spotkania w alejce rzadko o nich myślała.

– Czasem, przez pierwsze tygodnie – powiedziała Margot – budziłam się i myślałam, o Boże, spóźni się do szkoły.

Louise wyjrzała przez okno. Niebo stało się bledsze. Może siedziały tu tak długo, że na dworze zaczął się już świt.

– Pieprzone życie – powiedziała.

## Rozdział drugi

Jamie powiedział Imogen po jej powrocie z Francji. Nie wyglądał na szczególnie przybitego.

– Rozchodzą się – oznajmił. – Tata ma jakąś dupę w Essex. Imogen wybuchnęła płaczem. Wyglądało na to, że Jamie się ucieszył.

– Super – powiedział. – Wszyscy tak reagują.

Imogen zatrzasnęła drzwi do swojego pokoju i z płaczem rzuciła się na łóżko. Myślała, że pięknie jej serce. Tak często o tym czytała, a teraz ją samą to spotkało. Jedną jej część przyglądała się całej scenie z boku – patrzyła na samą siebie leżącą na łóżku z twarzą wtuloną w poduszkę, szlochającą rozpaczliwie. Druga natomiast myślała: kiedy jutro spotkam się z Karlem, rzucę mu się w ramiona, wybuchnę płaczem, a on będzie mnie pocieszał. Myślała: teraz nie mogę się chwalić moją przywiezioną z Francji opalenizną, to byłoby zbyt trywialne.

Mimo tych myśli umierała z rozpacz. Rozległo się pukanie do drzwi i weszła jej matka.

– Sama chciałam ci o wszystkim powiedzieć – odezwała się. – Och, Immy...

Już teraz wyglądała jak samotna matka, wychudzona, umęczona. Miała na sobie ogrodniczki, chociaż nie pracowała tego dnia w ogrodzie. Usiadła na obrotowym krześle. Zaczęło się obracać, więc przytrzymała je stopą.

– Nienawidzę taty – powiedziała Imogen, wycierając nos w rękaw. – Jak on mógł? Nie chcę go już nigdy więcej widzieć, nigdy.

– Przestań, kochanie. To tylko wszystko pogorszy. – Matka głaskała ją, odsuwając jej z twarzy włosy. Miała duże ręce, suche i zniszczone przez te wszystkie lata ciężkiej domowej pracy. – Nie złość się na niego. On także bardzo to przeżywa. – Umilkła na chwilę. – Drań.

Próbowała się uśmiechnąć, ale niezbyt jej się to udało.

– Wyprowadzi się? – spytała Imogen. – Zostaniemy tutaj? Co się stanie ze Skylark?

– Nie wiem. Niczego jeszcze nie ustaliliśmy.

Imogen przesunęła nogi i usiadła. Popatrzyła na swoją walizkę. Gdy pakowała ją zaledwie tydzień temu, była jeszcze taką gówniarą!

– Kiedy wróci?

– O zwykłej porze – odparła matka. – Chce się gdzieś wybrać z tobą i Jamiem.

– Dokąd?

– Nie wiem, może coś zjecie. Chce z wami porozmawiać.

– Chyba żartujesz – prychnęła Imogen i wyszła z pokoju.

– Kochanie, zaczekaj... – próbowała ją powstrzymać matka, ale nie miała dość siły.

Była trzecia po południu. Imogen wzięła uzdę i wyszła na łąkę. Przez tydzień jej nieobecności łąka pokryła się gęstą trawą, zakwitły żonkile, a żywopłot wypuścił zielone listeczki. Jaka ta natura jest głupia, ślepa na wszystko, co się wokół dzieje!

Schwytała Skylark. Gdy klacz próbowała się wyrwać, szarpnęła ją gwałtownie i zaczęła siodłać.

W każdy wtorek Karl podkuwał konie w Valley View Stables, gdzie ona sama uczyła się

jeździć konno. Stajnie były odległe o kilka kilometrów, znajdowały się po drugiej stronie drogi A-40, w kierunku Whitton.

Uderzyła Skylark palcatem. Klacz, zdumiona tym niespotykanym zachowaniem swojej pani, skoczyła gwałtownie do przodu. Ruszyły truchtem. Z domu wybiegła matka, ale one już zdążyły odjechać.

Chmury się rozstały i przez powstałą w nich szczelinę przebiły się promienie słońca. Okolica tonęła w rozmytym świetle. Nic już nie jest piękne, pomyślała Imogen, wszędzie tylko zniszczenie. Uderzyła kolanami zaokrąglone boki Skylark. Ależ ten jej koń zrobił się gruby! Paskudztwo. Skylark ruszyła krótkim galopem. Droga, którą jechały, była kamienista i klacz się potknęła. Imogen znowu ją uderzyła. Nigdy już nie będę szczęśliwa, przemknęło jej przez myśl, nigdy, nigdy więcej.

Dotarła do szkoły jeździeckiej o pół do piątej. Ponieważ trwały ferie wielkanocne, wszędzie kręciły się dzieci. Furgonetka Karla stała zaparkowana na podwórzu. Jakaś mała dziewczynka wyprowadzała z boksu Crackerjacka, łaciatego wałacha. Na jej twarzy malował się wyraz, jaki zawsze mają dzieci, gdy zajmują się końmi – zaaferowany i ważny, jakby spoczywała na nich odpowiedzialność nie tylko za zwierzę, ale za cały świat. Imogen też kiedyś taka była, dzisiaj ją to śmieszyło. Zeskoczyła z konia. Dawniej czuła się tu jak w niebie, teraz rozglądała się wokół z pełnym pobłażania współczuciem.

Ze stajni wyszedł Jackie, właściciel.

– Właśnie przejeżdżałam – powiedziała do niego Imogen. – Mam wiadomość dla kowala. Czuła się jak hologram, bezcielesny twór unoszący się nad ziemią.

Przywiązała Skylark obok wodopoju i poluzowała popręg. Karl pracował na sąsiednim podwórzu; dochodził stamtąd brzęk metalu uderzanego o metal. Cała przeszłość Imogen zaczęła odpływać. Dziewczyna ruszyła jak w transie, idąc w rytm uderzeń własnego serca.

– Najpierw mój dziadek, a teraz mój własny pieprzony ojciec – powiedziała.

Siedzieli na beli siana. Karl wierzchem dłoni otarł spływającą jej po policzku łzę.

– Biedulka.

Choć pogrążona w rozpacz, czuła rozpierającą ją dumę, że siedzi tak obok niego. Koło kowala o czarnych kręconych włosach, które zdążyły już odrosnąć. Dziewczynki na pewno umierają z zazdrości! Widziały, że Imogen płacze, ale bez wątpienia myślały, że to jakaś sprzeczka kochanków, coś, o czym one nie mają zielonego pojęcia.

– Po prostu musiałam ci powiedzieć.

Zdjął z jej bryczesów kilka białych włosków. Miała nimi pokryte całe wewnętrzne strony ud; jej nogi lepiły się od potu po długiej jeździe.

– Na pewno wyglądam okropnie – powiedziała.

– Jesteś pięknie opalona.

Uśmiechnęła się przelotnie. W duszy modliła się, żeby zareagował dokładnie tak, jak tego pragnęła. Jeśli jeszcze on ją zawiedzie, nie zostanie jej już nikt. Choć darzyła go namiętym uczuciem, tak naprawdę nie znała go wcale; łącząca ich bliskość istniała tylko w jej wyobraźni i rozkoszowała się nią w samotności. W rzeczywistości spotykała się z nim tylko raz w tygodniu, w czwartki, gdy przychodził do wiejskiego pubu na partyjkę szachów z

kumplami, Spiderem i Buzem. Siadywała wtedy koło niego jak jego dziewczyna, a on na pożegnanie całował ją przelotnie w policzek. Przez resztę tygodnia marzyła o nim i wyobrażała sobie takie rzeczy, że przy kolejnym spotkaniu cała się rumieniła.

– Jak skończę, odwiozę cię do domu – powiedział. Serce zabiło jej szybciej.

– Serio?

– Poproś, żeby przenocowali twojego kucyka w stajni. Nie możesz przecież teraz wracać sama. Zaraz zrobi się ciemno, a nie chcielibyśmy, żeby spotkało cię coś złego, no nie?

Dotknął jej policzka. Czowała się z nim taka związana. Widział jej łzy, pocieszał ją. Razem pokonali przeszkody znacznie wyższe niż te, przez które kiedykolwiek skakała na Skylark.

– A tak przy okazji – powiedziała – to nie kucyk, tylko koń.

Siedzieli już w furgonetce, gdy oznajmiła nagle:

– Nie chcę już nigdy wracać do domu. Powiedział: „Zamieszkać ze mną”.

Tak naprawdę jednak powiedział zupełnie co innego.

– E tam, uspokój się. Chodź, postawię ci drinka. Pojechali do pubu. Imogen zadzwoniła do domu i telefon odebrała matka.

– Robiło się już ciemno, więc zostawiłam Skylark w stajni – tłumaczyła Imogen. – Będę w domu trochę później.

– Jak wrócisz? – zaniepokoiła się Louise.

– Jest ze mną Sandra. Jej rodzice mnie odwiozą. Odłożyła słuchawkę. Ośmielona zuchwałym kłamstwem jednym haustem wypila rum z colą, który Karl przed nią postawił.

– Mam ochotę na coś zwariowanego – powiedziała.

– Wcale nie.

– Za kogo ty mnie masz, za siusiumajtke?

– Siusiumajtka! – ryknął śmiechem. – Ale super!

– Przestań się ze mnie nabijać. Ciagle stroisz sobie ze mnie żarty.

– Strasznie słodka z ciebie dziewczynka. – Zmierzył jej włosy.

– Nie traktuj mnie protekcjonalnie! – krzyknęła ze złością. Siedząca obok para aż się obejrzała. Nie obeszło jej to, nagle wszystko przestało ją obchodzić.

– To nie moja wina... ta głupia szkoła, moja głupia pieprzona rodzina! Masz mnie za zwykłą gówniarę. Pieprz się! – Wstała.

Położył jej ręce na ramionach i siłą posadził z powrotem na krześle.

– Przepraszam. Zjedz chipsa.

– Jasne, chipsa. Jakby to miało wszystko załatwić. Uśmiechnął się do niej. Zrobiło jej się miękko w środku. Och, ich pierwsza sprzeczka! Poszedł kupić nowe drinki. Imogen wzięła jednego papierosa z jego paczki. Podał jej ogień, a ona zaciągnęła się głęboko i wydmuchwała dym przez nos, nawet się nie krztusząc. „Ochra”, widniał napis na podstawce do piwa. Co za niedorzeczne słowo!

– Zresztą kto łączy się w pary na całe życie? – spytała. – Na pewno nie borsuki.

– Hej, nigdy mi nie pokazałaś tamtych zdjęć.

– Słonie. – W głowie jej wirowało. – Ale kto chciałby być słoniem?

– Zabawna z ciebie dziewczynka, wiesz?

– Śmieszna, tak, haha? Tak śmieszna, że trzeba by ją zamknąć? – Jednym haustem opróżniła szklanę i wymownym ruchem wyciągnęła w jego stronę. – Jeszcze raz proszę.

Kiedy wstawali od stołu, zatoczyła się i musiał ująć ją za rękę. W pubie nagle zrobiło się tłoczno. Gdy trzymając ją za rękę, torował jej drogę między ludźmi, czuła się tak samo ważna jak tamte małe dziewczynki ze swoimi kucykami. Przepęniała ją typowo pijacka powaga. Jestem jego kobietą, pomyślała.

W furgonetce Karl ją pocałował. Wtuliła twarz w jego kurtkę i z rozkoszą wdychała zapach końskiego potu, którym była przesiąknięta. Przechylona ponad lewarkiem do zmiany biegów, tuliła się do niego. Pieścił jej piersi, ugniatając je przez sweter. Furgonetka śmierdziała spalonymi kopytami – był to kwaśny swąd spalonych włosów, zapamiętany z dzieciństwa, gdy bawili się z Jamiem zapalkami. Całowała Karla coraz namiętniej, wsuwając mu palce we włosy. „Kocham cię”, powtarzała w duchu. „Świat płonie, wszystko płonie, do diabła z nimi wszystkimi”.

Odsunął się od niej i przekręcił kluczyk w stacyjce.

– Odwiozę cię do domu – powiedział.

– Nie, nie wracam do domu, nigdy.

– Owszem, wracasz.

– Zabierz mnie gdzieś. Wyjechał z parkingu.

– Okay – zgodził się.

Jechali przez noc. Ile czasu spędzili w pubie? Parę godzin? Najpierw prowadził w milczeniu. Tuliła się do niego, odsuwając nieco tylko wtedy, gdy zmieniał bieg. Po jakimś czasie zjechał z drogi; przed nimi w świetłach samochodu zamajaczyła brama.

Wysiedli z furgonetki. Karl przeszedł przez bramę i podał jej rękę. Chwyciła ją i zeskoczyła. Poprowadził ją zarośniętą drogą. Zawsze tak idziemy w ciemnościach, potykamy się razem, pomyślała. Jacy byliśmy słodcy, gdy szliśmy podglądać borsuki. Zachichotała.

Noc była bezksiężycowa i prawie nic nie widziała. Gdy jednak dotarli na szczyt wzgórza, ujrzała pomarańczową lunę unoszącą się nad Londynem. Ależ był ogromny! Żal jej się zrobiło rodziców, ich małego, nędznego życia.

– Dotknij tutaj – powiedział. Wziął jej rękę i położył na kamiennym murze. – To kościół. Świętego Cuthberta.

– Cuthberta – zachichotała rozbawiona. – Jak święty może mieć na imię Cuthbert?

Szli po jakimś gruzie. Kościół nie miał dachu. Nie mogła tego widzieć, domyśliła się po prostu. Nie czuła, że znalazła się w świętym miejscu; wiedziała tylko, że wokół niej panuje przejmująca cisza.

– Wiesz, kiedy zbudowali ten kościół? – zapytał.

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. – Wzięła jego rękę i mocno ją ścisnęła. Czy czuł, jak wali jej serce? – Pomódlmy się – wychrypiała. – Pomódlmy się, żeby moi rodzice spłonęli w piekle.

Zostawiłam swojego konia, pomyślała. Tak jak wszystko inne. Unoszę się w przestrzeni nad tym zrujnowanym kościołem, płynę w górę ku brudnemu, szaremu niebu.

Uklękła i pociągnęła Karla za sobą. Prawie się przewrócił. Przyciągnęła go do siebie, tak

że ich kolana się stykały.

- Ojcze nasz – zaczęła.
- I odpuść nam nasze kary... grzechy...
- Winy – poprawiła go. – Jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...
- Przyjdź królestwo twoje...
- Ple. ple. ple – powiedziała.
- Amen.

Pocałował ją. Tracąc równowagę, chwycił się jej ramion, ratując się przed upadkiem. Z radością uświadomiła sobie, że był jeszcze bardziej pijany od niej. Osunęli się na ziemię. Wyciągnęła uwierający ją w biodro kawałek metalu – wydawało jej się, że to sprężyna z łóżka – i odrzuciła go na bok. Zaciśnęła powieki i zatraciła się zupełnie. Panował przejmujący chłód, wsunęła więc ręce pod jego kurtkę, przez materiał koszuli wyczuwając jego ciało. Karl wsunął jej język w usta. Oddychał coraz szybciej. Niezdarnie, wspierając się na łokciu, zaczął się mocować z zapięciem w jej bryczesach. Zrobiła to za niego. Włożył jej rękę w majtki. Wstrzymała oddech. Jakie to dziwne uczucie czuć obcy palec w miejscu, gdzie dotąd miał dostęp tylko własny. Rozsunęła nogi najszerzej, jak na to pozwalała jej pozycja. Jego palec wślizgnął się w nią.

– Dobrze ci, kochanie? – wyszeptał. Po raz pierwszy tak ją nazwał. Jego palec poruszał się w jej wnętrzu, dłoń wspierała się na jej wzgórku łonowym. Oblała ją fala gorąca. – Ach, jesteś wilgotna – westchnął. Oddech miał coraz szybszy. Wsuwał i wysuwał palec. – Nie mam jak się zabezpieczyć – wysapał jej prosto do ucha.

- Biorę pigułkę – szepnęła.
- Ale mimo wszystko...

Nie dała mu dokończyć. Przesunęła dłoń po jego dzinsach, aż dotarła do wybrzuszenia z przodu. Zaczęła je masować. Karl jęknął. Jaka ma nad nim władzę! Zaczął dygotać.

Poprowadził jej rękę do zamka błyskawicznego. Z trudem udało jej się go rozsunąć. Jego palec poruszał się w niej coraz gwałtowniej; szybciej i jeszcze szybciej. Nagle wyciągnął go. Uniosła pośladki, on zsunął z niej bryczesy razem z majtkami. Pomogła mu.

Położył ją płasko na ziemi. Czują, jak się porusza, ściągając dzinsy. Położył się na niej. Zaczął lizać ją w ucho i po szyi. Ich królik, Boyd, zachowywał się tak samo, gdy szykował się do kopulacji. Karl dyszał gwałtownie prosto do jej ucha. Ułożył ją wygodniej, rozsuwając jej nogi. Zrobił to jak ktoś doświadczony, kto robił to wiele razy. Gdy przesunął ją nieco w bok, gdzie ziemia była bardziej miękka, czuła ocierający się jej o brzuch, a potem udo jego członek. Kolanami rozsunął jej nogi jeszcze szerzej, po czym jego penis wszedł w nią.

Imogen prawie krzyknęła. Wbiła paznokcie w jego zimne, szokująco nagie pośladki, czując, jak kurczą się i rozkurczają. Wbijał się w nią, poruszając tam i z powrotem biodrami. Zaciśnęła powieki i ujrzała Boyda. mocno obłapiającego puszysty zadek partnerki w miłosnym zespoleniu. Karl kopulował z nią. Jego ruchy stały się szybsze. Wsunął jedną rękę pod jej krzyż i przyciągał ją do siebie rytmicznie. Starła się poruszać razem z nim; tak bardzo pragnęła, by uwierzył, że robiła to nie po raz pierwszy. Nagle jęknął głośno i chwycił ją kurczowo. Czują wlewające się w nią gorące, pulsujące fale. W końcu rozluźnił uchwyt i

westchnął pełną piersią. Leżał na niej, przytłaczając ją martwym nagle ciężarem swego ciała.

Stało się. Zrobiła to. Zaskrzeczał ptak, był to ten sam krzyk, który słyszała tamtej nocy, gdy podglądali borsuki. Po chwili oddech Karla uspokoił się i przybrał regularny rytm. Pocałował ją w czoło i odsunął się.

– Nie powinienem był tego robić – mruknął.

– Było super – odparła. Widziała nad sobą bladą plamę jego twarzy. Lecz nie potrafiła powiedzieć, czy się uśmiechał.

– Tylko popatrz na nich – powiedział Jamie.

Było sobotnie przedpołudnie i do Tesco napłynęły tłumy tatusiów i mamus z swoimi pociechami.

– Patrz na tych biednych zasrańców.

Jamie wraz z Trevorem rozładowywali warzywa. Trevor wziął ogórek, przyłożył go sobie do ramienia i wydając dźwięki jak karabin maszynowy, udał, że strzela. Okazało się to dla niego zbyt wielkim wysiłkiem. Wyczerpany oparł się o półkę i zaniósł się duszącym kaszlem palacza.

– Chodź, wysadzimy tę budę – wymyślił Jamie. – Mam ochotę na jakieś wariactwo.

Trevor wysypał marchewkę do przegródki na półce. Jedna z nich spadła na podłogę. Była dość pokaźnych rozmiarów. Trevor podniósł ją i spojrzał na Jamiego.

– Chcesz ją wziąć do domu, dla mamy? – spytał. – Może jej się przyda.

Jamie roześmiał się, ale w głębi duszy odczuwał jakiś niesmak. Opowiedział Trevorowi o rodzicach.

– Z mojego taty też kawał drania, jak z twojego starego – usłyszał na to.

– Słyszałeś ten kawał o dziewczynce i chłopczyku? – spytał Jamie, wrzucając na półkę worki z ziemniakami. – Ona chce zobaczyć jego małego, więc on jej pokazuje, a ona mówi: „I to wszystko?” – Dokończył kawał, który Trevor skwitował chrząknięciem, co w jego przypadku miało oznaczać wybuch śmiechu. – Tata mi go opowiedział – dodał Jamie.

Nagle spojrzał na przejście między półkami i dostrzegł znajomą postać. Chwilę trwało, zanim zorientował się, kto to; zwykle widywał go w innych okolicznościach. Był to kowal. Pchał przed sobą wózek, siedziało w nim małe dziecko. Obok szła mała dziewczynka i dłubała w nosie. Towarzyszyła im kobieta. W ręku trzymała kawałek papieru i mówiła coś do kowala. On kiwnął posłusznie głową i zdjął z półki kiść bananów. Kobieta zmarszczyła czoło i niezadowolona pokręciła głową. Kowal odłożył kiść i wybrał inną.

„Kiedyś z kimś mieszkał”, Jamiemu przypomniały się słowa Imogen. „Ale to się już skończyło”.

Jamie uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją. Naiwniaczka, pomyślał. Wszystkie się na to nabierają.

– Wskoczmy gdzieś wieczorem? – spytał Trevor.

– Dobra, ale musimy coś wymyślić.

– Może do Londynu?

– Nie mamy bryki.

– Och, to się jakoś załatwi. Żaden problem. – Jak na Trevora, była to wyjątkowo długa

wymiana zdań.

– To znaczy? Trevor wyjaśnił mu.

Robert odwołał swój sobotni mecz tenisa i wymknął się do Londynu. A może do Essex. Louise nie miała pojęcia. Odkąd jej mąż zaczął prowadzić drugie życie oficjalnie, już nie miał potrzeby kłamać. Powiedział, że spędzi noc poza domem. Być może załatwiał sprawy związane z przeprowadzką do tamtej kobiety. Jej małżeństwo również się rozpadło. Louise poczuła przypływ współczucia dla porzuconego męża, było nie było jej towarzysza niedoli. Zapewne cierpiał równie dotkliwie jak ona. Nagle otrzeźwiała. Chryste, przecież ten człowiek żył na jej koszt! To ona, Louise, została bez grosza przy duszy, bo trzeba było ratować jego biznes. Czy możliwe, żeby ani on, ani ta jego żona nie zdawali sobie sprawy, skąd się biorą na to pieniądze? Nie przyszło im do głowy zapytać? Kłamstwa, zdrada... Przez dwadzieścia lat żyła pod jednym dachem z człowiekiem, którą ją zdradził, który ją i dzieci ograbił z ich przyszłości. Znowu powrócił strach, ściskający jej żołądek na kamień.

Jak na razie nie powiedziała dzieciom o pieniądzach. Jak zresztą nikomu innemu z rodziny. Dla dzieci i tak cios był zbyt bolesny. Z bólem patrzyła na ich reakcję. Imogen stała się rozdrażniona i skora do płaczu.

– Nienawidzę cię! – wrzeszczała na Roberta. – Jak mogłeś zrobić to mamie?

Zamykała się w pokoju albo znikwała na całe godziny, uganiając się nie wiadomo gdzie na koniu. Była zrozpaczona, ale przynajmniej nie kryła się ze swoimi uczuciami. Co by się jednak stało, gdyby poznała całą prawdę?

Z Jamiem sprawa przedstawiała się zgoła inaczej. Udawał obojętność – i robił to tak umiejętnie, że prawie można mu było uwierzyć. Z ojcem rozmawiał zupełnie normalnie – spokojnie i bezceremonialnie.

– I tak zawsze chciałem się wynieść z tej dziury.

W sobotni wieczór dzieci dokądś wyszły. W pustym domu Louise nie mogła znaleźć sobie miejsca, smętnie snuła się z kąta w kąt. Pustym wzrokiem patrzyła na zimny kominek i przeczytane gazety. Nie mogła jeść. Nigdy dotąd w całym swoim życiu nie czuła się taka samotna. Przez czterdzieści dwa lata zawsze ktoś przy niej był – rodzice, siostry, wreszcie dzieci i mąż. Na dworze wiał wiatr, zawodząc na drutach telefonicznych. Nie mogła zmusić się, by przerwać tę dręczącą ciszę i chociażby włączyć telewizor.

Nagle zadzwonił telefon. Rosemary Giddings, sąsiadka, zapraszała ją i Roberta na kolację w następny czwartek.

Louise zebrała się w sobie. Wieści jeszcze się nie rozeszły; dla wszystkich wokół jej życie z Robertem toczyło się jak zawsze. Nadejdzie chwila, gdy będzie musiała z tym skończyć i oznajmić światu prawdę. Póki co jednak nie miała siły o tym mówić, zwłaszcza kobiecie, której nigdy nie darzyła sympatią.

– Bardzo mi przykro, ale nie możemy. – Naprędce wymyśliła jakieś wytłumaczenie, że Robert wyjeżdża czy coś takiego. Później nie potrafiła sobie przypomnieć, bo nagle Rosemary wypaliła:

– Słyszałaś już najnowszą plotkę? Margot Minchin – no wiesz, ta ze sklepu – spakowała się i odeszła. Zostawiła biednego starego Tima.



O tym, co wydarzyło się później, Louise nigdy nikomu nie powiedziała. Nawet po wielu latach, gdy przeżycia straciły swoją bolesną moc i stały się tylko rodzinnymi opowieściami, nawet wtedy nie odważyła się nikomu zdradzić wydarzeń tego sobotniego wieczoru, owej wiosny, kiedy całe jej dotychczasowe życie waliło się w gruzy.

Wkrótce po telefonie od Rosemary Louise się przebrała. Wkładając czerwoną wełnianą suknię, dopasowaną na piersiach, patrzyła na siebie jakby z dużej odległości. Potem nałożyła płaszcz i wyszła z domu. Dochodziła dziewiąta wieczorem i w ciemności słyszała szelest mijanych żywoptłów. Widziała palące się w domach światła. Miała wrażenie, że dryfuje po morzu, z dala od jakiegokolwiek lądu.

Nad sklepem także świeciło się światło. Zadzwoniła do drzwi. Czekala. Za drzwiami, w ogarniętym półmrokiem sklepie pojawił się Tim. Otworzył drzwi.

– Mogę wejść? – spytała.

Patrzył na nią zaskoczony. Ostatni raz widzieli się tamtego wieczoru, gdy Louise wyszła na spacer z psem. Weszła do sklepu. Tim zamknął drzwi.

To mi się śni, pomyślała. Robił mi zdjęcia. To smutny, chory człowiek. Robert przezywał go Obsesyjny Nudziarz.

Lecz Robert odszedł, tylko jego złośliwe słowa wciąż dźwięczały jej w uszach. A zdjęcia – cóż, wobec wszystkiego, co spotkało ją w ciągu minionych tygodni, jakoś przestała uważać je za coś dziwnego.

– Właśnie robiłem herbatę – powiedział Tim. Poszła za nim na górę. Nigdy wcześniej nie była w mieszkaniu nad sklepem. W telewizji ćwierkotała Cilla Black, na środku dywanu stał grzejnik elektryczny. Na stole zauważyła resztki kolacji. W kuchni rozległo się gwizdanie czajnika.

– Słyszałam, co się stało – odezwała się Louise. – Tak mi przykro.

Rozejrzała się, bo czegoś jej brakowało.

– Zabrała ze sobą psa?

Tim tylko przytaknął skinieniem głowy. Wyłączył dźwięk w telewizorze.

– Pewnie opowiedziała ci o mnie i o moim mężu. – Louise starała się roześmiać. – Zdaje się, że jedziemy na tym samym wózku?

Tim miał na sobie stary niebieski dres. Jego szczękę porastał kilkudniowy zarost, nadający mu niespodziewanie ordynarny wygląd. Nosił nie znane jej okulary w złoczonej oprawce. Może używał ich tylko w domu.

– Nie przeszkadza ci, że przyszłam? – zaniepokoiła się. Potrząsnął głową. Wziął od niej płaszcz i przewiesił przez oparcie kanapy.

– Czuję się taka opuszczona – powiedziała.

– Nie zimno ci? Może zwiększę ogrzewanie?

Pokręciła głową. Tim poszedł do kuchni. Po chwili dobiegł ją szcęk naczyń. W telewizji dziewczyna o blond włosach siedziała na kanapie i trzymała się za ręce z jakimś mężczyzną. Na twarzach mieli wymuszone uśmiechy. Dzieciaki nałogowo oglądały „Randkę w ciemno”, uwielbiały nabijać się z biorących w niej udział ludzi. Podobnie jak Robert.

Louise wygładziła na kolanach sukienkę. Zauważyła, że w rajstopach na kolanie puściło

jej oczko. Nie zauważyła go, gdy je wkładała. Poczula się, jakby znowu miała osiemnaście lat i rozdygotana siedziała w obcym pokoju. Na talerzu Tima zauważyła resztki pieczeni wieprzowej.

Wrócił Tim, niosąc tacę z herbatą. Gdy stawiał ją na stole, filiżanki zachwiały się.

– Masz może coś mocniejszego? – spytała. – Wlewam w siebie whisky, jakby jutro miał nastąpić koniec świata. – Umilkła zdumiona, że tak się wyraziła.

– Oczywiście. – Przyniósł butelkę whisky i dwie szklanki. Stanął i patrzył na nią. – Wciąż nie mogę uwierzyć, że przyszedłeś.

– Ja też nie. – Uśmiechnęła się.

– Z wodą?

Potrząsnęła głową, przyjęła od niego szklankę i jednym haustem wychyliła całą jej zawartość.

– Okropnie się czuję. Ona chyba nie odeszła przede mną?

– Nie, na pewno nie. – Ponownie napełnił jej szklankę. – Z tobą to nie miało nic wspólnego.

– Mógłbyś usiąść? – poprosiła. – Denerwuję się, kiedy tak stoisz.

Usiadł na kanapie, ściskając kolana jak dziewczica. Jakież on był chudy, i tak się garbił. Spoglądał na nią przez szkła okularów. Wyobraziła sobie, że je zdejmuje i kładzie na stole.

Wstała, podeszła i usiadła tuż koło niego.

– Chciałam tu przyjść – zaczęła. – To, co mi wtedy powiedziałeś, było cudowne. Wspaniale jest usłyszeć takie słowa. – Rozplotła nogi, a jej rajstopy wydały przy tym dziwnie szeleszczący dźwięk. – Byłeś bardzo miły.

– Co to znaczy: miły?

– Dużo o tym później myślałam. O tym, co powiedziałeś.

– Naprawdę? – Uniósł brwi.

– Dlatego właśnie przyszedłam. Odstawił swoją szklankę na stół.

– Chyba powinnaś już pójść.

– Ale ja nie chcę. – Delikatnie dotknęła jego dłoni palcem. – Widzisz, już nie muszę.

– To prawda, ale ja chcę, żebyś sobie poszła.

Zapadła cisza. Louise siedziała ze wzrokiem wbitym w ekran telewizora. Cilla Black chichotała bezgłośnie.

– Nie sądzisz, że robisz z siebie przedstawienie? – Tim wstał. Poprawił jakieś bibeloty na kominku. – To wcale nie jest miłe. Myślałem, że stać cię na coś więcej. – Obrócił się, by na nią spojrzeć. – Nie znoszę, kiedy ktoś mnie wykorzystuje. Nawet ktoś tak cudowny jak ty. Naprawdę myślałaś, że możesz sobie tu ot tak, przyjść i... To naprawdę nieładnie z twojej strony. – Przesunął porcelanowego pieszka. Głos mu drżał. Nagle zrozumiała, że kipiała w nim złość. – Jak przypuszczam, chciałaś się odegrać na swoim mężu, odplacić mu pięknym za nadobne. I pomyślałaś, że stary głupi Tim na to poleci. Naprawdę żałuję, ale nie mogę ci w ten sposób służyć. Po prostu nie chcę. Choć może ci się to wydać dziwne. – Wziął z oparcia kanapy jej płaszcz. – Chyba najlepiej będzie, jak oboje udamy, że to nigdy się nie zdarzyło, zgodzisz się ze mną?

Louise z trudem się podniosła. Nogi miała jak z waty. W końcu jakoś udało jej się pozbiierać.

– Jeżeli pozwolisz, zachowam twoje zdjęcia. – Podał jej płaszcz. – Może uznasz to za żalotne, ale ja przynajmniej nikomu nie robię w ten sposób krzywdy.

Droga po schodach w dół i przez sklep do drzwi wydawała się nie mieć końca. W końcu do nich dotarła. Tim przekręcił zamek i odsunął się, by ją przepuścić.

– Wybacz mi – wyjąkała i potykając się, wyszła w ciemność.

Do tej sobotniej nocy Jamie nigdy nie popełnił żadnego przestępstwa. Jako dziecko zjadł raz batonik kitekat, który jego kolega ukradł ze sklepu w pobliżu ich szkoły w Chelsea. Zdarzało mu się palić trawkę i miał nadzieję, że jeszcze nie raz to powtórzy podczas planowanej na lato podróży po Europie. Matka, na swój chaotyczny sposób, starała się wpoić mu jakieś zasady moralne, ojciec natomiast nigdy. Od października miał zamiar studiować psychologię, co bez wątplenia przybliży mu tajemnice zbrodniczego umysłu. Ale aż dotąd tak naprawdę nigdy nawet nie zbliżył się do tej sfery ludzkich poczynań.

Ach, jakież to się okazało proste! Razem z Trevorem nonszalancko przechadzał się wzdłuż zaparkowanych samochodów. Trevor szedł wyprostowany. Nagle całe jego zachowanie stało się zdecydowane, bardzo profesjonalne – był skoncentrowany, jakby wszystkie jego molekuły zwały się w sobie. Intuicyjnie zdawał się wiedzieć, gdzie uderzyć.

I zrobił to. Z gracją podszedł do escorta i rozejrzał się czujnie wokół. Wyglądał, jakby szkolił się na nadejście tej właśnie chwili niczym lekkoatleta wchodzący na bieżnię. Było ciemno, na ulicy ani żywego ducha. Pomajstrował przy drzwiach i w jednej sekundzie siedzieli w środku. Wnętrze samochodu pachniało czystością i sosnowym odświeżaczem powietrza. Komivojazer, pomyślał Jamie. Ofiara przestępstwa, przyszło mu. zaraz potem do głowy.

Ryknął włączony silnik. Już samo to zabrzmiało bezprawnie. Ruszyli. Jamiego odrzuciło do tyłu. Nie zapiął pasów; żaden szanujący się złodziej samochodowy nigdy tego nie robi.

Wyjechali z High Wycombe. Nadjeżdżający z przeciwka samochód błysnął im długimi światłami.

– Światła! – syknął Jamie.

Naćpany po uszy Trevor zaczął gmerać przy desce rozdzielczej. W końcu udało mu się znaleźć odpowiedni przełącznik. Pędzili teraz oświetlonym tunelem, którego ściany tworzyły rosnące wzdłuż drogi wysokie żywopłoty. Spływali jak wyciekająca z umywalki woda; ktoś wyciągnął korek i wirując, polecieł w dół.

– Ale jazda! – prychnął Trevor.

Jamie poczuł przyływ adrenaliny, aż ścisnęło go w kroczu. Po koniuszki palców czuł, że żyje. Co za moc! Włamujesz się, odpalasz, ruszasz, tak po prostu! Wszystko: złość, niepewność, przypadek, poszło w zapomnienie. Chrzanić to. Przemknęli obok ciemnej bryły Tesco. Mijając supermarket, jednym palcem posłali w jego stronę salut. Strzałka szybkościomierza szła w górę... 80... 85... 95...

– To lepsze niż seks! – wrzasnął Jamie.

Nawet te kilka doświadczeń, które miał za sobą, stało się niczym wobec tego. Trevor

jechał w stronę Londynu. Teraz, kiedy siedział za kierownicą, prezentował się po prostu wspaniale. Jamie poczuł się jak omdlewająca z zachwytu dziewczyna, z którą Trevor umówił się na randkę. Gdy ostro wchodzili w zakręty, łapał się kurczowo klamki.

Nagle coś się stało. Później nie bardzo mógł sobie przypomnieć co; on także był naćpany po uszy. Nie wiadomo skąd wyrosła przed nimi jakaś brama i rozprysła się na boki niczym konstrukcja z zapalek. Trevor chichotał jak maniak.

– Hej, uważaj! – krzyknął Jamie.

Na szybko prysnęły strugi błota. Jamie wbił się rękami w deskę. Zrobił unik, chroniąc głowę przed uderzeniem. Samochód gwałtownie się zatrzymał.

Trevor chichotał dalej. Wrzucił wsteczny bieg. Kola wściekle zabuksowały.

– Opuścić pieprzony statek! – zaskrzeczał. Jamie gwałtownie otworzył drzwiczki.

– Kobiety i dzieci najpierw! – Wylądował na czworakach w błocie.

Gdy się podnosił, patrzył na siebie, nie mogąc wyjść ze zdumienia. Coś podobnego, wyszedł z tego cało niczym postać z kreskówki. Wyglądało na to, że znaleźli się pośrodku świeżo zaoranego pola. Obaj z Trevorem zaczęli biec, sadząc długie kroki. Obejrzał się na porzucony samochód. Ciemność przecinały dwa snopy światła rzucane przez przednie reflektory. Oświetlone wnętrze pojazdu dziwnie przypominało dom.

– Ruszaj się, świrze – ponaglił go Trevor.

Potykaçąc się, dotarli do wyrwy w ogrodzeniu, gdzie jeszcze do niedawna była brama. Jamie przeiaźł przez połamane deski i poślizgnął się na koleinach zostawionych przez koła samochodu. Bolało go kolano; pewnie wyrznął nim w deskę rozdzielczą.

Pobiegli pnąc się na wzgórze drogą. Jamie przystanął, by złapać oddech. Na niebie widać było pomarańczową lunę nad Londynem. W dole połyskiwały światła jakiejś miejscowości. Dotarło do niego, że to Wingham Wallace. Znajdował się zaledwie milę od domu.

W następnym tygodniu Louise pojechała do Londynu spotkać się z ojcem. Umówili się na lunch w restauracji nieopodal Marble Arch. Dlaczego właśnie tam? Nie miała pojęcia. Jej ojciec poruszał się teraz po zupełnie nowym terytorium.

Mijani na ulicy przechodnie irytowali ją. Tylu ich było, pchali ją i potracali. Jeszcze do niedawna lubiła przyjeżdżać do Londynu, teraz jednak pełno w nim było obcych, których ona nie obchodziła i którzy codziennie mieli do czego wracać. Przez całe jej życie drzwi się otwierały i wpadało przez nie słońce, a teraz nagle zatrasnęły się jej przed nosem. Dokładnie rzecz biorąc, zamknęły się cicho i z żalem. „Ja chcę, żebyś sobie poszła”, powiedział Tim.

Minęła księgarnię z wystawą zawałoną *Igrając z ogniem*.

Miała wrażenie, że minęły całe dziesięciolecia, odkąd ostatnio myślała o siostrze i Erin, nie mówiąc już o matce, która spotkawszy mężczyznę z ogłoszenia, zdawała się odrodzona. Louise odgradziła się od innych ludzi, żal i gorycz odizolowały ją od świata, który nagle stał się zimny i bezduszny. „Mam cię gdzieś”, krzyczał do niej ze wszystkich stron.

Ojciec wyglądał nieprzyzwoicie dobrze. Od ich ostatniego spotkania bardzo odmłodził. Miał na sobie żółty golf, w którym przypominał pewnego siebie zawodowego gracza w golfa.

– Spróbuj to jakoś naprawić – radził. – Powiedz, że mu przebaczasz, i daj draniowi

jeszcze jedną szansę.

– Zabawne, ale mama powiedziała to samo. – Patrzyła na kartę dań. – Ty nie próbowałeś, pamiętasz? Przyszliśmy do ciebie, błagałyśmy cię, ale ty nas nie chciałeś słuchać. Wypisałeś się ze wszystkiego.

– Ale wy macie dzieci.

– My także jesteśmy twoimi dziećmi. Tylko dorosłymi. Myślisz, że nas to nie boli? – Spojrzała na dania z makaronu. *Carbonara... bolognese...* Różne nazwy, ale zawsze to samo, zwykła mąka i woda. – Przez ciebie poczułyśmy się tak, jakby całe nasze dzieciństwo było jedną wielką farsą, udawaniem, a ty tylko czekałeś, żeby odejść.

Przez chwilę wyglądał, jakby czuł się winny.

– Czy właśnie dlatego chciałeś się ze mną spotkać? Żeby mi to powiedzieć?

Pokręciła głową.

– Przyszłam prosić cię o pomoc.

– Dziwnie się do tego zabierasz. Trochę w stylu Maddy. Straciłam swój urok, pomyślała. Ale to takie męczące wiecznie być czarującą. Odetchnęła głęboko i opowiedziała mu o wszystkim.

– Przełał wszystkie pieniądze z naszego konta. Nigdy nie sprawdzałam wyciągów, więc nie miałam pojęcia, że coś się święci. – Umilkła na chwilę. – Robert nas zrujnował. Nie wiem, co robić. Będę musiała sprzedać dom, ale ponieważ i tak już nie należy do mnie, nie na wiele się to zda.

Ojciec słuchał jej, ale bez zbytniego zainteresowania, jakby czytał gazetę czy słuchał wiadomości w radiu.

– Moje biedactwo – pożałował jej. – Nigdy nie ufałem temu gościowi, wiesz o tym. Pamiętasz, jak napisał za Imogen wypracowanie i dostała piątkę? Czy tak się wychowuje dzieci? – Mówił do niej, ale miała wrażenie, że dzielą ich setki mil.

– Zastanawiałam się... czy mógłbyś mi pożyczyć trochę pieniędzy.

Gordon podrapał się w nos. Westchnął i spojrzał na nią.

– Kochanie, obawiam się, że to niemożliwe. Przynajmniej w tej chwili.

– Co się stało?

Nachylił się, wziął teczkę i otworzył ją. Podał córce broszurę biura sprzedaży nieruchomości.

– Wczoraj przyjęli moją ofertę. – Postukał palcem w zdjęcie ogromnego domu z czerwonej cegły. – Na początku April nie była zachwycona, ale przekonałem ją. Kiedy czegoś chcę, nie ustępuję tak łatwo. Podoba ci się?

Nie potrafił ukryć podekscytowania w głosie. Co za potwór, pomyślała Louise. Szczęście, tak samo jak rozpacz, czyni z nas potwory.

– To w Wandsworth – powiedział. – No, w zasadzie na obrzeżach.

– Jest ogromny – zauważyła, przyglądając się zdjęciu.

– Może jestem trochę szalony, ale chyba wszyscy mamy w sobie coś z szaleńców. Jest trochę zaniedbany, co odstrasza ludzi, ale to żaden problem. – Patrzył na zdjęcie, jakby przedstawiało jego nowo narodzone dziecko. – Problem w tym, kochanie, że spłukałem się do

czysta. Może mógłbym wyskrobać parę tysiączków, ale tobie pewnie chodzi o trochę więcej, prawda?

– Trochę – kiwnęła głową.

Ułamała kawałek chleba. Szczęście ukradło mi ojca, pomyślała. Zaczął nowe życie, w którym ja nie jestem mu już potrzebna. Cała moja rodzina zaczęła nowe życie i stało się. Jestem sama, sama jak palec.

Po pracy Prudence umówiła się z matką. Dorothy nadal mieszkała w wynajętym pokoju, kilka domów dalej, przy tej samej ulicy co córka. Mieszkanie matki, z oknami w suficie, trochę przypominało kwaterę studencką. Matka ubrana była na wieczorne spotkanie z Erikiem.

Dorothy jakby ubyło dziesięć lat. Miała na sobie błękitną jedwabną suknię spiętą na ramieniu klamrą. Może była nieco zbyt wulgarna, ale matka ostatnio się zmieniła, stała się bardziej pewna siebie, z czym zresztą bardzo było jej do twarzy. Prudence dziwnie się czuła, patrząc na nią.

Dorothy otworzyła butelkę wina i napełniła dwa kieliszki.

– Węgierskie Harslevelii – powiedziała. – Ostatnio moje ulubione.

– Od kiedy to znasz się na winach?

Dorothy zarumieniła się. Prudence wiedziała, że matka wręcz marzy, by porozmawiać o Ericu, ale chwila nie była nazbyt odpowiednia. Patrzyła więc tylko na córkę, promieniejąc szczęściem.

– Co zrobimy z Lou? – spytała Prudence.

Tak naprawdę chciała zapytać: co zrobimy ze mną? Gdy rozmawiały, myślami błądziła gdzie indziej. Patrząc na tapetę w paski, myślała, że jakaś nowa kobieta zniszczyła związek siostry. A jej niszczyła stara, czy też raczej obecna.

– Nie mam pojęcia, co począć z Kaatyą – powiedziała nagle. Matka zamarła z kieliszkiem uniesionym do ust.

– Z Kaatyą? A co ona takiego zrobiła?

– Wiesz, co znaczy zazdrość. Opowiedz mi o tym, powiedz, co mam robić. Widziałam ją. Myślałam, że poczuje się lepiej, ale to tylko wszystko pogorszyło. – Zaszumiało w rurach, któryś z lokatorów brał kąpiel. Był to najbardziej samotny dźwięk na świecie. – Zupełnie jakby mieszkała z nami... jest w głosie Stephena, w powietrzu...

Matka była jedyną osobą, którą mogła o to zapytać. Maddy by jej nie zrozumiała, Lou miała własne problemy. A już na pewno nie mogła zwierzyć się ze swoich rozterek Stephenowi.

– Mam wrażenie, że oni dalej są małżeństwem. Zawsze uważałam się za osobę rozsądną, ale ona jest jak duch.

– Nawet rozsądni ludzie wierzą w duchy – powiedziała matka. – Dlatego tak się ich boimy.

– Kogo: rozsądnych ludzi czy duchów?

Matka roześmiała się.

– Spotkaj się z nią – poradziła. – Wproś się do niej na herbatę. Może ona czuje się

podobnie jak ty. Zresztą, jakakolwiek by była, nie może okazać się gorsza niż twoje o niej wyobrażenia. Moje małe biedactwo.

„Moje małe biedactwo”. Matka nigdy wcześniej tak do nich nie mówiła. Nie tylko garderobę miała nową, słownictwo także.

Prudence wyszła. Przystanąła na krawężniku, czekając, aż będzie mogła przejść na drugą stronę ulicy. Nagle zapragnęła, aby w pobliżu znalazła się jakaś dorosła ręka, którą mogłaby ująć. Moi rodzice nie są już rodzicami, pomyślała. Straciłam ich na zawsze.

Przebiegła Titchmere Road. Zanim dotarła do swoich drzwi, podjęła decyzję.

W sobotę rano Robert wyprowadził się z domu. Jego wyładowane po dach BMW z chrzęstem wyjechało ze zwirowanego podjazdu. Od czasu, gdy dzięki Dorothy wybuchła bomba, minęły trzy tygodnie. Wypadki toczyły się własnym rozpędem; ani Robert, ani Louise nic nie mogli na to poradzić. Robert przeniósł się do wynajętego mieszkania w Londynie, gdzie bez wątplenia zamieszka z nim kochanka. Nikt jednak go o to nie zapytał.

W jego odejściu było coś haniebnego. Obyło się bez scen i łez. Jego świadkami byli tylko Louise i pies. Jak gdyby wraz z zapadnięciem decyzji cała rodzina nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie się wyniesie, niczym niemile widziany weekendowy gość. Po raz ostatni Louise usłyszała cichnący w oddali silnik jego samochodu. Zjawi się jeszcze, by pomóc w opróżnieniu domu z chwilą, gdy zostanie sprzedany, ale to właśnie dzisiaj opuszczał swoją rodzinę na dobre. Jest jak szczer uciekający z tonącego statku, pomyślała Louise. Robert nigdy nie odznaczał się szczególną odwagą moralną, do czego wielce z siebie zadowolony nieraz w przeszłości sam się przyznawał.

Wróciła do salonu i usiadła. A może jednak właśnie to odejście było dowodem odwagi? Co się z nim teraz stanie? Na półkach zauważyła puste miejsca – Robert zabrał niektóre swoje książki.

Resztę zastawił. „Przecież ty nigdy nie czytasz książek. Chyba że ci się wydaje, że to »Elle«,».

Do pokoju weszła Imogen. Przysiadła na oparciu fotela matki i pogładziła ją po włosach, jak córka w sztuce teatralnej.

– Nie płacz, mamó – powiedziała.

Nie na wiele się to jednak zdało, bo po chwili sama się rozplakała.

Imogen znalazła Jamiego w przyczepie. Siedział spowity kłębam dymu z papierosa i czytał „Viz”.

– Jak możesz? – zaszlochała. – Jak możesz siedzieć tu sobie jak gdyby nigdy nic? Mama jest w strasznym stanie. – Patrzyła na jego schyloną głowę. Zauważyła, że drżą mu ramiona. Dopiero po dobrej chwili zorientowała się, że on się śmieje. – Jamie!

Pokazał jej stronę, na której otwarte było czasopismo.

– Czytałaś *Teda i jego wielkie jaja!*

– Co się z tobą dzieje?

– Dzieje? – Podniósł głowę i spojrzał na nią zdziwiony. – Nic.

– Ona cię potrzebuje! Przez cały tydzień nie kiwnąłeś nawet palcem! Prawie cię nie było w domu – co noc włóczysz się gdzieś z tym swoim obrzydliwym koleśkiem.

– A gdzie ty byłaś w czwartek wieczorem? – zapytał.

– Ptaszki ćwierkały, że zalewałaś się w trupa w Bull's Head z twoim ślicznym kowalem.

– Wcale się nie zalewałam. Po prostu przesiedziałam tam godzinę czy dwie. Karl w czwartki gra w szachy.

– Urocze.

Obrócił stronę. Przyglądała się jego jasnym, miękkim włosom – miał takie od najmłodszych lat.

– Nawet cię nie obchodzi, co się dzieje! – rzuciła oskarżycielskim tonem.

– Słuszna uwaga. – Odwrócił kolejną stronę. – Osobiście gównu mnie to wszystko interesuje. Jeśli o mnie chodzi, to wszyscy mogą iść do diabła, chociaż tata pewnie zajęździ się z tą babą na śmierć.

– Wiesz co? Zaczynasz mówić tak jak on. Jak tak dalej pójdzie, to kiedy się ożenisz, będziesz taki sam jak tata...

– Chyba się nie ożenię.

– ... będziesz kłamał, oszukiwał, staniesz się samolubnym ;ynikiem – dokończyła, nie zwracając na niego uwagi. – Jest v tobie jakieś okrucieństwo, zupełnie jak w nim...

– Jesteś żalosa. – Rozejrzał się za papierosami. – Doroślij, siostrzyczko. Gównu wiesz o facetach. Wyznajemy zasadę: iupcz górę, byle miała dziurę.

Skrzywiła się.

– Jesteś obrzydliwy. Na szczęście nie wszyscy mężczyźni ;ą tacy.

– Czyżby?

– Tak jest!

– Strasznie jesteś zabawna w tej swojej idealistycznej ignorancji. – Pstryknął zapalniczką. Nie zadziałała.

– Masz kompletnie zboczony charakter – powiedziała. Znowu pstryknął zapalniczką.

– Cholera – zdenerwował się.

Ze zdumieniem zauważyła, że drżą mu ręce.

– Więc według ciebie faceci tacy nie są? – spytał kpiąco. – wiesz, z kim widziałem w sobotę twojego kowala? W Tesco?

– Z kim? Milczał chwilę.

– Och, zresztą nieważne.

– Z kim, ty kutasie?

Spojrzał na nią. Nigdy nie zapomni wyrazu jego oczu, wyzielającej z nich dzikiej, złośliwej satysfakcji. Zrobiło jej się zimno.

– Tylko z żoną i dwójką dzieciaków. – Uniósł brwi, udając zdziwienie. – Nie wiedziałaś?



## Rozdział trzeci

Droga była daleka – dziesięć mil. Imogen przejechała Westcott Ridge, ominęła Blackthorn Wood i znalazła się w małym przysiółku Little Wallace. Wyjechała na główną drogę. Skylark, wiedzona zwierzęcym instynktem, wyczuwała, że coś jest nie tak. Denerwowały ją samochody, a gdy obok przejechał autobus, tak gwałtownie uskoczyła w bok, że Imogen uderzyła się w nogę o słupek na przystanku autobusowym. Po chwili minął je samochód z puszczoną na pełny regulator muzyką. Skylark szarpnęła się do przodu, nieomal wyrzucając Imogen z siodła. Galopowały wzdłuż krawędzi drogi, potrącając kosz, z którego cała zawartość wysypała się w krzaki – tego też klacz się przestraszyła – w końcu minęły kurzą fermę z klatkami i kominem. Na niebie kłębiły się chmury, a ostry wiatr smagał Imogen po twarzy, aż łzy napływały jej do oczu.

TETBURY MAGNA 3 KM. Skręciły w odbijającą na lewo drogę. Grzbiet Skylark lśnił od potu. Uda Imogen drżały, gdy anglezowała razem z koniem, pośladki uderzały o siodło. Rzuciła okiem na zegarek – było pół do szóstej. Jechała już od dwóch godzin. Nogi ją bolały, a ramiona drętwiały, jakby wybiła je sobie ze stawów.

Nigdy dotąd nie widziała domu Karla. Nigdy tam do niego nie dzwoniła, tylko na jego telefon komórkowy. Przypomniła sobie jego język w ustach, poruszający się w niej członek. „Jesteśmy tylko zwierzętami. Zwierzętami w ubraniach”.

Niebo zrobiło się ciemniejsze; wyglądało, jakby zaczął zapadać zmierzch, choć do końca dnia zostało jeszcze wiele godzin. Wjeżdżając do wsi, Imogen czuła ogarniające ją znużenie. Miała teraz przed sobą całe życie, które jeszcze ją czekało. Jak ludzie sobie radzili. Po co to wszystko? Nagle ze zdziwieniem zorientowała się, że jej ojciec odszedł zaledwie kilka godzin temu. Miała wrażenie, że od tamtej chwili dzieliło ją co najmniej stulecie. W ciągu minionych dwóch tygodni niewidzialna ręka przerzucała ją przez nie znane jej dotąd, wrogie granice, by w końcu porzucić na obcej zupełnie ziemi.

Riverview Close, 14. Imogen przekroczyła most. Płynąca pod nim woda nie była nawet rzeką, lecz zaledwie nędznym strumieniem zaśmieconym puszkami. Riverview Close okazało się niewielką osadą komunalnych domów. Ojciec określiłby je jako niechlujne, ale ona już nie musi go słuchać. Domy skupiły się wokół kawałka ziemi porośniętego niechlujną, zdeptaną trawą, a na samym jego środku królował na wpół rozebrany samochód. Nagle Imogen zapagnęła znaleźć się z powrotem w domu, na znajomych zielonych błoniach, i mieć znowu dwanaście lat, gdy z kuchni dobiegało matczyne nucenie. Wtedy jeszcze czuła się bezpieczna, a Monty, słysząc nadjeżdżający samochód ojca, ciężko podnosił się na łapy.

Na trawniku wokół numeru 14 walały się porzucone zabawki. Z domu dobiegał słaby odgłos włączonego telewizora. Nigdzie nie dostrzegła zaparkowanej furgonetki.

Poczuła, jak ciało Skylark drży; klacz dyszała ciężko. Zakaszłała – zabrzmiało to jak kaszel chorego na bronchit człowieka. Imogen zeskoczyła z niej. Nogi miała jak z galarety.

A więc jeszcze nie wrócił do domu. Poprowadziła konia za domek do zabawy; nie chciała, aby ktokolwiek ją zauważył. Domek był zrujnowany; okna miał powybijane, a

otwarte drzwi zwisały krzywo, zaczepione tylko na jednym zawiasie. Imogen uwiązała konia i wytarła nos wierzchem rękawiczki. Już nie płakała.

– Wcale go nie znałam – mówiła Louise. – Własnego męża. To mnie najbardziej przeraża. Margot, właścicielka sklepu, z którą kilka dni temu rozmawiałam, była mi bliższa niż ktokolwiek inny. Ale ona odeszła. Dwadzieścia lat okazało się niczym – czy to nie przerażające?

Z drugiego końca linii dobiegły ją pocieszające słowa Prudence. Boże, jak ja za nim tęsknię, pomyślała Louise. Gdzie ja znajdę kogoś, kto będzie potrafił mnie tak rozśmieszyć?

– Wiesz co? – spytała Louise. – Czasem żałuję, że mama się wygadała. Wolałabym o niczym nie wiedzieć. Żylibyśmy dalej, jak gdyby nic się nie stało. – Popatrzyła na porzucone na dywanie pantofle Roberta. Dostał je od Imogen na Boże Narodzenie, ale teraz ich ze sobą nie zabrał. – Czemu nie mogła siedzieć cicho? Mama zawsze robi tyle zamieszania, nie sądzisz? Wtrąca się w nasze życie i tylko je komplikuje – tobie i Stephenowi, Maddy i Erin.

– Czemu nie masz pretensji do taty? – zdziwiła się Prudence. – W końcu przez niego to wszystko.

Louise wyjrzała przez okno sypialni. Miała przed sobą smukłą wieżę kościoła, na której zepsuty od lat zegar pokazywał niezmiennie godzinę 3. 15.

– Gdyby dało się cofnąć czas, tata nie miałby tego zawału.

– Umilkła. – Jesteś dzisiaj zajęta? Może wpadłabyś na kolację?

– Jakże szybko się wszystko zmieniło: teraz ona była tą, która szukała towarzystwa. – Jamie wychodzi, ale Imogen będzie w domu.

– Och, żałuję, ale nie mogę – odparła Prudence. – Umówiliśmy się, że zjemy razem na mieście.

My. Nagle świat pełen był „nas”. Tylko Louise już dla nikogo nie była najważniejsza. Osłabła z żalu nad samą sobą odłożyła słuchawkę.

Stephen wrócił do domu ze stertą papierów. Usiadł przy kuchennym stole i wpatrywał się w nią.

– Mój szacunek dla twojej matki rośnie z każdym dniem – powiedział. – Nigdy w życiu tak ciężko nie pracowałem.

– To prawda. – Prudence pokiwała głową. – Dotąd zawsze ktoś to za ciebie robił.

Otworzył pękaty segregator.

– Jak myślisz, co jest większą torturą: wypełnianie deklaracji VAT czy czytanie manuskryptu Jeffreya Archera?

Roześmiała się.

– Zrobić ci coś do picia? Spojrzał na nią.

– Jesteś bardzo miła. Co zrobiłaś z włosami?

– Tylko... no wiesz... umyłam je.

– Wychodzimy gdzieś dzisiaj? Prudence wróciła z butelką ginu.

– Zostaliśmy zaproszeni na kolację.

– Gdzie?

– Do twojej żony.

– Co takiego? – Stephen wpatrywał się w nią zdumiony.

– Pomyślałam, że najwyższa pora, żebyśmy się... no... spotili. To głupie, że dotąd jej nie poznałam. Zadzwoiłam więc do ej...

– Zadzwoiłaś do Kaaty?

– A ona zaprosiła nas na kolację.

Było już pół do siódmej, a Karl jeszcze nie wrócił. Imogen sieziała w domku, skąd przez rozbite okno mogła obserwować jego om. Na chwilę wybiegło z niego dziecko, bawiąc się patykiem. Wróciło, gdy z domu przywołał je kobiecy głos.

Tymczasem słońce zaczynało zachodzić. Odbijało się od zasłoniętego kartonem okna sypialni w domu Karla. Imogen zadrzała, pomyślała o domu, w którym miała zamieszkać z Karlem w przyszłości, na farmie wśród wzgórz. Zrobiło jej się niedobrze, jak ;dyby ktoś wsunął jej rękę w gardło i szarpał wnętrzności. Sama nie wiedziała, na co właściwie czeka – aż on przyjedzie i będzie mogła się przekonać, że naprawdę tu właśnie mieszka? By zadać ;obie jeszcze więcej cierpienia? Przypomniały jej się wyłaniające się z nory borsuki, odgłos jego wstrzymwanego oddechu. Kocham go, kocham go, kocham go...

Wnętrze domku przedstawiało opłakany widok. Skautowskie odznaki na ścianach zapisane były graffiti: ALLY WINGATE LUBI POKAZYWAĆ. Wszędzie wokół leżały porozwalane styropianowe formy, w które zwykle pakuje się sprzęt elektromechaniczny, a przypominały Imogen kawałki kry lodowej. Na Antarktyce taka sama kra pokrywa ocean. Wielka rana w warstwie ozonowej się powiększa i świat zaczyna się topić.

Nagle uszu Imogen dobiegł szum silnika. Wyjrzała przez okno i zobaczyła, jak furgonetka Karla podjeżdża i parkuje przed domem.

Dalej wydarzenia potoczyły się w takim tempie, że nawet nie miała czasu pomyśleć. Potykając się, wyszła z ukrycia, otarła się o zagrządzającą jej drogę Skylark i obiegła budynek.

– Karl! – syknęła.

Za późno jednak. On zdążył już wejść do domu. Imogen wróciła za domek. Musiała oprzeć się o ścianę, bo nogi odmawiały jej posłuszeństwa.

Stała tak oparta przez chwilę, czekając, aż w uszach ucichnie walenie własnego serca. Teraz już jedyne, co mogła zrobić, to wracać do domu. Poza tym zaczynało się ściemniać. Coś złego może ją spotkać, może się nawet zabić. Spadnie z konia i skona w męczarniach, a on będzie szlochał nad jej grobem.

Nagle dotarły do niej podniesione głosy. Kobieta krzyczała – wysokim, rozhisteryzowanym głosem. Dziecko płakało. Imogen ostrożnie wyjrzała zza rogu domku.

– Pieprzył się z nią tak?! – wrzeszczała kobieta. Wypchnęła Karla przez drzwi. – Ty cholerny draniu!

Karl starał się jej coś tłumaczyć, ale jego słowa nie docierały do Imogen. Położył ręce na ramionach kobiety. Odepchnęła go i zachwiał się.

– Odpieprz się! Wynoś się do niej, tej małej dziwki, niech sobie ciebie bierze, do kurwy nędzy! Spieprzaj i nie waż się wracać!

Imogen stała jak sparalizowana. Czuła, że ogarnia ją fala gorąca, a w ustach jej wysycha.

Przez chwilę nie była w stanie się poruszyć, ze szczęścia wirowało jej w głowie. Zaraz

jednak rzuciła się biegiem w stronę zaparkowanej kilka metrów od niej furgonetki. Stała zwrócona do niej tyłem. Imogen przebiegła trawnik, otworzyła tylne drzwiczki i wskoczyła na pakę.

W samochodzie – nowiuteńkiej carrerze – siedzieli czterech. Na szybie była nalepka, która wskazywała, że właściciel odwiedził kiedyś „Centrum Jeździectwa w Okehampton Shire”. Jamie, weteran mający na swoim koncie jedną kradzież samochodu, dołączył do starych wyjadaczy, trzech sąsiadów Trevora z tego samego osiedla. Ukradli carrerę z parkingu na tyłach Rickmansworth Supersaver. Jamie siedział wciśnięty między dwóch z nich. Kolesz z jego lewej strony miał chyba na imię Edge. A może Egg? Drugiego, wielkiego tłuściocha, męczyła potężna grypa. Jamie trzymał głowę na kłódkę, bo bał się, że zaczną przedrzeźniać jego akcent. Poczęstował wszystkich chłopaków papierosami.

– Mój stary spieprzył dzisiaj rano z domu – powiedział i natychmiast tego pożałował. Nikogo to nie interesowało.

Za kierownicą siedział zgarbiony Trevor. Jechali do Londynu, na koncert w Brixton. Trevor ogolił sobie głowę i chociaż na dworze zaczynało zmierzchać, założył ciemne okulary. Jego szyję zdobił wielki pryszcz. „Włącz światła”, chciał mu przypomnieć Jamie, ale jakoś zabrakło mu odwagi.

Zmieniając gwałtownie biegi, Karl wyjechał z wioski. Przez chwilę Imogen nie odważyła się zdradzić swojej obecności. Jeśli go zaskoczy, może spowodować wypadek. Poza tym pragnęła się rozkoszować chwilą, nasycić się nią, by później móc ją długo wspominać.

Przytulona do przenośnego kowadła siedziała, obejmując rękami kolana. W ciemnościach wpatrywała się w tył jego głowy. Gdyby się nachyliła, mogłaby jej dotknąć. Rozpierała ją radość. Zostawił żonę dla mnie, myślała. Dla MNIE. Kocha mnie i już zawsze będziemy razem. Gdybym nie zostawiła we wsi uwięzanej Skylark, moglibyśmy tak jechać bez końca.

Gwałtownie skręcił i musiała się przytrzymać, żeby nie stracić równowagi. W skrzyni zagrzecotały przesuwające się podkowy. Dokąd on jechał? Do jej domu, po nią? Ach, ale jej tam nie zastanie! Imogen uśmiechała się do siebie; patrzyła na majaczące w ciemnościach narzędzia. Rzuci szkołę, nareszcie się od niej uwolni; zresztą i tak nigdy nie udałoby jej się dobrze zdać egzaminów, nie była tak zdolna jak Jamie. Ucieknie z Karlem, zamieszka z nim w jego furgonetce i będzie mu pomagać w pracy.

Razem będą jeździć do koni, a noce spędzać przytuleni pod jego kocem.

Karl zwolnił. Nie widziała, gdzie byli; może po drodze chciał jeszcze wstąpić do pubu. Biedactwo, na pewno jest bardzo zmartwiony. Ale przecież ona pozwoli mu widywać się z rodziną, okaże wspinałomyślność.

Nachyliła się, żeby dotknąć jego ramienia. Zatrzymała się jednak w pół drogi, bo usłyszała, że wybiera jakiś numer na swoim telefonie komórkowym.

Uśmiechnęła się. Dzwoni do niej! Odbierze matka: „Obawiam się, że jej nie ma. Z kim mam przyjemność?”

– Shirley? To ja – powiedział Karl. – Dowiedziała się... tak... jedna wielka awantura... co? Tak... Będę u ciebie za pięć minut... Ja ciebie też, kochanie!

Trevor skręcił w zjazd na autostradę. Jamie wyciągnął szyję... 140 km na godzinę... 150...

Lampy nad drogą już się paliły, połyskując na tle zachodzącego słońca. Zastępowały światło umierającego dnia swoim niesamowitym blaskiem. „Albowiem naturalny porządek został obalony, żywioły wpadły we wściekłość... „. Rozbawiło go wspomnienie niedawnych egzaminów, które zdał na piątkę. Ojciec otworzył z tej okazji butelkę szampana.

– Ktoś widział moje bibułki? – Wielkolud po jego prawej stronie grzebał w kieszeniach. Trevor rzucił mu przez ramię opakowanie Rizlas.

Rany, pomyślał Jamie, będziemy palić trawę. W kradzionym samochodzie. Dawno temu tata zabrał go na wielką wodną zjeżdżalnię i kiedy stał na jej szczycie, zaciskał powieki, czekając, aż zacznie zjeżdżać. Ach, z jakim impetem ruszył! Leciał w dół, a ciało nie nadążało za nim.

– Obrobiliśmy w zeszłym tygodniu wasz sklep – powiedział Trevor.

Dopiero po chwili dotarło do Jamiego, że kumpel zwraca się do niego.

– Coście zrobili?

– Rachuciachu i po strachu.

– Chcesz powiedzieć, że się włamaliście? – spytał Jamie.

– Nie, nie włamaliśmy się – tłumaczył cierpliwie Trevor, jak gdyby miał do czynienia z kimś cofniętym w rozwoju. – Gościu był w pokoiku na zapleczu. Proste jak rypanie jeża.

Furgonetka stanęła. Karl wyłączył silnik. Trzasnęły drzwiczki.

Imogen siedziała skulona na pace z rękami przyciśniętymi do oczu. Słyszała szmer głosów – Karla i jakiejś kobiety. W uszach jej szumiało.

Głosy się oddaliły, w końcu nic już nie słyszała. Z rękami wciąż przyciśniętymi do oczu, czekała zmartwiała. Stygnąc, silnik wydawał ciche dźwięki przypominające tykanie zegarka.

Ocknęła się wreszcie zupełnie zdrętwiała. Poruszyła się i odrobinę uchyliła tylne drzwi. Na zewnątrz panowały nieprzeniknione ciemności. Przez chwilę myślała, że noc jest tak czarna, po chwili jednak zorientowała się, że otacza ją gęsty piniowy las. Wskoczyła z furgonetki. Wśród drzew biegła wiodąca do domu ścieżka. Można było do niego trafić, chyba tylko rozsiewając po drodze okruszki chleba, bo stał samotnie na środku polany. Karl i kobieta otworzyli drzwi i zalał ich jasny strumień światła. Weszli do środka i drzwi się za nimi zaniknęły.

Imogen zaczęła biec na oślep. Gałęzie uderzały ją po twarzy. Boże, jaka cisza panowała w tym lesie! Miała wrażenie, że jej ciało nic nie waży, jakby wszystko to rozgrywało się we śnie. Wiedziała jednak, że to nie sen. Noc zapadła wcześniej, gasnące światło nie miało się jak przebić przez korony drzew. Biegła po sprężystym dywanie piniowych igieł, łudząc się, że mimo wszystko to tylko koszmarny sen, z którego zaraz obudzi się we własnym łóżku i życie potoczy się dalej, jak gdyby nic się nie stało.

Potknęła się na jakiejś wyrwie i upadła. Zebrała się jednak natychmiast i biegła dalej. Z trudem łapała powietrze, płuca jej rozrywało, jakby ktoś wbijał w nie rozżarzony pogrzebacz. Gdzieś obok przemknęło jakieś duże zwierzę, słyszała trzask tratowanego poszycia.

Nie miała pojęcia, jak udało jej się wydostać z lasu. Nagle znalazła się na ścieżce i stwierdziła, że zapadła już prawdziwa noc; niebo zlało się z koronami drzew. Ścieżka była tylko jaśniejszą smugą w ciemnościach. Rozwidlała się i Imogen na chybił trafił skręciła w

lewo. Co chwilę potykała się o wystające z ziemi korzenie. Z obu stron wznosiła się ciemna ściana drzew. Kryli się za nimi mężczyźni nie spuszcający z niej wzroku. Jeśli zawaha się choć na moment, wyskoczą z ukrycia. Nie mogła się też odwrócić, bo wtedy zobaczyłaby, jak za nią idą.

Imogen zaczęła płakać. W duszy rozpaczliwie wołała: „Chcę do mamy!”

Jamie unosił się w morzu ciał. Trevor i jego kumple gdzieś przepadli. Ludzka fala pchnęła go i przycisnęła do filara. W mózgu dudniła mu muzyka; w promieniach światła wykrzywiała się do niego trupie twarze; ziejące czernią dziury ust otwierały się i zamykały. Nie dość naćpany Jamie stał koło swojego słupa i wiedział, że Egg i reszta, nawet jeśli go zobaczą, nie zadadzą sobie trudu, żeby go rozpoznać. Zamknął oczy i ujrzał twarz Imogen – dziwne, było to zaledwie dzisiaj rano? „Tylko z żoną i dwójką dzieciaków”, Jej twarz rozpląnęła się jak wosk, zalała łzami. Jakie to wszystko łatwe, skrzywdzić kogoś – rachuciachu i po strachu. Wsadzić łapę do kasy i gwizdnąć forszę.

Jamie oparł się o filar. Poczł, jak życie wyślizguje się z niego, a on sam zsuwa się w dół, jak gdyby ktoś ciągnął dywan, na którym stał.

Ile już przeszła – milę, sześć mil? Szła zupełnie sama drogą z radością wyczuwając pod stopami twardość asfaltu. Usłyszała nadjeżdżający z tyłu samochód i skryła się w cieniu żywopłotu. Dzięki Bogu, samochód nie zwolnił; pewnie jej nie zauważyli. W świetle jego reflektorów dostrzegła drogowskaz: TETBURY MAGNA 1, 5 KM.

Minęła zakręt i zobaczyła przed sobą pub, obok którego przejeżdżała wcześniej, teraz oświetlony tylko słabą lampą. Za nim znowu rozciągała się ciemność.

Nie spodziewała się znaleźć Skylark. Była przekonana, że jej koń, podobnie jak wszystko inne w jej życiu, został skradziony. Ale klacz stała tam, gdzie ją zostawiła, drzemiąc ze spuszczoną głową. Imogen wtuliła twarz w jej szyję pokrytą zaschniętym potem. Przez chwilę stała bez ruchu, wdychając znajomy koński zapach.

– Moja kochana – wyszeptła.

Dociągnęła popręg i wskoczyła na konia. Spojrzała na dom Karla i oświetlone okna, po czym zawróciła i odjechała.

Jamie odsunął sztabę zabezpieczającą wyjście awaryjne i wyszedł na małą uliczkę. Na dworze zrobiło się chłodno i zaczął padać deszcz. Skierował się w stronę Electric Avenue, gdzie przed sklepem mięsnym zostawili samochód.

Samochód zniknął.

Jamie spojrział na zegarek. Było pół do jedenastej. Odjechali bez niego, po prostu go zostawili. Pewnie nawet nie zauważyli jego nieobecności.

Jamie stał, czując upokarzające łzy pod powiekami. Sam w wielkim mieście, które miało go gdzieś. Co ma zrobić?

Ruszył przed siebie, mijając hałaśliwy pub i pozamykane sklepy. Znalazł się na głównej ulicy i skręcił w stronę Betterspecs. Wnętrze sklepu oświetlone było jak sala operacyjna, a z półek bacznie obserwowały go rzędy okularów.

Podszedł do drzwi obok i nacisnął dzwonek. Żadnej odpowiedzi. Zadzwoił ponownie.

Usłyszał, że nad nim otwiera się okno. Odsunął się nieco i spojrział w górę. Z okna na

najwyższym piętrze wychylała się jakaś twarz.

- Szukam pana Hammonda – zawołał Jamie. – Mieszka tutaj.
- Wyprowadzili się – padła odpowiedź.
- Dokąd?
- A bo ja wiem? Wyprowadzili się dzisiaj rano. I okno się zamknęło.

Louise obdzwoniła wszystkie koleżanki Imogen, lecz żadna nie potrafiła jej nic powiedzieć. Zadzwoiła nawet do stajni w nadziei, że może córka zostawiła tam Skylark, jak zrobiła to w ubiegłym tygodniu. Było za piętnaście jedenasta.

Siedziała w kuchni, tuląc w dłoniach kubek z kawą. Na dworze zaczęło padać. Ręce Louise drżały. Gdzie był jej mąż, teraz, gdy go potrzebowała?

W końcu podniosła słuchawkę telefonu. Obok, na tablicy korkowej, była lista telefonów alarmowych, z których dotąd nigdy nie była zmuszona korzystać.

Wykręciła numer policji w Beaconsfield.

– Moja córka nie wróciła do domu. Pojechała konno wiele godzin temu. Dzisiaj po południu. – Louise zaczęła płakać. – Nie wiem, co się z nią dzieje.

Jamie miał w kieszeni pięć funtów. Stał w deszczu na Brixton High Street i czekał na taksówkę. Ulicą przejeżdżały samochody, opryskując mu nogi wodą. Ludzie właśnie zaczynali wychodzić z pubów i dyskotek. Minęła go grupa nastolatków. Niektórzy mu się przyglądali, ale być może uznali, że ma twarz mokrą od deszczu.

Jego ojciec był gdzieś tu, w tym mieście, Jamie jednak nie miał pojęcia gdzie. Chyba naprawdę musi być zrozpaczony, skoro marzy, by spotkać ojca. Teraz już szlochał na głos, nie bacząc, że ktoś może to zauważyć. Dygotał z zimna w przemoczonej kompletnie kurtce. Chciał się znaleźć w domu, bezpieczny w ciepłym i suchym łóżku. Pragnął tego tak bardzo, że mało serce mu nie pękło.

W końcu udało mu się zatrzymać taksówkę. Podał kierowcy adres Prudence. Ciocia Pru na pewno go przysparze i zaopiekuje się nim. Na cioci Pru można było polegać; zawsze pamiętała o jego urodzinach; nigdy się nie zmieniała. Miała wygodne mieszkanie. Gdy taksówka zbliżała się do Clapham, wytarł nos i pomyślał, że ciocia robi mu gorącą czekoladę, jak zawsze, gdy jako mały chłopczyk przychodził do niej po przedstawieniu pantomimy. Ułoży go i otuli na kanapie, i wszystko będzie dobrze. Może nawet później będzie mógł opowiadać swoją przygodę ze śmiechem; nie wspomni tylko o skradzionym samochodzie. Będzie się śmiał z Trevora i jego żalonych kolesiów.

W ciepłym wnętrzu samochodu przestał dygotać z zimna. Po raz pierwszy od wielu godzin rozluźnił się. Ciocia Pru go zrozumie; ona wiedziała, co to znaczy samotność.

Taksówka zatrzymała się na Titchmere Road. Jamie zapłacił taksówkarzowi; pieniędzy akurat mu wystarczyło. Taksówka odjechała w noc.

Jamie zadzwonił do drzwi. Nikt mu ich nie otworzył.

Kaatya skręcała papierosa. Robiła to z wprawą; Prudence zafascynowana obserwowała poruszające się szybko palce. Było już pół do dwunastej, a oni dopiero skończyli jeść. Kaatya dość swobodnie podchodziła zarówno do czasu, jak i do przygotowywania jedzenia; to, co w

zamierzeniu miało być jarzynowym risotto, ostatecznie okazało się czymś przypominającym owsiankę.

Prudence dziwnie się czuła w domu Stephena. Miała wrażenie, że znalazła się po drugiej stronie lustra, w dobrze znanym, a mimo to dziwnym śnie. Siedzieli w kuchni, a nad nimi jasno płonęła lampa. Pomieszczenie przypominało pracownię, wszędzie stały oparte o szafki nie dokończone prace. Nikt nie mógłby zarzucić Kaaty, że pedantycznie wysprzątała mieszkanie na przyjęcie gości.

Kaatya niby się wystroiła, ale dobór elementów stroju raczej mógł dziwić. Miała na sobie pasiasty sweter, który zbiegł się w praniu i coś, co wyglądało jak dziecięca plisowana spódniczka. W jej uszach kołysały się plastikowe misie. Na chude kościste nogi nałożyła kraciaste rajstopy, zamiast butów miała czerwone skarpety. Prudence nie mogła oprzeć się wrażeniu, że mimo wszystko wygląda atrakcyjnie. W jaskrawym świetle jej cera połyskiwała blado, pod oczami rysowały się głębokie cienie, a wydatne usta były obrzmiałe, jakby napuchnięte po zbyt namiętnym całowaniu.

– Cieszę się, że przyszłaś – powiedziała Kaatya. – Zawsze tu czuję – dotknęła piersi – kiedy kogoś lubię. Ufam swojej intuicji.

– Ja przeciwnie – roześmiała się Prudence. – Na ogół są zbyt przerażające.

– Och, wiem, że twoje uczucia są potężne. – Kaatya polizała bibułkę. – To tylko takie angielskie gówniane bzdury. Wy, Anglicy, macie jakieś dziwne opory. – Wycelowana skrętem w Stephena. – Kiedy przyjechałam do Anglii i poznałam jego przyjaciół, byli jak chłopcy z dorosłymi mózgami. Ależ się nimi szczycili! A kiedy coś czuli, wiesz, co robili? Szli do półki z książkami, żeby sprawdzić, co to słowo znaczy w... no wiecie...

– W słowniku – podpowiedział Stephen.

– No właśnie. – Kaatya skinęła głową.

– Kaatya uważa – zwrócił się Stephen do Prudence – że my, Anglicy, jesteśmy emocjonalnymi kalekami. Chodzącymi tezaurusami...

– Widzisz? – weszła mu w słowo Kaatya. – O czym on mówi?

Stephen najwyraźniej świetnie się bawił. Spoglądał to na Kaatę, to na Prudence i zachęcał je do dyskusji.

– No, Prudence, stań w mojej obronie.

– Według mnie słowa tworzą uczucia – powiedziała Prudence. – Jeśli znasz słowo, potrafisz uczucie nazwać i doświadczyć go.

– Brednie. – Kaatya zapaliła skręta. – Dlaczego w takim razie macie tylko jedno słowo na określenie miłości? – Zaciągnęła się głęboko i podała skręta Prudence. – Wyjaśnij mi to, z łaski swojej.

Prudence włożyła skręta do ust i zaciągnęła się dymem. Ostatni raz robiła to dwadzieścia lat temu i zdążyła już zapomnieć, jak smakuje. Dym wypełnił jej płuca i na chwilę odebrał oddech. Po chwili poczuła, że mózg jej się rozsypuje jak pęk kwiatów pozbawiony nagle spinającej go gumki. Może jednak Kaatya miała rację – jak się nad tym zastanowić, na co komu słowa? Może ona rzeczywiście za dużo myśli. Czując przyływ sympatii do Kaaty, skinęła głową w stronę Stephena.



– On wbrew pozorom wcale nie jest taki zamknięty w sobie. Gdybyś go widziała na przyjęciu w pracy. – Zrzuciła buty i roześmiała się. – Na pewno nie cierpiał wtedy na emocjonalną obstrukcję.

– Był pijany, tak? – Kaatya pokiwała głową. – Kiedy się upije, zaczyna się nad sobą użalać. Zauważyłaś to?

– Raczej zaczyna się mazgaić.

– Mazgaić? – zdenerwowała się Kaatya. – Znowu zaczynacie. Co to jest mazgaić?

– Byłem nieszczęśliwy! – powiedział Stephen. – Właśnie odszedłem od żony!

Alkohol już uderzył mu do głowy. Im zresztą też. Zarumieniony i podniecony spoglądał na siedzące naprzeciw niego dwie kobiety jego życia.

– Nikt mnie nie rozumie – rozżalił się.

– Przestań się mazgaić – powiedziała Prudence. – Niejeden by ci pozazdrościł.

W miarę upływu wieczoru Prudence czuła, że coś się zmienia w łączącym ich troje układzie. Słuchała, jak Kaatya i Stephen, pobudzeni jej obecnością, na nowo rozpoczynają bitwę, wywlekając stare zapiekłe żale i pretensje, i czuła się intruzem, który wścibia nos w nie swoje sprawy. Chwilami z kolei miała wrażenie, że to ona i Kaatya są rozchichotanymi współniczkami, a Stephen im się przygląda. Jej ojciec zwykł mówić: „Zmawiają się przeciwko mnie!” Rosnące, wręcz namacalne napięcie przyprawiało ją o zawrót głowy.

Wypuszczając ustami kłęb dymu, Kaatya nachyliła się i dotknęła ręki Prudence.

– Cieszę się, że przyszedłaś. Przez cały ten czas nie przestawałam się zastanawiać, jak wyglądasz.

– Naprawdę?

Kaatya zaczęła wodzić palcem po widocznych na nadgarstku Prudence żyłkach.

– Widzisz, jesteśmy tylko ciałem i krwią. Niczym więcej. Prudence po raz kolejny zaciągnęła się skrętem.

– Kiedy byłam mała, postanowiłam z moją przyjaciółką, Janinę, że zawrzemy braterstwo krwi. Ona sobie nacięła nadgarstek, ale ja się scykałam.

– Scykałam? – spytała Kaatya, nie rozumiejąc wyrażenia.

– Nie odważyłam się.

– Ach, ale dzisiaj odważyłaś się przyjść tutaj. Po co? Żeby się przekonać, że jestem z krwi i kości? – Wzięła palec Prudence i przyłożyła go sobie do ręki. – Musimy się poznać i pokochać. Tylko wtedy wszyscy będziemy szczęśliwi. Możemy zostać siostrami – siostrami krwi. – Pokazała na Stephena. – On jest łączącą nas krwią. Płynie w nas, o, tutaj. – Przesunęła palec Prudence wzdłuż widocznej pod jej skórą żyły. – On nas nie dzieli, rozumiesz? On nas zbliża.

– Zawsze wyczuwałam twoją obecność – powiedziała Prudence. – Przez cały ten czas, odkąd go poznałam, czułam, że jesteś.

– Mówisz poważnie? – zdziwił się Stephen. Nie zwróciły na niego uwagi.

– Jestem kobietą taką samą jak ty. – Kaatya położyła sobie dłoń Prudence na piersi. – Widzisz? Jesteśmy takie same.

– Uspokój się, Kaatya! – wykrzyknął Stephen.

Dłoń Prudence obejmowała pierś drugiej kobiety, wyczuwała ją przez sfilcowaną wełnę swetra. Prudence zarumieniała się i cofnęła rękę.

– Co miesiąc tak samo cierpimy – mówiła Kaatya. – Znamy ból narodzin dziecka...

– Ja nie znam – przerwała jej Prudence.

– ... wiemy o sprawach, których on się nawet nie domyśla. Stephen podniósł się chwiejnie.

– Chyba powinniśmy już iść. Zaczyna ją ponosić.

– Nie możecie prowadzić – powiedziała Kaatya. – Zostańcie u mnie.

Chłopcy spędzali noc gdzie indziej, mieli więc cały dom dla siebie.

– Chodźmy do łóżka – zaproponowała Kaatya.

– Kaatya! – wykrzyknął Stephen. Serce Prudence waliło jak oszalałe. Kaatya zwróciła się do Stephena.

– Możesz tu zostać. – Roześmiała się. – Prawda, Pru? Chyba mogę cię tak nazywać?

– Moje siostry tak się do mnie zwracają. – Prudence wstała jak w transie. Smukłe i silne palce Kaatyi splotły się z jej palcami.

– Niech on pozmywa – szepnęła Kaatya, prowadząc Prudence do drzwi.

– Zaczekajcie! – krzyknął Stephen i ruszył za nimi.

Deszcz lał jak z cebra. Imogen jechała na oślep w kompletnych ciemnościach. Ubranie miała przemoczone do suchej nitki. Poza prerażeniem nie czuła nic, nie mogła już nawet płakać.

Jechały jakąś drogą. Przez strugi deszczu nie przebijało się żadne światło. Nie miała pojęcia, dokąd Skylark zmierza, ona już dawno temu straciła orientację. Ręce przymarzły jej do wodzy; unosiła się i opadała na przemoczonym siodle, ktoś nakręcił ją jak zegarek, jeszcze trochę, a ujdzie z niej całe życie, ale i tak, dalej będzie wznosić się i opadać, odbijając się od przesiąkniętej wodą skóry. Przed oczami przewijały jej się obrazy, wspomnienia z przeszłości... szkolne boisko w Chelsea, oślepiające słońce... kamienie na plaży w Brighton... Jechała do nieba, przypominając sobie wszystko, co dotąd przeżyła, siedziała na bujanym koniu i mknęła przez niebiosy na obrazie Chagalla... jakże oślepiające były słońca, dwa bliźniacze słońca przecinające ciemność!

Hałas narastał, światła robiły się coraz większe. Coś nadjeżdżało z tyłu. Ziemia zaczęła drżeć. Przez ułamek sekundy zapanowała jasność jak w dzień – ujrzała ciągnące się po obu stronach drogi płoty, przestraszone krowie pyski. Za nią to coś zbliżało się jak czarna rycząca fala, jeszcze chwila, a pochłonie ją całą...

Imogen szarpnęła wodze, ściągając konia na bok. Hałas był już ogłuszający, światło oślepiło ją. Skylark przysiadła na zadzie i Imogen poczuła, że pomalutku, jak na zwolnionym filmie zsuwa się z siodła. Jej stopa zaczęła się w strzemieniu. Ześlizgnęła się po końskim boku.

Skylark cofnęła się i odskoczyła w bok. Imogen wylądowała w rowie. Obok z rykiem przemknęła ciężarówka Tesco i po chwili połknęły ją ciemności.

Gdy Prudence wytrzeźwiała, z trudem mogła uwierzyć w to, co się stało. Tamtej nocy łóżko, w którym się znaleźli, istniało w innym wymiarze, niesamowitym i nierealnym jak

pornograficzny film. Po jego obejrzeniu wychodzi się na ulicę, w oślepiający blask dnia, za zamkniętymi drzwiami zostawiając sekrety, które przez chwilę dzieliło się w ciemności z obcymi.

Rzeczowość i bezpośredniość Kaaty kompletnie ją zaskoczyła. Kobieta zrzuciła z siebie ubranie i położyła się do łóżka.

– Zawsze jesteś taka gościnna? – spytała Prudence, przysiadając na brzegu pościelenia. – A może to nie pierwszy raz?

– Nie ma takiej rzeczy, której Kaaty by nie robiła – powiedział Stephen, wyłaniając się z łazienki. – Nie zawsze w tym uczestniczyłem. – Miał na sobie piżamę. – Ja śpię w piżamce – dodał ze śmiechem, ale Prudence zauważyła, że jest bardzo podniecony. Błyszczącym wzrokiem spoglądał raz na nią, raz na Kaatyę.

Z całą pewnością myśli sobie: stara, nieśmiała Prudence na pewno się nie odważy. Prudence uśmiechnęła się do niego i rozpięła bluzkę. Nawet moje siostry nigdy czegoś takiego nie robiły, pomyślała. Szybko ściągnęła rajstopy i spódnicę i wślizgnęła się pod kołdrę. Stanika i majtek nie zdjęła.

– Zimno ci? – spytała Kaaty, podsuwając jej poduszkę. – Chcesz, żebym włączyła elektryczny koc?

– Nie, tak jest dobrze.

– Chodź, będziesz spała koło mnie. – Kaaty przesunęła się, żeby zrobić jej miejsce. – W mojej rodzinnej wsi, kiedy byłam mała, spałam tak razem z braćmi i siostrami.

– A ja? – Stephen stał obok łóżka.

– Ty śpij obok Pru. Teraz ona jest twoją kobietą.

Stephen położył się. Choć łóżko było ogromne, we trójkę było im trochę ciasno. Prudence leżała ściśnięta między nimi. Prawie bała się oddychać. Kaaty zgasiła światło i leżeli w ciemnościach.

Kaaty opłotła nogą nogę Prudence.

– Mmm, ale masz ciepłe stopy. Stephen zawsze miał zimne jak lód.

– Dalej ma.

– Widzisz, całą krew ma w mózgu – powiedziała Kaaty.

– Wciąż tylko wymyśla nowe słowa.

– W takim razie może byście mnie ogrzały? – Stephena połączyły się z ich nogami.

– Fuj, zabierz to! – wrzasnęła Kaaty.

– Hej, dziewczynki, zaopiekujcie się mną.

– Nie jesteśmy żadne dziewczynki – fuknęła Kaaty. – Przy tobie też się niczego nie nauczyłam?

– Kobiety rozpieszczęły go przez całe życie.

– Hej, ja tu wciąż jestem – zdenerwował się Stephen.

– Powiedz mi coś, Pru – odezwała się Kaaty. – Ta jego sekretarka, jakże ona miała na imię...

– Monica?

– Tak, Monica. Kupowała za niego prezenty dla chłopców na urodziny?

– Aha, raz czy dwa – potwierdziła Prudence.

– Wiesz, skąd się domyśliłam? – spytała Kaatya. – Bo były bardzo ładne.

Prudence roześmiała się.

– Może zaczniecie sobie opowiadać, czego mi brakuje w łóżku? – zirytował się Stephen.

– Rozmawiam tylko z moją nową przyjaciółką – oburzyła się Kaatya. – Lubię kobiety.

Jaka szkoda, że nie mają kutasów.

– Moja siostra jest lesbijką – powiedziała Prudence. – Wygląda na to, że radzi sobie bez nich całkiem nieźle.

– Ja też kilka razy tego próbowałam – rzekła Kaatya. – Ale to nie to samo. Nawet taki kutas jak jego to lepsze niż nic.

– Hej! – krzyknął Stephen.

– Przecież ona tylko żartuje.

– Kaatya nie umie żartować – powiedział. – W Holandii tego nie uczą.

Kaatya chciała go kopnąć, ale nie trafiła.

– Ała! – krzyknęła Prudence.

– Och, przepraszam. – Kaatya pogładziła ją po policzku. Cała trójka leżała w milczeniu.

O szyby wściekle walił deszcz.

Wesoła atmosfera szkolnego internatu skończyła się równie gwałtownie, jak się zaczęła. Z jednej strony Prudence czuła przylegającą do niej ciepłą skórę Kaatyi i jej sterczące kości udowe, z drugiej zaś rozpoznawała znajomą twardość Stephena, dziwnie obcą w tym łóżku i nie znanej jej pizamie. Zastanawiała się, co też on w tej chwili czuje. Jest podniecony? Skrępowany? Nie miała pojęcia.

Ręka Stephena zaczęła błądzić po jej brzuchu.

– Bardzo przepraszam za to wszystko – wymamrotał. Prudence nie wiedziała, czy było to skierowane do niej, czy też raczej do Kaatyi? O którą z nich było w tym łóżku za dużo? Przynął się bliżej. Przesunął rękę i teraz czuła tylko jego poruszające się ramię, podczas gdy po brzuchu gładził Kaatyę.

– Nigdy nie chciałem żadnej z was skrzywdzić – powiedział. – Obie jesteście wspaniałymi kobietami.

Kaatya przewróciła się na bok i wtuliła w Prudence. Sięgnęła poprzez piersi Prudence, by móc pieścić Stephena.

– Kochasz nas obie, prawda?

Stephen przytaknął skinieniem głowy. Prudence czuła dotyk jego policzka na twarzy.

– Więc kochaj nas obie – szepnęła Kaatya. Pocałowała Prudence w ramię. – Pocałuj ją – dodała.

Stephen palcem obrócił twarz Prudence ku sobie. Pocałował ją w usta. Gdy to robił, Kaatya pogłaskała Prudence po plecach. Stephen jedną ręką zsunął z siebie spodnie od pizamy. Kaatya wzięła dłoń Prudence i powiodła ją w dół, ku penisowi Stephena.

– Nie chowaj się przed nami – powiedziała cicho Kaatya. – Nie wstydź się. – Przykryła swoją ręką dłoń Prudence i razem teraz pieściły jądra Stephena. – Przecież znasz nas obie.

Oddech Stephena stawał się coraz szybszy. Jej także, a może to Kaatya tak dyszała?

Prudence straciła już rozeznanie, które ciało należało do kogo... gdzie kończyło się jej, a zaczynały ich? Penis Stephena otarł się o jej włosy łonowe. Jakieś palce wsunęły go w nią. Stephen położył się na Prudence. Gdy się w niej poruszał, guziki jego piżamy ocierały się o jej piersi. Czując, jak zalewa ją fala gorąca, Prudence rozłożyła szeroko nogi. Czy to ona tak jęczała? Obróciła głowę i jej usta zetknęły się z szerokimi, miękkimi wargami Kaaty. Stephen ramieniem przygarnął Kaatyę ku nim. Teraz poruszała się wraz z nimi.

– Czyż ona nie jest wspaniała? – wydyszała Kaaty. – Co za kobieta. Nic dziwnego, że jej pragnąłeś.

Wzięła rękę Prudence i wsunęła ją sobie między nogi – jakież nęczone i wilgotne miała tam włosy! Prudence nie miała odwagi toruszyć ręką, lecz Kaaty ją w tym wyręczyła i sama pocierała lią swoje wilgotne wnętrze, twardą kuleczkę lechtaczki. Szczytowała prawie natychmiast, ściskając dłoń Prudence udami. Krzykiła – głośno i przejmująco. Stephen wręcz oszalał; tak głośnych ęków Prudence nigdy wcześniej u niego nie słyszała. Ścisnęła jej pośladki, lecz dłoń Kaaty także już tam była. Wsunęła mu paec w odbył i gwałtownie nim poruszała. Więc to go tak podniecało! Prudence nigdy tego nie robiła. Dopiero teraz przekonała się, że była to pieszczota przyprawiająca go o paroksyzm rozkoszy. Jej przeszkadzała więc Kaaty, próbując skoncentrować się na własnym zadowoleniu, lecz obecność dwóch ciał zdawała jej się w tym przeszkadzać. Nagle Stephen, z głośnym, przenikliwym okrzykiem wytrysnął w nią.

Drżąc na całym ciele, leżał nieruchomo z twarzą wtuloną w poduszkę.

– Mężczyźni, co oni wiedzą? – mruknęła Kaaty. Wsunęła rękę pomiędzy ich ciała. Stephen odsunął się nieco, by zrobić jej miejsce. Jego penis wyslizgnął się z Prudence. Palce Kaaty pieściły Prudence z takim znuwstwem, że nieomal od razu zaczęła krzyżeć i szlochać na przemian. Odwróciła głowę od Stephena i przytuliła się do ramienia jego żony. Kaaty nie od razu wzięła rękę, lecz chwilę jeszcze obejmowała kępkę Prudence, żując na swoich palcach jej najbardziej intymne pulsowanie. Tik:iktik, pulsowała Prudence jak rozprężający się w samochodzie silnik.

Stephen odrobinę zmienił pozycję. Jego ręka, męska i ciężka, spoczywała teraz wraz z dłonią Kaaty pomiędzy udami Prudence.

– Czyż ona nie jest wspaniała? – mruknął sennie. Ciekawe, pomyślała Prudence, którą z nich miał na myśli?

Jamie potrzebował dwóch godzin, by przejść z Clapham do Jackney. W tym czasie sobotni wieczór zdążył przejść we wczesne godziny niedzieli. Do butów wlewała mu się woda, stopy miał lokre, a ubranie przemoczone do suchej nitki. Szedł przez zupełnie mu obcą część Londynu, aż dotarł do Parliament Square. Potem znalazł się na Trafalgar Square, minął Strand i Fleet Street, za którą znowu wszedł w okolice mu nie znane.

Kierował się na północ. Po roku spędzonym w drużynie skautów – co dzisiaj wspominał ze skrepowaniem – zdobył umiejętność orientacji w terenie. Wybierał główne ulice, gdyż były na nich drogowskazy, które pomagały mu się odnaleźć: SHOREDITCH 1, 5 KM, HACKNEY 3 KM. Stracił poczucie rzeczywistości, czuł się jak samotny pyłek w ogromnym, pustym wszechświecie. Całe jego dotychczasowe życie, całe jestestwo zostało gdzieś za nim,

a on sam przekroczył barierę samotności i z każdym chwiejnym krokiem przybliżał się do egzystencjalnej nicości, w której żaden drogowskaz nie powie mu, dokąd powinien zmierzać.

HACKNEY I KM. Szedł wzdłuż pozamykanych sklepów, opustoszałych zakładów. Przejeżdżające ciężarówki ochlapły go wodą z kałuż. SAINSBURY'S; GDZIE DOBRE JEDZENIE KOSZTUJE TANIEJ... Kiedyś wykładał towar na półki, przypomniał sobie zdziwiony.

Dojrzał oświetlone okno. „BeeGee Cars: Potrzebni kierowcy”. Otworzył drzwi i wszedł do dyspozytorni radiotaxi. Pod gołą żarówką, przy biurku siedziało dwóch palących mężczyzn. W pokoju cuchnęło zatechłym dymem miliona wypalonych papierosów. Spytał ich o drogę do Romilly Street. Jeden zaczął mu tłumaczyć. „Najpierw w lewo... potem w prawo...”,

– Dobrze się czujesz, stary?

Jamie widział mężczyznę jak przez mgłę. Wyglądał, jakby się kiwał w przód i w tył niczym wycięta z kartonu postać przymocowana do podłogi. Jeszcze chwila, a złoży się w pół.

Jamie wyszedł, mając do pokonania jeszcze tylko kilka ulic. W lewo, a potem prawo... a może w prawo, a potem w lewo... ? Nagle zauważył tabliczkę: Romilly Street.

Była 2. 20. Szedł ulicą, wzdłuż której ciągnęły się ciemne domy. Wyglądały, jakby nigdy nikt w nich nie mieszkał. Za jednymi drzwiami dwa razy krótko zaszczekał pies, potem zapadła cisza. Jamie nie miał pojęcia, w którym z tych domów mieszkała Maddy. I tak cud, że w ogóle zapamiętał nazwę ulicy. Przyglądał się majaczącym niewyraźnie w świetle latarni domom. Jeżeli nie odnajdzie Maddy, przyjdzie mu tu umrzeć.

Nagle zauważył furgonetkę: „Fox Gardening Services”. Jego ciotka gdzieś tu była. Pomyślał: moje ciotki to jedyne osoby na świecie, które mogą mnie uratować. Rodzice byli do niczego. Przyglądał się domom. Skrzynki z kwiatami w oknach – skoro mieszkała z ogrodniczką, musiała mieć w oknach kwiaty. Ale skrzynki były w niejednym domu, przy niektórych stały nawet altanki. Drzwi domów tańczyły mu przed oczami, wirowały w rytm jakiejś oszalałej, niesłyszalnej muzyki.

– Maddy! – krzyknął. Głos miał ochrypliwy. – MADDY! – wrzasnął głośniej.

Jego krzyk odbił się echem na pustej ulicy. Jamie czuł, że rozpada się na kawałeczki. Albo położy się tu, na tej ulicy, albo odpłynie gdzieś w przestworza.

– MADDY!

Czy tak czuje się człowiek tracący zmysły?

Zapalały się światła, otwierały okna. Martwa ulica nagle ożyła.

– Jamie! – Z okna na piętrze wychyliła się Maddy. Nigdy w życiu niczyj widok tak go nie ucieszył. – Jamie, co się stało?

Chwilę później otworzyły się drzwi wejściowe. Maddy wyciągnęła do niego ramiona – Maddy, która nigdy nikogo nie przytulała. Objęła go mocno, a on z ulgą przytulił głowę do jej ramienia.

Zadzwoił telefon. Louise rzuciła się, by go odebrać.

– Nie martw się, Jamie jest u mnie – usłyszała w słuchawce głos Maddy.

– Co?

– Jamie. Kompletnie przemókł, ale poza tym nic mu nie jest.

– Jamie? A nie Imogen?

– Przeszedł chyba z kilkanaście kilometrów – mówiła Maddy. – Prudence nie było w domu, nie pamiętał, gdzie mieszka mama, ale jest cały i zdrowy...

– Gdzie jest Imogen?

– Położyłam go do łóżka. – Maddy jakby nie słyszała jej pytania. – Nie wiedziałaś, że przyjechał do Londynu? Chyba przeżywa odejście Roberta. Trochę sobie porozmawialiśmy o ojcach. Powiedziałam mu, że ja z naszym też nie bardzo mogłam się dogadać...

Louise przestała jej słuchać. Jej uszu dobiegł jakiś nowy dźwięk. Był tak słaby, że to chyba wyobraźnia płatała jej figla.

– ... próbowałam mu wytłumaczyć – mówiła dalej Maddy – że Robert zachował się po świńsku, ale mimo wszystko jest jego ojcem. No, ale już wszystko w porządku. Rano wsadzę go do pociągu...

To był odgłos końskich kopyt. Louise rzuciła słuchawkę, podbiegła do okna i rozsunęła zasłony.

Nad drzwiami wejściowymi paliła się lampa, oświetlając zwirowany podjazd. Monty zaczął szczebrać. Stukanie kopyt stało się coraz wyraźniejsze.

Louise stała jak skamieniała. Koń się zbliżał. Pojawiła się Skylark, mającąc niewyraźnie w ciemności. Podeszła do drzwi i stanęła, parskając. Otrzepała się.

Siodło zsunęło się z niej i zwisało do góry nogami pod jej brzuchem. W strugach ulewnego deszczu stał samotny koń, bez jeźdźca.

## **CZEŚĆ PIĄTA**



## Rozdział pierwszy

April pragnęła mężczyzny, który by się nią opiekował. Miała dość wyciągania swoich facetów z tarapatów, sprzątanania po nich – wystarczy, że musi sprzątać w pracy. Znużyła ją ich złość, fochy, okłamywanie samej siebie, że przy niej się zmieniają, staną się lepsi. Że o n a zmieni się przy nich. Dennis był ostatnim z tych beznadziejnych przypadków, którzy przyciągali ją nie wiadomo czym, podobnie zresztą jak ona przyciągała ich.

Wtedy pojawił się Gordon. Zagarnął ją całą, a ona nie miała siły mu się oprzeć. Jak buldożer zmiotł jej poczucie winy, pragnienie niezależności. Nie zwracał uwagi na niezadowolenie jej rodziny i przyjaciół, którzy nie mogli pogodzić się z tym, że April pokochała kogoś tak nieodpowiedniego jak on. Matka przestała się do niej odzywać. Lecz na przekór wszystkiemu, April – o czym powiedziała owej nocy Jamiemu – po prostu się w nim zakochała. Gdyby była inną osobą, być może miałyby wyrzuty sumienia, ale jak to często bywa w przypadku ludzi, których zajęciem jest opieka nad innymi, April w życiu osobistym potrafiła być bezwzględna. A poza tym Gordon niezmiennie twierdził, że jego małżeństwo się skończyło. Miała silną naturę i żyła chwilą obecną, Gordon bardzo był w tym do niej podobny i dlatego tak przypadli sobie do gustu.

A teraz jeszcze zmusił ją, by opuściła swoje mieszkanie i zamieszkała z nim, przeciwko czemu broniła się, ale raczej tylko dla zasady. Ten łysiejący, uparty, chwytający za serce mężczyzna postanowił się nią opiekować, więc – podobnie jak on – zgodziła się porzucić całe swoje dotychczasowe życie. Zrezygnowała na, vet z pracy.

Nie potrafiła się w tym wszystkim odnaleźć, lecz winą za to Dbarczała przeprowadzkę. Ani ona, ani Gordon nie znali nikogo w Wandsworth. Być może dlatego postanowił, że zamieszkają właśnie tam. Dom był ogromny. Spacerowała po pokojach, wsłuchując się w echo własnych kroków. Nie mieli z Gordonem zbyt wielu rzeczy i pudła przywiezione ze starego mieszkania ledwo zdołały zapełnić jadalnię.

Gordon kupił dom bez namysłu. Wszystkie formalności załatwił w kilka tygodni. April wynajęła swoje mieszkanie. Tempo, w jakim się to rozegrało, przyprawiło ją o zawrót głowy. Nowy dom wymagał poważnego remontu, ale Gordon natychmiast się w nim zakochał i planował wielkie zmiany. „Moja kochana, zasługujesz tylko na pałac”. W tej apodyktycznej, samolubnej szczodrości był właśnie cały Gordon.

Na razie jednak nie potrafiła wyobrazić sobie czekającego ją nowego życia. W pierwszy niedzielny poranek w nowym domu wyniosła na dwór worek ze śmieciami. Noc była deszczowa, ale dzień wstał piękny, słoneczny, pachnący świeżością i zielenią. Wszędzie dookoła sąsiedzi krzątali się wokół domów, sprząтали samochody, malowali drzwi frontowe. April miała wrażenie, że znalazła się w kolorowym, niewinnym bajkowym miasteczku, w świecie jej całkowicie obcym. Jakieś dziecko stanęło i gapiło się na nią, póki matka nie pociągnęła go za sobą.

W kuchni Gordon parzył w ekspresie kawę. Uwielbiał to – przygotowanie dla nich śniadania traktował jak rytuał. Wokół nie skoszonego trawnika rosły krzewy, których nawet

nie potrafiła nazwać. Niektóre obsypane były połyskującymi w słońcu kwiatami. Razem z Gordonem znaleźli się sami w morzu obcych roślin i ludzi i zaczynając nowe, wspólne życie, kurczowo trzymali się znanych, dających im poczucie bezpieczeństwa rytuałów.

Później przypominała sobie przepelniające ją wówczas poczucie oderwania. Wiele w swoim życiu przeszła, z czego większość stanowiła dla Gordona tajemnicę. Nigdy o nic się nie dopytywał, jej przeszłość – podobnie jak innych – nie interesowała go; nie należał do ludzi ciekawskich. Patrzyła, jak podczas ich pierwszego śniadania w nowej kuchni po raz pierwszy włącza toster, i zastanawiała się, czy przedtem także robił śniadania. Nigdy go o to nie pytała. Czy dlatego, że myśl o latach, które spędził z żoną, była dla niej zbyt bolesna, czy też po prostu – jak i on – nie była ciekawa? Nic już nie wiedziała; nie miała nawet pewności, czy ona sama nadal jest tą samą osobą co niegdyś.

Po śniadaniu pojechali do Buckinghamshire. Zostali zaproszeni na lunch przez Louise. April bardzo się z tego cieszyła; wszystko wskazywało na to, że jego córki zaczynały się do niej przekonywać. Być może upływ czasu i fakt, że ich matka zaczęła układać sobie życie, złagodziły nieco urazę. A może po prostu Louise, opuszczona przez męża, potrzebowała wsparcia rodziny.

Tak czy owak, April ciekawa była Starego Probostwa. Chciała zobaczyć Jamiego, którego zdążyła bardzo polubić. Trochę się obawiała tej pierwszej wizyty, lecz dzięki temu, że życie Louise ostatnio się skomplikowało, czuła się nieco spokojniejsza. Dotąd nie miała okazji poznać najstarszej z sióstr – podczas pobytu Gordona w szpitalu nigdy jej nie spotkała – lecz z tego, co słyszała, była najbardziej przystępna.

Nie spodziewała się jednak przerażenia, z jakim Louise powitała ich przybycie.

– Wielki Boże! – wykrzyknęła, otwierając drzwi. – Zupełnie zapomniałam, że macie przyjechać. Bardzo was przepraszam. – Przez chwilę April sądziła, że zamknie im drzwi przed nosem. – W domu jest taki bałagan... – zaczęła Louise i wybuchła płaczem.

Wszyscy weszli do kuchni i usiedli. Louise miała na sobie stary, zniszczony dres, a włosy niedbale spięte gumką. April podała jej chusteczkę.

– Całą noc nie zmużyłam oka – szlochała Louise. – Przepraszam was, ale Imogen dopiero co wróciła do domu.

– Co się stało? – spytał Gordon. – Znowu była na imprezie?

Louise pokręciła przecząco głową. Po chwili nieskładnie zaczęła im wszystko opowiadać – o tym, jak dzień wcześniej Robert wyprowadził się z domu, Imogen pojechała konno nie wiadomo dokąd i jak w środku nocy zrzucił ją koń.

– Och, kilka godzin wracała do domu pieszo. Teraz się położyła. Nic jej nie jest – trochę się potłukła... no, i jest wykończona. – Louise dodała, że później ma przyjechać do niej doktor.

– Może do niej zajrzeć? – zaproponowała April. – Jeśli chcesz, sprawdzę, czy nic jej nie jest.

Gdy dwadzieścia minut później April zeszła na dół, akurat przyjechał z Londynu Jamie. On także miał za sobą pełną przeżyć noc – przeszedł na piechotę prawie cały Londyn w strugach ulewnego deszczu. Gordon wydawał się zdenerwowany, że nikt o niczym mu nie

powiedział.

– Masz teraz własne życie – powiedziała Louise. – Zresztą, co mógłbyś poradzić?

– Byłem w Brixton – odezwał się Jamie – ale wyprowadziliście się.

Gordon zupełnie odsunął się od swojej rodziny, pomyślała April. Czy zdawał sobie z tego sprawę? Patrzyła na skuloną wokół stołu trójkę.

– Idźcie może do pokoju, a ja przygotuję coś do jedzenia – zaproponowała.

I tak też się stało. Na górze w łóżku leżała Imogen jak tykająca bomba zegarowa, a na dole April włożyła do piecyka wyciągnięte z zamrażarki jedzenie. Gordon, który nienawidził beczynnego siedzenia, zjawił się w kuchni, oferując pomoc, odesłała go jednak z powrotem.

Pokroiła ogórki. Nagle ogarnęła ją fala szczęścia. Znalazła się wśród rodziny Gordona, w samym centrum kataklizmu. Była im potrzebna! I ona się o nich zatroszczy.

Gdy po godzinie wrócili do kuchni, April знаła ich już równie dobrze jak zawartość ich kuchennych szafek. Wymieszała sałatkę i postawiła na stole.

– Jesteś taka dobra – powiedziała Louise. – Tego właśnie było nam potrzeba, pielęgniarki. I kucharki. – Przyniosła butelkę Bollingera. – Znalazłam jeszcze jedną skrzynkę. Wypijemy wszystko! – Rozlała szampana do kieliszków, ale na tyle nieporadnie, że piana przelała się górą. April domyśliła się, że dotąd zajmował się tym mąż Louise. – Być może straciłam wszystko, ale mam przynajmniej swoje dzieci. Czy coś poza tym się liczy? – Zwróciła się do April, wznosząc kieliszek: – Witaj w rodzinie Hammondów.

– Zapraszamy na rodzinny wrak – dodał Jamie.

We czwartek Prudence wybrała się w porze lunchu do Chelsea. Umówiła się z Maddy. Z cuchnącej spalinami ulicy weszła do ogrodu, ocierając się o pokryty tak intensywnie zielonymi liśćmi żywopłot, że aż zaparło jej dech w piersiach. Nagle zatęskniła za własnym ogrodem; całe swoje dorosłe życie spędziła w mieszkaniach. Zapragnęła móc wyjść boso na własną zieloną trawę. Zamknęła oczy i ujrzała biegnące ku niej dziecko z rozwianymi włosami.

Maddy sadziła cynie. Robiła to tak delikatnie, jakby miała do czynienia z niemowlętami. Choć był dopiero maj, twarz Maddy była już opalona po godzinach pracy na dworze. Wytarła ręce w robocze spodnie i wyjęła opakowane w folię kanapki.

– Co u Erin? – spytała Prudence.

– Pracuje nad nową książką.

– Au Allegry?

– Wszystko w porządku.

Z oddali dochodziły odgłosy ruchu ulicznego. Umilkły. Maddy nie należała do osób, które koniecznie muszą rozmawiać. Prudence przełknęła ostatni kęs i zapaliła papierosa.

– W zeszłą sobotę stało się coś niesamowitego – powiedziała. – Wtedy, kiedy przyszedł do ciebie Jamie. Chciałam się ciebie poradzić.

Opowiedziała Maddy o wszystkim. Siostra była jedyną osobą na świecie, której mogła się zwierzyć. Niewiele rzeczy potrafiło nią wstrząsnąć, nigdy też nie zagłębiała się w ciemne obszary ludzkiej natury.

– Rany – powiedziała tylko, gdy Prudence skończyła.

– Problem w tym, że ona... ona mnie zafascynowała. Nie wiem, czy dlatego, że... no wiesz... był tam też Stephen. Nigdy wcześniej nie miałam w ten sposób do czynienia z kobietą – dodała po chwili, starając się, by zabrzmiało to swobodnie.

Maddy nalala kawę z termosu. Prudence z trudem mówiła dalej.

– Pamiętasz, jak opowiadałaś mi o Erin? Mówiłaś, że nie wiedziałaś, czy jesteś homo, czy też po prostu się w niej zakochałaś.

– Naprawdę? – Maddy podała jej plastikowy kubek. – Mam tylko jeden, musimy pić na zmianę.

– Może jestem... no, lesbą, w głębi ducha.

– Jasne, że nie.

– No, ale teraz przynajmniej będę wiedziała, o czym mówisz.

– Nie chodzi o to, co robisz. – Maddy wzięła od niej kubek.

– Ale co czujesz.

– Mówiłam ci: było wspaniale.

– O to, co czujesz do Stephena.

Prudence popatrzyła na świeżo skopaną ziemię. Sfrunął ptak i porwał do dzioba dżdżownicę.

– Założę się, że zrobił to dla własnej przyjemności – powiedziała Maddy.

– Nie – zaprotestowała Prudence, ale zabrzmiało to bez przekonania.

– Według mnie wykorzystał cię. Znam się na tym. Nie raz to przerabiałam.

– Nie. To nieprawda.

Przecież na początku się opierał. „Ja śpię w pizamce”. Prudence zakręciło się w głowie.

– Słodki perwersyjny numer. Trójkącik – powiedziała Maddy. – Założę się, że nie wierzył własnemu szczęściu.

– To nie było tak!

– Marzenie każdego faceta po czterdziestce.

– Nie bądź taka wredna – poprosiła Prudence. – Przynajmniej nie dzisiaj. – Dżdżownica była zbyt gruba i wila się w ptasim dziobie. Dlaczego Maddy zawsze mówiła to, czego inni nie chcieli usłyszeć? Chyba dlatego, że pierwsze wypowiedziane przez nią słowo brzmiało: nie.

– W takim razie po co mnie pytałaś? – zdziwiła się Maddy.

– Skoro i tak nie chciałaś usłyszeć prawdy.

Prudence wracała do biura. Przy Canary Wharf szklane wieżowce połyskiwały w słońcu; ostrzegały ją.

Co czuła? Przede wszystkim złość na Maddy. Jak ona mogła tak mówić?

„Znam się na tym. Nie raz to przerabiałam”. Prudence zaparkowała samochód. Co Maddy miała na myśli? Czy i ona czuła się wykorzystywana?

Maddy krzyknęła. Kolec róży ukłuł ją w palec. Ścisnęła opuszkę palca i pojawiła się kropelka krwi. Wychynęła z jej wnętrza jak koralik. Jeśli nie przestanie ścisnąć palca, będzie sobie mogła ich nanizać cały sznurek.

Czy coś by się stało, gdyby zasnęła? Absolutnie nic. Maddy nie wierzyła w bajki. Gdy przyszła na świat, matce dawno musiało się znudzić ich czytanie. Rozprostowała bolące plecy. Nie przestając ssać palca, pozbierała narzędzia, wrzuciła je do furgonetki i co krok utykając w ulicznych korkach, ruszyła do Hackney. Louise była księżniczką z bajki i proszę, co ją spotkało.

Widząc, jak jej rodzina się rozpada, Maddy zaczynała tracić poczucie równowagi. Kiedy mieszkała za granicą, uważała się za osobę niezależną. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak ważna jest dla niej bezpieczna i wciąż ta sama rodzina. Trwała rodzinna opoka, przeciwko której mogłaby się buntować, bo mimo życia pełnego przygód w głębi duszy nadal czuła się nastolatką walczącą z tymi, których tak naprawdę potrzebowała najbardziej.

Zastanawiała się, co kazało jej potraktować Prudence w tak obsesowy sposób. W końcu przecież siostra przyszła do niej po radę – przypadek raczej nie spotykany. Czy dlatego, że Prudence wtargnęła na terytorium dotąd zarezerwowane dla niej?

Odebrała Allegrę z lekcji klarnetu.

– Masz szczęście, że jesteś jedynaczką – powiedziała do małej, gdy jechały do domu.

– Dlaczego?

– Bo kiedy jest się najmłodszym dzieckiem, wszyscy przed nim już wszystko zrobili. Najmłodszy nosi ubrania po starszych, jeździ na ich rowerze. Dostaje wszystko używane. Więc postanawia, że będzie inny. – Wzruszyła ramionami. – Po czym nagle odkrywa, że i tego ktoś już przed nim próbował. – Skręciła w Romilly Street. – Mieli nadzieję, że będę chłopcem. Daliby mi na imię Buddy, na pamiątkę Buddy’ego Holly’ego.

– Kto to jest?

– Wtedy musiałabym być inna. Allegra przestała jej słuchać.

– Popatrz.

Przed ich domem stały zaparkowane dwa samochody i furgonetka BBC. Drzwi wejściowe były otwarte, a na ulicy zgromadził się tłumek dzieciaków opartych o rowery.

– O Boże – jęknęła Allegra. – To telewizja. Wsiadły z samochodu. Drogę zatarasował im jakiś facet uzbrojony w walkietalkie.

– Wybacz, kochaniutka, ale my tu filmujemy.

– A my tu mieszkamy – odparowała Allegra i ściskając klarnet pod pachą, zgrabnie go wyminęła.

Maddy wdarła się do holu. Po domu kręciło się pełno wrzeszczących do siebie mężczyzn.

– Bob, do ciężkiej cholery, gdzie podziała się taśma maskująca?!

Po schodach wiły się zwoje kabli.

Maddy była wykończona. Bolały ją plecy i marzyła o kąpieli. Kiedy jednak chciała wejść do łazienki, okazało się, że drzwi do niej są zamknięte, a wewnątrz ktoś spuszczał właśnie wodę. Na piętrze także tłoczyli się jacyś ludzie. Jeden z nich wydierał się do telefonu komórkowego:

– Niech Tanya im to prześle kurierem, pronto!

Maddy zajrzała do gabinetu Erin. Przy komputerze, w oślepiającym świetle reflektorów siedziała Erin. Miała na sobie czerwony aksamitny zakiet, a jakaś dziewczyna pędzelkiem

poprawiała jej makijaż.

– Przepraszam, kotku. – Ktoś bezceremonialnie przesunął Maddy na bok.

– Cisza, proszę! – wydierał się ktoś inny. – Zaraz kręcimy.

– I... AKCJA.

Erin siedziała skąpana w blasku świateł. Była boginią oddającą samej sobie cześć boską na ołtarzu własnej chwały. Przyglądając się temu cyrkowi, Maddy nagle doznała olśnienia. Uświadomiła sobie wszystkie swoje półkłamstwa, próby oszukania samej siebie. Coś w niej pękło i poczuła się wolna.

Odwróciła się i przecisnęła do swojej sypialni. Na łóżku siedziała jakaś kobieta w czarnym kostiumie i rozmawiała przez telefon.

– Spadaj stąd – powiedziała Maddy.

– Słucham?

– Wynos się z mojego pokoju.

Maddy zaczęła się pakować. Otwierała szuflady i wyciągała z nich rzeczy. Na to weszła Allegra i stanęła obok niej.

– Odchodzisz, prawda? – raczej stwierdziła, niż spytała. – Tak jak wszystkie. Wiedziałam, że tak będzie.

– CIĘCIE! – ktoś krzyknął.

– Dokąd pójdziesz? – spytała dziewczynka.

– Jeszcze nie wiem – odparła Maddy. – Ale nie odchodzę od ciebie. Odchodzę od niej.

Spojrzała na buzię małej – śniady trójkącik z szeroko osadzonymi oczami i spiczastą bródką. Aż nie chciało się wierzyć, że to dziecko Erin. Maddy poczuła ból w sercu.

Allegra bawiła się lusterkami, którymi wyszyta była kapa na łóżko.

– Nawet by nie zauważyła, gdybym ja też odeszła. Za ich plecami rozległ się jakiś głos.

– To jej mała?

Do pokoju wszedł mężczyzna i zwrócił się do Allegry.

– Chodź ze mną, kochanie. Ciebie także nakręcimy.

Pięć minut później Maddy opuściła dom. Nikt z wyjątkiem Allegry nie zauważył jej odejścia. Doszedłszy do rogu, obejrzała się. Samochód transmisyjny wyglądał jak wóz strażacki, od którego do domu ciągnął się wąż. Nic nie jest w stanie ugasić ognia Erin, pomyślała Maddy. Pochłonie każdego, lecz ona pozostanie nietknięta.

Prudence stała w kuchni, obrócona do Stephena plecami. Mówiła do wiszącego na ścianie kalendarza.

– Tak naprawdę nigdy od niej nie odszedłeś, prawda? – Mówiąc to, zastanawiała się, dlaczego wszystkie sceny w jej życiu zawsze rozgrywały się w kuchni. – Po prostu wykorzystalesz mnie, żeby uzdrowić swoje małżeństwo. – Albo w samochodach.

– To nieprawda – odparł, ale nie zbliżył się do niej.

Na kalendarzu data 29 maja była zakreślona, obok widniał wykrzyknik. Dzień urodzin Stephena, lecz razem już do niego nie dotrąją. Nadejdą kolejne miesiące. Potem kolejny kalendarz, a z nim kolejny rok.

– Kogo miałeś na myśli, mówiąc: „Czyż ona nie jest wspaniała?”

– Słucham?

– Zresztą to bez znaczenia.

– Prudence, posłuchaj...

– Wykorzystałeś mnie. Zrobiliście to oboje. Może nawet nie zdawałeś sobie z tego sprawy, ale w zasadzie to bez różnicy. Przez cały czas prawdziwe było tylko twoje małżeństwo. – Podeszła do okna. – Ja byłam tylko seksualnym pogotowiem ratunkowym, kiedy skończyły ci się inne możliwości.

– Kochałem cię... Kocham cię. Ale... – Głos mu się załamał. – Tęsknię za chłopcami.

Nastąpiła cisza.

– I za swoją żoną – przerwała ją po chwili Prudence. – Może jej nie lubisz, ale na pewno ją kochasz.

– Zawsze będę cię kochał – powiedział.

Słowa, które padły, były ciężkie jak kamienie; cztery słowa, których wszyscy tak bardzo się boimy.

Odsuwał się od niej, tak było od wielu miesięcy. Na dworze panowała noc, ale ogród obok tonał w świetle. Gałęzie kwitnącej czereśni ugięły się pod ciężarem kwiatów, jakby lada chwila miały się złamać. Pod drzewem stała dziecięca drabinka. Prudence chciała, żeby Stephen sobie poszedł.

Nie starał się o nią walczyć – jej słodki, słaby kochanek. Po jakimś czasie spakował torby, które pięć miesięcy wcześniej rzucił na podłogę. Prudence zadzwoniła po taksówkę.

Miłość.. pisała. Miłość... MIŁOŚĆ... *miłość*... Jego żona miała rację „, ióć to zabawne, zważywszy na to, że tak słabo mówiła po angielsku. Jedno słowo nie było w stanie nazwać tych różnych odmian miłości, które odczuwał. Które odczuwali wszyscy. Słowa to moja dziedzina, pomyślała, ale ona pokonała mnie moją własną bronią.

W ogrodzie Louise magnolia gubiła kwiaty. Pokryty był nimi cały trawnik, który wyglądał teraz jak przysypany śniegiem. Było późne sobotnie popołudnie, ale zegar na kościelnej wieży od lat pokazywał wciąż tę samą godzinę: 3. 15. Wkrótce nastanie sobotni wieczór, ale ani Louise, ani dzieci nigdzie się nie wybierali. Jamie i Imogen leżeli rozwaleni na kanapie i oglądali film na wideo.

Louise siedziała we wnęce okiennej. Gdy kupili ten dom, wyobrażała sobie, że będzie w niej przesiadywać i tkąć gobeliny; w rzeczywistości zaś dzisiaj usiadła tam po raz pierwszy. Na półkach z książkami zrobiło się luźniej, bo Robert zjawił się po resztę swoich rzeczy. Zamieszkał z tamtą kobietą w mieszkaniu w Dollis Hill. Dollis Hill. Chryste Panie, pomyślała Louise, on naprawdę musi ją kochać.

Związki jej siostr także się rozpadły; teraz wszystkie trzy były samotne. Przez ostatni tydzień Maddy chyba spała na podłodze w mieszkaniu koleżanki, jednej z tych tajemniczych znajomych, których Louise nigdy nie miała okazji poznać. Trzy siostry okazały się ofiarami miłości. Podobne doświadczenia zbliżyły je do siebie, na powrót stały się siostrami; już nie stali pomiędzy nimi ci, z którymi dzieliły życie. Louise tęskniła za Maddy i Prudence, pragnęła mieć je blisko siebie.

– Nie boicie się przeprowadzki do Londynu? – spytała dzieci.

– Boimy? Chyba żartujesz. – Jamie postukał w opakowanie pringlesów; wypadł z niego ostatni. Jamie włożył go do ust. – Kiedy wyjeżdżamy?

– A ty? – zwróciła się do Imogen. – Nie żałujesz, że sprzedajemy Skylark?

Imogen pokręciła głową.

– Chyba nie sądzisz, że mogłabym jej jeszcze zaufać?

– Nie będziemy mieli pieniędzy – powiedziała Louise.

– Dlaczego?

Chwilę milczała.

– Bo nie. Będziemy musieli wynająć mieszkanie, ja poszukam pracy. Wszystko się zmieni.

– Nie moglibyśmy zamieszkać w Brixton? – zapytał Jamie. – Tam jest w dechę.

– A może w przyczepie? – podsunęła Louise. – Na swój sposób w niej też można być szczęśliwym.

Popatrzyła na córkę. Imogen przyglądała się swoim paznokciom, jakby spodziewała się znaleźć pod nimi złoto. Ostatnio była dziwnie cicha. Nawet bez protestów pomagała w domu. Louise trochę to przerażało; być może dopiero teraz córka odczuwa skutki szoku po wypadku.

Jamie wstał.

– Hej, zasłaniasz mi! – krzyknęła Imogen, bo stanął pomiędzy nią a telewizorem.

– Skoro my się wyprowadzamy – powiedział – uważam, że ktoś jeszcze powinien. – Podszedł do drzwi. – Chodźcie, baby.

Wyszedł do ogrodu. Przez zasypyany płatkami magnolii trawnik ruszyły za nim w stronę króliczej klatki. Jamie odsunął skobelek i otworzył drzwiczki.

– No, Boyd, staruszkę – powiedział do królika. – Spadaj.

– Zje rośliny – zmartwiła się Louise.

– Przecież i tak nie są już nasze. – Jamie przykucnął koło klatki. Boyd siedział wciśnięty w kąt i warczał. – Jesteś mężczyzną czy nie?

– Jest królikiem – powiedziała Imogen.

Jamie podniósł zwierzątko. Nie robił tego od tak dawna, że Boyd zmarł z przerażenia. Jamie postawił go na trawie.

– Ruszaj. Olej domowe obowiązki, całą tę odpowiedzialność. Nie nudziło ci się w tej ciasnej klatce? – Królik nawet nie drgnął. Niewzruszony perspektywą wolności siedział i strzygł uszami. – Idź i rozmnażaj się – powiedział Jamie. – Pieprz, aż padniesz.

Boyd odkicał kawałeczek. Zatrzymał się i zaczął węszyć. Potem zaczął skubać trawę – długą i soczystą, nie koszoną od kilku tygodni.

Louise wyprostowała się i przytuliła do siebie swoje dzieci. Tylko że to nie były już dzieci, lecz dwójka dorosłych, obcych ludzi, których długo przy sobie nie zatrzyma. Lada chwila pójdą, każde w swoją stronę. Czowała się dziwnie podniecona.

– Oblejmy to. Zostało jeszcze trochę szampana.

– Wolałabym lemoniadę – powiedziała Imogen.

– E, siusiumajtko – zakpił Jamie.

Niestety, skończyły się cytryny, więc Louise wsiadła do swojego space cruisera i zapaliła



silnik. Przypomniały jej się urodziny Imogen; wtedy Robert także pojechał po cytryny. Dlaczego tak długo wtedy nie wracał? Przeszłość, do niedawna jeszcze bezpieczna, teraz jeżyła się minami tajemnic.

Na desce rozdzielczej zaczęła migotać jakaś lampka. Płyn hamulcowy? Olej? Dotąd zawsze zajmował się tym Robert. Tylu nowych rzeczy musiała się nauczyć, ale jakoś w tej chwili tym się nie przejmowała. Ona miała dzieci, które Robert utracił; odczuwała z tego powodu niezdrową satysfakcję. Dzisiaj wszystko było jej obojętne, nie bała się nawet spotkania z Timem, pierwszego od czasu tamtego upokarzającego wieczoru.

Zatrzymała się przed „Sklepem ogólnospożywczym” i wyskoczyła z samochodu. Sklep był zamknięty. Spojrzała na zegarek: pokazywał dopiero 5. 10.

Arnold, właściciel pubu, podlewał właśnie kwiatki w wiszących skrzynkach.

– Spakował się i wyjechał. – Kiwnął spryskiwaczem w stronę sklepu. – W zeszły czwartek.

– Tim? – spytała głupkowato. – Dlaczego?

– Przyjechał tu, bo szukał ciszy i spokoju, ale nie najlepiej mu się wiodło. Powiedział mi, że ten napad był ostatnią kroplą.

– Jaki napad?

– No, tych wandalów, co kradną samochody. Nie słyszała pani? Pełno ich się tu ostatnio kręciło. A kilka tygodni temu ktoś mu wyczyścił całą kasę. Tego już było dla niego za dużo.

Louise patrzyła na wystawę sklepową, zasłoniętą żaluzjami. Lecz plakat „POMÓŻMY NASZEMU SKLEPOWI” wciąż jeszcze na niej wisiał. Pod wpływem słońca trochę wypłowił.

Wróciła do samochodu. Próbowałam go uratować, pomyślała. Na swój sposób próbowałam, choć zachowywałam się jak ślepiec.

Teraz, kiedy obie zostały same, Maddy i Prudence bardzo się do siebie zbliżyły. Uwolnione od krępującej je niechęci do partnerów – przez Maddy wyrażanej głośno, w przypadku Prudence milczącej – po raz pierwszy od wielu lat połączone prawdziwie intymną zażyłością, pogłębianą dodatkowo przez fakt, że to właśnie Prudence przedstawiła siostrze Erin, jak i przez homoseksualne doświadczenia. Była jeszcze Allegra. Maddy bardzo pokochała dziewczynkę i czuła się za nią odpowiedzialna. Erin zawsze zaniedbywała córkę, a teraz przypominała sobie o niej tylko wówczas, gdy potrzebna jej była do kolejnej sesji zdjęciowej.

Maddy i Prudence postanowiły, że dostarczą małej rozrywek, której nie szczędziłyby własnym dzieciom, gdyby je miały. Pod koniec maja w niedzielę wszystkie wybrały się na wycieczkę statkiem do Greenwich. Towarzyszył im Aziz. Razem tworzyli dziwną, sztucznie powstałą rodzinę.

Prudence nie miała dotąd okazji poznać Aziza. Urzekły ją jego doskonałe maniery i pełne smutku oczy. Wyglądał jak wyzuty ze swego dziedzictwa książę. Przyglądały mu się, jak obejmując ramieniem córkę, stał oparty o reling.

– Paskudnie mu się życie poukładało – zauważyła Maddy.

– Witamy w klubie.

– Czuje się oszukany.

– Jak my wszyscy – roześmiała się Prudence. – Stephen wystawił mnie do wiatru ze swoją żoną, Robert okradł Louise z pieniędzy, a Erin wykorzystywała ciebie dla zaspokojenia własnego ego. – Odchyliła głowę do tyłu i zapatrzyła się na mknące po niebie chmury.

– Potrafisz mówić – stwierdziła Maddy. – Zawsze umiesz nazwać rzeczy po imieniu.

– Och, to akurat jest proste.

Podszedł do nich Aziz. Prudence wskazała na połyskujący w słońcu budynek Unimedia.

– Tam pracuję.

– Zbudował to Carl Zinich – powiedział Aziz. – Na początku pracowaliśmy razem.

Pokazywał im inne widoczne w oddali budynki i wymieniał nazwiska architektów, których były dziełem.

– Cesar Pelli, Richard Seifert... Macie pojęcie, ile metrów kwadratowych powierzchni biurowych stoi tam pustych? Dockland to pomnik chciwości budowniczych. Ja chciałbym budować piękne mieszkania, w których ludzie mogliby żyć. – Jego głos ożywił się. – Wciskamy ludzi w ciasne pudełka i jak króliki w klatce skazujemy na samotność. Ja marzę, żeby tworzyć wielkie, elastyczne przestrzenie, dające swobodę, zapewniające prywatność i jednocześnie poczucie wspólnoty. Mój dom w Bombaju był właśnie taki jak żywy organizm – wszyscy byli w nim mile widziani, ciotki, kuzynowie, jak u Czechowa... myślę, że ludzie byłiby szczęśliwsi, żyjąc w wielkich, swobodnych układach, takiej nierodzinnej wersji mojego domu.

– Nasz ojciec ma firmę budowlaną – powiedziała Prudence. – Wiedziałeś o tym? Może nie tworzył takich wielkich, monumentalnych budowli jak ci wszyscy architekci, ale też miał swoje ambicje. Chciał czegoś dla nas. Pracował i pracował, urabiał sobie ręce po łokcie, żeby stać go było na kupno dużego domu w Purley, podrabianego na styl tudorowski. Kłopot w tym, że jednocześnie dał nam wykształcenie i drwiłyśmy z niego. – Roześmiała się. – U ciebie w Bombaju na pewno było inaczej.

– Czyżby? A jak myślisz, dlaczego stamtąd wyjechałem?

Uśmiechnęła się. Skąpani w ciepłych promieniach słońca płynęli w dół Tamizą. Przypominali szczątki rozbitego statku unoszone tym samym prądem.

Na wzgórzu nieopodal Obserwatorium urządzili sobie piknik. Przed nimi rozciągała się rozległa panorama Londynu. Budynki wyglądały na umierające, przytłoczone zbyt wielkim ciężarem zamieszkujących je ludzi. W lekkiej mgiele wznosił się wieżowiec Canary Wharf z pulsującą słonecznym blaskiem wieżyczką.

Prudence podała Azizowi kanapkę.

– Jakie to dziwne – powiedziała, wskazując na plecak Allegrzy. – Najchętniej spakowałybyśmy się z Maddy do czegoś takiego i ruszyły, gdzie nas oczy poniosą.

– Nie odchodźcie! – wykrzyknęła przestraszona Allegra.

– Nigdzie się nie wybieramy.

– Człowiekowi się wydaje, że może wszystko zostawić za sobą – odezwała się poważnie Maddy – ale tak naprawdę wszędzie wlecze za sobą bagaż przeszłości.

– Och, to tylko taka przerażająca myśl – powiedziała Prudence.

– Chcecie wiedzieć, kiedy po raz pierwszy naprawdę się przestraszyłem? – spytał Aziz. – Pewnego razu powiedziałem do starszego brata: „Popatrz, jaki piękny żółty balon”. A on odpowiedział: „To, co dla ciebie jest żółte, dla mnie może być zupełnie inne. Skąd wiesz, że naprawdę widzimy to samo?” Nagle poczułem się straszliwie samotny.

– Wydaje się nam, że możemy ufać słowom – powiedziała Prudence. – Kiedy byłam mała, święcie w to wierzyłam. A potem dokładniej przyjrzałam się gazecie i zauważyłam, że litery to tylko zbiór maleńkich kropeczek. Przeraziło mnie to.

– To nic – odparł Aziz. – Teraz wszystko drukują komputerowo.

Prudence roześmiała się.

– Kiedy nasi rodzice się rozstali, przeszłość się rozpadła. Na powrót stała się małymi czarnymi kropeczkami. – Zwróciła się do Allegra: – Widzisz, nawet w moim wieku zdarzają się takie rzeczy.

– Moi rodzice nigdy nie byli razem – przypomniała im Allegra.

Aziz strzepnął ze spodni źdźbła trawy.

– To nie moja wina, kochanie.

Prudence wyciągnęła się na trawie i zapatrzyła w niebo.

– Pojedźmy wszyscy do Indii i zamieszkajmy w wielkim domu z werandą. Po prostu spakujmy się i wyjedźmy. Nikt nie będzie za nami tęsknił. – Jakież ogromne było niebo wznoszące się nad smutnym miastem. – Może wszyscy ujrzemy te same kolory. Zamieszkajmy razem dlatego, że się lubimy, a nie dlatego, że jesteśmy rodziną. Byłoby fajnie, no nie?

– Fajnie – zgodziła się Allegra.

Może tego właśnie dnia ziarno zostało zasiane. Później Prudence wspominała tę rozmowę na wzgórzu i swoją wizję wspólnego życia – pogodnego, opartego na przyjaźni, nie maconego seksem.

Ona, jej odzyskana po wielu latach siostra Maddy, samotne dziecko i ten subtelny, pedantyczny mężczyzna, tak uważnie otrzepujący z trawy swoje lniane spodnie. Może oto właśnie pojawiła się dla nich szansa na szczęście.

Tego dnia wszyscy we czworo byli szczęśliwi. Po lunchu Prudence zabrała ich do budynku Unimedia i podczas gdy ona oprowadzała Aziza po wielkich, wykładanych marmurami przestrzeniach, Maddy i Allegra jeździły tam i z powrotem windami, strojąc do siebie zabawne miny. Potem wypili w jej gabinecie herbatę. Prudence podarowała Allegrze książeczki dla dzieci, a Azizowi świeżo wydany album ze współczesną brytyjską architekturą. Gdy go przeglądał, patrzyła na jego błyszczące, granatowoczarne włosy. Zalała ją fala radości, jaką zwykle odczuwała, patrząc na pogrążonych w lekturze ludzi.

Nagle spokój został zmacony.

– Chyba pora wracać – powiedziała Prudence, ustawiając filizanki na tacy.

– Nigdzie nie idę – powiedziała Allegra.

Wszyscy spojrzeli na siedzącą na dywanie dziewczynkę.

– Nie wrócę do domu – oświadczyła zdecydowanym tonem. Zdjęła plecak, otworzyła go i

pokazała im jego zawartość – piżamę, dwie pary majtek i lalkę Barbie w stroju baletnicy.

– Zamieszkać z wami – powiedziała, spoglądając na każde z nich po kolei. – Jeśli mnie nie zechcecie, ucieknę.

– Ally! – zdenerwował się jej ojciec. – Nie wolno tak mówić.

– Po co jestem mamie, skoro ona i tak mnie nie chce? Nigdy nie ogląda ze mną telewizji, nic ze mną nie robi, bo zawsze jest zajęta czymś innym.

Patrząc na małą, Prudence miała wrażenie *deja vu*. Dokładnie w tym samym miejscu stał kiedyś Stephen, obok leżały torby z jego rzeczami. „Odszedłem od nich. Mogę zamieszkać u ciebie?”

Maddy usiadła na ziemi obok Allegry.

– Przecież mama cię kocha.

– Ty wiesz, jaka ona jest – powiedziała dziewczynka. – Nie kocha nikogo oprócz siebie i tej swojej okropnej książki.

– Kochanie, uspokój się. – Aziz wyciągnął do córki rękę.

Allegra chwyciła swój plecak i wybiegła z pokoju.

Pobiegli za nią, ich kroki odbijały się echem od marmurowych ścian. Allegra zbiegała coraz niżej po schodach, na zakrętach widzieli jej migającą czarną główkę. Wreszcie Maddy zdołała ją złapać w holu na dole. Allegra schowała się za donicą z paprocią. Maddy ujęła ją za rękę i wyciągnęła z ukrycia.

– Chodź do mnie, kochanie – powiedziała.

Prudence drgnęła. Nigdy dotąd nie słyszała, żeby Maddy zwracała się do kogoś w taki sposób. Przez całe swoje życie siostra pracowała z dziećmi, lecz swojego się nie dorobiła.

W ciszy odwieźli Allegrę do Hackney. Aziz siedział z córką z tyłu. Gdy dojechali na Romilly Street, mała usnęła z główką wspartą na jego ramieniu.

W sobotę przyjechały matka i siostry Louise, by pomóc jej posprzątać Stare Probstwo – jakby szykowały pannę młodą na ten najważniejszy w jej życiu dzień. Zabrały się wszystkie samochodem Prudence. Przed domem jakiś mężczyzna ustawiał znak „NA SPRZEDAŻ”. Wstrząsnął nimi ten widok, choć wiedziały, że to przecież nieuniknione.

Louise starała się okazać radość z ich przyjazdu. W normalnych okolicznościach byłoby to zwykłe babskie spotkanie, przejaw kobiecej solidarności we wspólnej krzątaninie, lecz dzisiaj w widoku tych czterech samotnych, porzuconych kobiet było coś żalnego. Wyobrażała sobie siebie i swoje siostry samotnie dożywające starości, za jedynych towarzyszy mających hołubione na kolanach koty. Męska obecność Jamiego, wynoszącego ze swojego pokoju worek ze śmieciami, wprowadzała nieco życia w tę dość ponurą scenerię.

– Co się stało ze sklepem? – spytała Dorothy. – Po drodze zatrzymałyśmy się, żeby kupić gumowe rękawice – Louise nigdy ich nie ma – a tu sklep zamknięty.

Louise opowiedziała im o Timie i Margot.

– Mieli córkę, która sześć lat temu zmarła na zapalenie opon mózgowych. Przyjechali tu, żeby zacząć wszystko do nowa. Wiejski sklepik wydawał im się idealnym miejscem.

Jamie postawił worek na ziemi.

– Mieli córkę?

Przemilczając swój w tym udział, Louise opowiedziała im resztę.

– Najpierw odeszła ona, niedługo potem on. Powiedział, że ostatecznie szalę przeważyli miejscowi wandy, którzy niszczyli szalasy skautów, kradli samochody i takie tam.

– Co takiego? – Jamie przyglądał się jej bacznie.

– W końcu ktoś okradł jego sklep. Tego już było za wiele, więc wyjechał.

Dorothy popatrzyła na dom i ciężkie od kwiatów pędy wistarii zwieszające się nad drzwiami.

– Nawet tutaj, w takim pięknym miejscu. – Pokiwała ze smutkiem głową. – A można by pomyśleć, że to najbezpieczniejsze miejsce pod słońcem.

– Nigdzie nie jest bezpiecznie – powiedziała Louise. – Jeżeli czegoś się nauczyłam, to właśnie tego.

– Daj spokój, mamo. – Jamie przestąpił z nogi na nogę. Dorothy zwróciła się do chłopca:

– Ci chuligani pewnie byli w twoim wieku. To wina ich rodziców.

Jamie wywlókł na zewnątrz swój wór ze śmieciami.

Zaczęły myć boazerię i czyścić szafki. Sortowały na kupki rzeczy przeznaczone dla sklepu w Beaconsfield, gdzie zaopatrywali się ludzie biedni i starzy. Przeszłość Baileyów zamieniała się w stertę niepotrzebnych nikomu rupieci.

– Jeśli nie wiesz, czy ci się przyda, wyrzuc – powtarzała Dorothy swoje życiowe motto, opróżniając szafę w przedpokoju. Na rosnącej stercie lądowały dziecięce kalosze i spłaszczone jak herbatniki espadryle. Mając za sobą likwidację jednego domu, była bezlitosna, Louise jednak, czując podobnie jak ona, nie protestowała.

Sama z Prudence zabrała się do sprzątnięcia sypialni – „przepiękna sypialnia z łazienką i cudownym, rozległym widokiem”, jak napisano w folderze agencji nieruchomości. Wspiąwszy się na krzesło, Prudence ściągnęła z górnej półki w szafie kartonowe pudło. Po brzegi wypełnione było dziecięcymi ubrankami – śpioszki, kaftanikami.

– Po co to trzymasz? – zwróciła się do siostry. Louise, zajęta czym innym, nie odpowiedziała. Na policzki Prudence wypłynął rumieniec.

– Chyba już trochę na to za późno – powiedziała i rzuciła pudło na podłogę.

– Stephen się odzywał? – spytała Louise. Prudence potrząsnęła tylko głową.

W łazience Maddy polerowała kurki starą jedwabną pończochą, którą znalazła za wieszakiem na ręczniki.

– W życiu nie miałam jacuzzi – stwierdziła, spoglądając na wannę. – Tylu rzeczy w życiu nie robiłam. Teraz zacznę wszystko od nowa.

– Ja też – powiedziała Prudence. – Od czego zaczniemy?

– A bo ja wiem – wruszyła ramionami Maddy. Wszedł Jamie i podał Maddy torbę.

– To się może przydać Allegrze. Moje stare gry komputerowe i różne inne rzeczy. – Umilkł, po czym zwrócił się do matki: – Nie wiesz, dokąd wyjechał Tim? Ten facet ze sklepu.

Louise zmierzyła go ostrym spojrzeniem.

– Dlaczego pytasz?

– Tak sobie – mruknął i wyszedł.

Louise, zamyślona, upychała stare czasopisma do worka na śmieci. Czy Jamie coś

usłyszał? Czy był w pobliżu, gdy przyszła do niej Margot? Nie, wyjechał wtedy do Yorku.

– Mam pomóc Immy w jej pokoju, kiedy tu skończę? – spytała Prudence.

Louise pokręciła głową. Imogen od rana siedziała zamknięta u siebie.

– Mówi, że sama sobie poradzi. – Zniżyła głos. – Ostatnio jest jakaś taka zgaszona.

W tej chwili usłyszały, że drzwi do pokoju Imogen otwierają się. Dziewczyna pognała do łazienki i z hukiem zatrzęsnęła za sobą drzwi. Po chwili rozległy się przytłumione, lecz nie pozostawiające złudzeń odgłosy torsji.

Louise rzuciła czasopisma i wybiegła z pokoju. Stała przed drzwiami łazienki i słuchała. Odgłosy torsji były tak gwałtowne, jakby Imogen chciała wyrzucić z siebie wszystkie wnętrzności. Nadeszła Maddy, trzymając butelkę z mleczkiem do czyszczenia. Nawet pies przyczłapał z dołu i stał obok nich, nieśmiało machając ogonem.

Imogen spuściła wodę i odkręciła kurek. Po chwili otworzyła drzwi i wyszła. Jej włosy były mokre. Zatrzymała się i oparła o kaloryfer. Wyglądała, jakby lada chwila miała osunąć się na podłogę.

Louise odgarnęła mokre włosy z czoła córki.

– Kochanie, dobrze się czujesz?

– Niezupełnie – odparła Imogen. – Jestem w ciąży.

Siedziały na łóżku Louise, rządkiem. Zwabieni okrzykiem przerażenia Louise zjawili się Jamie i Dorothy.

– Kto to jest? – zapytała Louise. – Kto jest ojcem?

– Karl.

– Karl?

– Kowal.

– Kowal? – Louise zakręciło się w głowie. Miała wrażenie, że przygląda się im wszystkim, wisząc w powietrzu. – Skąd wiesz? Jesteś pewna?

Imogen skinęła potakująco głową.

– Dzisiaj rano zrobiłam sobie test ciążowy. Dostałam go od April.

– Od April? – Louise patrzyła na córkę z niedowierzaniem.

– Od April? – spytała ostro Dorothy. – To ona wie?

– Nie dostałam okresu i zaczęłam się martwić.

– I April od początku o wszystkim wiedziała? – Louise była wstrząśnięta.

– Dopiero od trzech tygodni.

– Dlaczego powiedziałaś właśnie April? – zażądała wyjaśnień Dorothy.

– Była tutaj – odparła Imogen. – Jest przecież pielęgniarką.

– Zamiast mnie, najpierw powiedziałaś April? – spytała Louise.

– Louise! Mamo! – przywołała je obie do porządku Prudence. – Czy to ma aż takie znaczenie?

– Przepraszam. – Louise otoczyła ramieniem siedzącą sztywno córkę. – Kiedy to się stało? Często się z nim... spotykałaś?

– Nienawidzę go – powiedziała Imogen, potrząsając głową. Zapadła cisza. Z dworu dochodził odgłos przejeżdżających ulicą koni. Zarzała pasącą się na polu Skylark.

Odpowiedziało jej inne rzenie. Przez jedną szaloną chwilę Louise pomyślała, że konie przekazują sobie właśnie nowinę. Wkrótce cała wieś dowie się o wszystkim.

– On ma żonę – powiedziała Imogen. – I dziewczynę. Ale nie mnie, jakąś inną.

Nikt się nie odezwał. Siedzieli obok siebie na łóżku i patrzyli na Imogen, która ze spuszczoną głową skubała skórki wokół paznokci.

– Kiedy to było? – Louise założyła córce za ucho kosmyk mokrych włosów. – Moje biedactwo. Czy wtedy, kiedy dowiedziałas się o tacie i o mnie, czy też może wcześniej?

– Założę się, że wtedy, kiedy zostawiła Skylark na noc w stajni – powiedział Jamie. – Zawsze mi się to wydawało podejrzane.

– Sama się o to prosiłam – stwierdziła Imogen. – To moja wina.

– Ależ skąd – obruszyła się Maddy. – Winny jest on. Mamy iść go zabić?

– To nasza wina – powiedziała Louise. – Twojego ojta i moja. Niech to szlag.

Siedzieli na łóżku, na którym Imogen została poczęta. Louise nie mogła w to uwierzyć. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie wszystko, ale tak, jak powinno się to odbyć w normalnej sytuacji. Imogen wychodzi z łazienki i mówi: „Chyba mi wczoraj coś zaszkodziło”, a one dalej spokojnie sprzątają.

– Immy – spytała Prudence. – Co chcesz z tym zrobić?

– Co chcę... ? Och. Zatrzymać je, to chyba oczywiste.

– Kochanie, masz dopiero szesnaście lat! – wykrzyknęła Louise. – Chodzisz do szkoły.

– Nienawidzę szkoły. Beznadziejnie mi idzie. Wolę mieć dziecko. – Imogen uniosła głowę i ujrzeli, że ma rozpromienioną twarz. – Kiedy zacnie kopać?

– To kompletne wariactwo – jęknęła Louise.

– Będę je kochała – powiedziała Imogen.

– Nie możesz go zatrzymać.

– Dlaczego?

– Bo jesteś za młoda.

– Chciałabym być matką – powiedziała Imogen. – Na pewno sobie poradzę. Pragnę dziecka bardziej niż czegokolwiek na świecie. – Spojrzała na swoje ciotki. – Nie możecie tego zrozumieć? – Maddy i Prudence milczały. – Chcę się mieć kim opiekować, chcę mieć coś swojego.

– To nie królik – zauważyła Louise.

– I tak nigdy się nim nie zajmowałaś – dodał Jamie.

– Masz przed sobą całe życie. – Louise próbowała przemówić córce do rozsądku.

– Podobnie jak dziecko – powiedziała Imogen.

Przez chwilę nie potrafili znaleźć żadnej odpowiedzi na ten argument.

– Powiedziałas już komuś? – zapytał w końcu Jamie. – W szkole?

– Nie. – Imogen pokręciła głową. – Tylko April.

– April! – zezłościła się Dorothy. – Naprawdę nie mogę uwierzyć...

– Och, zamknij się, mamó – nie dała jej dokończyć Louise.

Znowu zapanowała cisza. Siedząca w fotelu naprzeciwko Dorothy chwilę przyglądała się im wszystkim. Na policzku miała smugę brudu. Nosila ten sam od lat fartuch w stokrotki.

– Jeśli chce je zatrzymać, to nie powinniśmy się sprzeciwiać. Imogen, kochanie, wszyscy ci pomożemy. Myślę, że cudownie będzie znowu mieć w rodzinie małe dziecko.

Popatrzyli na nią zdumieni.

– Mamo! – wykrzyknęła Louise.

– Wielki Boże – roześmiała się Dorothy. – Gordon zostanie pradziadkiem. Chyba nie będzie zachwycony.

– Też nie masz o czym myśleć – prychnęła Louise. – Jak się tak zastanowić, to w sumie nie ja jestem winna, tylko ty. Gdybyś się ugryzła w ten swój głupi język i nie wygadała się o Robercie, nie doszłoby do tego wszystkiego. Nie musiałabym sprzedawać domu, Imogen nie byłaby w ciąży...

– Lou – uspokajała ją Prudence. – To nie fair. Louise zwróciła się do sióstr.

– Wy też pewnie nie rozstałybyście się z Erin i Stephenem i nie musiałybyście cierpieć. – Coś w nią wstąpiło. Popatrzyła na matkę wściekłym wzrokiem. – Odkąd zostałam sama, robiłam wszystko, żebyśmy i my zostały same, chciałam cofnąć czas i na powrót odzyskać swoje małe córeczki!

– Lou... – zaczęła Prudence.

– Mnie chcesz winić za wszystko? – zdenerwowała się Dorothy. – A wasz ojciec? Czy on nie ma z tym nic wspólnego?! Przecież to on zaczął.

– Zamknijcie się, obie! – krzyknęła Maddy.

– Dlaczego dzieci za wszystko obwiniają swoich rodziców? – spytała Dorothy z goryczą. – Dlaczego nie potraficie dorosnąć i wziąć odpowiedzialności na siebie? Jeszcze chwila, a okaże się, że to przeze mnie umarła córeczka właściciela sklepu. – Już nie było wiadomo, do kogo kieruje te słowa. – Człowiek kształci swoje dzieci, a one czego się uczą? Jak atakować swoich rodziców. – Umilkła, z trudem łapiąc oddech. – I wcale nie mam zamiaru was odzyskiwać. Dzięki Bogu, mam dość własnych spraw. Przyjechałam tu dzisiaj, bo chciałam pomóc, ale głównie po to, żeby wam powiedzieć, że niedługo będziecie mieć mnie z głowy, – Co się stało? – spytała Prudence.

– Erie i ja pobieramy się.

Gapili się na nią zaskoczeni. Nawet Imogen się zdziwiła.

– Pobieracie się? – szepnęła Louise.

– Cóż, dopiero jak dostanę rozwód. Nagle wszyscy wybuchli śmiechem.



## Rozdział drugi

Całe przedpołudnie zajęło Jamiemu dotarcie do mieszkania Tima. Znał adres od Arnolda, właściciela pubu, ale kiedy znalazł się w Londynie, najpierw musiał pojechać metrem do Bounds Green, potem przesiąść się na autobus, aż wreszcie znalazł się na samych obrzeżach miasta, daleko za Północną Obwodnicą, której hałas słyhać było z oddali.

Była słoneczna sobota, tydzień po tym, jak dowiedział się o Timie i siostrze – jedno dziecko odeszło, drugie miało się pojawić. Idąc ulicą, nie miał żadnych wątpliwości. Dawny Jamie pewnie umarłby ze wstydu na myśl o tym, co zamierzał zrobić, ale teraz przekroczył próg dorosłości. Stał się mężczyzną, głową rodziny. Mijał rzędy dwurodzinnych domków i nowoczesne bloki. Mieszkali w nich ludzie. Być może bliski jest dzień, w którym on sam zamieszka w podobnym. Do tej pory bogactwo i powodzenie chroniły go jak forteca, ale wszystko to runęło i nic już nie różniło go od zwykłych ludzi.

Tak to sobie Jamie tłumaczył, albowiem szlachetność podjętego zamiaru przywoływała mu na myśl wzniosłe słowa. Drobne przeszkody – może na przykład nie zastać Tima w domu – wydawały mu się bez znaczenia. Życie składało się z rzeczy wielkich, czym się wręcz upajał. Naprawi krzywdy, których dopuścił się w przeszłości, stanie się lepszym człowiekiem. Uczucie szczęścia przepelniało go jak ciepła zupa. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio był taki szczęśliwy.

W końcu dotarł na miejsce. Był to niewielki blok, stojący naprzeciwko placu zabaw dla dzieci. Wokół wyschniętego brodzika dwóch chłopców jeździło na rowerkach, a rząd topoli chwiał się na wietrze, szeleszcząc srebrzystymi liśćmi. Jamie zadzwonił.

Drzwi otworzył mu Tim. Jamie dziwnie się poczuł, widząc go z dala od jego sklepu – podobnie reagował na spotykanych poza szkołą nauczycieli: dopiero wtedy docierało do niego, że to tacy sami ludzie jak wszyscy. Tim spoglądał na niego zza okularów.

– Jestem James Bailey, przychodziłem do pana sklepu.

– Mój Boże, co ty tutaj robisz? – Wpuścił Jamiego i powiódł go schodami do zalanego słońcem pokoju. Na podłodze leżał historyczny kostium. – Właśnie go naprawiałem. Masz ochotę na kawę?

– Nie. – Jamie pokręcił głową. – Tak tylko wpadłem. Słyszałem, co pana spotkało, no, wie pan, w sklepie.

– O co ci chodzi?

– Dowiedziałem się, że pana okradziono. – Nagle cała pewność siebie Jamiego gdzieś się ulotniła. – Cóż, udało mi się odzyskać nieco tych pieniędzy. – Sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął kopertę. Wręczył ją Timowi. – Chciałem je panu oddać.

Tim wziął kopertę, otworzył ją i popatrzył na schowane w niej banknoty. Z wiszącego na ścianie zegara wyskoczyła kukółka i zakukała.

– Dlaczego? – spytał Tim.

– Wiem, że było tego więcej. Ale zawsze to coś.

Tim usiadł ciężko w zniszczonym, wysiedzianym fotelu. Jamie zajął fotel naprzeciwko.

Pomyślał: mój ojciec nigdy by tego nie zrobił. Uwolniłem się od niego.

– Skąd masz te pieniądze? – zapytał Tim.

– Nie mogę powiedzieć. Zresztą, to nieważne. – W rzeczywistości były to jego zarobki z Tesco. Oszczędzał je na planowany na lato wyjazd do Europy.

Tim zdjął okulary i pomasaował sobie nasadę nosa. Miał na sobie podkoszulek z napisem „Pizza Express”. Może tam pracował, ale tego Jamie nigdy się nie dowiedział. Tim popatrzył na niego z uniesionymi brwiami.

– Twoja rodzina zawsze chce mi coś dać – powiedział.

– Słucham? Na przykład co?

– To bez znaczenia – uśmiechnął się Tim. – Ale szlachectwo zobowiązuje – tu nachylił się i oddał Jamiemu kopertę – więc i w tym przypadku muszę odmówić.

Koperta spoczęła na kolanach Jamiego. Miała przezroczyste okienko, Jamie wziął ją z biurka ojca.

– Możesz pomyśleć, że jestem staroświecki – powiedział Tim. – Ale ja się urodziłem, by służyć.

– Dlatego prowadził pan sklep?

Tim pokręcił głową i wskazał na kostium.

– Stąd moja lojalność wobec rojalistów. W przyszłym tygodniu odgrywamy bitwę pod Wailingford. Pewnie pomyślisz sobie, że to głupota, żeby banda podstarzałych facetów tarzała się w bloku, ale mnie to sprawia przyjemność.

– Dlaczego?

– Gdybym tego nie robił, to... kto wie... pewnie popełniłbym jakieś głupstwo. – Chwilę się zastanawiał. – Prawdziwe głupstwo. Na przykład coś bym rozwalił. Jak twoi przyjaciele.

– To nie są moi przyjaciele.

– I dokąd by mnie to zaprowadziło? – Schylił głowę i spojrzał na leżący między nimi kostium. Na czubku głowy prześwitywała mu łysina. – Tak, przynajmniej wiem, po której jestem stronie. Reszta nie jest już taka prosta.

– Proszę przyjąć te pieniądze. Tim pokręcił głową.

– Młody człowieku, coś ci powiem. Cieszę się, że odeszła. Mam na myśli swoją żonę. Myślę, że ona też jest zadowolona. Nie mogliśmy już żyć razem. Nie będę się wdawał w szczegóły. Powiem tylko, że żałoba po kimś nie zbliża do siebie ludzi. Mam nadzieję, że nigdy nie będzie ci dane przekonać się o tym osobiście. – Wstał. – Zatrzymaj swoje pieniądze. Ciesz się nimi. – Po chwili dodał: – Żyj.

Jamie także wstał. Przez moment stał w pełnej szacunku pozie. Z palącą wstydem ulgą schował kopertę do kieszeni. Teraz będzie mógł wyruszyć z Maxem i Chrisem, kumplami ze szkoły.

Tim przestąpił rozpostarty na ziemi kostium, który wyglądał, jakby tkwiące w nim ciało stronnika Karola I wyparowało.

– Niedawno przeczytałem coś, co dodało mi otuchy, choć ty się zapewne z tym nie zgodzisz. Otóż żyjący ludzie to martwi, którzy jeszcze nie zajęli swoich posterunków. – Odprowadził Jamiego do drzwi. – Wbrew pozorom nie jest to wcale takie ponure, jak

mogłoby się wydawać. Miły z ciebie dzieciak. Pamiętasz, co mi kiedyś powiedziałaś w sklepie? Cóż, mam nadzieję, że będziesz żył długo i szczęśliwie.

Jamie zbiegł na dół i wyszedł na ulicę. Było mu lekko na duszy – tak lekko, że gdyby mógł, wzbiłby się z radości w powietrze.

Pokaz koni w Amersham rozkręcił się na dobre. Na ogrodzonym terenie ustawiono przeszkody. Dziewczyna na kasztanie przeskoczyła podwójny płotek i odjechała cwałem.

– Numer 26, czysty przejazd! – rozległo się z głośników. Obok odbywał się wyścig z jajkiem na łyżce i mniejsze dzieci dobiegały właśnie do mety. Nad morzem samochodów unosiło się rzenie uwiązanych koni, powietrze pachniało końskimi odchodami, spalinami i pieczonymi kielbaskami. Wszędzie stały zamienione w stragany furgonetki z wystawionymi na sprzedaż siodłami, napojami i porcelanowymi figurkami słynnych ogierów.

Louise i jej dwie siostry, trzy furie zemsty, maszerowały przez tłum. Na pokazie był Karl, dowiedziały się o tym od Imogen. Louise patrzyła na wysypane sianem końskie boksy. Przy jednym siedziała z szeroko rozstawionymi nogami dziewczynka w bryczesach i żuła kanapkę, karmiąc okruszkami uwiązanego obok kucyka. Do oczy Louise napłynęły łzy – gniewu i żalu. Przecież to mogłaby być Imogen. Lecz Imogen została w domu. Nie jeździła już konno, przestała ją to bawić, a poza tym bała się o dziecko. Jej młodość została skradziona.

We trójkę kierowały się do odległej areny, wokół której zgromadził się tłum. Louise przemknęło przez myśl, że w zeszłym roku o tej porze tworzyli jeszcze szczęśliwą rodzinę. A teraz po jej domu kręcili się obcy ludzie, otwierali szafy, stawali przy oknach i podziwiali widoki, które należały do niej.

– Co zrobisz, jak go zobaczysz? – spytała Prudence.

– Wykastrujesz go? – zaciekawiała się Maddy.

– Jeszcze nie wiem. – Louise potrząsnęła głową.

– Chcę zobaczyć, jak on wygląda – powiedziała Prudence.

Na razie nie miały jeszcze żadnego planu. Louise nie zamierzała mówić kowalowi, że przez niego jej córka jest w ciąży; na samą myśl drżała z przerażenia. To, co stało się potem, także wspominała z przerażeniem. Sama, bez siostr, nigdy by się chyba na to nie zdobyła – ponieważ tego szalonego dnia, chichocząc, zrobiły rzecz, na którą normalnie wpadłyby tylko w dzieciństwie.

Trwały właśnie Zawody Młodych Kowali. John Suttler, właściciel stadniny, którego Louise знаła, stał z megafonem i tłumaczył zbierającym się wokół areny ludziom zasady konkursu. Na środku stał pochylony mężczyzna i podkuwał wielkiego czarnego konia.

– To on? – szepnęła Prudence.

Louise potrząsnęła głową. „Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby i mnie zmienił podkowsy”. Jakaż była niefrasobliwa. Pomyślała, że przez te wszystkie lata bawiła się w najlepsze ze swoimi dziećmi na plaży, odwrócona do wody tyłem, nieświadoma wzbierającej za nimi, coraz większej i groźniejszej fali, w każdej chwili gotowej ich pochłonąć.

Gdy na arenę wszedł Karl, wiedziała już, co robi. Patrząc na niego, widziała twarz Roberta. Uśmiechał się do niej: „Ja też lubię seks z kobietami”. Obok niego wisiała do góry nogami podkowa, odwracając od nich szczęście. Louise patrzyła na ciemne, gładko

przyлизane jak u wydry włosy. Uda osłaniał mu ciężki skórzany fartuch. Wyobrazila go sobie leżącego na jej córce. Na arenę wprowadzono konia, zegar zaczął odliczać czas... Karl wziął się do pracy.

Louise precisięła się przez tłum. Czarująco uśmiechnęła się do Johna Suttlera; jeszcze pamiętała, jak czarować mężczyzn. Podał jej megafon. Chmury nad jej głową zawirowały, ziemia się pod nią zatrzęsa. Odchrząknęła, po czym głośno i wyraźnie przemówiła do megafonu.

– Powitajmy wielkimi brawami Karla Fairlighta, obiecującego młodego kowala z Tetbury Magna. Karl jest żonaty, ma dwójkę dzieci, co jednak nie przeszkadza mu w rozwijaniu własnej wspaniałej kariery...

Karl wyprostował się. Louise, przerażona swoim czynem, umilkła. Maddy – dzielna Maddy, która niczym się nigdy nie przejmowała – wyrwała jej megafon z ręki. Prudence zaczęła coś jej szeptać do ucha i Maddy powtórzyła to głośno.

– ... szanowni państwo, Karl sam ma w sobie coś z tych ogierów, które podkuwa, a nawet odnosi na tym polu wielkie sukcesy. Nie przepuść niczemu, co się rusza, brzmi jego życiowe motto, gdy więc odwiedza wasze domy, trzymajcie wasze córki i żony z dala od niego, bezpiecznie zamknięte.

Nad areną zapadła martwa cisza. Z głośników dobiegał głos, lecz tłum milczał. Wszyscy patrzyli na Maddy. Po chwili głowy zgromadzonych zwróciły się w stronę Karla, który stał bez ruchu.

Trzy siostry uciekły do samochodu. Zatrzęsęły za sobą drzwiczki i dopiero bezpieczne w środku wybuchły śmiechem. Śmiały się tak bardzo, że aż rozbolały je brzuchy i zrobiło im się niedobrze. Gdy podskakując na wyboistej trawie, zmierzały do bramy, Louise pomyślała sobie: a co mi tam. I tak za parę tygodni już nas tu nie będzie.

Jeszcze zanim wyjechały na główną drogę, całe zajście wydało im się tak nierealne, że z trudem mogły uwierzyć, iż wydarzyło się naprawdę. Już zaczynała pokrywać je patyna legendy.

Siedząca za kierownicą Prudence poklepała Louise po kolanie.

– Musimy trzymać się razem. Stanowimy świetny zespół.

Ta sobota była ostatnim dniem życia Gordona. Gdyby miały tego świadomość, siostry na pewno nie wybrałyby się na wystawę koni, by upokorzyć kowala. Gdyby wiedziały, pogodziłyby się z ojcem, przestałyby go obwiniać o rozbitcie ich rodziny, zdążyły już się bowiem przekonać, jak niszczącą siłę może mieć miłość. Maddy powiedziała mu to, co i tak chciała mu w końcu któregoś dnia powiedzieć – że nie tylko on ponosi winę za jej nieszczęśliwą młodość. Że rozumie jego rozczarowanie, gdyż niczym motyl uwolniła się ze swej dawnej postaci i spoglądała teraz na nią, tę zwyrodniałą poczwarkę minionych lat, z zabarwionym poczuciem wstydu żalem. Że Erin, mimo całej swej arogancji, uczyniła ją wolną, za co nigdy nie przestanie jej być wdzięczna.

Co powiedziałyby mu pozostałe córki? Że go kochały? Ostatni raz usłyszał to od nich, gdy były małe, a może nawet wtedy nie mówiły tego głośno, choć pisane przez nie listy były do „kochanego tatusia” od „kochających” Louise i Prudence – jakże łatwo pisało się podobne

słowa. Żadna z nich nie darzyła go zwykłą, prostą miłością, lecz ona jednak gdzieś musiała się w nich tlić, głęboko ukryta. Gdyby wiedziały, że właśnie tego dnia umrze, czyż wiatr nie zdmuchnąłby zewnętrznej warstwy, odsłaniając przykrytą nią skałę? W tej chwili Louise wciąż jeszcze miała do niego żal, że odmówił jej pomocy, gdy tak bardzo była jej potrzebna. Gdyby wiedziała, to w tę niedzielę, gdy ojciec przyjechał do niej z April na lunch, zapomniałaby o wszystkim: przecież – co najważniejsze – Imogen została uratowana.

Lecz wszystkie one tkwiły w chwili obecnej, poza którą ich wzrok nie sięgał. Także Gordon, człowiek kierujący się impulsami, rzadko spoglądający w przeszłość i równie niechętnie zastanawiający się nad tym, co niesie przyszłość. Tym zajmowała się jego żona, za czym tęsknił. Czy jednak zdawał sobie z tego sprawę, mając koło siebie April? Za swoją przeszłością także tęsknił. Z radością rozpoczął wszystko od nowa, lecz całe swoje dorosłe życie spędził u boku Dorothy, wraz z nią pokonywał początkowe trudności w Chislehurst, razem wychowywali dziewczynki, ich wspólne życie toczyło się na tle wielkich wydarzeń na świecie, które czasem umykały jego uwagi, tak był zajęty. Nie mając przy boku żony, czasem odnosił wrażenie, że dryfuje bezwolnie.

W ten pamiętny sobotni poranek kupował nową kosiarkę do trawy, przeklinając samego siebie, że tak bezmyślnie zostawił starą w szopie w Purley. Gdyby wiedział, co go czeka, zabrałby April do Paryża albo przynajmniej nauczył ją swoich ulubionych starych piosenek, których ona już nigdy nie zaśpiewa.

A gdyby April знаła najbliższą przyszłość, na pewno nie odezwałaby się do niego tak, jak to zrobiła, gdy wrócił do domu. Gordon rozładowywał samochód. Wysła za nim do ogrodu. Krzewy, których nazw nie znała, zdawały się do niej mówić: poprzycinaj nas albo lepiej nie, bo i tak nie masz o tym pojęcia. Pomyślała: po co nam ten dom, te wszystkie rzeczy? Przecież raz już przez to przechodził, dlaczego więc zaczyna teraz od nowa? Żeby zbudować dom, z którego i tak w końcu mieszkańcy w popłochu uciekną?

Zza żywopłotu nadpłynął aromat pieczonego mięsa, sąsiedzi urządzali grilla. Słychać było głośny kobiecy śmiech. April raz spotkała sąsiadkę. Wracała do domu z zakupów i kobieta ją zagadnęła.

– Przepraszam bardzo, czy pani tu pracuje? Rozpaczliwie poszukuję sprzątaczk.

Gordon rozrywał pudło. Nigdy niczego nie rozpakowywał, tylko targał i rozszarpywał niecierpliwie. Dzisiaj – ponieważ była zdenerwowana – rozzłościło ją to.

– Tęsknię za domem, Gordonie – powiedziała. – Chcę wrócić do Brixton.

Wyprostował się.

– Po co? Znowu tam zamieszkać?

Dzięki Bogu, nie przytaknęła, choć w głębi duszy taką właśnie odpowiedź nosiła. W Wandsworth była nieszczęśliwa. Brakowało jej przyjaciół, otwartych do późna sklepów, tęskniła za pracą. Uświadomiła to sobie z przerażeniem w ciągu minionego tygodnia. Dzięki Bogu, nie powiedziała mu prawdy.

– Nie podoba ci się tutaj? – spytał.

– Nie, jest dobrze. Na pewno jakoś się ułoży.

– Zaczynasz żałować, że jesteś ze mną?

– Ależ skąd.

Całe szczęście, że tak właśnie odpowiedziała, choć rzeczywiście zaczynała mieć wątpliwości. Nie co do Gordona, lecz raczej do ich wspólnego życia. Nikomu się jednak z nimi nie zdradziła.

– Po prostu czuję się trochę jak wyrwana z korzeniami roślina. Nie lubię być zależna od faceta. Chyba poszukam sobie jakiejś pracy.

Położył jej ręce na ramionach i zajrzał głęboko w oczy.

– Kochanie, możesz robić, na co tylko masz ochotę. Przecież wiesz, że uratowałaś mi życie. – Uśmiechnął się, ale nie oszukał jej. Wiedziała, że jest zły.

– Po prostu... no wiesz... lubię spotykać się ze znajomymi. Zabawić się trochę.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem – oświadczył. – Chrzanić trawnik. Przez czterdzieści lat go kosiłem.

Tak naprawdę chciała wybrać się sama, lecz później dziękowała Bogu, że jej nie zrozumiał, bo przynajmniej nie poczuł się zraniony.

Ach, gdybyż jednak był człowiekiem trochę bardziej wrażliwym – odczytał jej pragnienia i został w domu – czy żyłby nadal?

Pojechali więc do Brixton i na targu wypili kawę. Zajrzeli do jej przyjaciółki Carole, właścicielki salonu fryzjerskiego przy Second Avenue, i gdy ostatnia klientka wyszła, kupili wino i poszli do mieszkania Carole, gdzie jej mąż przygotował curry. Wpadła Beverley, przyjaciółka, od której April dowiedziała się o ściskaniu koniuszka ucha, co się nie sprawdziło, gdyż Gordon i tak w końcu zaczął palić na nowo, lecz z drugiej strony sprawdziło się jak najbardziej, ponieważ to właśnie jego ucha dotknęła April najpierw, od czego pomiędzy nimi zaiskrzyło. Wieczór się rozkręcał, jak wszystkie sobotnie wieczory ludzi, którzy nie mieszkają w Purley ani tym bardziej w Wandsworth. Wkrótce pojawili się następni goście i nagle ktoś zaproponował:

– Chodźmy gdzieś potańczyć.

– Ja? Tańczyć? – zdziwił się Gordon. – Będę wyglądał jak ostatni głupek.

Mimo to poszedł, i to chętnie. Po drodze do The Fridge zadarł głowę i popatrzył na błyszczące na niebie gwiazdy, których blasku nie zdołało zgasić nawet światło ulicznych latarni. Potem spojrzął na April i ceremonialnie ucałował jej dłoń.

– Hej, moja ty gwiazdooka – zanucił.

April domyśliła się, że jest pijany, ale ona także miała już nieźle w czubie. Tej nocy znowu się w nim zakochała. Kochała tego upartego, sentymentalnego mężczyznę i gdy znaleźli się w świecie pulsujących, kolorowych świateł, krzyknęła do niego:

– To lepsze niż termofor, no nie?!

Nie usłyszał jej, muzyka zagłuszała wszystko. Wzięła go za rękę i poprowadziła na parkiet. Ostatnie słowa, które wykrzyczał jej prosto do ucha, brzmiały:

– A co tam, żyje się tylko raz.

Lecz ona ich nie usłyszała, bo pochłonęła je muzyka.

Muzyka dudniła, a do jej rytmu dołączyło się bicie trzystu serc. Dudniła w mózгах, przepełniała pulsujące, wijące się ciała. „Czy oni nie zdają sobie sprawy, jaki to cud?

Nieważne, jakim ktoś jest idiotą, samolubem czy głupcem, jego ciało i tak trawi, pompuje... „, April i Gordon, oboje grzeszący samolubnością i nie tylko, przysunęli się do siebie. „Choć bylibyśmy nie wiem jak źli, nasze ciała zawsze nam wybaczą. Wzruszające, prawda?”

Wziął ją w ramiona. Przez chwilę tańczyli razem, policzek przy policzku, serce przy sercu, tak jak tańczyć należy, jak tańczył w czasach swojej młodości.

I wtedy upadł, a ona osunęła się na podłogę wraz z nim.

Rozpięła mu kołnierzyk. Nachyliła nad nim, trącana przez nogi tańczących, otworzyła mu usta swoimi wargami. Zanim Gordon umarł, jego kochanka odeszła; zastąpiła ją April pielęgniarka; ta April, którą pierwszą pokochał.

Lecz jej wiedza i doświadczenie, choć bezsprzecznie ogromne, tym razem nie zdołały go uratować.

## Rozdział trzeci

W tę sobotę Dorothy miała jeden ze swoich złych dni. Jej wściekłość na Gordona żyła własnym życiem i wybuchała niespodziewanie, jak stan zapalny w ranie postrzałowej, z której nie udało się usunąć kuli. Współistniała wraz z nowo odkrytym zadowoleniem, jakie dawało jej towarzystwo Erica, lecz przez większość czasu drzemała ukryta gdzieś w zakamarkach duszy. Małżeństwo Dorothy nie skończyło się spokojnie – Gordon rozszarpał je jak opakowanie kosiarki. Węzły, których nie potrafił rozwiązać, po prostu przeciął, wyrzucił zawartość, zostawiając żonie kłopot z posprzątaniem śmieci. Co miała począć z tym wszystkim, wciąż uparcie tkwiącym w jej głowie?

Erie przyszedł na lunch. Przyniósł ze sobą mapę. Mieli poszukać jakiegoś miejsca na wsi, w którym mogliby zamieszkać.

– A może otworzylibyśmy sklep? – zaproponował. – Jakiś niewielki interes, tak żeby mieć się czym zająć.

Farmę rukwii wodnej? Była pewna, że tę historię usłyszał Gordon od April. „Nie wyobrazasz sobie, co się wczoraj przytrafiło April”. Pamiętała, jak siedział na łóżku, a oczy mu błyszczały.

Dorothy zrobiło się niedobrze. Jak mogła zacząć nowe życie, skoro stare wciąż ją prześladowało? Po południu, gdy Erie wyszedł, wykreśliła numer do Gordona.

Odezwała się automatyczna sekretarka: „Nie ma nas w tej chwili w domu... „. Jakże łatwo jednych „nas” zastąpić innymi! Ignorowała fakt, że ona postąpiła dokładnie tak samo. W słuchawce przez chwilę rozbrzmiewała idiotyczna, elektroniczna wersja jakiegoś utworu, po czym rozległo się bipnięcie.

– Gordon – powiedziała. – Tu Dorothy. Czy nadal będziesz chował głowę w piasek, czy też wreszcie porozmawiamy? Zapewne nie masz pojęcia, co spotkało Imogen, nie wiesz też o innych rzeczach, które się wydarzyły, podczas gdy ty byłeś zajęty gdzie indziej. Maddy jest bez pracy, a Louise i twoje dzieci wkrótce zostaną bez dachu nad głową. Czy myślisz, że problemy znikną, jeśli będziesz się starał ich nie dostrzegać? Zadzwoń do mnie jak najszybciej.

Tej nocy Louise zadzwoniła do ojca. Siedziała w gabinecie Roberta, w którym ktoś strącił jego oprawioną w ramkę reprodukcję Charterhouse, zapewne przeciskając się obok biurka. Po jej domu kręciły się całe stada obcych, trawnik przed domem pokrywały niedopałki papierosów. Spoglądała na obrazek przedstawiający starą szkołę Roberta. Nie był specjalnie ładny i nigdy go nie lubiła. Dlaczego jednak Robert nie zabrał go ze sobą? Brał rozbrat z dzieciństwem?

– Tu Gordon Hammond. Nie ma nas w tej chwili w domu, ale jeśli chcesz, po sygnale możesz zostawić wiadomość dla mnie lub dla April.

Louise ucieszyła się. Wolą rozmawiać z maszyną. Pomyślała, że gdyby nigdy nie trzeba było rozmawiać z żywą, oddychającą istotą, życie chyba byłoby znacznie łatwiejsze.

– Tato... Cześć. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku. Być może wiesz już



wszystko od April... Pamiętasz ostatnie urodziny Immy? Powiedziałeś wtedy, że prześcignie w tym swoje ciotki. Cóż, nie pomyliłeś się. W styczniu zostaniesz pradziadkiem. Mam nadzieję, że to cię zbytnio nie postarzy... Pozdrawiam. Pa.

Ledwo odłożyła słuchawkę, natychmiast pożałowała, że nagrała tę wiadomość. Nie ujęła tego dość delikatnie, lecz teraz już było za późno, by coś na to poradzić.

Minęły dwa dni, zanim April na tyle doszła do siebie, by odsłuchać wiadomości pozostawione na automatycznej sekretarce.

Włączyła odtwarzanie i nagrania posypały się jak kulki rtęci. Czy któreś z nich miało jeszcze jakieś znaczenie? Namyslała się chwilę, po czym nacisnęła inny przycisk.

– Tu Gordon Hammond. Nie ma nas w tej chwili w domu...

Cały Gordon, pomyślała. Najpierw wymienił siebie. Łzy napłynęły jej do oczu. Wyjęła małą kasetkę i schowała głos Gordona do kieszeni, gdzie będzie mogła zachować go na zawsze.

Trumna zniknęła w piecu. Nad krótkim przedstawieniem, jakim było życie Gordona, opadły zasłonki. Zasuważąc się, zwolniły w pewnym momencie, jakby się zawahały, po czym zamknęły się z lekkim falowaniem. Gordon nie był człowiekiem religijnym, zabrakło mu czasu na wiarę w Boga. Przeszedł na drugą, nieznaną stronę przy dźwiękach *Bali Ha 7*, jego ulubionej piosenki z *South Pacific*.

W tej samej chwili jego córki, ku własnemu zaskoczeniu, zalały się łzami. Dotąd jakoś się trzymały, ale teraz siedziały wtulone w siebie, dzieląc się chusteczkami do nosa. Za nimi siedział Robert, któremu trochę późno udało się wyrwać z pracy. Po pogrzebie wszyscy pojechali do domu w Wandsworth, gdzie w na pół wykończonej jadalni April przygotowała poczęstunek.

Dziwne to było spotkanie, zupełnie jakby czas cofnął się na chwilę o krok. Nie przybył Erie ani Deirdre, również Erin i Stephen byli nieobecni; duchy, które na krótko zagościły w ich życiu, znikły. Rodzina wystąpiła w starej obsadzie, z czasów przed wielkimi zmianami. Lecz w pokoju dawało się wyczuć obecność nieobecnych – tych z przeszłości, jak i tych, którzy mieli pojawić się w przyszłości. Najbardziej zaś wyczuwalną ze wszystkich była ta należąca niegdyś do Gordona.

Stali w kręgu skępowani. Louise podała Robertowi kieliszek z winem.

– Jak ci się podoba Dollis Hill? – Patrzyła na niego z rezerwą. – Jesteś tam szczęśliwy, na swój sposób?

– Możemy zostać przyjaciółmi? – spytał w odpowiedzi. – Proszę?

Pogryzając udko kurczaka, Prudence rozmawiała z matką.

– Jaki interes?

– Coś na wsi. Coś, czym moglibyśmy się z Erikiem zająć razem.

– Może weźmiecie nasz wiejski sklep? – podsunęła Imogen. Obróciły się i spojrzały na nią. Na dworze zza chmur wyłoniło się słońce. Wśród wybujałej trawy, której nikt nie zdążył skosić, połyskiwały stokrotki. April otworzyła wychodzące na ogród francuskie okna. Podeszła do niej Dorothy.

– Chciałam cię spytać, czy zdążył odsłuchać moją wiadomość? Czy to go tak

zdenerwowało?

April pokręciła przecząco głową.

– Nie, to ja go zabiłam. Poprosiłam, żeby ze mną zatańczył. – Nalała wina do pustego kieliszka Dorothy. – Urzniemy się?

– A powinnyśmy?

– Któregoś dnia przyznał mi się, że chciałby, aby jego prochy rozsypać w Lakę District – powiedziała April. – Tam, gdzie się zaręczyliście. Powiedział, że ty będziesz wiedziała gdzie.

– Naprawdę? April skinęła głową. W tej samej chwili z góry dobiegły jakieś hałasy. Wszyscy umilkli.

– To Gordon – domyślił się Robert. – Zapomniał wykończyć listwę przypodłogową.

– Nieprawda – powiedział Jamie. – Dobija się do niebiańskich wrót. „Wpuście mnie! Mam tu czekać godzinami?”

– A ja myślę – odezwała się Imogen – że on już jest w niebie. Teraz zaczyna robić tam porządki.

– Masz rację – zgodziła się z nią April. – Tak właśnie sobie wyobrażał niebo.

– Na pewno mówi: „Zaraz ściągnę chłopaków... „

– „Macie tu okropną wilgotną plamę. To na pewno przez te wszystkie chmury... „

– „Ruszaj się, Beethovenie, pora brać się do roboty... „ Zaczęli się śmiać. Atmosfera się rozluźniła, bo czasem pogrzeby okazują się niespodziewanie radosnymi wydarzeniami. April wyjaśniła, że na górze pracuje hydraulik, lecz Imogen, z przekrzywioną głową, wsłuchiwała się w capstrzyk po swoim kowalu, który umarł, dając początek nowemu życiu.

April włączyła muzykę. Robert odsunął stół na bok i poprosił do tańca córkę. Brygadzysta Frank porwał w tany Dorothy, a April kopnęła na bok dywan i razem z Jamiem wyszła na środek pokoju. Tańczyli, a gdy zaczął się nowy utwór, Robert wziął w ramiona Louise. Zawsze potrafili dobrze tańczyć. Odsunął jej włosy z poblądłej od płaczu twarzy i po chwili rozluźniła się w jego objęciach, gdy w takt muzyki sunęli po parkiecie.

Po jakimś czasie przestali i wzniesli toast za Gordona, do którego należał ostatni taniec. April stukaniem w kieliszek poprosiła wszystkich o chwilę uwagi. Kiedy później ją wspominali, tak właśnie utkwiała im w pamięci – w czerwonej satynowej sukni, z włosami upiętymi srebrnymi spinkami. Kobieta emanująca radością życia.

– Chcę wam tylko powiedzieć, że jutro się wyprowadzam. Możecie zatrzymać ten dom, tak naprawdę nigdy nie czułam, że jest mój, i chyba go nie polubiłam. Mam przyjaciółkę, jest przełożoną w domu opieki dla starych ludzi... Może to zabrzmie śmiesznie, ale naprawdę lubię opiekować się starymi ludźmi... – Przerwała. – Ale was to pewnie nie dziwi. Tak czy owak, zaproponowała mi u siebie pracę, więc... – Wskazała na zastawiony stół. – Jedzcie, pijcie i radujcie się. Bardzo was proszę, radujcie się szczerze, bo wiem, że Gordon by sobie tego życzył. – Uśmiechnęła się. – A któregoś dnia, kto wie? Może będziecie mnie potrzebowali, a ja na pewno nie odmówię wam pomocy.

## Rozdział czwarty

Minął rok. Nastąpiła kolejna słoneczna sobota maja i Maddy pracowała w ogrodzie. Ani jej, ani siostrze nie podobały się krzewy; były szerniałe i pozbawione życia, relikty cudzej przeszłości. Wykarczowała je więc i teraz na ich miejscu urzędowała rabatę bylin. Ostrożnie dobywała roślinki z doniczek, chroniąc dłońmi ich wilgotne korzonki, i delikatnie sadziła w miejscach, które odtąd staną się ich domem. Na obsypanej kwieciami czereśni śpiewał kos, białe drobne płatki sfruwały na ziemię jak śnieg.

W tyle ogrodu stała przyczepa. Siedziała w niej Allegra zajęta odrabianiem zadania domowego. Przyczepa była jej sekretnym schronieniem; maleńkie mebelki chłoneły jej nadzieje i marzenia, tak jak wcześniej nasiąkały tajemnicami jej prawie że już ciotek. Była szczęśliwa, mieszkając tutaj, w Wandsworth, ze swoją prawie że już rodziną. Bo choć nie w niej przyszła na świat, to kochając ją, obudziła w niej miłość, którą odwzajemniała, i teraz, w niedzielę, to matka przyjeżdżała do niej w odwiedziny, tak jak kiedyś musiał robić to Aziz.

Aziz uważał, że trzy mieszkające razem siostry, niczym gąbka wchłaniające zbłąkanych przybyszów z zewnątrz, są jak żywcem wyjęte z Czechowa. Ludzie zjawiali się i wyjeżdżali – przyjaciele Jamiego z Yorku, Aziz, który spędzał u nich większość wieczorów. Jego i Prudence połączyło pełne czułości, ostrożne wzajemne zrozumienie; traktowali się z delikatną troską, jakby byli kruchymi figurkami z chińskiej porcelany. Może któregoś dnia wyprowadzą się i zamieszkają gdzieś razem, ale tymczasem nie chcieli niczego zmieniać, gdyż byli sami, lecz nie osamotnieni, a obecność dzieci pomagała im wyzbyć się starokawalerskich i staropanieńskich nawyków.

Imogen leżała ze swoim dzieckiem na trawie. Ona także, jak Allegra, odrabiała zadanie. Za miesiąc czekała ją matura. Aziz szkicował plany nowej kuchni, a Prudence wyjmowała manuskrypty, z którymi planowała uporać się w czasie weekendu. Tę pełną skupienia atmosferę zakłócił nagle płacz dziecka. Louise rzuciła przyniesione właśnie zakupy, wyszła do ogrodu i utuliła maleństwo w ramionach. Kołysała dziewczynkę, rozkoszując się wiosennym słońcem.

Prudence wzięła jeden z manuskryptów. *Home Truths* autorstwa Erin Fox. Usiadła w fotelu i zaczęła czytać.

„Pewnego razu były sobie trzy siostry – Isobelle, Effie i Vida... „

Prudence wyjrzała przez okno. Louise wirowała z dzieckiem w objęciach wśród opadających z drzewa śnieżnobiałych płatków.

„Isobelle była słodka i piękna, grzeczna mała dziewczynka, której jedynym marzeniem było dorosnąć i mieć dzieci... „

W ogrodzie mała Louise bawiła się lalkami. Jakże lśniły w słońcu jej złote włosy! Owinęła swoją ulubioną lalkę, MaryBelle, w ręcznik i ułożyła na trawie...

„Effie, mol książkowy, była ze wszystkich siostr najmądrzejsza. A Vida? Vida była łobuziakiem... „

Echem powróciła z przeszłości wygwizdywana przez kosa piosenka. W ogrodzie Maddy,

toporna i zdecydowana, pchała po trawie swój buldożerzabawkę. Przejechała nim po otwartej książce Pru – ależ ta Prudence wrzeszczała! Przejechała po lalce Louise – lecz nie udało jej się i zaczęła wlec lalkę pod kołami – jakże Louise krzyczała!...

Na błoniach dzieci grały w piłkę. Ich krzyki wpadały przez otwarte drzwi do „Sklepu ogólnospożywczego”, gdzie Erie podawał właśnie klientowi cztery porcje łososia i roladę szpinakową. Sklep świetnie funkcjonował, gdyż mieszkańcy Wingham Wallace należeli do zapracowanych, aktywnych ludzi; jeździli do Londynu, pracowali w dziale public relations, mieli kuchenki, lecz brakowało im czasu, by coś na nich gotować, tłumnie więc nawiedzali miejscowy sklep, gdzie mogli kupić specjały Erica i podawać je na przyjęciach, udając, że sami je przygotowali, lub zasiadając wygodnie przed telewizorem, rozkoszować się nimi po wyczerpującym dniu i popijać kupionym u Erika wysmienitym winem. Doprawdy, wybór trunków był u niego doskonały. Nareszcie mają sklep, który rozumie ich potrzeby, mawiali.

Dorothy sprzedawała znaczki nowej mieszkance domu Louise, kobiecie, do której z miejsca zapałała niechęcią.

– Proszę mi powiedzieć – zwróciła się do Dorothy – czy pani córka skarżyła się kiedyś na króliki?

– Na króliki? – powtórzyła Dorothy, wydając jej resztę.

– Mamy prawdziwą plagę. Daliśmy zrobić ogród, kosztowało nas to fortunę, a one wszystko zjadają.

– O ile sobie przypominam, miała kiedyś jednego starego króla – odparła Dorothy. – Ale Bóg jeden wie, co się z nim stało.

Gdy Prudence skończyła czytać manuskrypt, na dworze panowała już ciemność. Pora kolacji dawno minęła, Aziz rozpałił ogień w kominku i teraz wszyscy siedzieli wygodnie w salonie i oglądali telewizję.

„... i trzy siostry żyły dalej długo i szczęśliwie. Albo tak im się przynajmniej wydawało, skąd bowiem miały wiedzieć, że to dopiero początek?”

Odłożyła ostatnią stronę. Maddy podniosła głowę.

– Co czytałaś?

– Nową powieść Erin.

– Coś dobrego?

Prudence wzruszyła ramionami. Wstała i podeszła do kominka. Wrzuciła manuskrypt, strona po stronie, do ognia. Płomienie skoczyły w górę, oświetlając zwrócone ku niej zdumione twarze sióstr. Po chwili już znowu patrzyły w telewizor.